MOC CZYTANIA NA ŚWIĘTA WIELKIEJ NOCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 21 kwietnia 2019 nr 16 (3641)
cena 10 zł (w tym 8% VAT)
Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

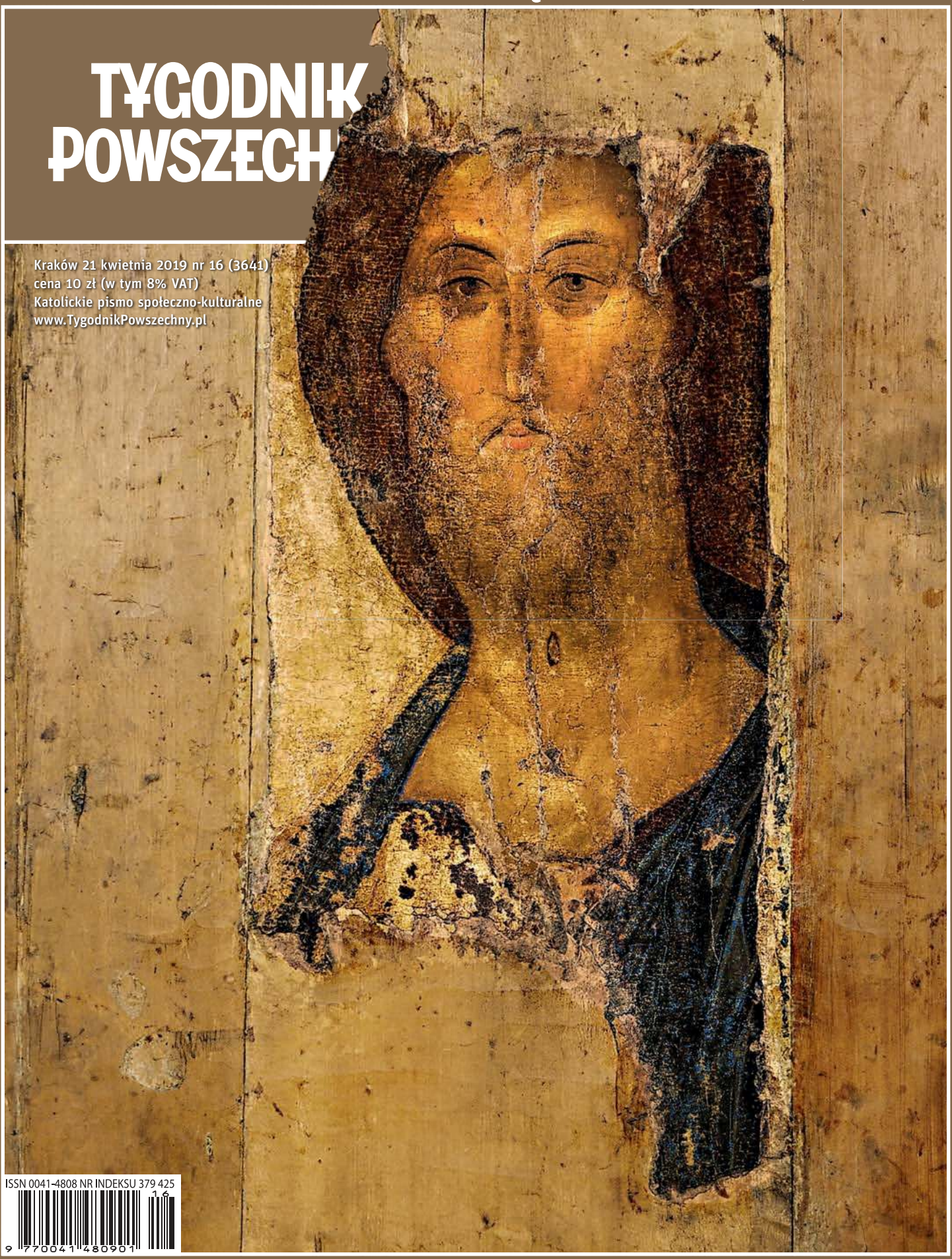

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Kraków

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

Krakowskie Księgarnie Roku

2019

W dniach 5 listopada – 5 grudnia 2018 mieszkańcy Krakowa wybierali swoje ulubione księgarnie. Celem dorocznej akcji organizowanej przez Krakowskie Biuro Festiwalowe w ramach programu Kraków Miasto Literatury UNESCO (KMLU) jest promowanie niezależnych księgarni jako centrów kultury i ośrodków życia literackiego.

Przedstawiamy księgarnie ze Znakami Jakości KMLU na rok 2019!

1. miejsce
Główna Księgarnia Naukowa
ul. Podwale 6

2. miejsce
Księgarnia Muza II
ul. Królewska 47

3. miejsce
MOCAK Bookstore
ul. Lipowa 4

antykwariat roku
Szafa Pełna Książek
ul. Krakusa 7

ORGANIZATORZY:

kbf

KRAKÓW MIASTO LITERATURY UNESCO

ksiegarnie.miastoliteratury.pl

KRAKOWSKIE BIURO FESTIWALOWE – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

PREMIERA na 30-lecie nowej Polski!

Malarz hodujący kury, zakonnica adoptująca niepełnosprawnego chłopca, blogerka kulinarna, chłopak zjeżdżający na nartach z K2, były więzień i była prezydentowa oraz matematyczka-kwakierka.

Poznajcie dowody na wolność – rozmowy, reportaże, spotkania, czyli najlepsze opowieści o nowej Polsce.

weź, czytaj!

Wydanie specjalne „Smak wolności” już **24 kwietnia** w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą. Więcej informacji na **powszech.net/smakwolnosci**

WSPÓŁWYDAWCA

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA

Kraków

GDAŃSK '89 2019 GDAŃSK

GDYNIA moje miasto '89 2019 GDYNIA

Sopot '89 2019 SOPOT

Mazowsze. serce Polski

SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO

POZnań

Adwokatura Polska

ECS europejskie centrum solidarności

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA NA OKŁADCE: MIECZYSŁAW WASILEWSKI // RYSUNEK PATRYK SROCZYŃSKI

KS. ADAM

Boniecki: *Nie płaczcie, nie umarła*

Kiedy się wydaje, że pod lawiną ujawnionych skandali Kościół jeśli nie umarł, to właśnie umiera, papież Franciszek, jak Jezus do żałobników w domu Jaira, mówi: „Nie płaczcie, nie umarła dzieweczka, ale śpi". Wtedy „śmiali się z niego, wiedząc, że umarła" (Łk 8, 52). Papież wprawdzie nie cytuje słów Jezusa, ale w adhortacji „Christus vivit" (z 25 marca tego roku) zdaje się mówić o Kościele: „wydaje się wam, że umarł? Śpi, ale go obudzę". Z dorobku Synodu poświęconego młodzieży wydobywa to, co uważa za najważniejsze. Pisze o młodzieży, ale nade wszystko o Kościele. Jest w pełni świadom obecnego kryzysu, lecz także wiary w żyjącego Chrystusa, który zapewnił, że „*non praevalebunt*..." – bramy piekielne go nie zwyciężą. W tym realistycznym optymizmie jest świadectwo wiary w zmartwychwstanie, w uzdrowienie Kościoła.

Papież wierzy w przywrócenie Kościołowi młodości, a „prawdziwa młodość polega na posiadaniu serca zdolnego do kochania. Natomiast tym, co sprawia, że dusza się starzeje, jest to wszystko, co oddziela nas od innych". I wzywa: „Prośmy Pana, aby uwolnił Kościół od tych, którzy chcą go postarzyć, zakotwiczyć w przeszłości, zatrzymać, unieruchomić. Prośmy Go też, aby uwolnił go od innej pokusy: uwierzenia, że jest młody, bo godzi się na wszystko, co oferuje mu świat, wierząc, że w ten sposób się odnawia, ponieważ ukrywa swoje orędzie i wtapia się w otoczenie. Nie. Jest młody, kiedy jest sobą, gdy otrzymuje coraz to nowe siły płynące ze słowa Bożego, z Eucharystii, z obecności Chrystusa każdego dnia. Jest młody, kiedy potrafi powracać do swojego źródła".

Erupcja informacji o grzechach ludzi Kościoła i o słabości jego instytucji u wielu wierzących wzbudza przerażenie i chęć ucieczki, tymczasem Franciszek widzi w tym początek procesu zdrowienia: „ten ciemny moment, przy bezcennej pomocy ludzi młodych, może naprawdę być szansą na reformę o znaczeniu epokowym, aby otworzyć się na nową Pięćdziesiątnicę i rozpocząć etap oczyszczania i zmiany, który dałby Kościołowi odnowioną młodość".

„W ostatnim czasie – pisze Franciszek – stanowczo poproszono nas, byśmy usłyszeli wołanie ofiar różnego rodzaju nadużyć popełnionych przez niektórych biskupów, kapłanów, zakonników i świeckich. Te grzechy wywołują u ofiar cierpienia, które mogą trwać przez całe życie i których żadna skrucha nie jest w stanie naprawić. Zjawisko to szerzy się w społeczeństwie, dotyka również Kościoła i stanowi poważną przeszkodę dla jego misji. (...) powszechność tej plagi, potwierdzając jej powagę w naszych społeczeństwach, nie umniejsza jej potworności w obrębie Kościoła, a w usprawiedliwionej złości ludzi Kościół widzi odbicie gniewu Boga, zdradzonego i spoliczkowanego (...). Synod potwierdza zdecydowane zobowiązanie do przyjęcia surowych środków zapobiegawczych, które uniemożliwiają powtórzenie się tych zjawisk (...). Jednocześnie nie można zrezygnować z decyzji o zastosowaniu jakże niezbędnych działań i sankcji. A wszystko to z łaską Chrystusa. Nie ma już odwrotu".

„Istnieją różne rodzaje nadużyć władzy – pisze Franciszek – gospodarcze, sumienia, seksualne. Oczywiste jest zadanie wykorzenienia tych form sprawowania władzy, na które owe nadużycia się nakładają, oraz przeciwdziałanie bra-

JUŻ W ŚRODĘ 24 KWIETNIA – PODWÓJNY NUMER NA MAJÓWKĘ!

- Kim był ojciec ojca Pio ■ Ludzie w objęciach drzew ■ Skąd się wzięła słowiańska gimnastyka
- Chłopackie przygody według Niziurskiego ■ Co jest nie tak z Biblią Tysiąclecia
- Na tropie Eleny Ferrante ■ Nie lekceważ Święta Pracy
- Przyszłość świata według Timothy'ego Snydera ■ Katecheci i frustraci
- Japonia: cesarz abdykuje, niech żyje cesarz! ■ Najdroższy Leonardo da Vinci
- Solidarność na gabinetach władzy ■ Stańczycy mieli głowę
- Technologia kontra demokracja ■ Ludzie kontra dinozaury
- w wydaniu także – o włóczykiju

TYGODNIK POWSZECHNY

„Natura włóczykija" specjalny dodatek dla ruchliwych!
Opowieści Anny Kamińskiej, Michała Książka, Jacka Podsiadły, Adama Robińskiego i Urszuli Zajączkowskiej.

kowi odpowiedzialności i przejrzystości, jakie miały miejsce w zajmowaniu się wieloma przypadkami. Pragnienie panowania, brak dialogu i przejrzystości, formy podwójnego życia, pustka duchowa, a także kruchość psychiczna są przestrzenią, na której kwitnie demoralizacja. Klerykalizm jest ciągłą pokusą kapłanów, którzy interpretują otrzymaną posługę jako władzę, którą należy wypełniać, a nie bezinteresowną i wielkoduszną służbę, którą należy ofiarować. A to prowadzi nas do przekonania, że należymy do grupy, która ma wszystkie odpowiedzi i nie musi już niczego słuchać i niczego się uczyć. (...) Nie jest to jedyny grzech członków Kościoła, którego historia ma wiele cieni. Nasze grzechy są przed oczyma wszystkich; odbijają się one bez litości w zmarszczkach tysiącletniej twarzy Kościoła – naszej Matki i Nauczycielki. Pielgrzymuje ona bowiem od dwóch tysięcy lat, dzieląc radości i nadzieje, smutki i lęki ludzi. I podąża z nami taka, jaką jest, bez jakichkolwiek operacji plastycznych. Nie boi się wskazywać grzechy, które czasami niektórzy członkowie Kościoła próbują ukryć przed płonącym światłem usuwającego brud i oczyszczającego słowa Ewangelii. Nie przestaje powtarzać każdego dnia, zawstydzona: »Zmiłuj się nade mną, Boże, w swojej łaskawości, (...) grzech mój mam zawsze przed sobą« (Ps 51, 3. 5). Ale pamiętajmy, że Matki się nie porzuca, gdy jest zraniona, lecz przeciwnie – towarzyszy się jej, aby mogła zaczerpnąć ze swego wnętrza całą swą siłę i zdolność do nieustannego rozpoczynania od nowa".

Papież nie jest prorokiem klęski: „Dziś grozi, nam dorosłym, że będziemy sporządzali listę porażek i niedoskonałości obecnej młodzieży. Być może niektórzy będą nas oklaskiwać, ponieważ sprawiamy wrażenie ekspertów w znajdowaniu aspektów negatywnych i zagrożeń. (...) Dogłębne spojrzenie tych, którzy są uważani za ojców, pasterzy czy przewodników ludzi młodych, polega na dostrzeżeniu małego płomienia, który nadal się tli, krzewu, który zdaje się łamać, ale nie jest jeszcze złamany (por. Iz 42, 3). To zdolność znajdowania dróg tam, gdzie inni widzą tylko mury, to zdolność rozpoznawania szans, tam gdzie inni widzą tylko zagrożenia. Takie jest spojrzenie Boga Ojca".

Papież zwraca się nie tylko do młodych, ale „jednocześnie do całego Ludu Bożego, pasterzy i wiernych, aby refleksja nad młodymi i dla młodych stawiała wyzwania i pobudzała nas wszystkich". Dlatego – pisze we wstępie – w niektórych paragrafach mówi bezpośrednio do młodych ludzi, a w innych przedstawia bardziej ogólne propozycje do rozeznawania kościelnego.

Nawet kiedy mówi o ludziach młodych, odnosi się to nie tylko do nich. Jak choćby to, że „znaczna liczba ludzi młodych z różnych przyczyn niczego nie oczekuje od Kościoła, ponieważ nie uważa go za znaczący dla ich życia. Co więcej, niektórzy wyraźnie proszą o pozostawienie ich w spokoju, ponieważ odczuwają jego obecność jako uciążliwą, a nawet irytującą. Takie żądanie często nie rodzi się z bezkrytycznej i impulsywnej pogardy, ale ma też swoje korzenie w poważnych i godnych uszanowania przyczynach: skandalach seksualnych i ekonomicznych; nieprzygotowaniu kapłanów, którzy nie potrafią odpowiednio uchwycić wrażliwości młodych ludzi; braku staranności w przygotowaniu homilii i głoszeniu słowa Bożego; bierności przypisywanej ludziom młodym we wspólnocie chrześcijańskiej; trudnościom Kościoła w uzasadnianiu swojego stanowiska doktrynalnego i etycznego wobec współczesnego społeczeństwa". Wniosek? „Kościół musi niekiedy odzyskać pokorę i po prostu słuchać, rozpoznać w tym, co mówią inni, światło, które może mu pomóc w lepszym odkryciu Ewangelii. Kościół w defensywie, tracący pokorę, który przestaje słuchać, nie pozwala na podawanie w wątpliwość, traci młodość i zamienia się w muzeum. (...) Chociaż posiada On prawdę Ewangelii, nie oznacza to, że w pełni ją zrozumiał; raczej musi zawsze wzrastać w zrozumieniu".

„Młodzi domagają się Kościoła, który by więcej słuchał, który by nie osądzał nieustannie świata. Nie chcą widzieć Kościoła milczącego i nieśmiałego, ani też zawsze walczącego o dwa lub trzy tematy, będące jego obsesją".

Tak oto w bólach dokonuje się wielki cud uzdrowienia. Nie płaczcie, bo nie umarła, ale śpi. Chrystus żyje! Alleluja!

©℗

„TP" 14 / 2019

Będziemy się trzymać

Trzeci dzień strajku. Wchodzę do pokoju nauczycielskiego. Za stołami siedzi już spora liczba nauczycieli. Czekamy, co się wydarzy. Jednocześnie zaczynają przychodzić gimnazjaliści. Dziś pierwszy dzień egzaminu. Wczoraj dowiedzieli się, że pomimo strajku mają pojawić się w szkole. Schodzę wraz z innymi wychowawcami na dół zobaczyć, jak się czują. Po apelu, w drodze do wyznaczonych sal, niektórzy podchodzą po przysłowiowego kopniaka. Nie widzę, żeby któryś z uczniów miał pretensje o strajk. Życzymy im powodzenia i ruszamy do siebie. W komisjach zasiadają katecheci, nauczyciele ze szkoły katolickiej i pracownicy znalezieni przez Wydział Edukacji miasta. Dzień wcześniej dyskutowaliśmy, czy nie przerwać strajku na czas egzaminu. Uczniowie są dla nas ważni, choć czasem narzekamy na ich lenistwo, arogancję, ignorancję, wybryki... A jednak to nasi uczniowie! Poziom ich stresu chyba też sięgnął zenitu. Przecież do wczoraj nie wiedzieli, jak będzie wyglądała środa. Nie wiedzą nic o czwartku, a tym bardziej o piątku. Jak tu pisać egzamin? „Tłukliśmy" z uczniami procedury obowiązujące na egzaminie, dyktowaliśmy przydział do sal, a teraz wszystko się zmienia. To, co do tej pory było nienaruszalną procedurą, pękło jak bańka mydlana i okazało się zbędne. Nie potrzeba w zespołach nadzorujących przynajmniej jednego nauczyciela pracującego w danej szkole, nie potrzeba nauczycieli dyżurujących na korytarzach, w szatniach, na terenie boisk... Nieistotne jest to, że rady pedagogiczne musiały przejść szkolenie przed egzaminami w określonym terminie. Jak widać, można szkolić się z kartki wręczonej dzień wcześniej. Do tego, że władza zmienia rozporządzenia, już się po części przyzwyczailiśmy. Pojawiły się jednak nowe „kwiatki", które jasno pokazują miejsce nauczyciela w społeczeństwie. Już w czasie referendum usłyszeliśmy od katechetów, że nie wezmą udziału w głosowaniu, bo powinni pozostać bezstronni. Tyle że księża i katecheci pracujący w szkołach są nauczycielami korzystającymi z tych samych praw! Albo jesteś za strajkiem i strajkujesz, albo jesteś przeciw i idziesz do pracy. Jaką karę może nałożyć biskup na księdza za to, że przystąpi do strajku? I w ogóle, co ma do tego biskup? Nie mogę pojąć, dlaczego kuria w ogóle się wtrąca, „zalecając" pracownikom szkół konkretny sposób postępowania? Gdzie w tym bezstronność? Przy okazji chylę czoła przed tymi księżmi, którzy otwarcie mówią, że popierają strajk, i decydują się w nim uczestniczyć. Widać nie wszyscy biskupi są chętni narzucać swoją wolę. Gdzie ten Kościół, który wysyłał księży do strajkujących, aby podtrzymać ich na duchu? Który chwali się, że walczył z rządem niszczącym naszą wolność i godność? Bo to już walka o godność. Minister nie przedstawia żadnych nowych propozycji, chociaż związki znacznie obniżyły żądania. Politycy każą się nam rozmnażać i pobierać 500 plus. Premier twierdzi, że czas dla nauczycieli znajdzie być może po świętach. Rząd proponuje nam przyjęcie rozwiązania, w którym jedna trzecia nauczycieli straci pracę, tym samym przyczyni się do podniesienia pensji pozostałym, którzy to staną się siłaczkami i jeszcze pokornie podziękują. TVP przekazuje jakieś dane wzięte z kosmosu będące po prostu kłamstwem. Część rodziców zalewa nas hejtem, twierdząc, że w d... nam się poprzewracało, a jednocześnie nie przyjmuje krytyki, że niektóre dzieci mają przed sobą daleką drogę do dobrego wychowania. W pokoju nauczycielskim padają głosy, że może trzeba było zacząć się głośno odzywać już wcześniej, a nie protestować w weekend majowy czy pisać listy otwarte. Może trzeba było. Pozwoliliśmy wejść sobie na głowę wszystkim, od uczniów począwszy, na władzy skończywszy. Kiedy chcemy odzyskać godność, ze wszech stron pluje się nam w twarz. Nie walczymy przecież tylko o wyższe pensje, ale też o to, aby naprawić błędy, jakie niesie ze sobą reforma. O to, by uczniowie nie wkuwali wiadomości, które już dawno straciły na ważności, aby nie wracali przemęczeni, lecz by odkrywali w sobie fascynację nauką. Dlaczego minister Zalewska tak bardzo nas za to nienawidzi? Dlaczego w ślad za nią idą tłumy ludzi, których dzieci uczymy? Dlaczego Kościół pozwala na deptanie godności? Siedzimy, pytamy o to wszystko siebie samych, i wcale nie jest nam do śmiechu. Ktoś z grona nauczycielskiego mówi, że i my mamy dzisiaj egzamin – z wytrwałości. Staramy się więc walczyć i nie opuścić głów. Dziękujemy tym, którzy nam pomagają: uśmiechem, napisem wyrysowanym kolorową kredą pod wejściem. A jutro znowu przyjdziemy. Sprzedamy gimnazjalistom „kopniaka" i będziemy się trzymać.

IWONA Z PRZEMYŚLA

OGŁOSZENIE OPP

Mateusz

Przekazując 1% PODATKU lub DAROWIZNĘ Fundacji Avalon z dopiskiem

Maślanka, 4927

pomożecie mu Państwo w codziennej walce o sprawność:

KRS 0000270809

Mateusz ma 16 lat. Jest chłopcem upośledzonym w stopniu umiarkowanym. Cierpi też na autyzm. Ma duże deficyty w obszarze kontaktów społecznych, nie mówi. Wymaga wsparcia w wykonywaniu podstawowych czynności życiowych. Jest pogodnym nastolatkiem, ale komunikuje się ze światem na swój własny sposób. Prosimy o pomoc w zebraniu środków na nowe metody rehabilitacji Mateusza. Za okazaną pomoc bardzo dziękujemy.

Mateusz jest podopiecznym Fundacji Avalon.

Numer konta do darowizn dla Podopiecznych: BGŻ BNP Paribas **62 1600 1286 0003 0031 8642 6001** Tytuł przelewu: **Maślanka, 4927**

weźcie, czytajcie!

„Tygodnik Powszechny” dołączył do grona partnerów Karty Dużej Rodziny, preferencyjnego programu dla rodzin 3+. Posiadacze KDR mogą skorzystać z niższej ceny zakupu ekonomicznej prenumeraty krajowej – 300 złotych za rok. Aby skorzystać z oferty, wystarczy w trakcie zamawiania prenumeraty podać numer swojej Karty:

- podczas zamówienia przez internet – w polu uwagi,
- przy przelewie tradycyjnym w tytule przelewu.

Więcej o programie na: **rodzina.gov.pl**
Szczegółowy regulamin prenumeraty na **powszech.net/regulamin**

TYGODNIK POWSZECHNY

+

KARTA DUŻEJ RODZINY
rodzina.gov.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WIELKANOC

18 Oskarżony z Nazaretu
MAREK RABIJ
Czy wyrok wykonany na Jezusie w świetle ówczesnego prawa był aktem sprawiedliwości? Czy też stanowi klasyczny przykład mordu sądowego?

22 Trzy dni Jezusa
O. DAWID KUSZ OP
Wszystko, co przeżywamy w ciągu roku liturgicznego, przygotowuje nas do Triduum Paschalnego.

26 Teraz albo nigdy
SZYMON HOŁOWNIA
Z każdą Wielkanocą mocniej dostrzegam absolutną konieczność Wielkiej Soboty.

34 Bez cudów
Z O. WŁODZIMIERZEM ZATORSKIM, BENEDYKTYNEM, ROZMAWIA MACIEJ MÜLLER:
Relacja ze Zmartwychwstałym jest zupełnie inna niż z Jezusem chodzącym po ziemi.

37 Pantokrator z okładki
MAGDALENA ŁANUSZKA
Po odnalezieniu ikon ze Zwienigorodu: Archanioła Michała, Chrystusa Pantokratora i św. Pawła, uznano, iż są to dzieła tak wysokiej klasy, że ich autorem mógł być jedynie Andriej Rublow. Wątpliwości zasiały badania z lat 2015-16.

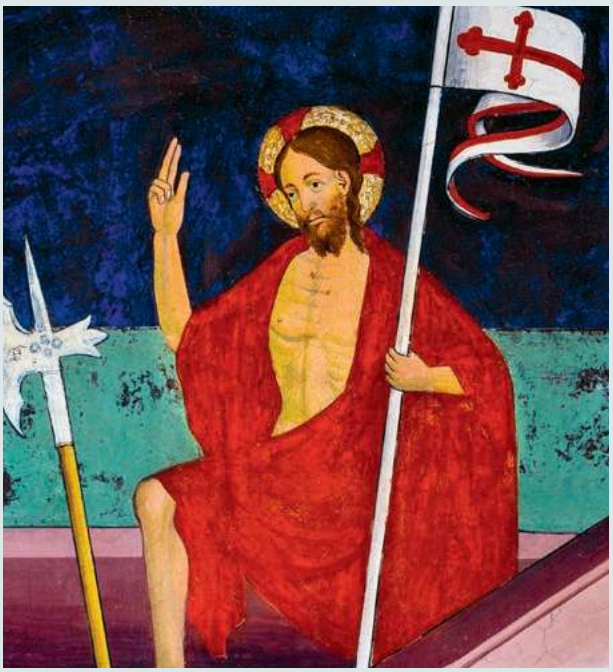

29 Zmartwychwstanie: co, gdzie, kiedy?
PIOTR SIKORA
Kiedy nastaje nasze zmartwychwstanie? Czy jest przedmiotem wiary i nadziei, czy też może być tu i teraz doświadczone?

JOANNA MRÓWKA // DE AGOSTINI PICTURE LIBRARY / EAST NEWS // WIKIPEDIA 2X

6 Tygodnik Czytelników

10 Zobaczyć czarną dziurę
SEBASTIAN S. SZYBKA

11-16 Wiadomości / Komentarze

42-43 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

44 Nic już nie muszę
ROZMOWA Z DANUTĄ WAŁĘSĄ: *Wyrosłam z tamtej siebie*

48 Tajemnica pokrzywnicy
STANISŁAW ŁUBIEŃSKI: *Ten ptak jest bohaterką opery mydlanej*

50 Wojownik
MONIKA OCHĘDOWSKA *o Marcinie Ryszce, zawodniku blind footballu*

ŚWIAT

54 Powrót irlandzkiej depresji
MARCIN ŻYŁA: *Brexit na pograniczu Republiki Irlandii i Irlandii Północnej*

58 Hiszpańska stolica walczy o powietrze
KATARZYNA MOŁONIEWICZ

61 Postój udręczonych ojców
AGNIESZKA KAMIŃSKA: *W Szwajcarii co piąta ofiara agresji w związku to mężczyzna*

64 Szklane domy na kaspijskim piasku JUSTYNA MARCINKOWSKA: *Azerowie masowo wyjeżdżają ze swojego kraju*

HISTORIA

68 Liechtensteinowie chcą do Czech AURELIUSZ M. PĘDZIWOL: *Historyczny ród nie składa broni w walce o swoje dobra*

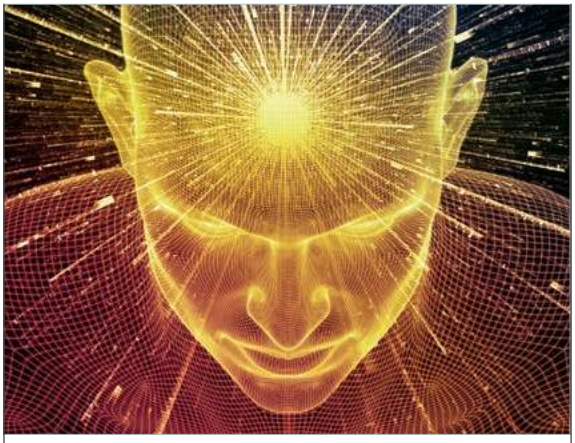

ANDREW OSTROVSKY / ADOBE.STOCK.COM

Wielkie Pytania na nowo. Sztuczna inteligencja

Sztuka tworzenia sztucznej inteligencji dawno już wyszła ze swojej pierwszej, zalążkowej fazy, w której próbowaliśmy nauczyć maszyny myślenia ludzkiego, licząc na to, że uda nam się wyrzeźbić w krzemie „elektronicznego geniusza". Dziś inteligencja maszyn ma już zupełnie inny rodowód.

DODATEK SPECJALNY

PAH. We wspólnym świecie

FELIETONY

40 SZYMON HOŁOWNIA **53** ANNA DZIEWIT-MELLER
76 WOJCIECH BONOWICZ **104** JAN KLATA
105 PAWEŁ BRAVO **111** ANDRZEJ STASIUK
112 STANISŁAW MANCEWICZ
112 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: CHRYSTUS PANTOKRATOR ANDRIEJ RUBLOW, GALERIA TRETIAKOWSKA, MOSKWA, GOOGLE_ART_PROJECT
Redaktorzy prowadzący: EWELINA BURDA, PIOTR MUCHARSKI

72 Skrytobójcy w służbie państwa ROZMOWA Z RONENEM BERGMANEM, AUTOREM KSIĄŻKI O MOSSADZIE

75 Posełki polskie
EWELINA BURDA *o książce „Posełki. Osiem pierwszych kobiet".*

Z ODDECHEM

84 Błazen i prorok na ubitej ziemi MARCIN NAPIÓRKOWSKI: *Žižek i Peterson staną twarzą w twarz do boju o swoje racje*

KULTURA

88 Krecica ROZMOWA Z JAGODĄ SZELC, REŻYSERKĄ: *Nauczyłam się mówić „nie"*

92 Na końcu środka świata
PIOTR KOSIEWSKI: *Czy Muzeum Susch w Szwajcarii podbije Europę?*

96 Rozpustnik poturbowany
PIOTR KAMIŃSKI *o „Don Giovannim" Mozarta*

100 Depresja komika
JAKUB MAJMUREK: *Dlaczego „komedia depresyjna" może być atrakcyjna dla widzów?*

102 Sprzedam samochód nauczyciela
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Dzika grusza"*

104 Lek na depresję
LEKTOR *o książce „Moja rodzina i inne zwierzęta" Geralda Durrella*

ZMYSŁY

106 Ten trzeci
BARTEK DOBROCH: *Pojawia się zawsze tam, gdzie toczy się walka o najwyższą stawkę. Kim jest?*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży

Strajk nauczycieli stał się dla wielu ludzi spod znaku czarnego wykrzyknika okazją do pryncypialnego uderzania w „łamistrajków" z Solidarności – **RAFAŁ WOŚ** *w swoim felietonie apeluje, by tego nie robić.*
tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

Założyciel WikiLeaks aresztowany

Julian Assange po prawie siedmiu latach ukrywania się w londyńskiej ambasadzie Ekwadoru ma jak najszybciej stanąć przed sądem – *piszą* **AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI**. *Trudno powiedzieć, czy bardziej cieszą się wywiady kilku krajów, czy ekwadorscy dyplomaci.*
powszech.net/assange

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

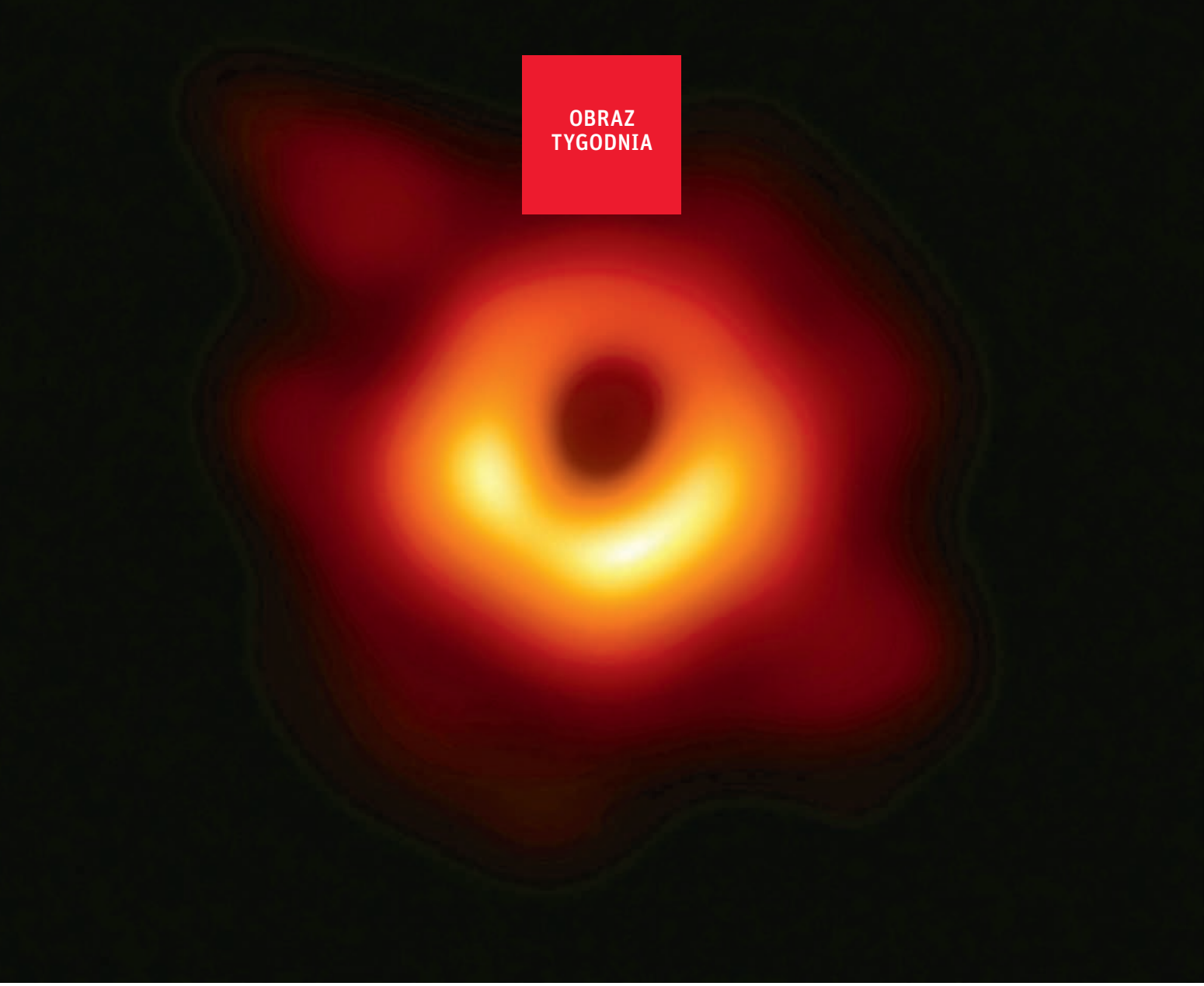

OBRAZ TYGODNIA

TAK WYGLĄDA NIEZNANE

Einstein nie wierzył w czarne dziury. Teraz astronomowie pokazali jedną z nich na fotografii. 10 kwietnia 2019 r. zobaczyliśmy kraniec Wszechświata i naszej wiedzy o nim.

SEBASTIAN S. SZYBKA

Albert Einstein odkrył, że czas i przestrzeń są nierozerwalnie ze sobą związane. Pozorna rozdzielność tych dwóch pojęć jest złudzeniem naszych umysłów. Zamiast o czasie i przestrzeni, sensowniej jest mówić o obiekcie będącym mieszaniną obu – czasoprzestrzeni.

Jednym z przewidywań teorii grawitacji Einsteina jest istnienie we Wszechświecie obiektów zwanych czarnymi dziurami. Nie są one czymś materialnym, lecz zakrzywieniem czasoprzestrzeni. To w czarnych dziurach niezwykłość koncepcji Einsteina przejawia się w całej pełni. Przychodząc na świat, nieodwołalnie podróżujemy w czasie ku śmierci. Obiekty, które wpadną do czarnej dziury, nieodwołalnie zmierzają w jej głąb. Cokolwiek tam się dostanie, nie może się z niej wydostać, podobnie jak my nie możemy się cofnąć do chwili naszych narodzin.

Obraz czarnej dziury znajdującej się w centrum galaktyki M87

EVENT HORIZON TELESCOPE / NSF

Teoria grawitacji Einsteina nie pozwala przewidzieć, co dokładnie znajduje się w centrum czarnej dziury. Wiemy jedynie, że w środku panują warunki tak dziwne, że wymykają się one naszej wyobraźni.

Przez dziesiątki lat czarne dziury wydawały się naukowcom zbyt niezwykłymi obiektami, aby mogły istnieć naprawdę (nie wierzył w to sam Einstein). Dopiero w latach 70. XX w. obserwacje astronomiczne sprawiły, iż czarne dziury zaczęto traktować poważnie. Kluczowym dowodem na ich istnienie była dokonana w 2015 r. detekcja fal grawitacyjnych powstałych podczas ich zderzeń. Spodziewamy się, że gigantyczne czarne dziury znajdują się w centrach prawie wszystkich galaktyk.

Zespół Event Horizon Telescope za jeden z celów swoich badań postawił sobie wykonanie fotografii gigantycznej (6,5 mld razy cięższej od Słońca) czarnej dziury, znajdującej się w nieodległej galaktyce M87. Potrzeba było połączenia sił istniejących już radioteleskopów: od bieguna południowego poprzez wyżyny Chile, Meksyk, Hawaje, Arizonę, Hiszpanię i francuskie Alpy aż po Grenlandię. Wszystkie te instrumenty, niczym fragmenty lustra rozrzucone na powierzchni Ziemi, współdziałając ze sobą utworzyły jeden wielki radioteleskop. Jego gigantyczne rozmiary zapewniły wymaganą rozdzielczość. Po dwóch latach pracy zespół liczący ponad 200 osób opracował radiową fotografię czarnej dziury.

Co na niej widać? Czarna dziura sama z siebie nie świeci. To gaz z rozdartych przez nią gwiazd i kosmiczny pył, spadając na nią, wiruje w szalonym tempie, rozgrzewa się i promieniuje. Tak wytworzone światło i fale radiowe również podlegają wpływowi czarnej dziury – stąd charakterystyczny pierścień na fotografii. Orientacja czarnej dziury względem nas w przestrzeni, w połączeniu z innymi efektami fizycznymi, powoduje, iż pierścień z jednej strony jest jaśniejszy. Najważniejszy jest jednak ciemny środek. To czarna dziura.

Fotografia potwierdziła poprawność teorii grawitacji Einsteina i dostarczyła bezpośredniego dowodu na istnienie tego typu obiektów. To zdjęcie jest spojrzeniem na prawdziwe krańce świata. Czarna dziura niczym kurtyna przesłania tajemnice swojego wnętrza. To właśnie tam znajduje się kres einsteinowskiej czasoprzestrzeni, a także naszej wiedzy: *terra incognita.* ©

KRAJ W SKRÓCIE

DO PIECA. Obchody rocznicy katastrofy smoleńskiej przebiegały w atmosferze rutynowej (wizyta na Wawelu, kwiaty, Macierewicz perorujący o wybuchu) do czasu, gdy w Białej Podlaskiej senator PiS Grzegorz Bierecki zadeklarował: „Nie ustaniemy, aż nie doprowadzimy do pełnego oczyszczenia Polski z ludzi, którzy nie są godni należeć do naszej wspólnoty narodowej". Dalekie od rutyny były też późniejsze tłumaczenia polityka, że słowa zostały wyrwane z kontekstu, i zawiłe dość przeprosiny w portalu wPolityce.pl.

DO SZKOŁY. Portal ten, nawiasem mówiąc, słynie z zadawania odważnych pytań. „Skąd takie skupienie mediów III RP na Panu? Nie ma tygodnia bez jakiegoś ataku" – dociska Biereckiego, a w kwestii sondażu, z którego wynika, że 52 proc. Polaków popiera strajk nauczycieli, chciałby wiedzieć, czy 52 proc. faktycznie można nazwać większością.

DO BARU. Mężczyzna, który usiłował włamać się do łódzkiego salonu urody, o nic nie pytał i nie tłumaczył się wyrywaniem czegokolwiek z kontekstu: wyjaśnił z prostotą, że chciał zjeść sajgonki, a że bar był już zamknięty, postanowił się włamać i po prostu pomylił drzwi.

DO KIELISZKA. O trzeźwości włamywacza nic nie wiemy, Janusz Piechociński informuje jednak na Twitterze, że codziennie wódkę w małych (100 i 200 ml) butelkach kupuje 3 miliony Polaków, co rocznie daje liczbę ponad miliarda flaszek. Z zaleceń WHO wynika, że należałoby zamknąć 80 proc. punktów sprzedaży alkoholu. „W samej Bydgoszczy jest ich więcej niż w całej Norwegii" – pisze Piechociński.

DO KITU. „Rzeczpospolita" pisze, że pracownicy ministerstw zarabiają lepiej od pracownic, choć dyskryminacji w wynagrodzeniu ze względu na płeć zapobiegają kodeks pracy i zarządzenia korpusu służby cywilnej. W Kancelarii Premiera np. kobieta dostaje 8,5 tys. zł brutto, mężczyzna – ponad 10 tys. zł, a we wszystkich jednostkach podległych min. Jadwidze Emilewicz pensje mężczyzn są wyższe o ponad 15 proc.

Cztery dni Wiosny

PONIEDZIAŁEK. W siedzibie Stowarzyszenia Wiosna pojawia się ktoś podający się za kuriera. Pracownicy otwierają, a do środka wpada grupa ochroniarzy oraz ks. Grzegorz Babiarz (na zdjęciu). Duchowny twierdzi, że jest prezesem Stowarzyszenia. Po ustąpieniu ks. Jacka Stryczka, które miało miejsce po reportażu Onetu na temat praktyk mobbingowych w Wiośnie, w październiku 2018 r. prezesurę objęła Joanna Sadzik, szefowa projektu „Szlachetna Paczka". 4 lutego walne zgromadzenie wybrało na prezesa ks. Babiarza, tydzień później, w innym składzie, przywróciło Sadzik. Babiarz zakwestionował tę decyzję i złożył do sądu wniosek o wykreślenie zarządu z KRS. Sąd się zgodził: od 2 kwietnia Wiosna formalnie działa bez zarządu.

JAKUB PORZYCKI / AGENCJA GAZETA

Ochroniarze blokują wyjścia, próbują wejść do serwerowni, a także zmusić informatyków i księgowych do udostępnienia komputerów. Ks. Babiarz przez 7 godzin negocjuje z Joanną Sadzik, potem grupa wychodzi.

WTOREK. „Wydarzenia, jakie miały miejsce wczoraj (...), wywołały smutek i zażenowanie u wszystkich, którym leży na sercu dobro Stowarzyszenia. (...) Nawet gdyby uznać, że prezesem jest ks. Grzegorz Babiarz, to metody, jakie zostały wykorzystane (...) budzą poważne zastrzeżenia i niesmak" – czytamy w oświadczeniu kurii krakowskiej.

ŚRODA. Ks. Babiarz przeprasza osoby, „u których wzbudził niepokój", i zapewnia, że chodziło mu o „bezpieczeństwo, uzdrowienie i rozwój" Wiosny. Akcja miała „charakter symboliczny", aby „podkreślić, w jak wielkim niebezpieczeństwie jest Stowarzyszenie". W siedzibie Wiosny śledczy zabezpieczają dokumenty potrzebne w (prowadzonym od września) śledztwie w sprawie naruszenia praw pracowniczych.

CZWARTEK. W KRS pojawia się nazwisko ks. Babiarza i jego zarządu. Ludzie związani z Joanną Sadzik przypominają, że „Stowarzyszenie czeka na rozstrzygnięcie w zakresie pozostałych wniosków złożonych w KRS". W sieci mnożą się wpisy typu „nie wezmę już udziału w Szlachetnej Paczce". ©℗ MACIEJ MÜLLER

Ciche godziny, czyli dajmy sobie czas

EWELINA BURDA

Ostre światło, głośna muzyka, hałaśliwe komunikaty, mieszanka drażniących zapachów. Większość z nas agresywne bodźce w supermarkecie irytują, ale nic poza tym. Dla osób ze spektrum autyzmu i zaburzeniami pokrewnymi, które często doświadczają nadwrażliwości na dźwięki, światło i zapachy – są one nieznośne i uniemożliwiają funkcjonowanie.

W sklepie sieci Auchan w Częstochowie wprowadzono właśnie „Ciche godziny". To specjalny czas na zakupy, kiedy będzie się przyciemniać oświetlenie, wyłączać telewizory, muzykę i komunikaty. Będzie też działać specjalna kasa. W każdy wtorek między piętnastą a siedemnastą osoby ze spektrum autyzmu i zaburzeniami pokrewnymi będą się mogły poczuć bardziej komfortowo.

Pierwsze „Ciche godziny" odbyły się 2 kwietnia, gdy obchodzono Światowy Dzień Świadomości Autyzmu. Inicjatorem akcji jest częstochowskie Stowarzyszenie Daj Mi Czas, które od ośmiu lat prowadzi akcje edukacyjne na temat autyzmu, organizuje mecze, koncerty. Od trzech lat współpracuje ze sklepem Auchan – prowadzi w nim akcje informacyjne; 2 kwietnia sprzedawcy pracują ubrani w koszulki w kolorze niebieskim (symbolizującym solidarność z osobami ze spektrum autyzmu). – Co roku staraliśmy się dodawać coś do naszej akcji. W tym roku wraz z dyrekcją sklepu ustaliliśmy, że będą to właśnie „Ciche godziny" – mówi Roman Kowalczyk, prezes Stowarzyszenia.

Wokół „Cichych godzin" zrobiło się głośno. Ale entuzjazm, z jakim się spotkały, to efekt wieloletniej, konsekwentnej edukacji społeczeństwa. Bo tylko dzięki niej będziemy skorzy czasem się przesunąć i zmienić sposób, w jaki urządziliśmy sobie świat – na rzecz tych, których problemów często nawet nie rozumiemy. ©℗

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MARCIN ŻYŁA opowie o brexicie z perspektywy Irlandii Północnej (korespondencja na s. 54) w audycji Agnieszki Lichnerowicz „Światopodgląd" – Radio TOK FM, środa 17 kwietnia, godz. 15.40
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce
www.tokfm.pl

Wysługa lat

LICZBA SENIORÓW, którzy pracują pobierając jednocześnie emerytury, wzrosła w ciągu czterech lat o 30 proc. – do blisko 750 tys. osób. A to nie koniec, bo z prognoz Zakładu Ubezpieczeń Społecznych wynika, że do końca tego roku na listach płac polskich firm i instytucji przybędzie kolejne 50 tys. emerytów.

W niektórych branżach odsetek zatrudnionych emerytów wzrósł do poziomu, który grozi wręcz chwilową destabilizacją, gdyby pracujący seniorzy masowo zdecydowali się na porzucenie dodatkowych etatów. Aż 150 tys. emerytów pracuje tylko w trzech sektorach: w administracji, opiece medycznej oraz w edukacji. Spośród ok. 231 tys. czynnych zawodowo pielęgniarek i położnych już prawie co piąta jest emerytką.

Polska należy obecnie do krajów o jednej z najniższych stóp bezrobocia w Europie. Jednocześnie od lat notujemy rekordowo niskie wskaźniki aktywności zawodowej obywateli. W ubiegłym roku odsetek czynnych zawodowo Polaków powyżej 18. roku życia spadł do 56 proc., czyli o 1,8 pkt. proc. poniżej średniej UE. Wśród osób po 50. roku widać było tendencję odwrotną, bo odsetek czynnych zawodowo wzrósł o ponad 2 proc. Wciąż jednak tylko 34 proc. Polaków w tym wieku chodzi do stałej pracy.

Przekonanie o konieczności „ustąpienia miejsca młodszym" w czasach wysokiego bezrobocia wypychało seniorów z rynku pracy nie mniej skutecznie niż bezpośrednia konkurencja ze strony młodszych i bardziej elastycznych pracowników. Dziś problem rywalizacji pokoleń tymczasowo zniknął dzięki dobrej kondycji gospodarki i rekordowo niskiemu bezrobociu. Wiele wskazuje na to, że nie wróci także w kolejnych latach – nawet w scenariuszu zakładającym ponowny wzrost bezrobocia wskutek np. kryzysu.

Powód? Pierwszy to oczywiście demografia. Prognozy ZUS zakładają, że do 2050 r. liczba emerytów praktycznie zrówna się z liczbą osób w wieku produkcyjnym. Drugi powód to polityka socjalna rządu, na czele z programem 500 plus, która sprawia, że na wiele słabo płatnych miejsc pracy nie ma chętnych.

©℗ MAREK RABIJ

Pacjenci chorzy na starość

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

WIELKANOCNE ŚNIADANIE wielu starszym osobom poda salowa. W każde święta, długie weekendy i wakacje seniorzy wypadają z rodzinnego scenariusza i zapełniają szpitalne oddziały. Dlatego warszawska izba lekarska – już po raz drugi w okresie przedświątecznym – w ramach akcji „Wspólne Święta" apeluje do rodzin: nie oddawajcie seniorów do szpitala!

– Skala problemu jest nie do oszacowania, widoczna tylko w indywidualnych doświadczeniach lekarzy – mówi Łukasz Jankowski, prezes warszawskiej izby. – Nie koduje się przyjęcia „ze wskazań społecznych", tylko wpisuje cukrzycę, niewydolność nerek czy inną chorobę przewlekłą, na które przecież seniorzy chorują nie od święta.

Jankowski podkreśla, że z opieki nad osobami starszymi wycofało się państwo; dostępna w wielu krajach europejskich tzw. opieka wytchnieniowa, czyli systemowa pomoc dla rodzin z osobami przewlekle chorymi, pozostaje życzeniem. Lekarze proponują, by taką opiekę oprzeć po części na wolontariacie.

Po ostatniej, bożonarodzeniowej edycji akcji miasto Warszawa podjęło działania w kierunku ustalenia instytucjonalnej opieki nad starszymi. – To nie jest nasze ostatnie słowo, kolejna kampania odbędzie się przed Bożym Narodzeniem – zapewnia Jankowski. – Problem wymaga działań długofalowych.

© JERZY DZIEKOŃSKI

STRINGER / REUTERS / FORUM

Sudan: życie bez Baszira

PO 30 LATACH DYKTATURY prezydenta Omara al-Baszira podlegli mu generałowie i towarzysze broni dokonali zamachu stanu i odebrali mu władzę. Wojskowi, rządzący Sudanem praktycznie nieprzerwanie przez całe jego niepodległe istnienie (od 1956 r.), zdecydowali się na pucz w obawie, że dalsze panowanie Baszira doprowadzi do chaosu w kraju, a nawet wybuchu wojny domowej. Od połowy grudnia trwają antyrządowe demonstracje w Chartumie (na zdjęciu), Omdurmanie i innych sudańskich miastach. Ich uczestnicy domagali się ustąpienia dyktatora.

Identycznymi pobudkami, co ich koledzy po fachu z Sudanu, kierowali się również generałowie z Algierii, którzy przed dwoma tygodniami odsunęli od władzy panującego od 20 lat prezydenta Abdula Aziza Buteflikę (w Algierii antyrządowe wystąpienia zaczęły się w połowie lutego). Ustępując pozornie ulicy, algierscy generałowie zachowali władzę i utrzymali korzystny dla siebie porządek w kraju. Obiecali, że w lipcu pozwolą Algierczykom wybrać nowego przywódcę w wolnych wyborach. Zamachowcy z Chartumu też obiecali ludziom wolne wybory, ale za dwa lata. A na razie wprowadzili stan wyjątkowy.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

Wybory w Izraelu: świt dyktatora?

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

Przeciera oczy ze zdumienia ten, kto chce widzieć w Izraelu cząstkę Zachodu: oto premierem po raz piąty będzie Beniamin Netanjahu – od lat oskarżany o korupcję i nadużywanie władzy, który wkrótce może stanąć przed sądem. Dla przeciwników Netanjahu i jego Likudu wybory miały być szansą na zmianę, bo po raz pierwszy od dekad pojawił się godny rywal: Benny Gantz i jego młoda partia Kahol Lawan (hebr. Niebiesko-Biała). Ten były szef sztabu generalnego, nieskażony skandalami, zwolennik społecznych reform, których tak brakuje, odniósł ogromny sukces, depcząc Netanjahu po piętach. Ale to nie starczyło, by przejąć władzę – premierem jest ten, kto sformuje koalicję. Kolejny Kneset pokaże więc radykalizującą się twarz Izraela: w koalicji Netanjahu będzie skrajna prawica, ultraortodoksi, nacjonaliści, osadnicy, nastawieni homofobicznie, antyarabsko i przeciwni dialogowi z Palestyńczykami, przeciwni przyjmowaniu uchodźców.

Mówi się, że za decyzją Netanjahu o przyspieszeniu wyborów (miały być jesienią) stał jego prywatny interes. Miał on po cichu wprowadzić prawo, które zabroni sądzenia premiera. Dlatego lewica i centrum, przestraszone widmem dyktatury, liczą teraz na szybką reakcję prokuratora generalnego: przesłuchanie Netanjahu i akceptacja materiałów zebranych przez policję mogą doprowadzić do szybkiego postawienia go przed sądem. Jeśli tak się nie stanie, Izrael utwierdzi się w przekonaniu, że Netanjahu (już teraz najdłużej rządzący premier) może wszystko. ©

Hongkong: koniec marzeń o wolności

PIĘĆ LAT TEMU zdawało się przez chwilę, że „rewolucja parasolek" – jak nazwano kilkusettysięczne protesty w obronie swobód demokratycznych, które jesienią 2014 r. zablokowały centrum Hongkongu – powstrzyma władze Chińskiej Republiki Ludowej. Nadzieje się nie spełniły: protesty wygasły, przywódców aresztowano. W minionym tygodniu sąd w Hongkongu uznał ostatnią, dziewięcioosobową grupę sądzonych opozycjonistów winnymi „podburzania" i „spisku w celu zakłócenia porządku publicznego".

Wśród skazanych są: profesor prawa, profesor socjologii, pastor baptysta, dwóch członków lokalnego parlamentu i przywódcy studenccy. Wymiar kary będzie ogłoszony później; grozi im do 7 lat więzienia. Obserwatorzy uważają, że władze chcą w ten sposób zastraszyć społeczeństwo Hongkongu i pokazać, że Pekin ma nad wszystkim pełną kontrolę.

Pokojowe protesty z 2014 r. wzięły swą nazwę od parasolek, którymi demonstranci chronili się przed wodą z policyjnych armatek wodnych. Okupacja centrum Hongkongu trwała wtedy 79 dni. Protestowano przeciw polityce Pekinu, który konsekwentnie ogranicza swobody obywatelskie i mechanizmy demokratyczne, jakie istnieją jeszcze w tej dawnej kolonii brytyjskiej, w 1997 r. zwróconej Chinom. Londyn i Pekin ustaliły wtedy, że Hongkong zachowa szeroką autonomię wedle zasady „jeden kraj, dwa systemy". Niektórzy politycy europejscy mieli wtedy nadzieję, że Hongkong zmieni Chiny, wpłynie na ich demokratyzację. Tymczasem zaczął się proces odwrotny.

Wydając wyrok, sędzia powiedział, że oskarżeni byli „naiwni", skoro sądzili, iż licznymi blokadami wymuszą coś na władzach.

©℗ WP / ARD, NZZ, FAZ

Znikające krzyże w Kuropatach

TADEUSZ KONDRUSIEWICZ, rzymskokatolicki arcybiskup Mińska, noblistka Swietłana Aleksijewicz, a także środowiska niezależne protestują u władz Białorusi przeciw usuwaniu krzyży, które upamiętniają ofiary komunizmu w lesie Kuropaty na przedmieściach białoruskiej stolicy. Zaniepokojenie wyraziła Cerkiew prawosławna, która zwykle jest tu przychylna władzom.

Od początku kwietnia administracja leśna pod ochroną milicji usuwa krzyże, które środowiska niezależne stawiały w ostatnich latach. Wcześniej prezydent Łukaszenka mówił, że należy zaprowadzić tam „porządek". Ministerstwo gospodarki leśnej oświadczyło teraz, że w ramach prac porządkowych usuwane są nie wszystkie krzyże, lecz te „postawione bez zezwolenia".

Kuropaty to dla wielu Białorusinów, a także innych narodów mieszkających na Białorusi miejsce-symbol: w czasach Związku Sowieckiego mińska delegatura tajnej policji NKWD grzebała tu zamordowanych podczas kolejnych fal represji. Spoczywa w tym miejscu od 100 tys. do ćwierci miliona ofiar, w tym kilka tysięcy obywateli polskich z tzw. białoruskiej listy katyńskiej, których grobów Polska szuka do dziś. W czasach sowieckich teren był zamknięty, dopiero w latach 80. działacze białoruscy zaczęli poszukiwania; odkryto ponad 500 masowych mogił. Uroczystości w Kuropatach w 1988 r. były ważnym momentem dla formowania się ruchu niepodległościowego; wtedy zaczęto stawiać oddolnie krzyże. W listopadzie 2018 r. za zgodą władz stanął tam niewielki pomnik i zdawało się wtedy, iż to sygnał „odwilży".

Skąd więc obecna akcja? – Władze nie negują zbrodni NKWD, ale chcą mieć kontrolę nad tym miejscem i przekazem, jaki z niego płynie dla społeczeństwa – mówi „Tygodnikowi" Wojciech Konończuk z Ośrodka Studiów Wschodnich. – To sygnał, że politykę historyczną robi władza, a nie opozycja.

– Obecna akcja to jeden z kilku przykładów ostatniego „dokręcania śruby". Prócz Kuropat władze uderzają też w telewizję Biełsat, Związek Polaków na Białorusi czy środowisko ekologów w Brześciu – dodaje Konończuk.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK / / KATHPRESS, BELSAT, INF. WŁASNA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

ŚCIGANIE HIERARCHÓW. Watykan pracuje nad dokumentem, który ustanawiałby procedury zgłaszania biskupów podejrzanych o wykorzystywanie seksualne małoletnich lub zaniedbanie takich przypadków – poinformował Reuters. Zdaniem Agencji w wytycznych o roboczym tytule „Odpowiedzialność moralna" ma być m.in. mowa o źródłach finansowania dochodzeń oraz o zaangażowaniu w nie świeckich.

OCON / AFP / EAST NEWS

GROŹBY WOBEC BISKUPA. Nikaraguański biskup pomocniczy Managui Silvio José Báez Ortega, krytykujący prezydenta Daniela Ortegę, zapowiedział, że po Wielkanocy opuści kraj i uda się do Rzymu, dokąd zaprosił go papież. Bp Báez ujawnił, że jego życie jest zagrożone. „Otrzymałem telefon od departamentu politycznego ambasady USA, w którym powiedziano mi, że mają wiarygodne informacje o planowanym zamachu na mnie, i żebym był ostrożny" – powiedział Báez. W ubiegłym roku przy sprzeciwie Kościoła władze Nikaragui krwawo stłumiły protesty antyrządowe.

JEZUS FARYZEUSZEM? Nad rodzącymi antysemityzm stereotypami na temat faryzeuszów dyskutować będą w Rzymie od 7 do 9 maja bibliści z całego świata. „Niewłaściwe negatywne traktowanie faryzeuszy jest częścią znacznie większego problemu – zakorzenionego w fałszywym przeciwstawianiu katolicyzmu jako religii miłości judaizmowi jako religii legalistycznej – podczas gdy w rzeczywistości obie są religiami miłości" – stwierdzili przedstawiciele organizatorów, m.in. Papieski Instytut Biblijny i Amerykański Komitet Żydowski.

Kościelna lekcja: katecheci, siedźcie cicho!

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Do pani Kasi (imię zmienione), katechetki ze wsi pod Warszawą, zadzwonił proboszcz. – Powiedział, że otrzymał instrukcję: nie powinniśmy strajkować – opowiada „Tygodnikowi" kobieta. – Nie sprecyzował, skąd ta instrukcja. Raczej nie bezpośrednio od abp. Nycza, prędzej od osób nadzorujących pracę katechetów. Później przedstawiciele kurii wypowiadali się, że pozostawiają decyzję sumieniu katechetów. Tyle że ja zostałam z tym telefonem. Gdy w kolejnej rozmowie powiedziałam, że strajkować zamierzam, proboszcz się zdenerwował. Mówił, że mamy Misję Kanoniczną i że jesteśmy od głoszenia Ewangelii.

„Proszę, zejdźcie z tronów i zapraszam do życia zwykłej rodziny (...) Zobaczcie, jak to jest, gdy w tym miesiącu całą pensję oddałam na leczenie i spłatę hipotecznego kredytu (...) Ostatnio płaciłam 50 zł za »obsługę bierzmowania« córki. Jeśli pomnożyć to razy ponad sto osób, obsługa wyniosła kilka tysięcy (...) Kto Wam dał moralną legitymację do zabraniania strajku?" – pytała w liście do „Tygodnika" pani Anna, żona katechety.

Te głosy to reakcja na oświadczenia kościelnych władz. „Katecheci realizują szczególną misję wobec Kościoła. Na pierwszym miejscu muszą stawiać Ewangelię, a nie rzeczy materialne" – pisał ks. Tadeusz Hryhorowicz z kurii w Gliwicach. Z kolei biskup koszalińsko-kołobrzeski Edward Dajczak wezwał nauczycieli religii do pomocy przy organizacji egzaminów, a kuria przemyska po prostu katechetom strajkowania zakazała.

Plon kościelnej aktywności okołostrajkowej, czyli moralnego szantażu w łagodnym wariancie, i jawnego łamania praw pracowniczych w ostrzejszym, był łatwy do przewidzenia. Katecheci padli ofiarą hejtu („łamistrajki" – pisano o nich – zapominając, że każdy ma prawo do protestowania, ale też do nieprotestowania), Kościół hierarchiczny wykorzystał zaś kolejną okazję, by strzelić sobie w stopę. A zwolennikom tezy, że Kościół panoszy się w przestrzeni państwa, religię zaś trzeba wyprowadzić ze szkół, bo w tej postaci jest hybrydą nie do utrzymania (kto inny daje Misję Kanoniczną, kto inny płaci katechetom) – dał doskonały argument do ręki.

Jest jeszcze pedagogiczny aspekt sprawy. Rada Społeczna przy Metropolicie Katowickim przypomniała, że strajk jest „okazją do dania młodemu pokoleniu przykładu wychowawczego, jak należy rozwiązywać konflikty w dialogu, ładzie i społecznym pokoju". Święte słowa, tyle że „społeczny spokój" w ujęciu niektórych hierarchów to raczej synonim „korporacyjnego posłuszeństwa". Przesłanie tej lekcji wychowawczej jest jasne: siedź cicho, bądź posłuszny. Myśl samodzielnie – czyli tak jak sam biskup. ©℗

VATICAN MEDIA / FORUM

PAPIEŻ FRANCISZEK na kolanach prosił władze Sudanu Południowego o zaprzestanie walk i pokojową współpracę. 10 i 11 kwietnia Watykan zorganizował dla zwaśnionych stron „dni skupienia i refleksji". Konferencje dla polityków w Domu św. Marty wygłosili sekretarz stanu kard. Pietro Parolin, anglikański prymas Justin Welby i – na zakończenie – Franciszek. Kończąc przemówienie papież ucałował stopy prezydenta Kiira Mayardita, lidera opozycji Rieka Machara oraz Rebeki De Mabior, wdowy po byłym prezydencie.

©℗ EA

Papież-emeryt o kryzysie Kościoła

WIELE KONTROWERSJI wywołał tekst, w którym Benedykt XVI zabrał w minionym tygodniu głos w sprawie kryzysu w Kościele związanego z aferami pedofilskimi. Za główne jego przyczyny uznaje oddalenie się od Boga i wiary, a także skutki „rewolucji roku 1968", do której „fizjonomii" należało przekonanie, iż pedofilia jest dozwolona. „Rok '68" – pisze Benedykt XVI – miał fatalne skutki, polegające na odejściu od katolickiej moralności seksualnej, a także fatalne skutki dla teologii, edukacji duchownych (w niektórych seminariach „powstały homoseksualne kluby, które działając mniej lub bardziej otwarcie znacząco zmieniały klimat") i wyboru biskupów.

„Wstrząsem" jest dla autora fakt, iż pedofilia stała się tak rozpowszechniona wśród księży i wyrządzili oni tak niszczące krzywdy „naszym dzieciom i młodzieży". „Jak pedofilia mogła osiągnąć takie rozmiary?" – pyta Benedykt XVI i pisze: „Także my, chrześcijanie i księża, chętniej mówimy nie o Bogu, bo to nie wydaje się praktyczne". Tymczasem społeczeństwo, w którym Bóg jest nieobecny, staje się społeczeństwem, w którym coraz bardziej gubi się „miara tego, co ludzkie". „Tak, w Kościele jest grzech i zło" – pisze papież-emeryt – lecz także dziś istnieje „święty Kościół, który jest niezniszczalny".

Benedykt XVI pisze, że jego wystąpienie powstało w oparciu o notatki, które robił głównie przy okazji watykańskiego szczytu nt. pedofilii; po uzgodnieniu z papieżem Franciszkiem sporządził tekst, przeznaczony pierwotnie dla bawarskiego miesięcznika „Klerusblatt" (po niemiecku jest dostępny np. na portalu domradio.de).

©℗ WP / KNA, DOMRADIO

KULTURA W SKRÓCIE

LAUREATKĄ DZIEWIĘTNASTEJ Nagrody Uniwersytetu Europejskiego Viadrina we Frankfurcie nad Odrą została reżyserka i scenarzystka Agnieszka Holland. Artystka „podejmuje niewygodne, ale bardzo ważne tematy z historii Europy, poszukując międzykulturowego dialogu i porozumienia" – czytamy w uzasadnieniu.

PO RAZ DZIEWIĄTY i ostatni wręczono natomiast Nagrody im. Karla Dedeciusa. Fundacja Roberta Boscha i Niemiecki Instytut Spraw Polskich w Darmstadt wyróżniały wybitnych polskich i niemieckich tłumaczy. W tym roku nagrodzono Monikę Muskałę, tłumaczkę m.in. Thomasa Bernharda i Elfriede Jelinek, oraz Thomasa Weilera, autora znanego z przekładów literatury dziecięcej, np. „Map" Aleksandry i Daniela Mizielińskich.

MATERIAŁY PRASOWE

OSIEMDZIESIĄT LAT skończył Batman. Z tej okazji DC Comics, wydawca serii przygód superbohatera-emeryta, przygotował specjalny urodzinowy album z najsłynniejszymi epizodami. Pierwsza książka o Batmanie pojawiła się w sprzedaży pod koniec marca 1939 r., rok po komiksowym debiucie Supermana. Dziś ten egzemplarz wart jest fortunę – na jednej z przeprowadzonych kilka lat temu aukcji jego cena osiągnęła ponad milion dolarów.

NA PIERWSZYM MIEJSCU natomiast debiutowała w notowaniach „Billboardu" (w kategorii muzyka klasyczna) „Symfonia pieśni żałosnych" Henryka Mikołaja Góreckiego w wykonaniu Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia pod dyrekcją Krzysztofa Pendereckiego ze specjalnym udziałem Beth Gibbons, wokalistki zespołu Portishead.

Polski katolicyzm magiczny

PIOTR SIKORA

Religia rodzi się z doświadczenia – w przypadku chrześcijaństwa: z doświadczenia żywej więzi z Bogiem. Religia pozbawiona doświadczenia umiera – lub co najwyżej trwa jako wzniosłe przebranie politycznej siły lub kulturowej bezwładności.

Dostrzec to można w polskim Kościele. Katolicyzm jest żywy tam, gdzie pojawiają się wspólnoty prowadzące ludzi do religijnego przeżycia. Najczęściej są to wspólnoty o duchowości nazywanej „charyzmatyczną" lub „pentekostalną". Tradycyjne formy liturgiczne odbiera się często jako pusty rytuał – więc pojawia się „nowe": np. Eucharystia zostaje „dopełniona" modlitwą o uzdrowienie.

Poszukiwanie doświadczenia nie zawsze jednak idzie w parze z wysiłkiem myślenia i rzeczywistym rozwojem duchowym. Bywa, że „religijne" przeżycie sprowadza się do zaspokojenia podstawowych potrzeb: zdrowia czy pozytywnych emocji. Wielu charyzmatycznych liderów głosi głupoty (np. o magicznych zagrożeniach duchowych).

Dobrze więc, że niektórzy biskupi zauważają problem. Bp Andrzej Czaja, szef Komisji Doktrynalnej KEP, coraz głośniej krytykuje pojawiające się w charyzmatycznych wspólnotach psychomanipulacje oraz lekceważenie tradycji i refleksji teologicznej. Zapowiedział wydanie dokumentu porządkującego te sprawy.

Trzeba jednak mieć świadomość, że żaden dokument nie zastąpi pracy u podstaw: solidnej teologii zintegrowanej z głęboką formacją duchową księży, kleryków i świeckich liderów. Czego w Polsce jak na lekarstwo. ©℗

STRINGER / REUTERS / FORUM

Rosyjskie koleje: koniec starych „płackart”

DLA JEŻDŻĄCYCH POCIĄGAMI po Wschodzie kończy się pewna epoka: rosyjskie koleje państwowe (RŻD) zaczynają wycofywać stare wagony płackartne, symbol połączeń długodystansowych. W zamian za niedrogie bilety podróżowano nimi, czasem kilkadziesiąt godzin, w warunkach ograniczonej prywatności. W półotwartych przedziałach ergonomicznego wykorzystania przestrzeni mogliby się uczyć projektanci stacji kosmicznych – leżanki ułożone były na dwóch poziomach (dolna na skrzyni na bagaż, z bocznych, przy korytarzu, w ciągu dnia składano stolik). Wagon miał konduktora, samowar i toaletę, zamykaną na czas przejazdu przez miasta; na stacjach początkowych unosił się zapach wykrochmalonej pościeli, pod koniec jazdy – skarpetek i suszonych ryb. „Płackarty” uchodziły za bezpieczne, nawzajem się w nich pilnowano.

RŻD wprowadza nowe wagony – z klimatyzacją, prysznicem i gniazdkami USB. Turyści mogą wzdychać, że „to nie samo”, lecz podróżujący regularnie na dłuższych dystansach Rosjanie od dawna czekali na takie udogodnienia. ©℗ ŻYM

Sequel z Olgą Tokarczuk w głównej roli

MONIKA OCHĘDOWSKA

Wszyscy lubimy zamknięte opowieści, bo dają nam poczucie sensu i spełnienia” – mówiła Olga Tokarczuk po odebraniu w ubiegłym roku Międzynarodowej Nagrody Bookera. Wiele wskazuje na to, że bardziej od oryginalnych historii lubimy jednak sequele – szczególnie te brytyjskie. Wbrew pozorom nie mam tu jednak na myśli kolejnych odcinków serialu „Brexit”, lecz wyróżnienia tłumaczonych na język angielski powieści Tokarczuk.

Podczas gdy autorka podróżuje po świecie, opowiadając o nagrodzonych w zeszłym roku w Londynie „Biegunach” w przekładzie Jennifer Croft, na krótką listę nominowanych do Bookera książek trafiła właśnie zekranizowana dwa lata temu przez Agnieszkę Holland powieść „Prowadź swój pług przez kości umarłych”. Jej tłumaczką jest Antonia Lloyd-Jones, słusznie nazywana „jednoosobową ambasadą polskiej kultury”. I mimo że przewodnicząca kapituły Międzynarodowego Bookera Bettany Hughes stawia na „niespodziewane i nieprzewidywalne narracje”, jesteśmy spokojni, bo w Wielkiej Brytanii możliwe jest niemal wszystko, z podwójnym Bookerem włącznie – proszę zerknąć do biogramu Hilary Mantel. Zwycięzców – albo zwyciężczynie – poznamy 21 maja. ©℗

Kolejny członek ludzkiej rodziny

MIAŁ NIEWIELE ponad metr wzrostu, zakrzywione kości stóp i dłoni, wskazujące na przystosowanie do wspinania się na drzewa, a zęby przedtrzonowe wyraźnie większe od trzonowych. Zamieszkiwał Filipiny jeszcze ok. 50 tys. lat temu. Właśnie został zidentyfikowany dzięki analizie trzynastu skamieniałości należących do trzech różnych osobników. Poznajcie *Homo luzonensis* – naszego „nowego” kuzyna.

Pierwsza skamieniałość *Homo luzonensis* – trzecia kość śródstopia – odnaleziona w jaskini Callao na północy wyspy Luzon, została opisana w 2010 r. Już wtedy naukowcy domyślali się, że mają do czynienia z nieznanym wcześniej gatunkiem człowieka. Potrzeba było jednak dodatkowych wykopalisk i kolejnych skamieniałości, by to potwierdzić.

Jak dotąd nie udało się uzyskać starożytnego DNA *Homo luzonensis* – gorący i wilgotny klimat równikowy sprzyja szybkiemu rozpadowi łańcuchów DNA. Jednak na podstawie badań antropometrycznych oraz znanych śladów działalności hominidów możemy sądzić, że stanowi on odgałęzienie linii ewolucyjnej *Homo erectus*, którego pewna populacja trafiła na Filipiny przynajmniej 700 tys. lat temu. Odcięta na wyspie, przeszła typowy proces karłowacenia, podobny do tego, który wystąpił u hobbitów z wyspy Flores.

Homo luzonensis to kolejny po neandertalczykach, denisowianach, *Homo floresiensis* i *Homo naledi* gatunek człowieka, który występował równolegle z *Homo sapiens*. Można się spodziewać, że było ich znacznie więcej, choć nie da się wykluczyć, że nigdy ich nie poznamy. ©℗ ŁK

AARON FAVILA / AP / EAST NEWS

OGŁOSZENIE OPP

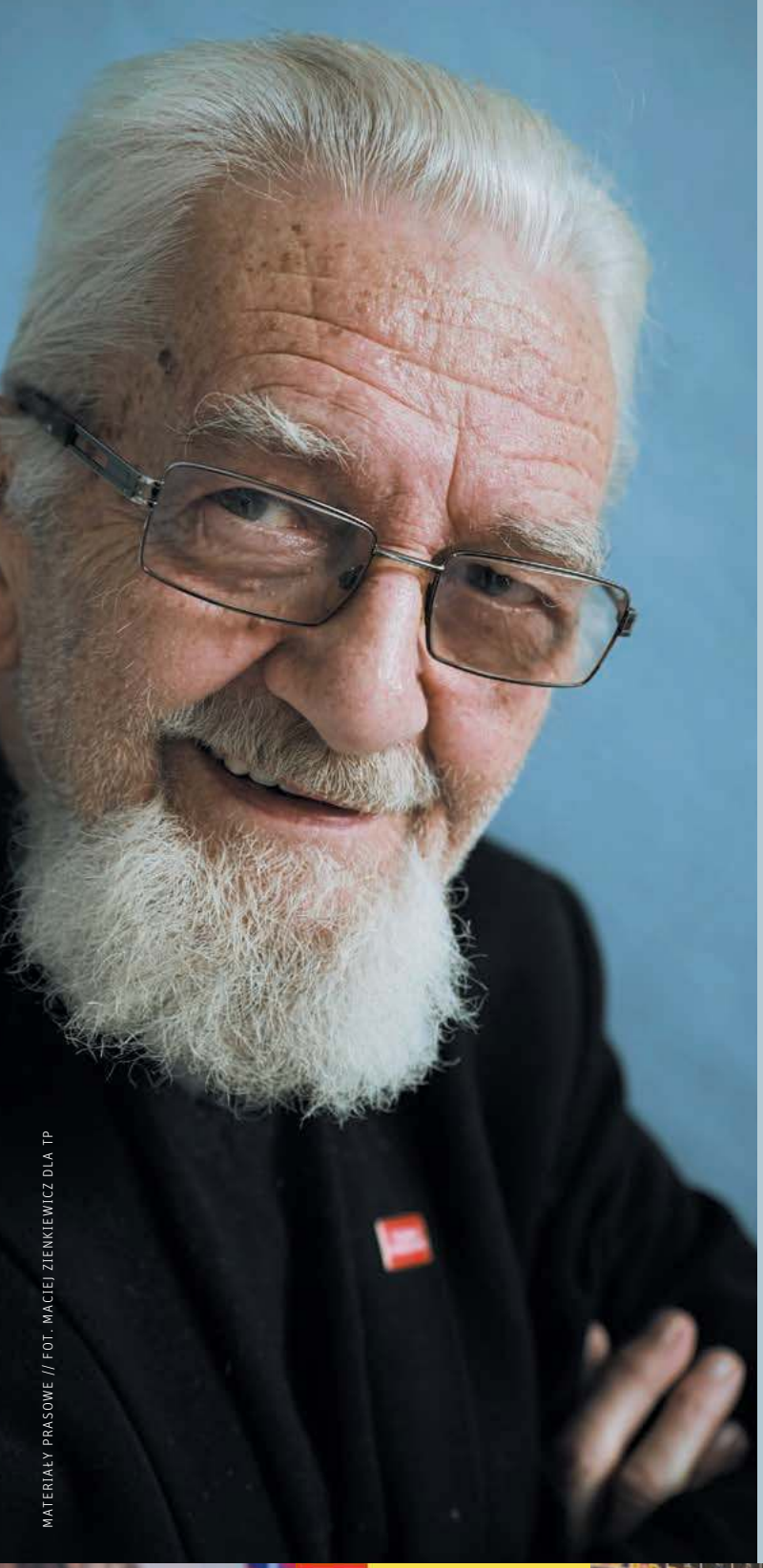

MATERIAŁY PRASOWE // FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA TP

Dziękuję, Przyjaciele!
Bo to dzięki Wam „Tygodnik Powszechny”
jest niezależny. Bo to dzięki Wam na pytanie
„kto was finansuje?” z dumą odpowiadamy:
WY – nasze Czytelniczki i nasi Czytelnicy.
Bo każda złotówka z Waszych wpłat
przyczynia się do rozwoju „Tygodnika”.
To dzięki Wam nasze pismo z roku
na rok zwiększa swój zasięg.
Jesteśmy SUWERENNI DZIĘKI WAM!

Z wdzięcznością,

Ks. Adam Boniecki
Przewodniczący Rady Fundacji Tygodnika Powszechnego,
Redaktor Senior

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO 1%

Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego – która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

Wpisz w zeznaniu podatkowym
nr KRS 0000125605

Więcej informacji: powszech.net/jedenprocent
Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji: Santander Bank Polska S.A. numer konta
31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): powszech.net/dar

TO TAKŻE DZIĘKI WAM:

Conrad Festival

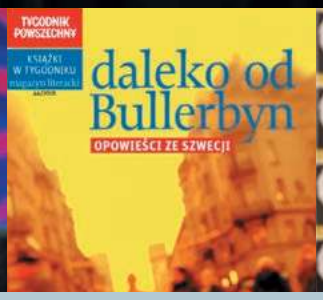

magazyn literacki „Książki w Tygodniku”

Lekcje Czytania

cykl Wielkie Pytania na Nowo

Copernicus Festival

TEMAT TYGODNIKA

OSKARŻONY Z NAZARETU

„Ukrzyżowan, umarł i pogrzebion" – czytamy w Składzie Apostolskim. Modlitwa milczy jednak o tym, czy wyrok wykonany na Jezusie w świetle ówczesnego prawa był aktem sprawiedliwości, czy też stanowi klasyczny przykład mordu sądowego.

MAREK RABIJ

Z procesu Jezusa z Nazaretu nie zachowały się żadne dokumenty – o ile takowe w ogóle istniały, bo w I w. n.e. nie sporządzano jeszcze obowiązkowych akt procesowych, które trafiałyby następnie do archiwów. Theodor Mommsen, wybitny XIX-wieczny badacz historii i prawa rzymskiego, dowodził jednak, że już w epoce Jezusa praktykowano zwyczaj przesyłania do Rzymu sprawozdań z najważniejszych rozpraw sądowych, na czele z tymi zagrożonymi karą śmierci.

Oznaczałoby to, że i z procesu Jezusa trafiło nad Tyber stosowne streszczenie. Hipoteza jest o tyle kusząca, że Swetoniusz i Tacyt, dwaj rzymscy historycy z dostępem do archiwów cesarskich, tworzący kilkadziesiąt lat po opisywanych wydarzeniach, wspominają Jezusa. Nie piszą o jego działalności, lecz jedynie o skazaniu.

W tej sytuacji jedynym źródłem rekonstrukcji najsłynniejszego procesu w dziejach ludzkości są przekazy czterech Ewangelii. Sęk w tym, że ich narracje nie zawsze się pokrywają. Jedynie Łukasz wspomina np. o odesłaniu Jezusa przez Piłata do Heroda Antypasa, ówczesnego tetrarchy Galilei, który mógłby również osądzić Galilejczyka. Różnic w narracji, mniej i bardziej znaczących, jest oczywiście więcej, cechą wspólną wszystkich Ewangelii jest natomiast tendencja do zdejmowania z Poncjusza Piłata odpowiedzialności za skazanie Jezusa.

Wyraźna słabość ewangelistów do przedstawiciela władz okupacyjnych zaowocowała legendami o rzekomym nawróceniu Piłata na chrześcijaństwo, a Kościół koptyjski, bazując na swojej tradycji, ogłosił go nawet świętym. Biorąc pod uwagę cel, w jakim spisano te cztery opowieści, taka strategia narracyjna wydaje się zrozumiała. Ewangelie nie mogły przecież kwestionować fundamentów państwa rzymskiego, jakim było jego prawodawstwo. Nie ma jednak również powodu, by uznać za całkowicie niewiarygodny porządek wydarzeń przedstawiony przez ewangelistów, którzy zgodnie stwierdzają, że zatrzymanie Jezusa było inicjatywą Żydów.

Rosnąca popularność nowego nauczyciela, który właśnie przybył do Jerozolimy, podbiwszy wcześniej serca na prowincji, nie mogła ujść uwadze żydowskich elit. Kwestią interpretacji pozostanie natomiast to, co w działalności Jezusa z Nazaretu niepokoiło je najbardziej. Tradycja chrześcijańska, bazująca na Nowym Testamencie, chętnie dostrzega w tym jedynie rodzaj zawiści spowodowanej utratą rządu dusz. Istnieje jednak jeszcze jedno, o wiele prostsze wytłumaczenie. Społeczno-obyczajowa część programu Jezusa, który kwestionował szereg żydowskich tradycji i instytucji, z szabatem na czele, mogła doprowadzić do niepokojów społecznych, które następnie zmusiłyby do interwencji Rzym. Konsekwencją mogło być pozbawienie społeczności żydowskiej resztek pilnie strzeżonej autonomii.

Prowincja specjalnej troski

W przeciwieństwie do wielu krain Wschodu, które Rzym podporządkował sobie politycznie i gospodarczo, Izrael miał tradycję własnej państwowości i równie długą tradycję irredenty. Pragmatyczni Rzymianie zdawali sobie z tego sprawę,

JOANNA MRÓWKA

Procesja w Ennie na Sycylii, Wielki Tydzień, 2018 r.

dlatego przez długi czas kontrolowali państewko za pomocą sojuszy z marionetkowymi władcami.

Dopiero w 6 r. n.e. (69 lat po wkroczeniu legionów do Jerozolimy) Rzym zdecydował się odebrać Judei resztki politycznej autonomii i oficjalnie przyłączyć ją do prowincji Syrii. Do Jerozolimy wysłano urzędnika w randze prefekta, który czuwał przede wszystkim nad poborem podatków i zajmował się wymiarem sprawiedliwości.

Rzymianie tradycyjnie pozostawiali jednak podbitym autonomię w sferze obyczajowej i wyznaniowej, dlatego także w Judei żydowskie samorządy mogły dalej działać niejako włączone w struktury pax Romana. Sanhedryn, najwyższa rada kapłańska, jako ciało przedstawicielskie z władzą sądowniczą, stanowił dla Rzymu wygodne narzędzie sprawowania władzy w ulubionej formule *divide et impera*, czyli „dziel i rządź".

Polityczny koniunkturalizm sanhedrytów, którzy poszli na współpracę z Rzymem właśnie dla zachowania jak największej niezależności, w epoce Jezusa zaczynał jednak budzić niechęć części żydowskiego społeczeństwa. Stronnictwo zelotów wprost nawoływało do czynnego oporu wobec Rzymian. Postulaty Jezusa, który otwarcie kwestionował prawo kapłanów do przywództwa, musiały w tej sytuacji brzmieć dla członków Sanhedrynu dostatecznie groźnie i bez alegorycznych zapowiedzi zburzenia świątyni jerozolimskiej. Z punktu widzenia żydowskich elit kompromisy wytargowane i wywalczone z Rzymem były zdobyczą, która gwarantowała zachowanie tożsamości narodowej – jak powiedzielibyśmy dzisiaj. Nauki Jezusa na płaszczyźnie społecznej stanowiły jednak wielką niewiadomą, za którą Żydzi mogli zapłacić wysoką cenę. Święty Jan (J 11, 45-57) dość wiernie oddaje tamte ↦

↦ dylematy sanhedrytów, choć w typowym dla ewangelistów stylu miesza je z elementami religijnymi, sugerując, że elity żydowskie bały się głównie „wielkich znaków", które miał czynić Jezus. Dyskusję na właściwe tory sprowadza dopiero arcykapłan Kajfasz, lider stronnictwa ugodowców, mówiąc: „Wy niczego nie pojmujecie. Nie rozumiecie, że lepiej dla was, aby jeden człowiek umarł za naród, niż żeby cały naród zginął".

Zapada decyzja. Niewygodny nauczyciel z Nazaretu musi umrzeć. Potrzeba tylko odpowiedniego paragrafu.

Nocny proces

Jezus czuwa w tym czasie w Ogrodzie Oliwnym nad potokiem Cedron i tam też zatrzymują go wysłannicy Sanhedrynu. Ewangeliści nie są zgodni, czy aresztowania dokonali także rzymscy legioniści, czy sama straż świątynna, podległa kapłanom. Większość badaczy skłania się dziś jednak ku tezie, że w akcji nie brali udziału Rzymianie. Święty Jan pisze wprawdzie, że Jezusa pojmał Judasz, „otrzymawszy kohortę oraz strażników od arcykapłanów i faryzeuszów" (J 18 ,1-4). Jest jednak niemożliwe, by do zatrzymania jednego człowieka wysłano aż 800 legionistów – czyli cały rzymski garnizon stacjonujący wówczas w twierdzy Antonia! Gdyby aresztowanie odbyło się z udziałem sił rzymskich, zatrzymany trafiłby zresztą od razu przed oblicze namiestnika. Tymczasem Jezus staje przed Sanhedrynem – i tu w przekazach ewangelicznych pojawia się kolejny duży znak zapytania.

Procesy przed najwyższą radą odbywają się wedle reguł i zwyczajów, które ukształtowały się na przestrzeni poprzednich kilkuset lat. Jedną z naczelnych zasad jest procedowanie za dnia. Jezus trafia tymczasem przed kapłanów w nocy. Ewangelie wyraźnie zaznaczają, że aresztowano go po zmierzchu, a minęło zapewne jeszcze kilka godzin, nim doprowadzono go do pałacu Kajfasza, gdzie zebrali się członkowie Sanhedrynu.

Ta z pozoru nieistotna informacja z punktu widzenia żydowskiego prawa i obyczajów ma znaczenie fundamentalne. Jeśli bowiem kapłani rzeczywiście rozpoczęli proces po zmroku, złamali w ten sposób aż dwie zasady procesowania – a to z kolei unieważnia ich wyrok. W sprawach karnych Sanhedryn miał bowiem obowiązek obradować nie tylko za dnia, ale też „przenocować sprawę", czyli powtórzyć rozprawę nazajutrz, aby sędziowie mogli przeanalizować na spokojnie linię oskarżenia i argumenty samego oskarżonego. Drugi dzień procedowania zgodnie z obyczajem nie mógł jednak przypadać w szabat lub dzień świąteczny. Zatrzymanie Jezusa następuje jednak w nocy z czwartku na piątek, czyli w wigilię święta Paschy. Ewangelie znów nie są zgodne co do tego, czy sanhedryci odbyli jedno czy dwa posiedzenia w tej sprawie, ale aż trzy z nich podkreślają, że przed oblicze Piłata Jezus trafił nazajutrz po aresztowaniu.

To nie koniec. Rada nie mogła też sama wystąpić z oskarżeniem; przysługiwało jej jedynie prawo do rozpatrywania obcych skarg. Ciężar dowodowy spoczywał wyłącznie na oskarżycielach. To oni musieli przedstawić sędziom minimum dwóch świadków przestępstwa, którzy następnie pod przysięgą mieli podać identyczne wersje wydarzeń; wszelkie rozbieżności automatycznie przemawiały na korzyść oskarżonego.

Proces Jezusa zaczyna się od zarzutu chęci zniszczenia świątyni jerozolimskiej. W świetle prawa to jedna z największych zbrodni, czyli bezbożność. Dwóch świadków składa jednak – jak podaje Ewangelia św. Marka – zeznania na tyle rozbieżne, że i ta linia oskarżenia upada. Zdesperowany Kajfasz decyduje się w tej sytuacji na zagranie *va banque* – pyta Jezusa, czy uważa się za syna Boga. Jest w pełni świadomy, że odpowiedź twierdząca narazi oskarżonego na odpowiedzialność za bluźnierstwo. Świadomy zastawionej nań pułapki Jezus odpowiada jednak: „Jam jest". Z punktu widzenia prawa przyznanie się do winy wymuszone przez członka Sanhedrynu jest procesowo bezużyteczne, lecz nie w przypadku bluźnierstwa. Kajfasz rytualnie drze szaty w geście, którym sędziowie rady potwierdzają winę oskarżonego o taką zbrodnię.

Problem w tym, że władny do orzeczenia kary śmierci Sanhedryn nie może zarządzić jej wykonania. Wyrok musi jeszcze zatwierdzić namiestnik rzymski, Poncjusz Piłat.

Nie znajduję winy w tym człowieku

„Czy ty jesteś królem żydowskim?" – od tych słów Piłat rozpoczyna przesłuchanie, bo dla prefekta, czuwającego nad utrzymaniem rzymskiej zwierzchności nad świeżo przyłączoną do imperium Judeą, kluczową sprawą jest właśnie ustalenie stosunku podsądnego do imperium.

Jezus musi zdawać sobie sprawę z tego, że urzędnika nie interesują niuanse żydowskich sporów o nadejście mesjasza, choć elastyczność rzymskiego systemu prawnego pozwalała prefektowi, w ramach tzw. *cognitio extra ordinem*, decydować co jest, a co nie jest przestępstwem w świetle prawa rzymskiego. Namiestnik, w ramach przyznanej mu władzy, może nawet sądzić wyłącznie na podstawie miejscowych praw i obyczajów, jeśli takie procedowanie przyniesie korzyść Rzymowi.

Świadectwa i daty

HISTORYCZNOŚĆ POSTACI JEZUSA potwierdzają nie tylko Ewangelie. Wzmianki o nim znaleźć można w spisanych kilkadziesiąt lat później pismach Swetoniusza i Tacyta, rzymskich historyków, których trudno podejrzewać o sympatię czy choćby skłonność do przeceniania znaczenia działalności kogoś, kto z ich perspektywy był po prostu jednym z wielu wędrownych kaznodziei (Tacyt nazywa zresztą Jezusa twórcą „zgubnego zabobonu"). Jeszcze bliżej plasuje się narracja urodzonego kilka lat po Jezusie Józefa Flawiusza, Żyda w pełni zasymilowanego w ówczesnych grecko-rzymskich realiach, który pod koniec I stulecia n.e. spisał między innymi „Dawne dzieje Izraela", wspominając w nich o Jakubie, bracie „Jezusa zwanego Chrystusem" (20, 9.1).

Więcej trudności sprawia datacja. We wczesnym średniowieczu mnich Dionizy Mały obliczył datę urodzin Jezusa na 753 r. od założenia Rzymu, czyli na cztery lata po śmierci Heroda Wielkiego. Źródła historyczne potwierdzają z kolei, że Piłat sprawował urząd prefekta Judei do 36/37 r. n.e. Połączenie tych dwóch informacji z wiekiem Jezusa w chwili ukrzyżowania (33 lata) każe przypuszczać, że przyszedł on na świat około 6-4 r. p.n.e. ©℗

Z pozaewangelicznych zapisów wiemy jednak, że Piłat nie należy do urzędników czułych na zwyczaje i tradycje społeczności, którą przyszło mu rządzić. Ma czelność wprowadzić w mury Jerozolimy wojska rzymskie z chorągwiami, na których widnieją podobizny cezara Tyberiusza, mimo że jego poprzednicy trzymali się zawartej z Żydami umowy o szanowaniu przykazania, które zabrania wyznawcom Jahwe czynić sobie podobizny ludzi i zwierząt.

Kilka lat po ukrzyżowaniu Jezusa prefekt odważy się nawet ograbić skarbiec świątyni jerozolimskiej, aby sfinansować budowę akweduktu. Wydaje się więc mało prawdopodobne, by Piłat zechciał w ramach *cognitio extra ordinem* rozpatrywać rzekome bluźnierstwo Jezusa w kategoriach bezpieczeństwa interesów Rzymu. Postawione Jezusowi pytanie ma przynieść jedynie odpowiedź, czy podsądny akceptuje polityczne *status quo* narzucone Judei w 6 r. n.e.

Replika Jezusa sprawia dziś jednak duże kłopoty interpretacyjne. W przekładzie Biblii Tysiąclecia brzmi ona jak jednoznaczne potwierdzenie: „Tak, jestem nim". Autorzy nowszych tłumaczeń skłonni są jednak do przypisania słowom Jezusa innego kontekstu. Można je bowiem tłumaczyć również jako „To ty mnie tak nazywasz". Gdybyśmy więc, idąc za radą współczesnej filologii, trzymali się nowszej interpretacji, przebieg przesłuchania przed Piłatem nabierze nowego kontekstu.

Okaże się bowiem, że Jezus wcale nie zamierza wystąpić przed rzymskim namiestnikiem w roli rewolucjonisty, burzyciela ustroju. Przeciwnie, sprytnie próbuje uniknąć łatki buntownika, którą doczepiają mu żydowskie elity. W kolejnej wymianie zdań odpowiada nawet prefektowi, że jego królestwo „nie jest z tego świata", dając do zrozumienia, że nie stoi za nim żadna agenda polityczna. Dla rzymskiego urzędnika taka deklaracja kończy sprawę; Jezus jawi mu się po prostu jako jeszcze jeden oderwany od rzeczywistości kaznodzieja, jakich nie brakowało w ówczesnej Judei. Bluźnierstwo wobec boga Żydów w świetle prawa rzymskiego nie stanowi natomiast przestępstwa; na co dzień Rzymianie nie palą się przecież nawet do ścigania tych, którzy szargają imiona Jowisza czy Marsa.

„Nie znajduję winy w tym człowieku" – oznajmia więc Żydom namiestnik.

Prefekt z pewnością musiał jednak zwrócić uwagę na samo słowo król (łac. *rex*), którego, być może z premedytacją, użyli przedstawiciele żydowskiego samorządu. Pod koniec trzeciej dekady I wieku n.e. Rzym już od ponad półwiecza pozostaje pod rządami władców dynastii zapoczątkowanej przez Oktawiana Augusta, ale formalnie nadal uważa się za republikę. Od sześciu wieków, czyli od wygnania ostatniego króla Tarkwiniusza Pysznego, termin „*rex*" jest słowem zakazanym w rzymskiej polityce. Faktyczne jedynowładztwo Juliusza Cezara i jego adoptowanego syna Oktawiana legitymizuje zatem ustrojowa gra pozorów, w której kolejnych władców nie nazywa się królem, lecz dyktatorem lub princepsem, pierwszym wśród równych sobie senatorów.

Nauki Jezusa na płaszczyźnie społecznej stanowiły wielką niewiadomą, **za którą Żydzi mogli zapłacić wysoką cenę.**

Zwolennicy monarchii, którzy w 509 r. p.n.e. usiłowali przywrócić na tron Tarkwiniusza, idąc na kolaborację z władcą Etrusków Larsem Porsenną, po przegranej zostali w Rzymie zabiczowani na śmierć. Czy może właśnie do tego epizodu z dziejów Rzymu chce nawiązać Piłat, kiedy ogłasza oskarżającym Jezusa Żydom, że „każe go ubiczować i wypuścić"? Chłosta byłaby czymś w rodzaju ostrzeżenia, by podsądny na przyszłość nie zapuszczał się w rejony, które mogą być dla niego naprawdę groźne.

Przyjaciel cezara

Sprawa Jezusa, która na płaszczyźnie prawnej zaczęła się od zarzutu bezbożności, a potem zmieniła w zarzut bluźnierstwa, upada więc przed namiestnikiem także wtedy, kiedy oskarżyciele zmieniają linię po raz trzeci, mówiąc Piłatowi o podburzaniu przeciw władzy Rzymu i nawoływaniach do niepłacenia podatku. Jezusowi udaje się odeprzeć nawet te zarzuty. Z przekazu ewangelicznego wynika, że na tym etapie sprawy Żydzi postanawiają użyć szantażu, zapewniając Piłata, że jeśli nie skaże na śmierć człowieka, który sam nazwał się królem żydowskim, oskarżą go w Rzymie o brak lojalności wobec cesarza – czyli o *crimen laesae maiestatis*. Zbrodnię obrazy lub zdrady majestatu cezara.

Teraz sytuacja staje się niebezpieczna dla samego Piłata, który otrzymał urząd w 26 r. n.e., a więc stosunkowo niedawno. Szarą eminencją dworu cesarza Tyberiusza, trzeciego władcy dynastii julijsko-klaudyjskiej, był wówczas prefekt gwardii przybocznej Sejan, który pod nieobecność władcy topiącego na Capri smutek po stracie syna przejął faktyczną kontrolę nad cesarstwem. W 31 r. n.e. możny prefekt utracił jednak stanowisko i został uduszony na rozkaz Tyberiusza, a przez Rzym przetoczyła się fala egzekucji i procesów.

W rzymskim ustawodawstwie zbrodnia obrazy majestatu pojawiła się już na przełomie II i I wieku p.n.e., ale przez dekady rzadko trafiała na wokandy. Dopiero Tyberiusz, jak pisze Tacyt, uczynił z niej ulubione narzędzie walki z prawdziwymi i wyimaginowanymi wrogami politycznymi. Tylko za jego panowania wytoczono około setki takich procesów. W większości zapadły wyroki śmierci lub konfiskaty majątku.

Echa wydarzeń w stolicy musiały dotrzeć także do Judei (choćby dlatego, że żydowscy arystokraci chętnie posyłali wówczas dzieci na studia do Rzymu), a członkowie Sanhedrynu nie zasługiwaliby na swoją pozycję, gdyby nie zdawali sobie sprawy, że stanowisko, a może nawet głowa Piłata wisi na włosku. Niepokojąca perspektywa *criminis laesae maiestatis* ostatecznie przeważy szalę, na której złożono życie Jezusa, w stronę wyroku skazującego. Niewykluczone zresztą, że rzekomy szantaż był próbą podsunięcia Piłatowi ścieżki prawnej, która pozwoliłaby mu skazać Nazarejczyka. Sprawy o obrazę majestatu odbywały się przecież ↦

RDC POLSKIE RADIO

MAREK RABIJ będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 17 kwietnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie

– www.rdc.pl

↦ *extra ordinem*, także na podstawie donosu. Sentencja zależała od intencji sędziego.

Gdyby Jezus był obywatelem rzymskim, przysługiwałoby mu prawo apelacji u samego cezara. Nie jest nim jednak, zatem i wyrok Piłata nabiera prawomocności z chwilą wydania. Namiestnik każe go ukrzyżować, czyli skazuje na kaźń, jaką Rzymianie przewidywali zwykle dla niewolników i osób niskiego pochodzenia, zwłaszcza przybyszów z innych krain. Do wyboru namiestnik ma jeszcze *damnatio ad bestias*, czyli rzucenie dzikim zwierzętom na pożarcie, ale w Jerozolimie amfiteatr, w którym można by zorganizować takie widowisko, powstanie dopiero w kolejnym stuleciu.

Wybór jest więc oczywisty. Według współczesnej miary czasu dochodzi południe w piątek. Po ubiczowaniu Jezus zostaje zapewne przybity za nadgarstki do poziomej belki krzyża zwanej *patibulum*, z którą przejdzie ulicami miasta na miejsce kaźni, gdzie, zapewne wkopana na stałe w ziemię, tkwi pionowa belka zwana *stipes*. Czterej żołnierze zawieszą na niej *patibulum* wraz ze skazanym, a następnie przybiją mu stopy.

Teraz pozostanie tylko czekać. Płuca skazańca pracują jak oszalałe, ale przeszkadza im w tym rozciągnięta klatka piersiowa. Każdy ruch wywołuje potworny ból przybitych dłoni i stóp. W organizmie gromadzi się coraz więcej dwutlenku węgla. Niektórzy skazańcy przeżywają nawet kilkanaście godzin, wtedy jednak łamie się im golenie, by nie byli w stanie podtrzymywać ciężaru ciała nogami.

Jezus jest słabszy. Około godziny 15 żołnierze, którzy muszą asystować przy egzekucji do końca, przebijają mu włócznią bok i stwierdzają zgon.

25 kwietnia 1933 r. w Jerozolimie rozpoczął obrady pięcioosobowy trybunał, który na nowo rozpatrzył sprawę Jezusa na podstawie materiałów dowodowych z Ewangelii. Przy czterech głosach „za" i jednym sprzeciwie sędziowie doszli do wniosku, że w świetle praw i obyczajów panujących w Judei w I wieku n.e. Jezus z Nazaretu powinien zostać uniewinniony przez Sanhedryn, a tym samym nie powinien również stanąć przed rzymskim trybunałem. ©℗ MAREK RABIJ

O. Dawid Kusz w atrium krakowskiego klasztoru dominikanów, kwiecień 2019 r.

Trzy dni Jezusa

TEKST O. DAWID KUSZ OP ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA

Wszystko, co przeżywamy w ciągu roku liturgicznego, przygotowuje nas do Triduum Paschalnego. Jego orędzie jest też istotą naszej wiary.

Zazwyczaj mówiąc o Triduum myślimy o Wielkim Czwartku, Wielkim Piątku i Wielkiej Sobocie. W rzeczywistości zaczyna się ono dzień później: obejmuje Wielki Piątek, Wielką Sobotę i Niedzielę Wielkanocną. Jest bowiem celebracją męki, śmierci i zmartwychwstania Chrystusa. Rozpoczynająca Triduum wielkoczwartkowa liturgia Wieczerzy Pańskiej, kończąca okres Wielkiego Postu, przynależy już do Wielkiego Piątku, w którym celebruje się liturgię Męki Pańskiej – jest jego wigilią. W Wielką Sobotę nie sprawuje się Eucharystii. Wielka Niedziela to dzień zmartwychwstania.

Czwartek: ogołocony ołtarz

Potocznie traktujemy liturgię Wieczerzy Pańskiej jako pamiątkę ustanowienia sakramentów Eucharystii i kapłaństwa. Warto jednak na tę liturgię patrzeć jak na sakramentalny znak męki Chrystusa. Mówią już o tym same teksty liturgiczne. Antyfona na wejście brzmi tak: „Chlubimy się krzyżem naszego Pana Jezusa Chrystusa. W Nim jest nasze zbawienie, życie i zmartwychwstanie. Przez Niego jesteśmy zbawieni i oswobodzeni". Pierwotnie w Jerozolimie mszę Wieczerzy Pańskiej odprawiano nie w Wieczerniku, lecz na Golgocie. Sama Ewangelia czytana w ten dzień ukazuje obrzęd obmycia nóg uczniom przez Jezusa.

We czwartek dotykamy bardzo ciekawej teologii Janowej, która mówi, że Chrystus nie spożywał Paschy z uczniami – w Ewangelii św. Jana Jezus spożywa wieczerzę, natomiast umiera podczas Paschy, czyli tradycyjnej wieczerzy żydowskiej. To podczas niej zabijano baranka, którego miano spożyć. Św. Ireneusz mówi, że Chrystus jest pierwszym barankiem, który podczas Paschy tamtego roku został zabity: to On jest paschalnym baran-

kiem, który nas przeprowadza ze śmierci do życia.

Na pierwszy rzut oka liturgia Wieczerzy Pańskiej nie różni się od niedzielnej mszy. Warto jednak zwrócić uwagę na jej trzy własne elementy. Po uroczyście intonowanym hymnie „Chwała na wysokości", któremu towarzyszy bicie dzwonów, milkną organy. Odpowiedź ludzi, którzy po oracji celebransa śpiewają „Amen", odbywa się już bez użycia instrumentów. To przejmujący moment: do Wielkiej Niedzieli wszystkie instrumenty milkną. Zaczyna się dziać coś zupełnie innego.

Charakterystyczny dla Wieczerzy Pańskiej jest obrzęd umycia nóg. Jan ukazuje go zamiast ustanowienia Eucharystii, ponieważ tego ewangelistę bardziej interesują skutki, które Eucharystia powinna rodzić w naszym życiu. Eucharystia to sakrament miłości, a to znaczy: po Eucharystii idziesz i służysz.

Głosy krytykujące papieża Franciszka, że myje nogi nie tylko mężczyznom, lecz także kobietom, i nie tylko katolikom, ale także wyznawcom innych religii, biorą się z literalnego trzymania się tekstu Ewangelii. W przekazie ewangelicznym Jezus myje nogi uczniom. Swoimi wyborami papież zaprasza nas jednak do myślenia, co się za tym symbolem kryje. Pyta: czy służba innym ma granice?

Trzeci wyróżniający tę liturgię element ma miejsce w trakcie procesji przeniesienia Najświętszego Sakramentu do tzw. ciemnicy: to obnażenie ołtarza. Ściąga się świece, mszał i obrus. Ołtarz pozostaje ogołocony do Wielkiej Soboty. Obrzęd ten odbywa się w ciszy, bez komentarza. Stanowi alegorię opuszczenia Jezusa przez uczniów – podczas pojmania Jezusa w ogrodzie Cedron wszyscy uczniowie uciekają. Przypomina też obnażenie Jezusa z szat podczas ukrzyżowania.

Piątek: duma z Krzyża

Liturgia Męki Pańskiej nie jest mszą. Pierwotnie w Wielki Piątek czytano Pasję według Jana i śpiewano psalmy o tematyce pokutnej. Kiedy Rzym otrzymał relikwie Świętego Krzyża od cesarzowej Heleny, zaczęto także adorować krzyż. Papież, po wysłuchaniu śpiewanej w bazylice na Lateranie Janowej Pasji, przechodził z relikwiami do bazyliki Świętego Krzyża i tam następowała ich adoracja. Te dwa elementy są obecne we współczesnej liturgii. Trzecim jest rozbudowana, piękna modlitwa wiernych. Czwartym – rozdawanie komunii z chleba konsekrowanego podczas mszy Wieczerzy Pańskiej.

Wiele osób mówi, że to dzień smutku. Powiedziałbym raczej: powagi, a to dlatego, że Jezus dobrowolnie przyjmuje cierpienie. Nie dotyka go jakieś losowe, niespodziewane nieszczęście.

Liturgia Męki Pańskiej jest jedyną, która rozpoczyna się w absolutnej ciszy. Procesji wejścia nie towarzyszy śpiew. Celebrans, który przewodniczy (nie ma w tym dniu koncelebry), wraz z asystą podchodzi do ogołoconego ołtarza i pada na ziemię – moment, któremu warto się przyjrzeć. To nawiązanie do modlitwy Jezusa w Ogrójcu. Celebrans pokazuje w ten sposób, że wszyscy upadamy pod ciężarem naszych grzechów. Jedyną osobą, która może nas podnieść, jest Chrystus, oddający w tym dniu życie za nas. Umierający i zmartwychwstający.

W Wielki Piątek również czytamy Ewangelię według św. Jana. Jej teologia jest jasna: Chrystus do końca pozostaje królem, nie dzieje się nic, czego by sam nie przyjął. Tylko Jan zwraca uwagę, że jeśli Jezus daje się pojmać, to wyłącznie dlatego, że sam na to pozwala. W jego Ewangelii Krzyż jest tronem, na którym króluje Chrystus.

W scenie pojmania w Ogrodzie Oliwnym Jezus pyta przybyłych: „Kogo szukacie?". Oni odpowiadają: „Jezusa z Nazaretu". Jezus mówi: „Ja jestem" i wtedy oni padają na ziemię – to i wiele innych znaków pokazuje, że jeżeli Chrystus oddaje życie, to nie dlatego, że został zdradzony, czy że nastąpił splot niefortunnych okoliczności, ale dlatego, że tak zarządził. Sąd nad Jezusem jest tak naprawdę sądem nad Jego sędziami.

Krzyż dla chrześcijan nie oznacza zatem tylko cierpienia, ale jest wydarzeniem, poprzez które odzyskujemy zdrowie – zostajemy podniesieni z upadku spowodowanego ciężarem grzechu. Dlatego – warto na to zwrócić uwagę – podczas adoracji Krzyża zachęca się, aby śpiewać pieśni, które opiewają triumf Krzyża, a nie te, które opowiadają, jak Jezus został sponiewierany. W tradycji mamy dużo takich pieśni, np.: „Króla wznoszą się znamiona..." czy „Krzyżu święty nade wszystko...". Krzyż jest drzewem, które daje życie; nowym rajskim drzewem. Można by wręcz mówić o dumie z Krzyża. ↦

Mosiężny dzban z motywem smoka (XIII/ /XIV w.), używany w krakowskim klasztorze dominikanów do obrzędu umywania nóg w liturgii Wieczerzy Pańskiej w Wielki Czwartek

Podczas liturgii Męki Pańskiej odczytywana jest szczególnie podniosła modlitwa wiernych – jedyna, jaka znajduje się w Mszale Rzymskim. Modlimy się nie tylko za pasterzy Kościoła i wszystkich wierzących, ale także za ludzi niewierzących i tych, którzy poszukują Boga.

Jedno z wezwań odnosi się do Żydów. Po Soborze było ono kilkakrotnie zmieniane i utraciło antysemicki wydźwięk. Obecnie brzmi: „Módlmy się za Żydów, do których przodków Pan Bóg przemawiał, aby pomógł im wzrastać w miłości ku Niemu i wierności Jego Przymierzu. Wszechmogący, wieczny Boże, Ty dałeś swoje obietnice Abrahamowi i jego potomkom; wysłuchaj łaskawie prośby swojego Kościoła, aby naród pierwszego wybrania mógł osiągnąć pełnię odkupienia". W 2009 r. Episkopat Polski poprawił niedokładne tłumaczenie, sugerujące, że Żydzi utracili przymierze z Bogiem: „lud, który niegdyś był narodem wybranym" zmieniono na „naród pierwszego wybrania".

Sobota: dzień ciszy

Wielka Sobota to jedyny dzień – zgodnie z żydowską rachubą czasu – w którym nie odprawia się Eucharystii (msza Wieczerzy Pańskiej przynależy do Wielkiego Piątku, a Wigilia Paschalna do Wielkiej Niedzieli). Dopuszczona jest jedynie Liturgia Godzin, czyli brewiarz, a z innych działań liturgicznych – udzielenie komunii chorym. Dzieciom jednak Wielkanoc kojarzy się głównie ze święconką. Ten w zasadzie polski zwyczaj (praktykowany jeszcze w niektórych regionach Austrii i w Bawarii), choć piękny, zaciera symbolikę tego dnia. W Wielką Sobotę wspominamy złożenie do grobu Chrystusa i Jego zstąpienie do otchłani.

Wyobraźmy sobie, że nie ma w Polsce święconki, nie ma kolejek do spowiedzi. Że przychodzimy do kościoła spowitego ciszą. Dobrze byłoby przenieść święconkę poza obręb świątyni, np. do salek katechetycznych.

Niedziela: zmartwychwstanie

Wielka Niedziela rozpoczyna się Wigilią Paschalną, sprawowaną wieczorem w Wielką Sobotę. Przepisy liturgiczne jasno mówią, że tę liturgię można rozpocząć dopiero po zachodzie słońca, gdyż ważna jest dla niej symbolika ciemności i światła. Ignorowanie tego prowadzi do takich sytuacji jak w pewnej parafii, gdzie proboszcz zwrócił się do zgromadzonych: „A teraz wyobraźmy sobie, że w kościele jest ciemno".

Krzyż dla chrześcijan nie oznacza tylko cierpienia. Dzięki niemu odzyskujemy zdrowie – zostajemy podniesieni z upadku.

Liturgia rozpoczyna się od rozpalenia przed kościołem ogniska i poświęcenia paschału, symbolizującego Zmartwychwstałego – to pierwszy symbol, mówiący o tym, co celebrujemy. Kapłan wypowiada modlitwę: „Chrystus wczoraj i dziś. Początek i koniec. Alfa i Omega. Do Niego należy czas i wieczność. Jemu chwała i panowanie przez wszystkie wieki wieków. Amen". Jednocześnie wbija w trzon paschału pięć czerwonych gwoździ symbolizujących rany Chrystusa, poprzez które przychodzi do nas zdrowie. I zapala go ogniem wziętym z ogniska.

Paschał w kaplicy akademickiej krakowskiego klasztoru dominikanów, w tle ikony Jerzego Nowosielskiego

GRAŻYNA MAKARA x2

Mosiężna misa ze sceną Zwiastowania (ok. XV w.), krakowski klasztor dominikanów

Paschał jest wnoszony do ciemnej świątyni, a od jego płomienia zapalane są świece przyniesione przez ludzi. W ten sposób światło rozchodzi się po całym kościele. To poruszający moment – symbol zmartwychwstałego Chrystusa, który przeprowadza nas z ciemności do światła. Oczywiście ta symbolika nie wybrzmi w kościele, w którym jest jasno – stąd wskazanie, by liturgię rozpoczynać o zmroku.

Następuje aklamacja Exsultetu – pięknej starożytnej pieśni zapowiadającej, co się za chwilę wydarzy. Po niej celebrujemy najdłuższą w całym kalendarzu liturgię słowa. Zawiera ona siedem czytań ze Starego Testamentu i jedno z Nowego Testamentu. Czytania te układają się w opowieść o odkupieniu człowieka przez Chrystusa: począwszy od stworzenia świata, przez upadek, wyzwolenie narodu wybranego z Egiptu, po nową paschę w Jezusie. Czytania Starego Testamentu kończą się uroczystym odśpiewaniem „Chwała na wysokości Bogu".

W tym momencie zapalane są światła w świątyni (świece trzymane dotąd w dłoniach zapowiadają jedynie prawdziwe światło), po raz pierwszy od wielkoczwartkowej liturgii Wieczerzy Pańskiej odzywają się organy, a dominikanie dodatkowo zdejmują z habitu czarną kapę. Dopiero wtedy następuje czytanie z Nowego Testamentu. Zawsze jest to fragment Listu św. Pawła do Rzymian, mówiący o chrzcie, który nas zanurza w śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa. Ewangelia opowiada o pustym grobie.

Ostatnim nadzwyczajnym – jeśli można tak powiedzieć – elementem Wigilii Paschalnej jest odnowienie przyrzeczeń chrzcielnych, po którym odprawiana jest liturgia Eucharystii. W dominikańskiej bazylice w Krakowie kończy się ona procesją rezurekcyjną, która w wielu parafiach odbywa się wcześnie rano w Wielką Niedzielę.

Od początku Wigilia Paschalna była liturgią, podczas której udzielano chrztu katechumenom. Nie ma w roku liturgicznym lepszego momentu – cała symbolika Wigilii Paschalnej jednocześnie wprowadza w głębokie znaczenie chrztu jako sakramentu zanurzającego w śmierć Chrystusa i obdarowującego nowym życiem w Jego zmartwychwstaniu.

Centrum liturgii

Triduum Paschalne jest w liturgii Kościoła tym, czym Ewangelie w Piśmie Świętym – centrum orędzia o odkupieniu. Wszystko, co przeżywamy w ciągu roku liturgicznego, przygotowuje nas do przeżywania Triduum Paschalnego.

Historycznie pierwszym świętem chrześcijańskim była żydowska Pascha na nowo zinterpretowana jako przejście Chrystusa ze śmierci do życia. Żeby dobrze się do tego przygotować, stworzono Wielki Post. Uroczystość Bożego Narodzenia, która pojawiła się późno, bo dopiero w IV wieku w Rzymie, powstała przez analogię do Triduum Paschalnego i zawiera wiele elementów wielkanocnych. Np. w kantyku Zachariasza wykorzystywanym w liturgii Bożego Narodzenia słyszymy: „Z wysoka Wschodzące Słońce nas nawiedzi, by zajaśnieć tym, co w mroku i cieniu śmierci mieszkają". Tym Słońcem jest zmartwychwstały Chrystus.

© DAWID KUSZ OP

Współpraca: ARTUR SPORNIAK

DAWID KUSZ *(ur. 1979) jest dominikaninem, muzykologiem i kompozytorem. Obronił doktorat z dyrygentury na krakowskiej Akademii Muzycznej. Był dyrygentem chóru i orkiestry podczas Światowych Dni Młodzieży w Krakowie (2016).*

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia**: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

Teraz albo nigdy

SZYMON HOŁOWNIA

Kiedyś wydawała mi się paradoksem, dziś – z każdą Wielkanocą mocniej – dostrzegam absolutną konieczność Wielkiej Soboty.

Mój kierownik duchowy, zawsze gdy piekliłem się przed nim, że któraś z moich płomiennych próśb nie została jeszcze przez Najwyższą Instancję spełniona, zwykł gasić niecierpliwość refleksją, że przecież Pan Jezus – choć pewnie mógł od razu – zmartwychwstał dopiero trzeciego dnia po śmierci.

Oczywiście nie mamy pojęcia, kiedy faktycznie wyszedł z grobu, w ogóle od momentu, gdy świat go zabił, Jezus bardzo precyzyjnie wymyka się – praktycznie aż do swojego wniebowstąpienia – właściwej owemu światu kronikarskiej ciekawości. Nie interesuje go satysfakcja, którą bez wątpienia dałby swoim uczniom, wybrawszy się do Piłata i Sanhedrynu i pokazawszy im – rzecz jasna wyłącznie po to, aby „dać świadectwo prawdzie" – jakiś gest Kozakiewicza.

Nie organizuje warsztatów z HR i PR dla tych, którzy za chwilę staną się filarami Kościoła. Nie realizuje zaprawionego triumfem planu, a cały zanurza się w relacje, pielęgnuje je. Przyłącza się do idących drogą. Przed chwilą karmił ich w Wieczerniku, teraz sam daje się karmić nad Jeziorem Galilejskim. Podczas rozmowy rekrutacyjnej z Piotrem jedynym warunkiem powierzenia władzy czyni miłość.

Nie opowiada im też (przynajmniej nic nam o tym nie wiadomo), co robił w ów nieszczęsny szabat, gdy oni wrócili do swoich bliskich (ludzie zawsze, gdy jest dobrze, biegną sami, gdy jest źle – zbijają się w kupę), prawdopodobnie nie tylko wstrząśnięci tym, co stało się z ich Nauczycielem, ale również ciężko przerażeni, że skoro zabito Jego, to po upływie Paschy aparat religijnego nadzoru weźmie się i za nich.

Credo mówi nam, że po swojej śmierci, a przed zmartwychwstaniem, Jezus „zstąpił do piekieł". Duchowa wyobraźnia dawnych chrześcijańskich pisarzy namalowała na tym blejtramie plastyczne obrazy Mesjasza wchodzącego z Dobrą Wiadomością do poczekalni, w której tkwili dotąd wszyscy zmarli, zaczynając od Adama, przez proroków, aż do ziemskiego ojca Jezusa, Józefa, i – bo niby dlaczego nie – Judasza, który zginął samobójczą śmiercią tuż przed Tym, którego zdradził.

Zniszczone zegary

W medytacjach, jakie w Wielkim Tygodniu 1967 r. wygłaszał w bawarskim radiu ks. prof. Joseph Ratzinger (cytuję za tomem VI/2 polskiego wydania jego „Dzieł zebranych"), szukał odpowiedzi na pytanie, co tak naprawdę owo „zstąpił do piekieł" znaczy. „Powiedzmy otwarcie: nikt nie może tego naprawdę wyjaśnić i nie stanie się to jaśniejsze przez to, gdy się powie, że »piekło« jest tutaj błędnym przekładem hebrajskiego słowa *szeol*, które znaczy po prostu »królestwo zmarłych«, toteż formuła ta oznacza pierwotnie tylko to, że Jezus zstąpił w głębiny śmierci, prawdziwie umarł i miał udział w bezdennej otchłani naszej śmiertelności".

I dalej: „Przedtem śmierć była tylko śmiercią, rozstaniem się z ziemią i żyjącymi i – mimo iż w innej głębi – czymś takim jak »piekło«, ciemną stroną egzystencji, nieprzeniknioną ciemnością. Teraz jednak również śmierć jest jeszcze życiem, i kiedy przejdziemy przez lodowatą samotność granicy śmierci, zawsze spotkamy się z Tym, który jest życiem, który chciał stać się towarzyszem naszej ostatniej samotności (...). Kiedy dziecko musi samo iść ciemną nocą przez las, będzie się bało, nawet gdyby mu sto razy tłumaczono, że nie ma tam żadnego niebezpieczeństwa. Dodać mu odwagi mógłby tylko głos jakiegoś człowieka, tylko ręka kochającego człowieka mogłaby wypłoszyć zły sen (...). »Zstąpił do piekieł« – to wyznanie Wielkiej Soboty oznacza, że Chrystus przekroczył bramę samotności, że zstąpił na nieosiągalne, nieprzekraczalne dno naszego opuszczenia. Oznacza to, że także w najgłębszej nocy, do której nie dociera już żadne słowo, w której my wszyscy jesteśmy jak płaczące, odrzucone dzieci, jest głos, który nas woła, ręka, która nas chwyta i prowadzi. Nieprzekraczalna samotność człowieka została pokonana, odkąd On w niej był. Piekło jest pokonane, odkąd miłość weszła również w strefę śmierci i ziemia niczyja samotności została zamieszkana przez niego (...). Odkąd w sferze śmierci jest obecna miłość, odtąd w śmierci jest życie".

Dalej Ratzinger pisze o Wielkiej Sobocie, że stawia ona przed nami krzyż w takim kontekście, w jakim widzieli go nasi starsi bracia ze starożytnego Kościoła: nie jako pamiątkę po egzekucji, ale zwycięski sztandar niesiony na czele procesji, w której wyczekiwany Pan nadejdzie wraz z promieniami wschodzącego słońca. Wielka Sobota nie jest przecież niczym innym jak ciszą czekającą na światło. Z naszej, ziemskiej perspektywy – jest egzystencjalną pauzą, bo jaki sens może mieć świat, który właśnie zabił swojego Stwórcę, bohatersko wysadził w powietrze swój fundament?

U Żyjącego jednak nie może być przerw w istnieniu, zamienia więc on powielkopiątkowy, potraumatyczny stupor w wyczekiwanie, w zgęstniałą od bólu tęsknotę. Zegary zniszczone tą samą siłą, która w piątkowe popołudnie rozdarła zasłonę w Świątyni na dwoje, znów mają zajęcie, czas znów biegnie ku czemuś. Miał rację szwajcarski kardynał Kurt Koch, gdy pisał, że jesteśmy „Kościołem Wielkiej Soboty" (tytuł książki o Kochu pióra ks. Roberta Biela), że zanim Pan wróci, by zakończyć naszą radosną twórczość i postawić kropkę po historii – jesteśmy wciąż między depresją Piątku a euforią Niedzieli. Jeszcze nie na laurach, już nie w stagnacji. W procesie. W którym „nasze ja-jestem pozdrawia ze smutkiem nasze ja-powinieniem być".

Zaraz wracam!

Ksiądz Ratzinger w wielkosobotnich katechezach zwraca uwagę na to, że uczniowie Jezusa po raz pierwszy przeżyli przedsmak tego, co czeka ich w ten dzień, już wtedy, gdy Jezus spał w łodzi mimo szalejącej na Jeziorze Galilejskim burzy. „Panie, ratuj, giniemy!" – budzili Go (por. Mt 8, 23-27).

W nas nie ma już cienia gwałtowności tej prośby. Co o tęsknocie za światłem może wiedzieć cywilizacja, która 300 lub 400 lat temu rozpowszechniła w Europie uliczne oświetlenie, odbierając nocy jej autonomię, biorąc ciemność na smycz zakończoną elektrycznym pstryczkiem?

WIKIPEDIA

Andrea Mantegna „Zstąpienie Chrystusa do piekieł" (1468), National Gallery w Londynie

Świetlówkami przekreśliła cały wysiłek (widoczny jeszcze czasem w cerkwiach) pokoleń budowniczych, dla których światło było jednym z najważniejszych elementów sakralnej architektury?

Zastępy przesadnie „zajaranych" swoją robotą popegzorcystów zbanalizowały noc, robiąc z niej wyłączną domenę duchów kłamstwa, zapominając o tym, że jest to też czas szukającego prawdy Nikodema. Że nie tylko Lucyfer tka w nocy swą robotę, bo to przecież też czas opiekującej się chorym pielęgniarki, czas wypiekającego bułki, by ludzie rano mieli co jeść, piekarza. Noc to domena sprzeczności, napięcia: umierania i kiełkowania życia, grzeszenia i gorącej modlitwy, twórczej – bo wreszcie w ciszy – pracy, i odpoczynku.

Rację miał któryś z Ojców Kościoła pisząc, że dopóki żyjemy na tej ziemi – noc jest naszym domem. My dopiero czekamy na świt, dopiero wtedy zobaczymy rzeczy takimi, jakimi są, gdy światło wydobędzie ich prawdziwe kształty.

Wielka Sobota rzeczywiście jest więc naszym życiem. A ja z roku na rok utwierdzam się w przekonaniu, że sens, że całe to porażające milczeniem napięcie, tę wspaniałą okazję do wejścia choć na chwilę w „teologię nocy" zabił u nas (niechcący) zwyczaj porannej rezurekcji odprawianej w Niedzielę. W ilu wspólnotach wciąż robimy swoiste liturgiczne „hop": z Wielkiego Piątku od razu w Wielkanoc.

Sam, przyznaję, przez wiele lat traktowałem Wielką Sobotę jako taktyczną przerwę w Triduum, dar Pana Jezusa dla polskich katolików – Zbawca opóźnił nieco swoje wyjście z grobu, żebyśmy zdążyli do kościoła ze święconką i mogli też dokończyć odkurzanie. Coś jakby ten słynny fragment z ósmego rozdziału Apokalipsy, w którym czytamy: „A gdy otworzył pieczęć siódmą, zapanowała w niebie cisza jakby na pół godziny" (Ap 8, 1). Najtęższe umysły głowią się od lat, o co mogło chodzić, dlaczego przerwa w jednak dość hałaśliwym (trąby, plagi, śpiewy) końcu świata, dlaczego na pół godziny. Nieważne, do brzegu, wystarczy przeczekać, jutro będzie Zmartwychwstanie.

Tyle że Zmartwychwstania nie da się przecież w pełni docenić, jeśli wcześniej się nie umarło. Jak „umarło", skoro Jezus jest w szeolu – a świat nadal się kręci? Nie ma już z nami Słowa, a z głośników (również ↦

↦ tych kościelnych) słowa leją się przecież strumieniami! Nie ma Światła, a przecież nie potykamy się, wypełniamy druki, prowadzimy auta, załatwiamy sprawy.

Inna noc

Węgiersko-szwajcarski teolog Ladislaus Boros (w „Istnieniu wyzwolonym" i w „Misterium mortis") głosił tezę, że człowiek dopiero stojąc w drzwiach śmierci, wciąż dopiero na progu wieczności, ale już po ziemskim życiu, po raz pierwszy mając naprawdę wolną wolę, podejmuje decyzję wiążącą już na zawsze: stojąc twarzą w twarz z Chrystusem, Bramą Owiec, mówi mu „tak" lub „nie".

Ta hipoteza, wbrew temu, co o niej pisano, wcale nie zdejmuje ciężaru z życiowych wyborów, przeciwnie, z całej ludzkiej egzystencji robi to, czym przecież ona powinna zawsze być: przygotowaniem na spotkanie z Miłością naszego życia. Nie ma już pustych przebiegów, nie ma chwil bez znaczenia, skoro każda z nich jest „wprawianiem się w sąd". Jeśli Boros miał rację, a nasze życie jest „wprawianiem się w sąd", to Wielka Sobota jest wprawianiem się zarazem w śmierć i zmartwychwstanie. Tego wieczoru, zanim w kościele odezwie się głośnik, najpierw robotę robi w nim zawsze świeca. O ileż piękniejszy byłby świat, gdyby chrześcijanin zamiast upierać się, że ma być głośnikiem, był świecą.

To liturgiczna zbrodnia: w ilu polskich parafiach Wigilię Paschalną wciąż odprawia się praktycznie za dnia, gdy nie ma szans na przekonanie się na własne oczy, jak wnoszony do świątyni świeżo poświęcony ogień wydobywa z ciemności kształty, twarze, kolory. Wtedy niczym pusty frazes brzmi fragment Orędzia Paschalnego, proszący, by blask nowej, symbolizującej Zmartwychwstałego świecy „złączył się ze światłami nieba". Polecieliśmy w triumf, za łatwo odrzucając tęsknotę. Nie tylko przecież zresztą w Wielką Sobotę. Tyle lekcji religii, tyle listów pasterskich i debat o „genderach", a kto z nas, katolików, pamięta, że Pismo Święte (jego ostatnia księga, Apokalipsa) kończy się gorącym wezwaniem „Przyjdź, Panie Jezu!", że to tęsknota jest pałeczką, którą przekazało nam pierwsze pokolenie chrześcijan, tych, którzy byli najbliżej Tajemnicy? Ba, ilu z nas w cichości liczy, że Jezus nie weźmie jednak (na razie) na poważnie tej prośby, że będzie wiedział, że przecież to tylko świątobliwa retoryczna figura. A gdyby rzeczywiście przyszedł w tę Wielką Sobotę? A nie mógłby, doprawdy, po Świętach? Nie odkryje dla siebie Wielkiej Soboty nikt, kto nie usunie z siebie eschatologicznego „ale jeszcze nie teraz". Teraz. Teraz albo nigdy. Bez tego chrześcijaństwo przestaje być *love story*. A jeśli nie jest *love story*, może być tysiącem innych rzeczy, nie jest już jednak chrześcijaństwem.

> Wielka Sobota to opowieść o tym, że z wielką miłością się nie wygra. **On nas zawsze dogoni, dopadnie.**

Roman Brandstaetter w „Jezusie z Nazarethu" tak beletryzuje ten kwietniowy wieczór sprzed prawie dwa tysięcy lat: „Żałobnicy wnieśli ciało do wnętrza grobowca i złożyli je na kamiennej ławie. Niestety, nie starczyło aloesu i mirry na posypanie ławy i podłogi. Wyszli. Czterech służących z pomocą Josefa z Ramathaim i Nikodema i Johanana ben Zebadia zatoczyło przed wejście olbrzymi głaz. Grób był zamknięty. W tej chwili na niebie zabłysła gwiazda wieczorna. Z murów Świątyni rozległy się dźwięki szofarów, a dwie siostry Szabat i Pesach podały sobie ręce w radosnym przymierzu. Słońce zgasło. W milczeniu wracali do domów. Gdy weszli przez Bramę Ogrodów do miasta – puste ulice zalegała głęboka cisza i tylko roznosił się dokoła głuchy stukot ich sandałów – spoza dachów Jerozolimy wzeszedł ogromny księżyc. Ciemności zrzedły, a niebo rozjaśniło się. Cień padający od Świątyni Pańskiej szeroką smugą położył się na jasno oświetlonych domach, gdzie ojcowie rodzin przy obficie zastawionych stołach odmawiali błogosławieństwo nad pierwszym kielichem wina i podnosili go do ust w pobożnym uniesieniu. Już wnet najmłodsze dziecko wstanie od biesiadnego stołu, podejdzie do głowy rodziny i spyta wzruszonym głosem, w którym zabrzmi echo gorzkich czasów, przeżywanych przez synów Izraela w niewoli, w kraju bogów o zwierzęcych głowach: – *Ma nisztana halajla hazeh?* Czym różni się ta noc od wszystkich innych nocy?".

Podczas wieczerzy sederowej celebrowanej przez Żydów w pierwszy dzień paschalnych świąt ojciec rodziny, odpowiadając na pytania małego dziecka, opowiada historię wyprowadzenia Żydów z Egiptu, zamknięte w piękne opowiadanie, Hagadę.

Naszą chrześcijańską Hagadą jest wspomniane już Orędzie Paschalne, Exultet, ale i cała czytana już od Niedzieli Palmowej Ewangelia męki, śmierci, zmartwychwstania Jezusa. Im dłużej słuchamy słów relacjonujących zdradę, proces (a dokładniej: pospieszną parodię procesu), egzekucję niewinnego Skazańca, tym bardziej zapadamy się w ciszę wraz z Bogiem, który jest przecież przeciwieństwem ciszy, bo jest Słowem. A skoro Ono – skatowane – milknie „jak baranek na rzeź prowadzony", rzęzi w agonii na krzyżu, milczy w grobie, słowa jakich pasyjnych pieśni mogłyby pretendować do tego, by coś tu rzetelnie opisać? Gdy kiedyś moja pierworodna córka zapyta mnie więc, „czym różni się ta noc od wszystkich innych nocy", odpowiem jej, że to noc, w której słowa muszą przejść przez oczyszczającą kąpiel ciszy, a światło odrodzić się z kompletnej ciemności. Jeśli tego dnia nie będzie akurat chmur, pokażę jej księżyc w pełni: światło, które „w ciemności świeci", i które już za parę godzin zastąpione zostanie przez już nieodbite Światło, słońce. Powiem jej, iż ta noc jest obietnicą, że kiedyś tam, za wiele lat, będziemy tak znowu stać razem, i ze zdumieniem odkryjemy, że żadne z nas nie rzuca już cienia, bo Światło otacza nas, nie jest „tam", my jesteśmy w Świetle.

Drogi gminne

Wielka Sobota: Bóg płacze ugodzony przez swoje stworzenia w samo serce, zabijają mu Syna. Każdy z nas, kto liznął piekła na ziemi, wie, że nie na słowa się wtedy czeka. Dlatego i Jezus nie zaoferuje w niedzielny poranek swoim uczennicom i uczniom wykładu, On po prostu stanie przy nich, zmartwychwstały. Arcybiskup Fulton J. Sheen (w „Życiu Jezusa Chrystusa") trafnie zauważył, że niewiasty (o facetach przez litość nie wspomnimy) idące do grobu z wonnościami szły namaścić trupa, nie wierzyły w zmartwychwstanie. Jeśli ktoś w nie – z zupełnie innych przyczyn – mógł choć odrobinę wierzyć (a raczej: zakładać jako opcję, mało prawdopodobną, ale której skutki trzeba było z góry posprzątać i sytuację zabezpieczyć), byli to egzekutorzy Jezusa, którzy zażądali, by Piłat postawił przed Jego grobem straż.

Jasne, chodziło głównie o to, by uczniowie nie mogli wykraść ciała i powiedzieć, że On zmartwychwstał, ale – kto Go tam wie, do czego Galilejczyk mógłby być zdolny. Kolejny paradoks Wielkiej Soboty: to, co miało stać się dowodem przeciw zmartwychwstaniu, wprost je potwierdza: straż stała, a Jezus z grobu wyszedł. Człowiek chciał zabić Boga, Bóg ocalił człowieka.

Wielka Sobota to opowieść o tym, że z wielką miłością się nie wygra. On nas zawsze dogoni, dopadnie. Zadając to samo pytanie, które uznał za stosowne zadać swojemu ziemskiemu następcy, Piotrowi. Nie: czy dasz radę, ogarniesz? Ale: kochasz mnie choć trochę?

Wielkiej Soboty nie można przegapić, przespać, przebiegać. Naprawdę warto nie przegapić żadnego detalu z reakcji Jezusowego otoczenia: wstrząsu, że miało być inaczej, a dzieje się coś, co było kompletnie nieoczekiwane. Własnego niedowierzania, że (rozpacz i radość) mogą być „aż tak". Bólu, z jakim każde oko chodzące w półmroku zawsze zareaguje na mocne światło.

Naprawdę warto przynajmniej ten raz w roku przypomnieć sobie, jak każdy z nas już dziś (bo przecież u Boga jest wieczne „teraz": właśnie teraz widzi On, jak rodzę się i umieram, jak Piłat myje ręce, jak uczniowie idą do Emaus) może, jeśli tylko zechce, spotkać Zmartwychwstałego Pana. Jezus – i przed, i po zmartwychwstaniu – za nikim nie gania, bez trudu jednak daje się znaleźć. Gdzie? Fulton J. Sheen pisze: „Ludzkość ma naturalną skłonność wierzyć, że wszystko, co religijne, musi być na tyle uderzające i potężne, by zawładnąć wyobraźnią. Jednak to wydarzenie na drodze do Emaus objawiło, że najdobitniejsze prawdy często ukazują się w pospolitych miejscach i w trywialnych wydarzeniach życia, takich jak spotkanie kogoś podróżującego z nami tą samą drogą". I – uwaga – niekoniecznie autostradą. Bóg, przed zmartwychwstaniem i po, kocha bowiem drogi gminne.

„Chrześcijaństwo jest ekscentryczne – pisał w „Śmierci w piątek po południu" ks. Richard J. Neuhaus – w dokładnym znaczeniu słowa *ex-kentron*, oznaczającego przecież »poza centrum«".

© SZYMON HOŁOWNIA

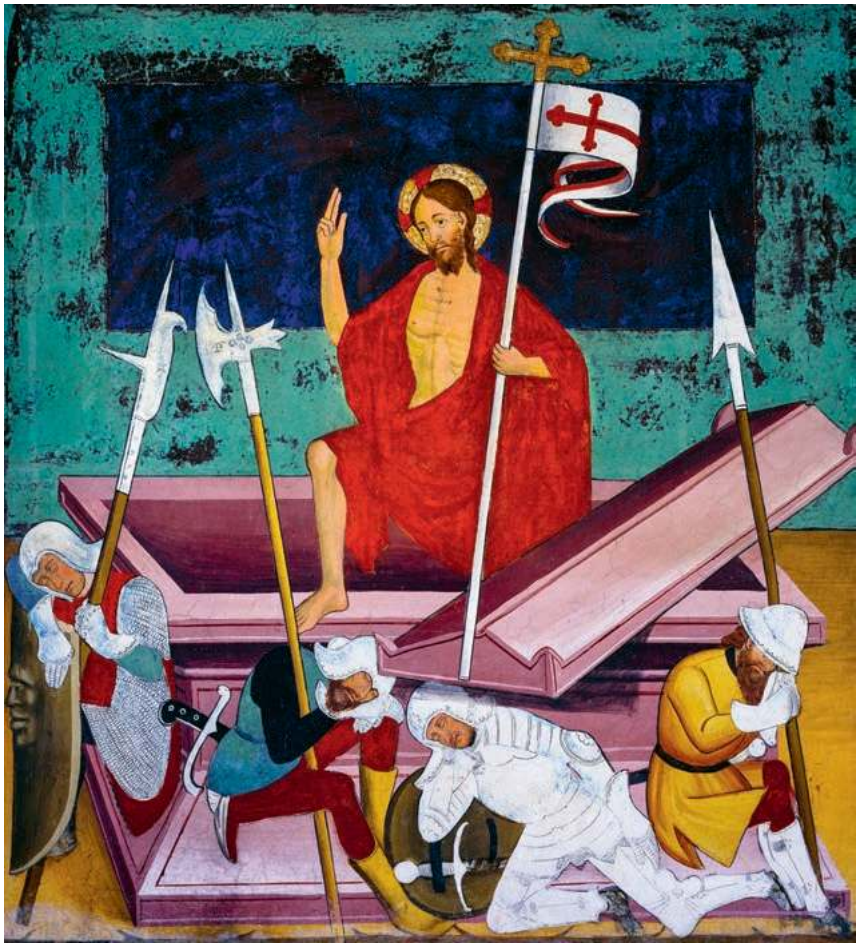

DE AGOSTINI PICTURE LIBRARY / EAST NEWS

Fresk „Zmartwychwstanie" (XIV w.) z kaplicy św. Sebastiana w Villard-de-Lans, Francja

Zmartwychwstanie: co, gdzie, kiedy?

PIOTR SIKORA

Kiedy nastaje nasze zmartwychwstanie? Czy jest przedmiotem wiary i nadziei, czy też może być tu i teraz doświadczone? Pytali o to już pierwsi chrześcijanie.

W czasach Jezusa wiara w zmartwychwstanie wcale nie była w Izraelu powszechna. Owszem, istniały religijne stronnictwa, m.in. faryzeusze, których członkowie przyjmowali autorytet pism mówiących, że na końcu czasów Bóg wskrzesi zmarłych. Ale istniały też szanowane religijne kręgi negujące tę wiarę, co pokazuje ewangeliczna scena, w której saduceusze zadają Jezusowi zagadkę „żony, co miała sześciu mężów" – ich zdaniem nie do rozwiązania – która ma wykazać absurdalność wiary w zmartwychwstanie (por. np. Mk 12, 18-23).

Ci, którzy wierzyli w zmartwychwstanie, różnili się w wielu kwestiach. Choćby: na czym miałoby ono polegać i kiedy nastąpić? Widać to w samej treści odpowiedzi, jaką Jezus dał saduceuszom. Odwołał się do autorytetu Księgi Wyjścia mówiąc: „Co zaś dotyczy umarłych, że zmartwychwstaną, czyż nie czytaliście w księdze Mojżesza, tam gdzie mowa »O krzaku«, jak Bóg powiedział do niego: »Ja jestem Bóg ↦

↦ Abrahama, Bóg Izaaka i Bóg Jakuba. Nie jest On Bogiem umarłych, lecz żywych«" (Mk 12, 26-27).

Nauka Jezusa jest tu inna nie tylko od nauki saduceuszów. Różni się też od przekonania faryzeuszy, że Bóg wskrzesi umarłych na końcu czasów. Jezus zwraca uwagę, że patriarchowie nie tyle zostaną wskrzeszeni, ile w ogóle nie są martwi. Widać to w Łukaszowej wersji, która kończy się wyjaśnieniem Jezusa: „wszyscy bowiem dla Niego żyją" (Łk 20, 38).

Nieuchwytne doświadczenie

Trudno stwierdzić, na ile wiernie ewangelie oddają rzeczywistą rozmowę, a na ile zapisane w nich słowa Jezusa wyrażają wiarę pierwszych chrześcijan ukształtowaną przez ich paschalne doświadczenie. Wiemy, że pierwotna chrześcijańska wiara w zmartwychwstanie ściśle związana była z doświadczeniem spotkania ze Zmartwychwstałym. Lecz co do tego, jakie to było doświadczenie, przekazy pism natchnionych różnią się znacznie. Uważna lektura wskazuje, że pierwsi chrześcijanie mieli trudność w zrozumieniu i wyrażeniu, czym jest zmartwychwstanie – tak w przypadku Chrystusa, jak i w odniesieniu do wszystkich pozostałych ludzi.

Trudność ta ukazuje się już w samym bogactwie określeń. Przyzwyczailiśmy się stosować jedno słowo, właśnie „zmartwychwstanie", ale w oryginalnych tekstach Nowego Testamentu spotykamy wielość terminów. Dwa najbardziej podstawowe, to czasowniki *anistemi* oraz *egeiro*. Podstawowe znaczenie pierwszego to „powstać", drugiego – „obudzić się".

W wielu miejscach autorzy pism Nowego Testamentu używają zupełnie innej metaforyki. Pawłowi zdarza się pisać o śmierci i wywyższeniu Chrystusa, a nie śmierci i zmartwychwstaniu (por. np. Flp 2, 8-9). Obraz wywyższenia używany jest na wyrażenie tej rzeczywistości także przez autora Czwartej Ewangelii. W piśmie tym czytamy też o uwielbieniu Jezusa – a użyte tu słowo *endoxadzo* można także przełożyć jako „rozświetlenie".

Rozmaitość obrazów wskazuje, że rzeczywistość, którą usiłowano wyrazić, jest tajemnicza, trudno uchwytna i wymyka się precyzyjnemu zrozumieniu. Z drugiej strony – co do tego przekazy są zgodne – jest to rzeczywistość bliska, będąca przedmiotem fundamentalnego religijnego doświadczenia, które później zostało ujęte jako „spotkanie ze Zmartwychwstałym".

> Z perspektywy teologii Jana i Pawła opisy **zmysłowo uchwytnego spotkania** ze Zmartwychwstałym najlepiej jest rozumieć jako metaforyczne, a nie dosłowne.

W najbardziej pogłębiony sposób doświadczenie to opisuje Paweł. Nic dziwnego – nie znał Jezusa przed śmiercią, cały swój autorytet, całą znajomość Chrystusowego objawienia czerpał ze spotkania ze Zmartwychwstałym. Pisał, że wraz ze śmiercią krzyżową zakończył się czas poznania Jezusa „według ciała" – „teraz nie znamy Go już w ten sposób" (2 Kor 5, 16).

„Już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus" (Ga 2, 20). Obecność Zmartwychwstałego jest według Pawła obecnością wewnętrzną, mistyczną. Także i Jego poznanie jest poznaniem boskiego światła ukrytego w sercu człowieka: „Bóg, który powiedział, by z ciemności zajaśniało światło, rozbłysnął w naszych sercach, by rozświetlić nas poznaniem Bożego blasku/ /chwały na obliczu Chrystusa" (2 Kor 4, 6). Nie ma tu mowy o żadnej zewnętrznej, uchwytnej zmysłami postaci.

Podobnie „bezpostaciowe" i tajemnicze jest doświadczenie paschalne opisane w najstarszej Ewangelii, według Marka: kobiety odkrywają pusty grób i zostają pouczone przez siedzącego tam młodzieńca, że Jezusa tu nie ma. Wtedy odbiera im mowę, ogarnia je zdumienie (*ekstasis*) i przestrach (*fobos*) – oznaki doświadczenia świętej Rzeczywistości, która jest tajemnicą straszną i fascynującą zarazem.

To w późniejszych ewangeliach, zwłaszcza u Łukasza, pojawia się nacisk na namacalną formę obecności Zmartwychwstałego, który daje się dotknąć, je i pije (por. Łk 24, 36-43). Choć także i w jego wersji rozpoznanie prawdziwej tożsamości Jezusa przez uczniów idących do Emaus wiąże się z tym, że staje się dla nich niewidzialny (por. Łk 24, 31).

Tradycja Janowa wraca jednak do krytyki „teologii namacalności". Czwarta Ewangelia zawiera opisy rozpoznania postaci Zmartwychwstałego, lecz w każdym z nich podkreślona jest konieczność porzucenia takiej formy doświadczenia: „Nie chwytaj mnie" – mówi Marii Magdalenie (por. J 20, 17). „Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli" (J 20, 29) – podsumowuje zmagania Tomasza z potrzebą dotknięcia Jego ran po ukrzyżowaniu.

Teologiczne wyjaśnienie zmartwychwstania, które odnajdujemy w mowie Mistrza do uczniów wygłoszonej tuż przed męką, kładzie zaś nacisk na wewnętrzną, niewidzialną obecność Syna, który przeszedł do Ojca: „w owym dniu poznacie, że Ja jestem w Ojcu moim, a wy we Mnie i Ja w was" (J 14, 20).

Z perspektywy teologii Jana i Pawła opisy namacalnego, zmysłowo uchwytnego spotkania ze Zmartwychwstałym (czy empirycznie doświadczany akt wniebowstąpienia) najlepiej jest rozumieć jako teksty metaforyczne, a nie dosłowne, obrazowo przekazujące określone treści teologiczne.

Tożsamość i przemiana

Teksty wczesnochrześcijańskie są jednak zasadniczo zgodne w ścisłym powiązaniu zmartwychwstania Chrystusa ze zmartwychwstaniem każdego człowieka. Dlatego różnice w rozumieniu tego pierwszego rzutują na sposób rozumienia tego drugiego.

Nie powinno zatem dziwić, że św. Paweł, który rozpoznaje Zmartwychwstałego jako mistycznie obecnego w swoim wnętrzu, w podobny sposób widzi zmartwychwstanie człowieka: „Dlatego to nie poddajemy się zwątpieniu, chociaż bowiem niszczeje nasz człowiek zewnętrzny, to jednak ten, który jest wewnątrz, odnawia się z dnia na dzień. Niewielkie bowiem utrapienia naszego obecnego czasu gotują bezmiar chwały przyszłego wieku dla nas, którzy się wpatrujemy nie w to, co widzialne, lecz w to, co niewidzialne. To bowiem, co widzialne, przemija, to zaś, co niewidzialne, trwa wiecznie. Wiemy bowiem, że jeśli nawet zniszczeje nasz namiot doczesnego zamieszkania, będziemy mieli mieszkanie od Boga, dom nie ręką uczyniony, lecz wieczny w niebie. Tak przeto teraz wzdychamy, pragnąc przyodziać się w nasz niebieski przybytek, o ile tylko odziani, a nie nadzy będziemy. Dlatego właśnie udręczeni wzdychamy, pozostając w tym przybytku, bo nie chcielibyśmy być nadzy, lecz przywdziać nowe odzienie, aby to, co śmiertelne, wchłonięte zostało przez życie" (2 Kor 4, 16 – 5, 4).

Owo wchłonięcie tego, co śmiertelne, przez życie Paweł opisuje też jako prze-

mianę ciała „psychicznego” (*soma psychikon*) w ciało duchowe (*soma pneumatikon*) (por. 1 Kor 15). Chociaż zachowana zostaje tu tożsamość podmiotu, forma istnienia zmienia się radykalnie – niczym przemiana ziarna w roślinę. Chodzi o sposób i wymiar istnienia inny niż materialno-empiryczny, co Paweł wyraża mówiąc, że „ciało i krew nie mogą posiąść królestwa Bożego, i że to, co zniszczalne, nie może mieć dziedzictwa w tym, co niezniszczalne” (1 Kor 15, 50).

W greckim środowisku intelektualnym, w którym rozwijała się od II wieku przeważająca liczba wspólnot chrześcijańskich, teologia Pawła była często rozumiana jako opowiedzenie się jedynie za nieśmiertelnością duszy.

Tak ujmuje zmartwychwstanie np. powstały w tym okresie tekst „Świadectwo Prawdy”. Dzieło to prezentuje skrajnie negatywne stanowisko wobec cielesności, zwłaszcza obejmującej seksualność. W tej wizji wraz z chrztem Jezusa w Jordanie „skończyło się panowanie cielesnego rodzenia”. Autor utożsamia poznanie Boskiej Pełni z wiecznym życiem i nawołuje: „nie oczekuj na cielesne zmartwychwstanie, ono bowiem jest zniszczeniem”.

Choć jedyny dostępny tekst „Świadectwa Prawdy” jest tak bardzo zniszczony, że trudno stwierdzić, jakie dokładnie są teologiczne poglądy jego autora, to z pewnością łączy on krytykę cielesnego zmartwychwstania z negatywnym stosunkiem do cielesności. Z dzieł krytyków takiej interpretacji listów Pawła wiadomo, że było to stanowisko dość rozpowszechnione.

Wielu teologów próbowało bronić pozytywnej wartości materii i prawdy o zmartwychwstaniu całego człowieka. Niestety, uczestniczący w polemice autorzy wpadali często w inną skrajność.

Ateński apologeta Atenagoras rozważa problem, co stanie się z cząstkami materii, które przez łańcuch pokarmowy wielu zwierząt wchodziły w skład ciał różnych ludzi. Nie dyskutuje z ujawniającą się w takich pytaniach skrajnie materialistyczną koncepcją zmartwychwstania, lecz argumentuje, że cząstki ludzkiego ciała są nieprzyswajalne dla człowieka, więc wszechmocny Bóg będzie w stanie je pooddzielać i połączyć we właściwych im zmartwychwstałych ciałach. ↦

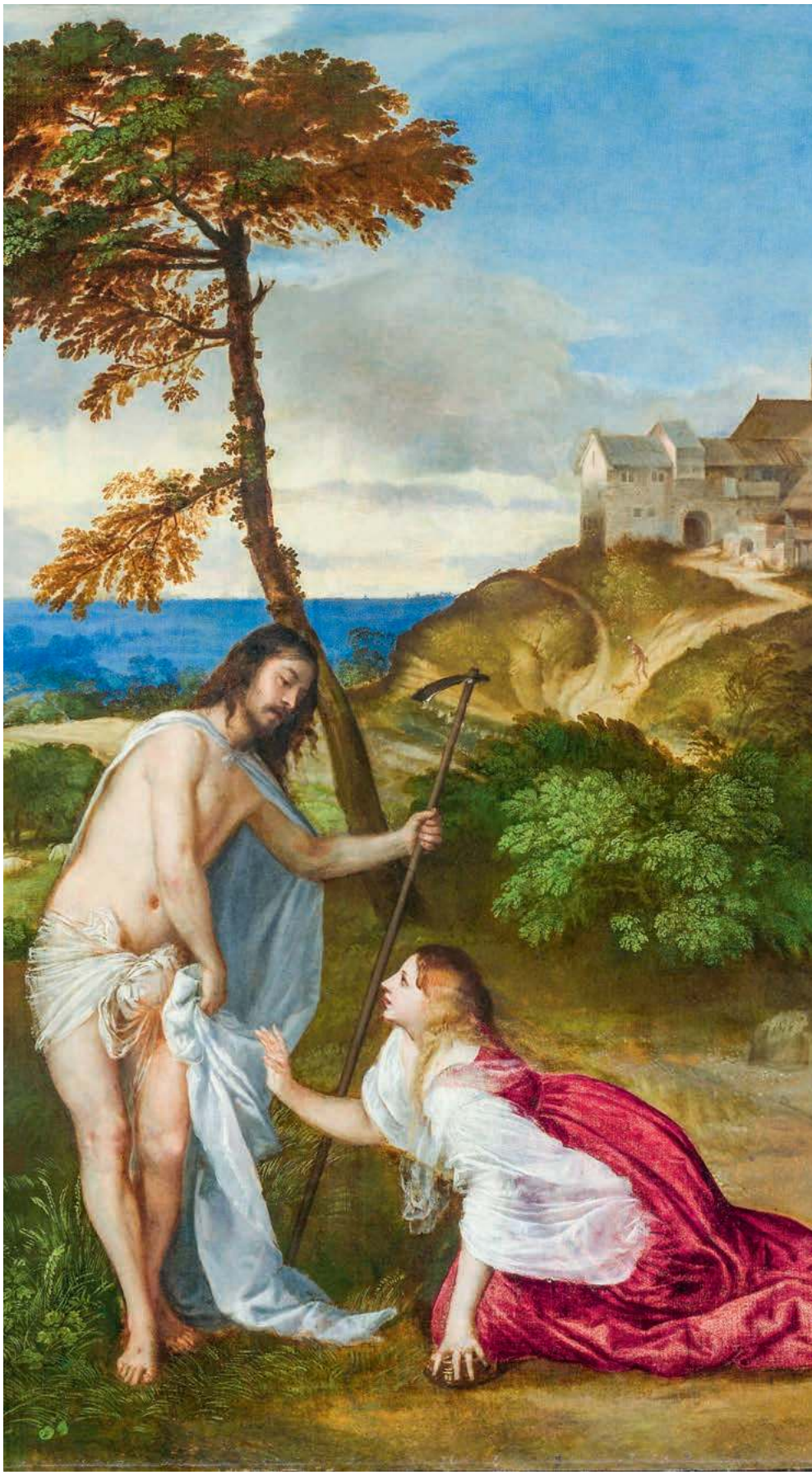

WIKIPEDIA

Tycjan „Noli me tangere” (1511–1515), National Gallery w Londynie

↦ Podobnie Justyn Męczennik dowodzi możliwości zmartwychwstania ciała, m.in. odwołując się do rozpowszechnionych w jego czasach koncepcji filozoficznych – platońskich, epikurejskich i stoickich. Każda z tych filozofii dopuszcza – jego zdaniem – by określone, złożone elementy rzeczywistości, tj. ludzkie ciała, po swoim rozpadzie (w śmierci) zaistniały na powrót (zmartwychwstając) w takiej samej formie, w jakiej istniały przed rozpadem. Zdaniem Justyna ma to stanowić rozumowy argument, że zmartwychwstanie ciała jest możliwe. Za takim rozumowaniem kryje się jednak określona koncepcja zmartwychwstałego ciała – o zasadniczo takiej samej naturze jak ciało przed śmiercią. Jedyną zmianą dokonującą się w zmartwychwstaniu, o jakiej wprost pisze Justyn, jest pozbawienie zmartwychwstałego ciała ewentualnych ułomności, takich jak bycie chromym lub niewidomym.

Justyn broni zmartwychwstania materialnego ciała (*sarks*), gdyż broni zbawienia całego człowieka, który w jego pojęciu składa się z duszy i ciała. W jego przekonaniu przyjęcie zmartwychwstania czysto duchowego oznaczałoby uznanie, że zbawiona zostaje tylko dusza, tj. tylko część człowieka, i to część, która będąc „cząstką Boga" zbawienia w istocie nie potrzebuje.

Wskazując na zmartwychwstałego Chrystusa, jako na wzorzec dowodzący zmartwychwstania w ciele, Justyn odwołuje się jedynie do wersji Łukasza, w której podkreślona zostaje namacalność Zmartwychwstałego (je i pije, wstępuje do nieba unosząc się w widzialny sposób). Zawęża to jednak jego teologiczną perspektywę. Z punktu widzenia teologii św. Pawła nie ma sensu pytać, co po zmartwychwstaniu stanie się z cząstkami materii, które wchodziły w skład ciał różnych ludzi. Zmartwychwstaje cały człowiek, ale proces ten nie ma nic wspólnego z kontynuacją empirycznej, materialnej egzystencji.

Znacznie bliższa myśli Pawłowej jest teologia, jaką prezentuje (przez wieki zaginione, odnalezione w połowie XX wieku) pismo zwane „Wypowiedzią o zmartwychwstaniu" lub „Listem do Rheginosa". Jego autor rezygnuje z racjonalistycznych wyjaśnień, kreśląc w zamian poetycką wizję. O Chrystusie pisze, że „Zbawiciel pochłonął śmierć. (...) Odłożył ten przemijający świat i zamienił (go) na nieprzemijający eon. Powstał i w ten sposób wchłonął to, co widzialne, przez to, co niewidzialne, i tak otworzył nam drogę do naszej nieśmiertelności". W konsekwencji nasze zmartwychwstanie też nie ma natury zmiennej rzeczywistości, która nas teraz otacza, lecz „jest to zmiana (stanu) rzeczy i przemiana w nowości. Niezniszczalność bowiem [spływa] na zniszczalność i światłość spływa na ciemność i je pochłania. Pełnia wypełnia brak. To są znaki i porównania dla zmartwychwstania".

> W zmartwychwstanie nie tylko można wierzyć. **Można je znaleźć**, a wiedzie ku temu konkretna droga: „uwolnij się od podziałów i więzów, a wtedy już masz zmartwychwstanie".

Przyszłość czy teraźniejszość

„List do Rheginosa" podejmuje jeszcze ważniejszy – z egzystencjalnego punktu widzenia – problem: kiedy nastaje nasze zmartwychwstanie? Albo inaczej: czy jest ono przedmiotem wiary i nadziei, czy też może być tu i teraz doświadczone?

Autor listu, rozpoznając duchowy wymiar zmartwychwstania, pisze: „Wielu oczywiście w nie wierzy. Są nieliczni, którzy je znajdują". W zmartwychwstanie nie tylko można wierzyć. Zmartwychwstanie można więc – choć to niełatwe – znaleźć, a wiedzie ku temu konkretna droga: „uwolnij się od podziałów i więzów, a wtedy już masz zmartwychwstanie".

Przekonanie, że zmartwychwstanie można mieć „już", wydaje się sprzeczne z treścią jednego z tzw. „listów pasterskich" Nowego Testamentu, który jeden z uczniów św. Pawła napisał pod imieniem Apostoła Narodów – Drugiego Listu do Tymoteusza. Ostrzegając przed rozmaitymi błędami doktrynalnymi pisze: „Unikaj zaś światowej gadaniny; albowiem uprawiający ją coraz bardziej będą się zbliżać ku bezbożności, a ich nauka jak gangrena będzie się szerzyć wokoło. Do nich należą Hymenajos i Filetos, którzy odpadli od prawdy, mówiąc, że zmartwychwstanie już nastąpiło, i wywracają wiarę niektórych" (2 Tm 2, 16-18).

Nie jest jasne, co dokładnie głosili Hymenajos i Filetos. Ale nie każda forma wiary w to, że zmartwychwstanie już nastąpiło, jest sprzeczna z przesłaniem obecnym na kartach Nowego Testamentu. Oto bowiem inni uczniowie św. Pawła napisali listy do Kolosan i do Efezjan. W pierwszym czytamy, że w Chrystusie „otrzymaliście obrzezanie, nie z ręki ludzkiej, lecz Chrystusowe obrzezanie, polegające na zupełnym wyzuciu się z ciała materialnego/ /grzesznego (*somatos tes sarkos*), jako razem z Nim pogrzebani w chrzcie, w którym też razem zostaliście wskrzeszeni (*synegerthe*) przez wiarę w moc Boga, który Go wskrzesił. I was, umarłych na skutek występków i »nieobrzezania« waszego ciała (*sarkos*), razem z Nim ożywił" (Kol 2, 9-13). W drugim centralne miejsce zajmuje myśl, że „Bóg, będąc bogaty w miłosierdzie, przez wielką swą miłość, jaką nas umiłował, i to nas, umarłych na skutek występków, ożywił razem z Chrystusem. Łaską bowiem jesteście zbawieni. Razem też wskrzesił (*synegerien*) i razem posadził na wyżynach niebieskich – w Chrystusie Jezusie" (Ef 2, 5-6).

Autorzy obu pism używają czasu przeszłego dokonanego, wyrażającego to, co już się zrealizowało. Podobną wizję – już teraz dostępnego wiecznego życia – można odnaleźć w teologii Jana. W Czwartej Ewangelii czytamy, że „kto wierzy, ma [tak jest, w czasie teraźniejszym! – przyp. autora] życie wieczne" (J 6, 47), oraz wyjaśnienie: „A to jest życie wieczne: aby znali Ciebie, jedynego prawdziwego Boga, oraz Tego, którego posłałeś, Jezusa Chrystusa" (J 17, 3).

W Nowym Testamencie widać więc napięcie pomiędzy oczekiwaniem zmartwychwstania jako rzeczywistości przyszłej a poszukiwaniem go w dostępnym teraz mistycznym doświadczeniu. Można nawet doszukać się polemiki na ten temat pomiędzy uczniami św. Pawła, piszącymi listy pod imieniem swojego nauczyciela.

W powszechnej świadomości późniejszych pokoleń chrześcijan dominująca okazała się raczej perspektywa Łukasza i autora listów do Tymoteusza, silniej obecna u Ojców Kościoła. Niemniej jednak w kanonicznych tekstach natchnionych przeważa perspektywa inna, którą później rozwijał m.in. autor „Listu do Rheginosa". Jest to dla nas o tyle ważne – także z egzystencjalnego punktu widzenia – że nie musimy pozostawać przy wierze w przyszłe zmartwychwstanie, lecz możemy podjąć duchowe poszukiwania, by znaleźć je już teraz – w swoim przemijającym, ale gdzieś w głębi już wiecznym życiu.

©℗ PIOTR SIKORA

WIKIPEDIA

Mistrz Magdaleny z Capodimonte, „Pokutująca Maria Magdalena" (XVII w.), Muzeum Regionalne w Messynie

Czy Jezusa wolno dotknąć

ZAPŁAKANA PO ODEJŚCIU OD PUSTEGO GROBU MARIA MAGDALENA nie rozpoznała zmartwychwstałego Jezusa, myśląc, że ma do czynienia z ogrodnikiem. Kiedy On sam dał się poznać, zwracając się do niej po imieniu, Maria powiedziała „rabbuni" (mój mistrzu) i wykonała jakiś gest (objęcie za nogi?), o którym ewangelista Jan milczy. Gest został skwitowany przez Chrystusa poleceniem oddanym we współczesnych przekładach jako „Nie zatrzymuj Mnie, jeszcze bowiem nie wstąpiłem do Ojca". Przez wieki jednak – za św. Hieronimem i jego Wulgatą – rozumiano je jako „*noli me tangere*", czyli „nie dotykaj mnie". Bibliści wyjaśniają, że nawet jeśli użyty tu czasownik *haptomaj* przełożyć jako „dotykać", to jego forma odnosi się nie do jednorazowego dotknięcia, ale dotykania przez dłuższy czas, co sugerowałoby raczej sens: „nie przytrzymuj mnie". O. Augustyn Jankowski, główny redaktor Biblii Tysiąclecia, precyzował: zaprzeczony *imperativus praesentis* nie zakazuje podjęcia jakiejś czynności, lecz zabrania kontynuowania zaczętej („Dwadzieścia dialogów Jezusa", Kraków 2017).

BŁĄD HIERONIMA BYŁ BRZEMIENNY W SKUTKI. Kaznodzieje, przyjmując – też fałszywie – za św. Grzegorzem Wielkim (VI w.), że Maria Magdalena była uratowaną przez Chrystusa na dziedzińcu Świątyni prostytutką, głosili, że Zmartwychwstały nie pozwalał się dotknąć byłej grzesznicy. Scenę tę przedstawiali najwięksi malarze. Jezus w działach Giotta, Fra Angelica, Correggia, Tycjana czy Janssensa/Wildensa wręcz odpycha od siebie klęczącą kobietę. Dalekie echa tego myślenia słychać w argumentach tych, którzy twierdzą, że katolik nie jest godny przyjąć komunii św. na rękę.
Chrystus tymczasem w innych sytuacjach nie ma nic przeciwko temu, by Go dotykać. Do zatrwożonych uczniów mówi: „Dotknijcie się Mnie i przekonajcie: duch nie ma ciała ani kości, jak widzicie, że Ja mam" (Łk 24, 39). Apostoła Tomasza wzywa: „Podnieś rękę i włóż do Mego boku".
Nakaz Chrystusa ma głęboki sens teologiczny: Zmartwychwstały nie odrzuca miłości Marii Magdaleny, ale uzmysławia jej, że odtąd będzie dostępny dla niej i innych w Niego wierzących w nowy sposób. Nie powinna więc – znów sięgnijmy do o. Jankowskiego – „przedłużać dawnego, ziemskiego sposobu korzystania z Jego bliskości" (szerzej na ten temat – w wywiadzie na następnych stronach). Jan Chryzostom, jeden z Ojców Kościoła, tłumaczył słowa o wstąpieniu do Ojca jako zapowiedź wniebowstąpienia. Zadanie Marii polegało na tym, by pobiec i wytłumaczyć to wszystko apostołom.

WSPÓŁCZESNA BIBLISTYKA ODDAŁA SPRAWIEDLIWOŚĆ MARII MAGDALENIE – nazywanej przecież dawniej Apostołką Apostołów. Powiązanie z postacią jawnogrzesznicy przez wieki rzucało cień na jej postać, sprowadzając sens jej życia do pokutowania za grzechy nieczystości (pomijamy tu wykorzystywane w książkach sensacyjnych legendy na temat jej małżeństwa z Jezusem). Niesławnej pamięci zakonne azyle dla „upadłych kobiet", działające w Irlandii do lat 90. ubiegłego wieku, w których zmuszano podopieczne do wieloletniej niewolniczej pracy w pralniach, nazywano „magdaleńskimi".
O Marii Magdalenie wiemy z Nowego Testamentu tyle, że Jezus wyrzucił z niej kiedyś siedem złych duchów (Mk 16, 9; Łk 8, 2). Mogło to oznaczać opętanie czy chorobę psychiczną, a jeśli sięgnąć po symbolikę liczby siedem, oznaczającą pełnię, można wnioskować, że Chrystus ocalił ją przed jakimś wielkim złem.
Opowieść z Ewangelii Janowej jest apoteozą kobiet. W kulturze judaistycznej świadectwo kobiety było bezwartościowe, nie można było wykorzystać go w sądzie. Jezus nie przyjmuje tych kategorii i posyła kobietę do mężczyzn – jako pierwszą, która spotkała Zmartwychwstałego i z Nim rozmawiała.

©℗ MACIEJ MÜLLER

WIKIPEDIA

Caravaggio „Wieczerza w Emmaus" (ok. 1601), National Gallery w Londynie

Bez cudów

O. WŁODZIMIERZ ZATORSKI, BENEDYKTYN:

Relacja ze Zmartwychwstałym jest zupełnie inna niż z Jezusem chodzącym po ziemi. Musimy dostroić się do nowej częstotliwości nadawania.

MACIEJ MÜLLER: Gdyby to Ojciec szedł do Emaus, to rozpoznałby podczas tej trzygodzinnej wędrówki Chrystusa?

O. WŁODZIMIERZ ZATORSKI OSB: Nie sądzę, żebym był bardziej spostrzegawczy od tamtych dwóch Jego uczniów.

Na czym polegała trudność?

Mimo że ten tajemniczy pielgrzym robił dokładnie to samo i w ten sam sposób, co Chrystus jeszcze kilka dni wcześniej – tłumaczył Pisma i wyjaśniał relację człowieka do Boga – uczniowie Go nie rozpoznali. Musiał więc zupełnie inaczej wyglądać. Gdyby nawet tylko przypominał Jezusa, wędrowcy przeżyliby przecież szok. Maria Magdalena, widząc Jezusa, pomyślała, że to ogrodnik. Gdyby wyglądał tak samo jak przed śmiercią, w żadnym wypadku by się tak nie pomyliła. Może miał nawet inny głos?

Czemu Bóg postanowił tak to rozegrać?

Pan Jezus uczył: „coście uczynili jednemu z tych najmniejszych, mnieście uczynili". Po zmartwychwstaniu te słowa przestają być metaforą, apelem moralnym, a nabierają nowego wymiaru – metafizycznego. Jezus pyta św. Pawła pod Damaszkiem: „dlaczego Mnie prześladujesz?". Przecież Paweł nie znał Jezusa, nigdy Go nie spotkał. On prześladował chrześcijan.

Gdzie w tym metafizyka?

Myślimy dzisiaj indywidualistycznie, w sposób związany z naszą percepcją rzeczywistości. To myślenie przedmiotowe: wzorem Arystotelesa wyodrębniamy obiekty z całości i w ten sposób je urzeczowiamy. Tymczasem jeśli weźmiemy za punkt wyjścia objawienie, które się dokonało przez Chrystusa, to prawdziwym fundamentem metafizyki okazuje się komunia. Tym, co naprawdę jest, jest komunia Osób w Trójcy Świętej. Taki jest prawdziwy fundament świata. A skoro człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga, to znaczy, że jest stworzony do komunii i w tej przestrzeni jego życie trwa po śmierci. Taki jest zasadniczy motyw głoszenia Ewangelii, o czym pisze św. Jan: „cośmy ujrzeli i usłyszeli, oznajmiamy także wam, abyście i wy mieli współuczestnictwo [właściwie: komunię] z nami. A mieć z nami współuczestnictwo znaczy: mieć je z Ojcem i z Jego Synem Jezusem Chrystusem" (1 J 1, 3).

W codziennym doświadczeniu cenimy przestrzeń spotkania z innymi ludźmi; to ona pozwala nam realizować siebie. Najważniejsza jest miłość. Albo człowiek kocha i żyje, albo nie kocha i zostaje, mówiąc językiem Mrożka, żywotrupem. Albo odkryje tę prawdę, wejdzie w żywą relację z innymi i doświadczy życia, albo zatrzyma się na przeżywaniu doznań zmysłowych,

estetycznych czy intelektualnych. Wcześniej czy później okaże się to puste.

Świetnie tłumaczy to Kohelet, wcielając się w Salomona, króla, który był nie tylko bogaty, ale i mądry, wiedział wszystko, co można było wiedzieć, mógł więc korzystać z całej dostępnej gamy doświadczeń. Od mądrości po głupotę, od rozkoszy po cierpienie. I wszystko to Kohelet podsumowuje refrenem: „Marność nad marnościami, wszystko marność!".

Pesymistyczna wizja.

Tylko jeśli przyjmiemy, że źródłem szczęścia są doznania. One dają przyjemność, ale nie dają realizacji. Jeśli zaczynamy się zastanawiać, o co naprawdę w życiu chodzi, to Kohelet pomoże nam otworzyć się na to, co prawdziwe. Jan Paweł II lubił powtarzać soborową sentencję, której był zapewne współautorem – że „człowiek, będąc jedynym na ziemi stworzeniem, którego Bóg chciał dla niego samego, nie może odnaleźć się w pełni inaczej, jak tylko przez bezinteresowny dar z siebie" („Gaudium et spes", 24). To odwrotność nastawienia na zdobywanie wrażeń, przyjemności, zaspokajanie pragnień – naturalnych, ale w sumie egocentrycznych. Ta sentencja wyraźnie mówi, że człowiek nie jest w stanie zrealizować się w ten sposób. Jeżeli nie stworzy więzi, w której sam siebie odda w szczerym, bezinteresownym geście – nie dojdzie do pełni życia. Taka jest zasada metafizyczna istoty człowieka.

Wydaje mi się, że tęsknoty mamy nie tyle metafizyczne, co fizyczne, a wyraził je apostoł Tomasz, chcąc dotknąć Boga. Kościół mówi że mamy taką możliwość dzięki Eucharystii. Tylko że smakuję, wącham, dotykam – i ciągle mam do czynienia z opłatkiem. Zmysły nie zdają egzaminu.

I tak ma być, bo komunia to nie jest przyjmowanie fizyczności Chrystusa. Kiedy On mówi: to jest ciało Moje i krew Moja, bierzcie i jedzcie, bierzcie i pijcie – wprawdzie widzimy pokarm i napój, ale chodzi tu właśnie o absolutnie czysty dar z siebie. „Ciało i krew" to idiom, który trzeba odczytać jako: „To Ja jestem". Pan Jezus, dając ciało i krew, daje nam siebie w całej swojej misji, posłaniu, zaangażowaniu, po prostu w całej swojej miłości. Miłość nie jest tu uczuciem czy doznaniem, to bardzo konkretne oddanie się nam, aż po śmierć na krzyżu. Jezus daje nam siebie, a nie coś z siebie. To z Jego miłości czerpiemy życie, a nie z fizyczności Jego ciała.

To dlatego Chrystus powiedział do Marii Magdaleny: „nie zatrzymuj mnie", a w interpretacji św. Hieronima wręcz: „nie dotykaj mnie"?

Maria wcześniej powiedziała do tego „ogrodnika": „jeśli Go zabrałeś, powiedz gdzie, to ja Go wezmę". Chciała wziąć Chrystusowe zwłoki. To jest myślenie dotyczące tego, co konkretne, namacalne. Kiedy Jezusa rozpoznała, chciała Go objąć, wyrażając w ten sposób: teraz już zawsze będziemy razem. Chrystus reaguje na to przytoczonymi słowami: „nie zatrzymuj mnie, bo jeszcze nie wstąpiłem do Ojca mojego". Przejście do Ojca oznacza nową rzeczywistość. Czyli – już nie mogę być z tobą tak, jak byłem. Będziemy razem, ale w zupełnie inny sposób niż za czasów mojego życia ziemskiego; nie możesz Mnie sprowadzić z powrotem na ziemię.

Maria to pewnie przeżyła jako stratę.

Tego nie wiem... Przecież zobaczyła, że Jezus żyje. I na pewno dość szybko zrozumiała to, o co Mu chodziło, skoro pobiegła i opowiedziała o tym uczniom. Oni wszyscy musieli nauczyć się być z Nim inaczej niż dotychczas.

W całej tej sytuacji zadziwia postawa Jana, który nie spotkał Chrystusa, a według przekazu Ewangelii uwierzył jako pierwszy.

Jestem pewny, że pierwsza uwierzyła Matka Boża, choć Ewangelia o tym nie wspomina. Można to wnioskować z faktu, że nie poszła z innymi kobietami do grobu, by namaścić ciało Syna. Uwierzyła, że trzeciego dnia zmartwychwstanie. W apokryfach znajdujemy opis, jak to Jezus wpierw przychodzi uspokoić swoją matkę, że żyje. Według mnie takie opowieści są niepotrzebne, Elżbieta podczas nawiedzenia powiedziała przecież do Marii: „Błogosławiona jest, która uwierzyła, że spełnią się słowa powiedziane Jej od Pana" (Łk 1, 45). Te słowa nabierają pełnego brzemienia w kontekście misterium śmierci i zmartwychwstania Chrystusa.

Natomiast w Ewangelii rzeczywiście czytamy, że Jan „ujrzał i uwierzył". Zobaczył rozłożone płótna, a uwierzył w zmartwychwstanie. Grecki opis tej sceny jest przypuszczalnie niezbyt precyzyjny. Prawdopodobnie te płótna nie wyglądały tak, jakby ktoś zwłoki Jezusa odwinął i zabrał, ani tak, jakby on sam się obudził i z nich wyplątał. Leżały tak, jakby on z nich „wysublimował" czy „wypromieniował", a one „klapnęły". Jan był przy pogrzebie, więc wiedział, jak musiały wyglądać wcześniej: teraz leżały tak samo, tylko ciała nie było. Dlatego „ujrzał i uwierzył".

Potem spotykamy Chrystusa przychodzącego mimo drzwi zamkniętych.

Z tych zjawisk nadzwyczajnych mamy wynieść, że On już przychodzi jakby z innej rzeczywistości.

Czy Ojciec próbował kiedyś rozgryźć to zjawisko jako fizyk?

Nie... Dzisiaj jest wprawdzie wśród części naukowców modna teoria światów równoległych, *multiversum*, ale według mnie to niepoważne. Niestety my, ludzie, mamy skłonność do fascynowania się nadzwyczajnościami. A one zazwyczaj nie prowadzą do niczego poza sensacją. Spójrzmy na tych wszystkich ludzi, którym Pan Jezus przywrócił wzrok czy uwolnił od złego ducha. Symboliczna jest opowieść o dziesięciu uzdrowionych trędowatych, z których tylko jeden przychodzi Chrystusowi podziękować. Często słyszę: gdybyśmy mogli zobaczyć, dotknąć, doświadczyć cudu, to łatwiej byłoby wierzyć. Guzik prawda. Byli tacy, którzy na swoim ciele doświadczyli mocy Chrystusa, a i tak nie uwierzyli; dostali to, czego potrzebowali, i zapomnieli o Nim.

Pan Jezus daleko poszedł w swojej dyskrecji po zmartwychwstaniu: dlaczego nie ukazał się tym, którzy Go skazali i zabili?

Jan pisze w Pierwszym Liście, że „każdy, kto miłuje (...) zna Boga. Kto nie miłuje, nie zna Boga, bo Bóg jest miłością". Powiedzieliśmy już, że prawdziwą rzeczywistość można poznać tylko przez miłość. Jeżeli ktoś nie ma w sobie miłości, jest na to ślepy. Gdyby Jezus ukazał się arcykapłanom czy Piłatowi, oni by Go nie poznali. Skoro zresztą uczniowie go nie poznali...

W 21. rozdziale Ewangeliści Jana pada takie dziwne sformułowanie: „nikt Go nie pytał, kim jest, bo wszyscy wiedzieli, że to jest Pan". Jeżeli to Pan, to po co by mieli Go pytać, kim jest? Byłoby to logiczne, gdyby Go nie rozpoznawali.

To po co to zdanie?

Ono pokazuje, że relacja ze Zmartwychwstałym to coś zupełnie nowego, innego ↦

niż z Jezusem chodzącym po ziemi. Musimy dostroić się do nowej częstotliwości nadawania, wtedy otworzymy się na nowe. Znam kilka małżeństw, które były na krawędzi rozpadu: po kilkunastu latach dochodziły do wniosku, że nie ma sensu się dalej męczyć, trwał już proces rozwodowy. I w pewnym momencie ci ludzie jakby na nowo się spotkali, spojrzeli na siebie tak, jakby widzieli się pierwszy raz w życiu – i problem rozwodu zniknął. Ale przecież oni się wcale nie zmienili, byli tacy, jak wcześniej. Zaczęli odbierać siebie na nowy sposób, pojawiło się zrozumienie, uważność, egzystencjalna bliskość. Żyjemy w metafizyce miłości.

Co trzeba zrobić, żeby mieć w sobie tę miłość?

Miłość to cecha boska, my jesteśmy co najwyżej uczniami w szkole miłości. Miłość to najważniejszy dar Ducha Świętego. To bardzo tajemnicza Osoba: nie ma takiego fragmentu Pisma, w którym by powiedział „ja". Ojciec mówi: „to jest mój Syn umiłowany", Syn: „Ojcze, ja wiem, że Ty mnie zawsze wysłuchujesz". A gdzie w tej relacji Duch Święty? On sam jest tą relacją, miłością Ojca i Syna. Jest Osobą-miłością, Osobą-prawdą, Osobą-komunią. Tak więc, by mieć miłość, trzeba przyjąć ofertę Ducha Świętego, pozwolić Mu w sobie działać. Bez „tak" Maryi nie byłoby poczęcia Syna Bożego.

Czyli człowiek musi się tylko zgodzić?

Na to wychodzi. Pan Jezus powtarzał, że jeśli nie staniemy się jak dzieci, nie wejdziemy do Królestwa Bożego. Akcent pada więc na zawierzenie, przyjęcie tego, co Bóg nam daje przez naszą dziecięcą ufność. W IV części Katechizmu znajdziemy piękną definicję pokory: to dyspozycja do darmowego przyjęcia daru. Gotowość na to, by dar przyjąć jako dar. Nie kupić, nie zasłużyć ani nie zakładać, że on nam się z natury należy. Takim darem jest życie: każdy z nas je otrzymał, nikt się sam nie wymyślił. Sami jesteśmy dla siebie darem – otrzymanym od Kogoś. I w tym momencie rodzi się otwartość na spotkanie. O to chodzi w tym „staniu się jak dzieci".

„Bóg jest miłością" to też tytuł encykliki Benedykta XVI. W pierwszych jej słowach papież pisze, że w początku przyjęcia chrześcijaństwa nie ma decyzji etycznej czy wielkiej idei, tylko spotkanie z Osobą.

O. WŁODZIMIERZ ZATORSKI:

Kościół od średniowiecza sprowadzał życie duchowe do moralności i wszedł w logikę faryzejską, która nie pozwala odkryć, o co w wierze naprawdę chodzi.

Leon Wielki wołał w homilii na Boże Narodzenie: „chrześcijaninie, poznaj swoją godność". Z godności, która bierze się stąd, że jesteśmy dziećmi Bożymi, wypływa etyka. Ale fundamentem jest spotkanie z Bogiem. Z etyki nie wyniknie spotkanie, może wyniknąć faryzeizm. Niestety Kościół od średniowiecza sprowadzał życie duchowe do moralności i wszedł w logikę faryzejską, która nie pozwala odkryć, o co w wierze naprawdę chodzi. Kościół zachodni zapoznał to, co jest najważniejsze, i zajął się tym, co wtórne – stąd jego kryzys duchowy. A przecież bez spotkania ze Zmartwychwstałym w ogóle nie byłoby chrześcijaństwa. Św. Paweł pisze, że jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, to daremna jest nasza wiara.

To jego spotkanie z Chrystusem było osobliwe: też był w drodze, podobnie jak uczniowie idący do Emaus, ale Jezus nie wyjaśniał mu Pism, tylko powalił z konia na ziemię.

Na ogół jednak po takim mocnym doświadczeniu Boga, dotknięciu Jego tajemnicy, następuje – jak pisze św. Jan od Krzyża – noc ciemna. Bóg się oddala, a człowiek nie jest w stanie do tego doświadczenia wrócić, przywołać go, wszystko wydaje się puste, pozbawione sensu. Ostatecznie człowiek musi i tak podjąć decyzję w zawierzeniu, a nie w pewności. Tak jak w małżeństwie, zakochanie nie wystarczy, potrzeba świadomej decyzji: chcę być z tobą. Bóg nie łamie naszej wolności, szanuje ją do tego stopnia, że pozwala człowiekowi powiedzieć „nie".

A co z ultimatum: „jeśli się nie nawrócicie, wszyscy tak samo zginiecie"? Czy wobec takiej groźby możemy mówić o wolności?

To jest stwierdzenie faktu, podobnie jak: „jeżeli nie uwierzycie, że Ja jestem, to umrzecie w grzechach waszych". Ta sama prawda sformułowana w sposób pozytywny brzmi: „kto we mnie wierzy, choćby umarł, żyć będzie". Po prostu nie ma innej możliwości zbawienia, jak zawierzenie Chrystusowi; On jest jedynym pośrednikiem i zbawicielem. Św. Paweł wybiera Chrystusa w radości: „wiem, komu zawierzyłem" (2 Tm 1, 12), w innym miejscu przyznaje: „Teraz zaś już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus" (Ga 2, 20). W tej fascynacji nie ma żadnego przymusu.

Jak się nie bać tych sformułowań o potępieniu?

To tylko pokazanie ściany, o którą człowiek się rozbije, jeżeli nie zmieni perspektywy patrzenia. Pan Jezus wzywa do nawrócenia. To nie jest najlepsze tłumaczenie, bo *metanoete* oznacza: zmieniajcie swój umysł, sposób patrzenia i oceniania. To warunek *sine qua non*, żeby dojść do wiary. Wtedy wszystko będzie wyglądało inaczej. Chrystusa poznali tylko ci, którzy Go kochali.

Ale też dopiero wtedy, kiedy On tego chciał. Do Marii zwrócił się po imieniu, uczniom z Emaus dał się poznać przy łamaniu chleba.

To już jest Boża pedagogia, którą trudno mi oceniać. Liczy się to, że większość apostołów oddała życie za wiarę w zmartwychwstanie. I to jest fakt historyczny. Samo zmartwychwstanie nim nie było, odbyło się przecież bez świadków. Ale ci, którzy Go spotkali, poprzez oddanie życia dają świadectwo, że zmartwychwstanie jest prawdą.

©℗Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

MATERIAŁY PRASOWE

O. WŁODZIMIERZ ZATORSKI OSB (ur. 1953) jest benedyktynem z opactwa w Tyńcu. Do klasztoru wstąpił po ukończeniu fizyki na Uniwersytecie Jagiellońskim w 1980 r. Były przeor, założyciel Wydawnictwa Benedyktynów Tyniec, autor wielu książek, m.in. „Kiedy mówimy »Ojcze nasz«", „Modlitwa chrześcijańska", „Psalmy – szkoła mądrości". Jego codziennych homilii można słuchać na stronie wlodzimierz-zatorski.pl.

WIKIPEDIA

Archanioł Michał, Chrystus Pantokrator i św. Paweł, ikony ze Zwienigorodu, Galeria Trietiakowska w Moskwie

Pantokrator z okładki

MAGDALENA ŁANUSZKA

Zasiadający na majestacie Władca wszechświata do XIII w. miał oblicze bardzo surowe. Ale od kolejnego stulecia artyści zaczęli łagodzić wyraz twarzy Zbawiciela, który jawił się teraz jako miłosierny.

W 1918 r. w szopie na drewno w pobliżu Soboru Zaśnięcia Bogurodzicy na Gorodku w Zwienigorodzie odnaleziono pozostałości trzech ikon. Znaleziska zadatowano na początki XV w. To wizerunki archanioła Michała, świętego Pawła i – najbardziej zniszczone – przedstawienie Chrystusa. Specyficzna sztywność kanonu sztuki prawosławnej pozwala nam jednak z dużym prawdopodobieństwem domyślić się, jak wyglądała całościowo ta ikona z Chrystusem oraz co przedstawione było na pozostałych, do dziś niezachowanych ikonach z tego cyklu. Wszystko bowiem wskazuje na to, że mamy do czynienia z pozostałościami po tzw. Wielkiej Deesis.

DEESIS TO PO GRECKU MODLITWA, ORĘDOWNICTWO LUB UWIELBIENIE. Koncepcja wstawiennictwa Matki Bożej i świętych zakorzeniona była w liturgii, w tradycjach koptyjskich i syryjskich, plastyczna realizacja tego tematu mogła zaś być powiązana ze zwyczajami bizantyńskiego dworu. Deesis w sztuce i literaturze bizantyńskiej występuje co najmniej od VI w.!

Oto do Chrystusa-władcy, zasiadającego na tronie, zbliżają się święci w geście pokłonu i adoracji. Podstawowym elementem Deesis jest *Trimorphon*, czyli zestawienie trzech postaci: do tronującego Chrystusa zwracają się Matka Boża (otwierająca Nowy Testament jako rodzicielka Mesjasza) i św. Jan Chrzciciel (zamykający Stary Testament jako ostatni Prorok).

Najstarsza polska pieśń religijna, „Bogurodzica", posługuje się właśnie schematem Deesis: modlitwa do Chrystusa kierowana jest w niej za pośrednictwem Marii i z odwołaniem do Jana Chrzciciela.

NIEZMIENNOŚĆ POWIELANYCH W IKONACH TYPÓW wynikała m.in. z wiary w nadprzyrodzony charakter przedstawień uznawanych za wzorcowe. Sakralna sztuka bizantyńska (i potem prawosławna) miała charakter mistyczny i symboliczny, a ikony miały przedstawiać nie tyle ciała Chrystusa i świętych, ile ich dusze, ich wewnętrzną istotę. Miały to być symbole: schematyczne i uproszczone, a zarazem niezmienne. Jako obrazy „wiecznych pierwowzorów" Chrystusa i świętych, ikony były też obiektem czci. Powtarzano nie tylko typy przedstawień w poszczególnych ikonach, ale także schematy ułożenia ikon np. na przegrodzie chórowej, zwanej ikonostasem.

Ikonostas w formie wysokiej drewnianej ściany, zapełnionej ikonami ułożonymi w określonym porządku, ukształtował się około XIV w., choć jego źródłem były przegrody między nawą a prezbiterium występujące już w kościołach wczesnochrześcijańskich. W Kościele zachodnim decyzję o likwidacji przegród chórowych podjął Sobór Trydencki (1545-63), lecz w Kościele wschodnim pozostały one do dziś. Jednym z najważniejszych elementów ikonostasu było przedstawienie Deesis. W cerkwiach zachodnioruskich przegrodę ołtarzową nazywano do XVIII w. właśnie „Deisusem" lub „Majestatem", określenie „ikonostas" pojawiło się zaś dopiero w XIX w.

Wielopostaciowa, czyli Wielka Deesis, rozwijała się od X w., a od XI w. tego typu przedstawienia umieszczano już nad drzwiami przegrody ołtarzowej. Od XIV w. w ikonostasach Wielka Deesis zawiera, ↦

↦ oprócz Chrystusa, Marii i Jana Chrzciciela, także parę archaniołów (Michał po lewej, Gabriel po prawej), następnie zaś Apostołów Piotra (za Michałem) i Pawła (za Gabrielem), a dalej kolejnych świętych. Piotr uważany był za twórcę Kościoła na Zachodzie, Paweł – Kościoła wschodniego. Nie ma wątpliwości, że ikony ze Zwienigorodu należały do takiego właśnie przedstawienia. Zachowany szczątkowo Chrystus to po prostu tronujący Pantokrator.

ZASIADAJĄCY NA MAJESTACIE WŁADCA WSZECHŚWIATA, czyli Pantokrator, do XIII w. miał oblicze bardzo surowe, jednak od XIV w. artyści zaczęli łagodzić wyraz twarzy Zbawiciela, który jawił się jako bardziej miłosierny. Już w czasach wczesnochrześcijańskich, za panowania Konstantyna Wielkiego, istniała otoczona wielką czcią słynna ikona Pantokratora, która nie dotrwała do dziś; najstarszym zachowanym wizerunkiem w tym typie jest przedstawienie z VI w., z klasztoru św. Katarzyny na górze Synaj. Po ikonoklazmie szczególnie utrwaliło się założenie, że Boga Ojca nie należy przedstawiać w ikonach, lecz zgodnie z dogmatem o współistotności Ojca i Syna można było Wszechwładnego Boga ukazywać w postaci Jezusa.

Pełne powagi i majestatu frontalne ujęcie Chrystusa podkreślało, że jest Wcielonym Słowem, dlatego też zawsze trzymał w lewej dłoni księgę, ewentualnie zwój.

IKONY ZE ZWIENIGORODU TRAFIŁY DO GALERII TRETIAKOWSKIEJ w Moskwie; po renowacji uznano, iż są to dzieła tak wysokiej klasy, że ich autorem mógł być jedynie Andriej Rublow: artysta, zakonnik i święty, najwybitniejszy przedstawiciel moskiewskiej szkoły pisania ikon, żyjący na przełomie XIV i XV w. Nie wiadomo, kiedy Rublow się urodził, ale gdy zmarł w 1430 r., był ponoć w podeszłym wieku. Za młodu wstąpił do klasztoru; prawdopodobnie była to Ławra Troicko-Siergijewska, czyli klasztor Świętej Trójcy w mieście Siergijew Posad, ok. 70 km od Moskwy.

Kłopot badaczy polega na tym, że Rublow nie podpisał żadnego ze swych dzieł, a jego prace źródłowo potwierdzone to głównie freski, z których większość nie przetrwała do dziś. Wiemy, że w 1405 r. Rublow wraz z Teofanem Grekiem oraz Prochorem z Gorodca malowali freski w soborze Zwiastowania na Kremlu w Moskwie (niezachowane). W 1408 r. razem z Daniłą Czornym stworzył freski

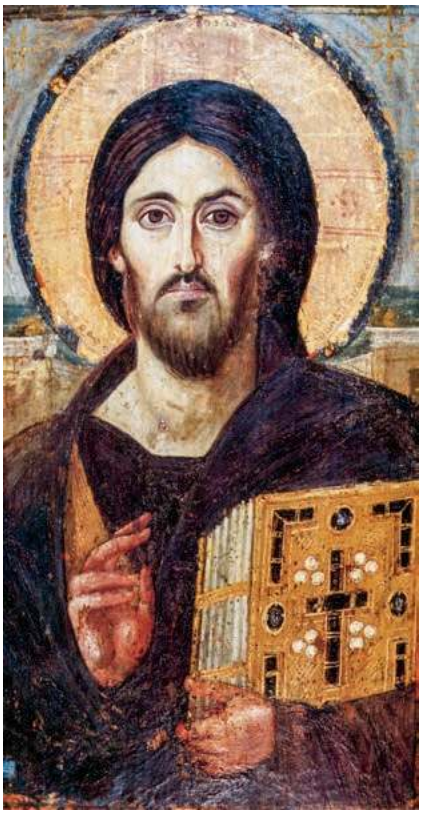

WIKIPEDIA

Chrystus Pantokrator z klasztoru św. Katarzyny na Synaju, VI wiek

Deesis: Chrystus z Marią i św. Janem Chrzcicielem, ikona kreteńska z XVI wieku, Muzeum Sztuki Uniwersytetu w Princeton

WIKIPEDIA

w soborze Zaśnięcia Matki Bożej we Włodzimierzu (zachowane fragmentarycznie). Około połowy lat 20. XV w. ten sam duet zrealizował freski w nowo wybudowanym soborze Świętej Trójcy w Ławrze Troicko-Siergijewskiej (niezachowane).

W świątyniach tych przetrwały jednak ikonostasy (lub ich fragmenty). Zakłada się, że ci sami artyści, którzy malowali freski, tworzyli również pozostałe elementy malarskiego wystroju cerkwi. Nie kwestionuje się autorstwa Rublowa szczególnie w przypadku ikony Trójcy Świętej, wykonanej właśnie dla soboru w Ławrze Troicko-Siergijewskiej, ponieważ został on określony jako jej twórca w źródłach z połowy XVI w.

Ostatnią potwierdzoną pracą malarza były (zachowane do dziś jedynie we fragmentach) freski w klasztorze Andronikowskim w Moskwie – tam też artysta zmarł w opinii świętości i został pochowany. Kanonizacji doczekał się w 1988 r. Kolejne dzieła przypisuje się Rublowowi na podstawie analiz stylistycznych – wśród takich przypisanych prac są także zachowane fragmentarycznie freski z Soboru Zaśnięcia Bogurodzicy w Zwienigorodzie, w pobliżu którego znaleziono omawiane w niniejszym tekście trzy ikony. Najsłynniejszym dziełem Rublowa pozostaje ikona Trójcy Świętej (ukazanej pod postacią trzech aniołów), również przechowywana dziś w Galerii Tretiakowskiej. Do niedawna autorstwo Rublowa także w przypadku ikon ze Zwienigorodu właściwie nie budziło wątpliwości; autorzy wszelkich publikacji przypisywali mu te dzieła, nie dając przy nazwisku nawet znaku zapytania. Wszystko zmieniło się w rezultacie kompleksowych badań przeprowadzonych na ikonach z Galerii Tretiakowskiej w latach 2015-16.

Oto bowiem okazało się, że technologicznie ikony ze Zwienigorodu różnią się od innych dzieł Rublowa, przede wszystkim od słynnej Trójcy. Konkluzja badaczy jest taka, że ikony ze Zwienigorodu stworzył inny malarz, a ich datowanie być może będzie można przesunąć na koniec XIV w. Oznacza to, że w kręgu Rublowa na przełomie XIV i XV w. tworzył jakiś artysta nam nieznany, lecz równie wybitny. O jego kunszcie najlepiej chyba świadczy oblicze Chrystusa-Pantokratora: dzieło to robi olbrzymie wrażenie, choć zachowało się jedynie 20 proc. jego powierzchni. © MAGDALENA ŁANUSZKA

WIKIPEDIA

Andriej Rublow (ok. 1360 – ok. 1430) „Trójca Święta", Galeria Trietiakowska w Moskwie

SZYMON

Hołownia:
Stopnie bliskości

W socjologii popularnej wciąż ma się dobrze tzw. hipoteza sześciu stopni oddalenia, zakładająca, że każdego człowieka od dowolnego innego człowieka na ziemi dzieli średnio sześciu „znajomych znajomego". Znany psycholog społeczny Stanley Milgram w latach 60. XX w. testował ją, rozsyłając do losowo wybranych osób listy skierowane do swojego przyjaciela, prosząc, by otrzymujący przekazali je osobie, która – jak sądzą – mogłaby znać kogoś, kto zna owego przyjaciela. Eksperyment „Świat jest mały" faktycznie pokazał, że list trafiał do adresata przez średnio sześciu pośredników. Tę hipotezę jedni wciąż weryfikują, inni traktują jako prawdę objawioną, jeszcze inni mają za atrakcyjną bzdurkę: kolejny z katalogu tzw. miejskich mitów, pięknie rosnącego w coraz bardziej zabobonnym społeczeństwie XXI wieku.

Craig Brown w swojej znakomitej książce „One on One. 101 True Encounters" to powiązanie nas wszystkich w sieć pokazał w niezwykle oryginalnej formie. Zaczynając od spotkania młodego angielskiego birbanta i arystokraty Johna Scotta-Ellisa z Adolfem Hitlerem na monachijskiej ulicy 22 sierpnia 1931 r. (Scott-Ellis, jadący wówczas czerwonym fiatem, potrącił Hitlera, który wtargnął na jezdnię w zamyśleniu; nikomu nic się nie stało, ale Scott-Ellis wspominał później: „Przez chwilę miałem historię świata w swoich niezgrabnych rękach. Gdybym go wtedy zabił, zmieniłbym losy ludzkości"), idąc dalej przez spotkanie Scotta-Ellisa z Rudyardem Kiplingiem, Kiplinga z Markiem Twainem itd., nurkując w wiek XIX i zaglądając w XXI, pokazuje sztafetę, w której wzięli udział m.in. Madonna, Nikita Chruszczow, Mick Jagger, Zygmunt Freud, Marcel Proust, car Mikołaj II, Salvador Dali, Charlie Chaplin, Elvis Presley. Owa sztafeta zatacza koło, wracając w ostatnim rozdziale do spotkania Wallis Simpson (tej, dla której abdykował Edward VIII) z Adolfem Hitlerem (wypili razem herbatę w Alpach Bawarskich 22 października 1937 r., Simpson opisywała później magnetyzm Hitlera, konstatując jednak, że nie interesuje się on kobietami, i cytując bon moty, m.in. ten, że „niemieckie budowle pozostawią po sobie wspanialsze ruiny niż te greckie").

To paradoks, że w coraz bardziej ludnym świecie więzi między ludźmi wydają się słabnąć. To kolejny truizm amatorskiej psychologii społecznej, ale jest coś w tym, że gdy sprawy idą dobrze – pędzimy samotnie do przodu, kontemplując poczucie sprawczości, wiatr we włosach i takie tam różne. Szukać innych, współpracować, dbać o relacje zaczynamy wtedy, gdy jest źle. I tu też mamy bieg po okręgu. Wszak gdy jest dobrze, a więc słabnie społeczny klej, dokładnie z tego powodu zaczyna wkrótce być źle.

Z danych Banku Światowego wynika, że w latach 2008-18 prawie wszystkie „wskaźniki globalnego wstydu" (analfabetyzm wśród młodych, śmiertelność dzieci poniżej 5. roku życia, skrajne ubóstwo itd.) spadły o parę procent. Ale trend – mimo trwającej przecież w gospodarce koniunktury i braku nowych wojen – zaczyna się powoli odwracać. Miliony dzieci w Sudanie Południowym, Jemenie i Syrii każdego roku, zanurzone w niewyobrażalnym cierpieniu, umierają z głodu. W ciągu każdych 24 godzin, również tych, gdy my, katolicy, za chwilę świętować będziemy zwycięstwo Życia nad śmiercią, ze świata odejdzie prawie 10 tysięcy dzieci, które nie zdążyły przeżyć na nim miesiąca (większość z powodów, których można byłoby łatwo uniknąć: braku wody, jedzenia, toalety, podstawowych leków). Pisałem już o tym przy okazji Bożego Narodzenia: płaczemy nad własnym wzruszeniem śpiewając, że On wówczas „nie miał poduszeczki", podczas gdy dziś na skutek takiego, a nie innego podzielenia przez nas między siebie zasobów świata każdej doby średnio 830 kobiet umiera rodząc swoje dziecko, bo nie miały położnej, lekarza, szpitala, który byłby się w stanie właściwie mamą i jej maleństwem zająć.

I to właśnie o tym będę myślał w Wielki Czwartek. Wspomnienie ustanowienia Eucharystii to bowiem dla mnie, odkąd zacząłem pracować z potrzebującymi, nie żaden „Dzień Księdza" – to dzień szczególnego uświadomienia sobie, jak ściśle połączony jestem z milionami ludzi na całym świecie, którzy każdego dnia przyjmują to samo Ciało i tę samą Krew. A nawet jeśli nie przyjmują jej w katolickim Kościele – z tego samego Ciała i Krwi co ja przecież pochodzą. W dzieciństwie zaczytywaliśmy się wszyscy (przynajmniej jeszcze w moim pokoleniu) opowieściami o Indianach wypalających fajkę pokoju z obcymi na znak bliskości, włączenia do wspólnoty i gwarancji bezpieczeństwa. My tu mamy coś o całe niebo większego: chleb, w którym jest nasz Bóg, i który po spożyciu staje się – jak każdy pokarm – *de facto* nami, zamienia się w energię, którą zmieniamy ten świat. Jezus tego dnia w Wieczerniku bezwzględnie robi z nas braci: z tych, co grali pierwsze skrzypce, i z tych, którzy chowali się w cieniu, z „umiłowanych uczniów" i ze zdrajców, z karierowiczów i z mistyków.

W Kościele katolickim celebrans przed komunią wypowiada (szkoda, że cicho) prośbę: „Niech przyjęcie Ciała i Krwi Twojej nie ściągnie na mnie wyroku potępienia, lecz dzięki Twemu miłosierdziu niech mnie strzeże i skutecznie leczy moją duszę i ciało". Powtarzam ją za nim (choć to nie dla mnie napisana rola). Nie tego się bojąc, że jeśli źle zważyłem i wziąłem grzech ciężki za lekki, to gdy przyjmę komunię, spadnie z nieba piorun i wypali nawet popiół po miejscu, gdzie stałem. Nie Boga się boję, ale tego, że przyjmując Go nie przyjmę tych wszystkich, którzy z Nim do mnie przychodzą: tych, co płaczą, co się cieszą, tych którzy tak jak ja komunikują rutynowo i bezmyślnie, tych którzy dziś umrą. Nie sześciu ludzi dzieli mnie od dowolnego człowieka na ziemi – jest Jeden, który mnie z każdym człowiekiem łączy.

Pewien prawosławny ksiądz (którego córka bardzo choruje, co ma wielki wpływ także i na jego kapłaństwo) powiedział mi kiedyś, że biada mu, jeśli miałby Boską Liturgię (czyli mszę świętą) służyć (czyli odprawiać) „na sucho" – bez choć jednej łzy padającej na ołtarz. Mnie biada, jeśli Eucharystię zredukuję do magicznego obrzędu mającego zapewnić mi pomyślność. Jeśli z tego, że przyjmuję Życie nie będzie – już dziś, natychmiast – życia dla kogoś jeszcze. W każdym komunikancie, w każdej hostii jest krzyk, są łzy, jest szept. Eucharystia woła, płacze, skacze z radości w tym, kto ją świadomie przyjmuje. Wielki Czwartek jest o tym, że z żadnym z prawie ośmiu miliardów nie mogę być już ani o milimetr bliżej. A jeśli tę prawdę potrafię dziś przyjąć bez łzy – faktycznie, wymagam politowania. ©

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług

WYCIĄGAJ
Z SIECI
ILE SIĘ DA

Kupuj Internet on line*

- NATYCHMIASTOWA weryfikacja zasięgu
- spersonalizowana OFERTA
- sprawny proces zamawiania
- SZYBKA INSTALACJA

*innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator
Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl

PAWEŁ

Śpiewak:
Tszuwa, czyli powrót

Księga Jonasza powstała najprawdopodobniej w VIII wieku przed wspólną erą. Jej bohater – o którym nic nie wiemy – zapewne pochodził z północy państwa Izrael i mieszkał gdzieś w nadmorskich wsiach. Usłyszał wezwanie. Treść tego wezwania była prosta, dzisiaj oczywista: idź nawróć Niniwę, miasto asyryjskie, oddalone o miesiąc drogi od ziem należących dla plemion Jakuba. Wezwanie miało charakter naglący. Prorok miał się spieszyć i rychło przybyć do ziem największego wroga Izraela. Miał im pomóc się nawrócić, a nawrócenie w tradycji starożytnej zawsze oznaczało powrót – tszuwę, pokutę za popełnione grzechy.

Razem z tą misją ujawniała się jednak nowa, rewolucyjna w wymiarze etycznym perspektywa. Dotąd karą za grzech było zniszczenie, śmierć z pragnienia lub głodu, od dzikich zwierząt, powodzi, potopów i czego tam jeszcze strasznego. Tu surowa kara za grzechy została zastąpiona przez pokutę i nawrócenie. To była droga ocalenia moralnej i duchowej konstytucji osoby ludzkiej. W czasach pierwszej i drugiej Świątyni nakazywało prawo, by składać ofiary zwierzęce za swoje grzechy. Tu zastąpiono je wyznaniem win.

Księga Jonasza jest po dziś dzień czytana w święto pojednania z Bogiem, popołudniem w dzień Jom Kipur. Jest to zarazem dzień sądu, dzień, gdy Bóg pieczętuje księgi życia i śmierci. I zostawia nam czas na to, byśmy choćby w ostatnich minutach święta wyznali grzech, przeprosili i obiecali nowe życie. Powtarzamy ten sam najgłębszy akt skruchy co roku, by co roku stanąć przed bliźnimi i Bogiem czyści. Dlatego tego dnia Żydzi ubierają się na biało, by okazać swoją gotowość do pełnego oczyszczenia. Proces powrotu – tszuwę – każdy z nas będzie przeżywał odmiennie i odmienne staną przed nim zadania. Ale musi to czynić i zawsze powracać do Boga. Niegdyś miejscem wyznania grzechów była Świątynia. Gdy została ostatecznie zniszczona, ofiarę zastąpiły czyny miłosierdzia. Tego uczy rabin Johanan bez Zakkai, jeden z wielkich mędrców żyjących w czasach drugiej Świątyni. Z kolei w Księdze Ozeasza czytamy: „Bo miłosierdzia chcę, a nie ofiary, a znajomości Bożej więcej niż całopalenia". Z kolei w rozdziale 14. prorok powtórzył te słowa: „Weźmijcie z sobą słowa, i nawróćcie się do Pana, mówcie do Niego: Odpuść wszystkę nieprawość, a daj to, co jest dobrego, tedyż oddamy cielce warg naszych". W jednym z midraszy czytamy: „Uczynić tszuwę, wrócić do Boga to tak, jakby odbudować Świątynię Salomona, zbudować ołtarz, złożyć wszystkie ofiary nakazane przez Pana. Tszuwa jest najważniejsza i jest niezbędna. I jeśli wyznamy wszystkie grzechy już na łożu śmierci, grzechy zostaną nam wybaczone". Do takiego widzenia dorastał Jonasz uciekający przed swoją misją i przeznaczeniem. Od niego Bóg oczekiwał, by głosił i nauczał tyleż prostej, co radykalnej odnowy moralnej, jaką jest skrucha. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Adres Jezusa

Apostołowie po śmierci Jezusa idą w rozsypkę. Jedni się ukrywają, inni, jak Kleofas i drugi uczeń, uchodzą z Jerozolimy. I jak to w podróży, spotkawszy innego wędrowca, opowiadają mu o swoim nieszczęściu. Pod wieczór zapraszają go na nocleg. A „gdy zasiedli do stołu, On wziął chleb, odmówił modlitwę uwielbienia, połamał i dawał im. Wtedy otworzyły się im oczy i rozpoznali Go. Lecz On stał się dla nich niewidzialny". Trochę to dziwne: skoro uczniowie wreszcie poznali Jezusa, to jaki sens jest w tym staniu się znowu niewidzialnym? Ale podobnie kończą się inne spotkania z Jezusem po Jego śmierci. Więc nie jest to wyjątek, ale zasada. Jeśli tak, to kiedy dzisiaj narzekamy na niewidzialność Jezusa w świecie, czyli na zanikanie chrześcijaństwa, to warto się zastanowić: a może jest tak, że Jezus znikł, gdyż sam zabrał nam siebie? Może chce przez to powiedzieć, że trzeba Go szukać, tam gdzie nikt nie spodziewa się Go znaleźć?

„Rozmawiałem z rodziną, która uciekła z Syrii – mówi kard. Luis Antonio Tagle z Manili – a którą poznałem w Libanie. Towarzysząca mi współpracowniczka z Caritasu zwróciła się do nich z pytaniem: »Jeżeli ustaną walki, to może wrócicie do swojego kraju? Nie nawołujcie Syryjczyków do wyjazdu. Jeżeli wszyscy wyjadą, to jaka będzie przyszłość waszego kraju?«. Matka z tej rodziny odpowiedziała: »Na moich oczach zabito teścia. Widziała to moja córka. Do tej pory nie może spać po nocach. A ty każesz nam tam wrócić?«.

Łatwo jest mówić, jeżeli ma się tylko teoretyczne albo słabe wyobrażenie o tym, co dzieje się na świecie. Natomiast kiedy ma się kontakt z kimś, kto przeżył koszmar, pewne słowa już z trudem przechodzą przez gardło".

Niestety nie każdemu. Jeden z naszych polityków, deklarując z dumą, że ma zaszczyt żyć w cywilizacji stworzonej „w oparciu o chrześcijaństwo", bez żadnego zająknięcia stwierdza: „W Europie mamy paradoks. Z jednej strony poprawność polityczna, z drugiej strony pełna tolerancja dla ofensywy kultury, która nie uznaje równości kobiet i mężczyzn, tj. cywilizacji muzułmańskiej". I jak to jedno z drugim pogodzić, zwłaszcza gdy się pamięta deklarację z Abu Zabi?

Apostołowie idący do Emaus, podobnie jak Maria Magdalena, początkowo nie domyślają się, że mają do czynienia nie tylko z przypadkowym przechodniem czy ogrodnikiem wykonującym codzienne obowiązki, ale właśnie z Jezusem. Dzisiaj dzieje się podobnie. Z trudem przychodzi nam uwierzyć, że jeśli na tej ziemi jest jakiś *alter Christus*, to nie tylko kapłan, ale człowiek, który na Chrystusa wcale, ale to wcale nie wygląda. A jednak jest Jego twarzą, Jego jak najbardziej realną obecnością. Znikając, Jezus wskazuje nam drogę, podaje adres, pod którym z całą pewnością można Go znaleźć. Cud zmartwychwstania wypełnia się w cudzie obecności. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Obietnica Pana

Im bardziej poznajemy Boga jako Jedno, tym bardziej poznajemy Go jako wszystko.

MISTRZ ECKHART

Uwarunkowane jest ostatecznym. Ostateczne jest uwarunkowanym. (...) Nic nie istnieje w sobie, oddzielnie. (...) Kto to widzi, nie musi nic osiągać.

SUTRA SERCA

Wybrał PIOTR SIKORA

„Zaprawdę, zaprawdę, mówię wam: Jeśli ktoś zachowa moje Słowo, nie ujrzy śmierci na wieki” – tę obietnicę Jezusa dane nam było usłyszeć w liturgii minionego tygodnia (zob. J 8, 51). To obietnica niesłychana – idąca dalej niż ta, którą żył starzec Symeon, a mianowicie, że „nie ujrzy śmierci, aż zobaczy Mesjasza Pańskiego” (Łk 2, 29). Symeon miał więc – zgodnie z obietnicą – „zobaczyć śmierć”, ale – po wcześniejszym ujrzeniu Mesjasza – mógł na nią patrzeć bez lęku.

Nam Jezus obiecuje więcej: „nie ujrzycie śmierci!”.

W pierwszej chwili reagujemy zapewne niezrozumieniem – jak Jego ówcześni słuchacze: „Abraham umarł”, „i Prorocy”. To, co spotkało ich – czeka każdego i każdą z nas: każdy zobaczy śmierć. Każdy musi spojrzeć jej w oczy. To prawo nie dopuszcza wyjątków.

A jednak. Obietnica jest prawdziwa. Potwierdza ją wydarzenie zapisane przez św. Łukasza w Dziejach Apostolskich. Męczeństwo Szczepana. Umierający Szczepan nie „widzi” (pada tu to samo greckie słowo, co w przytoczonym na wstępie zdaniu Jezusa: *theoréo*) śmierci. Nie widzi otaczających go wykrzywionych nienawiścią twarzy. Nie widzi podniesionych, wygrażających mu pięści. Nie widzi nadlatujących w jego stronę kamieni.

Co widzi?

Sam o tym mówi: „Widzę niebiosa otwarte i Syna Człowieczego, stojącego po prawicy Boga” (Dz 7, 56).

Właśnie tak. Nie widzi śmierci. Widzi Jezusa, który otwarł mu niebo, i stoi przed Ojcem jako pełen wiernej miłości Orędownik.

Przypomina mi się wielki obraz Caravaggia – jeden z trzech składających się na cykl św. Mateusza, zachowany do dziś w rzymskim kościele św. Ludwika; męczeństwo św. Mateusza. Apostoł ginie od miecza, którym za moment przebije go półnagi zabójca. Mateusz wyciąga rękę w górę. Ktoś mógłby pomyśleć, że chce się bronić albo zasłonić przed ciosem...

Nic takiego. On wyciąga rękę po palmę zwycięstwa, podawaną mu z nieba przez nadlatującego w jego stronę anioła. Twarz Apostoła skąpana jest w świetle (to oczywiste u Caravaggia). Mateusz „nie widzi” morderców. Nie widzi miecza. Nie widzi śmierci. Widzi zwycięstwo.

Komu z nas nie marzy się taki wzrok? Kto z nas nie pragnie takiej Paschy? Kto z nas pozostanie obojętny wobec takiej obietnicy Jezusa? Zapewne nikt.

Tym bardziej nie przeoczmy bramy do owej obietnicy wskazanej nam przez Pana: „Jeśli kto zachowa moje Słowo...”.

Ostateczna i jedyna Pascha w naszym życiu zależy najwyraźniej od tego, co zadane nam jest i dostępne na co dzień – od relacji do Słowa Pana.

Chodzi nie tylko o to, by Je czytać; chodzi raczej o to, by je wypełniać. Ów szczególny wzrok wiary – paschalny wzrok – rodzi się w nas w codziennej relacji ze Słowem. Taka jest obietnica Jezusa.

A wszyscy odpowiedzieli: Amen. Alleluja!

©

CZYTANIA LITURGICZNE (21 – 28 IV)

Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego: Dz 10, 34a. 37-43; Ps 118; Kol 3, 1-4; J 20, 1-9;
Poniedziałek: Dz 2, 14. 22b-32; Ps 16; Mt 28, 8-15;
Wtorek: Dz 2, 36-41; Ps 33; J 20, 11-18;
Środa: Dz 3, 1-10; Ps 105; Łk 24, 13-35;
Czwartek: Dz 3, 11-26; Ps 8; Łk 24, 35-48;
Piątek: Dz 4, 1-12; Ps 118; J 21, 1-14;
Sobota: Dz 4, 13-21; Ps 118; Mk 16, 9-15;
Niedziela Miłosierdzia Bożego: Dz 5, 12-16; Ps 118; Ap 1, 9-11a. 12-13. 17-19; J 20, 19-31.

NIC JUŻ NIE MUSZĘ

DANUTA WAŁĘSA:

Mąż mi mówi, że się zbuntowałam. Ale przecież to nie było na zasadzie, że ja chciałam, by wszystko było po mojemu, tylko byśmy ustalili zasady i zostali partnerami.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Gdańsk jest innym miastem od śmierci Pawła Adamowicza?

DANUTA WAŁĘSA: Zupełnie innym. 14 stycznia wydarzył się ogromny dramat, który miał wpływ na większość gdańszczan. A gdy później odbyły się tu prezydenckie wybory, zagłosowało 48 procent ludzi. To podobno normalna frekwencja dla wyborów lokalnych, ale mnie, idealistki, nie zadowala. Chciałabym, by było 80 procent.

Teraz, po śmierci Pawła Adamowicza, w mieście nastąpiło tąpnięcie moralne. Trudno pojąć, dlaczego tak się stało, że ktoś po prostu wszedł na scenę i na oczach wszystkich zamordował prezydenta.

Matka mordercy w jednym z wywiadów mówiła, że ma wrażenie, jakby to był zły sen, z którego się obudzi. Jako matka wciąż go kocha i jednocześnie rozpacza, że syn zrobił coś tak strasznego.

Niechętnie angażuję się w politykę, ale myślę, że to wina rządzących. Pan Kaczyński określa nas „drugim sortem", pan Szczerski powiedział nauczycielkom, że nie mają obowiązku życia w celibacie, zatem korzystają z programu 500 plus. Tak wygląda władza, która powinna świecić przykładem.

Jestem przerażona tym, że PiS doprowadzi do takiej ruiny, że w rezultacie nie będzie z czego zbierać. Do tego ludzie są niszczeni psychicznie.

Osiem lat temu, w książce „Marzenia i tajemnice", wyznała Pani, że po raz drugi urodziła się w Gdańsku, do którego przyjechała Pani w 1968 r. Ciekawi mnie, ile razy od tego momentu udało się Pani jeszcze „urodzić"?

Może trzy razy? Ale po kolei. Gdy miałam 8-10 lat, kładłam się spać i miałam marzenia, co ja bym chciała, a czego bym nie chciała. Przede wszystkim nie chciałam żyć w rodzinnych Krypach. Rodzice mieli nas dziewięcioro, w tym były bliźniaki, dwóch chłopaków. Warunki były okrutne: piec na węgiel i drewno, brak elektryczności, w łóżkach spaliśmy po dwoje. Do studni chodziło się po wodę. Gdy to wspominam, żal mi mamy, nie wyobrażam sobie, jak ona kąpała dzieci. Moim obowiązkiem było szorowanie drewnianej podłogi szczotką ryżową; bardzo tego nie lubiłam. W ogóle żyłam obok świata, jakby mnie nie było.

Kiedy jechałam do Gdańska, mama odprowadziła mnie do autobusu. Powiedziałam jej, że tu nie wrócę. A przecież w Gdańsku nie miałam gdzie mieszkać i gdzie pracować. Jakby z góry Opatrzność mną kierowała. Więc 5 lutego przyjechałam do Gdańska, a 5 marca zaczęłam pracę w kwiaciarni.

W której poznała Pani męża.

Najpierw byłam w kwiaciarni na Długiej, a kiosk, w którym poznałam męża, był na Kartuskiej (teraz Nowe Ogrody). Zostałam wrzucona na głęboką wodę – i to w ocean, a nie w rzeczkę.

Nie byłam uczona układać kwiatów, musiałam nad finansami zapanować, wszystko podliczyć. I ja to opanowałam, raz było lepiej, raz gorzej, ale szło. Dojrzałe panie, które tam pracowały, doceniały mnie, mówiły, że jestem mądra i ładna. Miałam wtedy kompleksy na tle długiej szyi, nikt na wsi mi nie powiedział, że to jest urodziwe, a te kobiety mnie dowartościowywały. Tylko jedna była zołzowata. 8 marca niosłyśmy do stoczni zamówione wcześniej kwiaty. Wtedy jeszcze nie znałam miasta, a ta niedobra kobieta zostawiła mnie w pół drogi. Potem jeszcze nauczyła mnie palić papierosy, które później zabronił mi palić mąż, sam palący jak smok.

Z dzisiejszej perspektywy te problemy mogą wyglądać na śmieszne, ale ja wtedy byłam dziewczyną ze wsi, która wcześniej zaledwie dwa razy widziała Warszawę... I różne rzeczy działy się po drodze, które wpływały na to, że cały czas musiałam się ↦

DANUTA WAŁĘSA (ur. 1949) od 1969 r. jest żoną Lecha Wałęsy. Matka ośmiorga dzieci, w latach 1990–1995 pierwsza dama RP, laureatka Medalu św. Jerzego. W 2011 r. nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazała się jej autobiografia pt. „Marzenia i tajemnice" (opracowana przez Piotra Adamowicza).

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

↦ zmieniać. W '69 roku wyszłam za mąż, od '70 roku mąż angażował się w politykę, a na świecie był już Bogdan. Trzeba było się w tym wszystkim odnaleźć.

A teraz?

A teraz, to znaczy 25 lutego 2019 r., skończyłam 70 lat, czuję się zmęczona i niechętnie wspominam przeszłość. I jednocześnie nie opuszcza mnie nadzieja, że wejdę w drugą młodość. To jednak zależy od zdrowia i sytuacji w rodzinie – jest liczna, a matka zawsze, choćby tylko pośrednio, będzie angażowana w pomoc u któregoś dziecka. Zresztą to też daje mi siłę do działania – wiem, że nadal jestem potrzebna.

To bardzo ważne.

Dla mnie ważne jest to, by w państwie polskim sprawne były trzy komórki: bezpieczeństwo, szkolnictwo i służba zdrowia. A teraz wszystko szwankuje. Gdy idzie się do lekarza, chory człowiek pięć godzin musi czekać w kolejce na wizytę.

Dwa lata temu wystąpiłam o przyznanie karty kombatanckiej, którą niektórzy dostali niemal od ręki. Piszę w tej sprawie kolejne pismo, dowodzące, że mi się należy, a oni mi w odpowiedzi, że są zupełnie innego zdania. Ja nawet myślę, że „kombatantkę" to powinny dostać moje dzieci. Gdy w lipcu '80 roku zatrzymali Lecha z Magdaleną, to bezpieka zostawiła pod klatką wózek z dzieckiem, nie mówiąc mi o tym słowa. Gdy Lecha zatrzymali z 5-letnim Jarkiem, to ojca przesłuchiwali, a syn w tym czasie siedział pod stołem.

Czy po raz kolejny narodziła się Pani, kiedy w Oslo w imieniu męża odbierała Pani pokojową Nagrodę Nobla?

Jakby mi ktoś kilka lat przed '83 rokiem powiedział, że będę odbierać Nobla, to bym uznała, że sobie ze mnie żartuje. Na pewno nie dałabym sobie z czymś takim rady. W tym wszystkim byłam zmuszona zajmować się codziennością.

Codziennością rodziny?

Czasami sama siebie pytam: jak to było, że dałam sobie sama radę z ósemką dzieci. Póki nie poszły do szkoły, było jeszcze więcej obowiązków. Tym bardziej że rocznikowo dziecko miałam co dwa lata, a faktycznie, licząc w miesiącach, to rodziły się co półtora roku. Nie było wtedy pampersów, tylko tetrowe pieluchy. I pralka Frania.

Lech Wałęsa prał pieluchy?

Nie. Zdarzało się, że popilnował czy przewinął dziecko. Czasem chodziliśmy na spacer. Mąż zarabia na utrzymanie, ja zajmuję się rodziną – taki mieliśmy podział obowiązków, kiedy braliśmy ślub. Teraz to już nie jest powszechne, że dom pozostaje wyłącznie na głowie kobiety. Mój syn Jarek jest w europarlamencie i gdy przylatuje z Brukseli w czwartek wieczorem, to w piątek, sobotę i niedzielę troszczy się o żonę i dwójkę dzieci.

A ja cały czas byłam dla kogoś i wykonywałam obowiązki. Chciałam być perfekcyjna. Kosztowało mnie to dużo zdrowia, ale wtedy tak musiałam – gdybym zaniedbała jedną z rzeczy, wszystko inne by się posypało.

Teraz już nic nie muszę, tylko mogę sobie wyjść z domu, kiedy chcę, i zrobić, co chcę. Nauczyłam się wybierać to, co dla mnie dobre.

Kiedy Pani zaczęła bardziej myśleć o sobie?

Od prezydentury męża, kiedy w 1990 r. pojechał do Warszawy, a ja zostałam w Gdańsku. Wtedy zaczęłam sama na sobie polegać – bo dotąd byłam pod męża ogromnym wpływem. I uważałam, że małżeństwo to jest bezgraniczne wzajemne zaufanie.

Nadal Pani tak uważa?

W ogóle już tak nie uważam. Ale takiego sobie męża wychowałam, bo faktycznie miałam dziewięcioro dzieci, nie ośmioro. To, co powiedział Lech, było święte. Gdy mówił, że będzie dobrze, to ufałam, że będzie dobrze. Wychodził z domu, nie mówił, że nie wróci, tylko mówił: „będzie dobrze". A bezpieka go zamykała na 48 godzin. Wracał i dobrze było, bo wrócił. I choć prawie wszystko spoczywało na moich barkach, czułam jego obecność. A z chwilą, gdy zamieszkał w Warszawie i w domu pojawiał się wyłącznie w weekendy, to poczułam, że jestem sama. I jeszcze musiałam zajmować się polityką, bo jako żona prezydenta miałam obowiązki.

Wtedy wojewodą gdańskim był Maciej Płażyński – on mnie zapraszał na rozmaite oficjalne spotkania. Ja jego wspierałam i on mnie wspierał. A my z mężem się oddalaliśmy.

To wtedy narodziła się Pani po raz trzeci?

Mąż mi mówi, że się wtedy zbuntowałam. Ale przecież to nie było na zasadzie, że ja chciałam, by wszystko było po mojemu, tylko byśmy ustalili zasady i zostali partnerami. Lecz Lech jest chorobliwie zazdrosny – ani się nie da z nim niczego ustalić, ani żyć prawdziwie.

Ale jednocześnie widzę, co mąż przechodzi: ma 75 lat, jest schorowanym człowiekiem, cały czas opluwanym i poniżanym. Wolno było Jarosławowi Kaczyńskiemu w 1993 r. spalić pod Pałacem Prezydenckim kukłę męża. A teraz, jakby to samo zrobił mąż czy ktokolwiek inny z kukłą Kaczyńskiego, to by od razu go zamknęli.

„Marzenia i tajemnice" miały ogromny odzew wśród kobiet, szczególnie wśród tych, które zobaczyły swój los w Pani losie.

Na spotkaniach panie mi mówiły, że bardzo się ze mną utożsamiają. A w Krakowie do Auditorium Maximum przyszło 1200 osób, potem trzy godziny podpisywałam książki.

Dostawałam listy nie tylko od kobiet z mojego pokolenia, także od młodszych. Szczególnie zapamiętałam historię 30-latki w ciąży, której mąż był wojskowym. Ona miała długie włosy, chciała ściąć, ale mąż jej zabraniał i do tego nie chciał dziecka. W końcu włosy ścięła – zrozumiała, że nie można być ślepo posłuszną.

Nie można.

Mój mąż był moim pierwszym mężczyzną, byłam bardzo zakochana.

I pamiętam dobrze, jak w 1980 r. z malutkiego mieszkanka na Zaspie mąż sobie zrobił biuro. Dzień i noc przychodzili związkowcy, zostawali na śniadanie, niektórzy chwalili, że „jajeczniczka była dobra". Między tym tłumem uwijałam się z garem gorącej zupy i maleńkimi dziećmi; córka Anna miała wtedy miesiąc.

Kiedyś nie wytrzymałam, pewnie któreś dziecko niedomagało, zaczęłam krzyczeć i wyrzuciłam wszystkich za drzwi.

Wtedy mąż jeszcze troszeczkę był przy nas, zależało mu na rodzinie. Pamiętam, że też wyszedł ze wszystkimi, ale wrócił o 14.00 i na drzwiach powiesił kartkę z napisem „tyfus". Zrobiło się spokojnie.

W 1980 r., w trakcie strajków, na stoczni pojawił się transparent adresowany do kobiet: „Niepodległość to twoja rywalka"...

Za wszystko się płaci, nic nie ma za darmo. Ja nie miałam męża, moje dzieci nie miały ojca.

Odbiło się na nas to, że latami mało ze sobą przebywaliśmy. Gdy mąż wracał do domu, to był zmęczony, nie miał sił na rodzinę. Próbowałam się w tym odnaleźć, nauczyć się siebie. Lech cały czas mówi, że mam czekać na niego w domu, tak jak to było dawniej. A ja mu na to: „Mój drogi, to już nie te czasy. Ja wyrosłam z tamtej siebie".

W „Marzeniach i tajemnicach" porównuje się Pani do drzewa, które się cały czas zmienia. Niektóre gałęzie się odłamują, inne dorastają.

Nadal jestem tym drzewem, tylko już starym dębem, żaden wiatr mnie nie przewróci. Zakorzeniłam się. Wiem, czego chcę: spokoju i dobrych emocji. Z mojego drzewa odłamała się jedna gałązka – zmarł mi synek. Przemek cierpiał na chorobę dwubiegunową, do tego doplątała się cukrzyca. Gdyby się leczył – a nie chciał – żyłby. Później zaczął nadużywać alkoholu – to wszystko go zmęczyło. Raz miał dni lepsze, raz gorsze, czasami był dobry i ciepły, później nieznośny i złośliwy. Trudno opisać uczucia, kiedy umiera twoje dziecko. Ale nie robiłam dramatu. Uznałam, że taka jest kolej: ktoś z nas pierwszy musi odejść...

A z mężem nigdy nie rozmawialiśmy na temat śmierci Przemka. Lech nie potrafi otworzyć się i powiedzieć, co czuje. Miał ciężkie dzieciństwo: urodził się w czasie wojny, ojciec mu zmarł, gdy miał dwa latka. Najstarsza siostra męża opowiadała, że jak ojciec leżał już nieżywy, to Lech, maleńki chłopiec, całował go po rękach.

DANUTA WAŁĘSA:

Lech cały czas mówi, że mam czekać na niego w domu, tak jak to było dawniej. A ja mu na to: „Mój drogi, to już nie te czasy. Ja wyrosłam z tamtej siebie".

Przejmujące.

A jednocześnie nigdy nie wierzyłam w to, że zdarzenia z dzieciństwa na zawsze w nas pokutują. Przecież człowiek powinien nad sobą pracować! Może mężczyźni nie chcą się zmieniać? Albo boją się nowego? A nawet boją się samych ludzi?

Jak ja męża poznałam, to on był bardzo fajnym facetem: przyciągał uwagę, wszyscy go słuchali, miał dar docierania do każdego człowieka. I potrafił pięknie mówić o małżeństwie.

Co mówił?

Jak to kobieta i mężczyzna siadają obok siebie i dyskutują. Słuchają się uważnie. Bo jak ludzie ze sobą nie rozmawiają, to się nie rozumieją i z czasem wszystko się rozchodzi.

No i jeszcze Lech był przystojny... Nawet jedna rywalizowała ze mną, tylko ja byłam bardziej zaborcza (*śmiech*).

Ale właściwie nie wiem, jak to się stało, że myśmy się w końcu pobrali.

Ile można poświęcić dla miłości?

Wszystko – tyle że to musi być wspólna miłość. Nasza wiara katolicka mówi: „dawaj", ale są też tego granice. Z perspektywy 50 lat małżeństwa widzę, że tylko 11 lat z Lechem byliśmy naprawdę razem. Z chwilą, gdy w Polsce zaczął się karnawał Solidarności, jednocześnie zaczęło się dziać coś złego. Nie tylko moje dzieci i ja jesteśmy emocjonalnymi ofiarami tego czasu, dotknęło to wiele innych małżeństw. I poszczególnych osób, które poświęcały się dla ojczyzny, a dziś ich nie stać na leki.

I czują się oszukani.

Nie chcę się nad sobą rozczulać. Ktoś mi ostatnio powiedział: „Tak sobie wychowałaś męża, to był dorosły człowiek, trzeba było od niego wymagać." Ale nie mogłam wymagać od niego ponad jego siły, uważałam, że to dla dobra Polski. Może brzmi to górnolotnie, ale mnie się marzyło, by ta Polska, w której później żyłam, wyglądała jak przez dwa tygodnie strajków w '80 roku: cudowny czas, jedność 10 milionów ludzi, mnóstwo nadziei.

A ile można poświęcić dla dzieci?

Trzeba je nauczyć odpowiedzialności, obowiązku względem innych, podejmowania decyzji. I w pewnym momencie ↦

PREMIERA na 30-lecie
nowej Polski!

Wywiad z Danutą Wałęsą pochodzi z najnowszego wydania specjalnego „Tygodnika Powszechnego" – „Smak wolności".

To zbiór najlepszych reportaży, rozmów i opowieści o wolnej Polsce i o ludziach, którzy tę wolność kształtowali.

Wśród autorów i rozmówców także:
s. Małgorzata Chmielewska, Sylwia Chutnik, Bogdan de Barbaro, Olga Drenda, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Joanna Kulig, Karol Modzelewski, Sławomir Mrożek, Marcin Napiórkowski, Jerzy Pilch, Dawid Podsiadło, abp Grzegorz Ryś, Filip Springer, Andrzej Stasiuk czy Adam Wajrak.

weź, czytaj!

Wydanie specjalne „Smak wolności" już od środy 24 kwietnia w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą

Więcej informacji na powszech.net/smakwolnosci

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA NA OKŁADCE: MIECZYSŁAW WASILEWSKI

↦ pozwolić dzieciom odejść. Kontrolować, ale z odległości, one same się muszą nauczyć, co jest dobre, a co złe. I pozwolić popełniać błędy. Lecz wtedy nie zostawiać na pastwę losu, tylko wspierać: „Nie udało się, źle zrobiłeś, ale myśl, byś następnym razem tego nie powtórzył”.

Starałam się to robić, jednak przez brak ojca sama nie dałam rady. Ojciec zdominował, szczególnie chłopców. Jarek wychyla się, robi swoje, ale pozostali synowie nie mają siły Lecha.

A jakim mąż jest dziadkiem?

Potrafi powiedzieć do wnuka: „Nie osiągniesz tego, co osiągnąłem ja”. To dla mnie straszne, to mnie boli. Poza tym mąż cały czas uważa, że to on wszystko zrobił sam, nasze znaczenie w jego sukcesie całkowicie pomija.

A co Pani myśli o swojej przyszłości?

W ogóle o niej nie myślę, żyję tu i teraz. Mam tylko jedno marzenie – dobić dziewięćdziesiątki i umrzeć w butach... By nie leżeć, by nie czekać na czyjąś pomoc.

Do dziewięćdziesiątki to Pani jeszcze daleko.

Co to jest 20 lat? Minie szybko, jak jeden dzień. Nie boję się śmierci. Gdybym wiedziała, że jutro umieram, to może bym się napiła dżinu z tonikiem i zjadła dobrą czekoladę. Nie robię dramatu z tego, że odejdę. Trzeba mieć świadomość, że każdy dzionek jest bliżej śmierci. Nie rozumiem ludzi, którzy panicznie się jej boją. A może jestem cwana wyłącznie dlatego, że jestem zdrowa?

A co Pani myśli o przyszłości Polski?

Jestem przerażona. Chwilami wpadam w dołek, że nie doczekam czasu, kiedy to wszystko się odmieni i ludzie będą się o siebie troszczyć.

W ogóle wszystko jest inaczej: byłam kurą domową, teraz już nie jestem. Mężowi mówiłam: „Dzieci wychowaliśmy, wnuki odchowane, to teraz czas dla nas”. Miałam marzenie, że wrócimy do siebie, napisałam to nawet na końcu mojej książki. Jednak już o to nie zabiegam. A wyłącznie na męża warunkach to żyć nie chcę. ©

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Tajemnica pokrzywnicy

STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

W Polsce jest nieznana szerszej publiczności. Tymczasem na Zachodzie to gatunek żyjący blisko człowieka, ogrodowy i parkowy, a przez to znajomy i budzący zasłużoną ciekawość. Jest bowiem bohaterką prawdziwej opery mydlanej.

PO RAZ PIERWSZY POCZUŁEM JĄ W POŁOWIE lutego. Powietrze pachniało ziemią i wodą. Gotowością. Brakowało ostatniego składnika z przepisu – ciepła. Wilgoć wślizgiwała się pod kolejne warstwy ubrania i lodowatymi palcami głaskała po plecach. Mgła zamknęła całkiem horyzont, majaczyły tylko miotły bezlistnych wierzb. Gęsi nie mogły się już doczekać pierwszych promieni słońca. Tuż przed świtem z podtopionych łąk słychać było rozmowy tysięcy ptaków. Nie mówiły szeptem, na ucho, ale w uniesieniu, podnieceniu, z beztroską, którą daje bezkarność ogromnego stada. I choć nie było bibliotecznej ciszy, pojedyncze pary żurawi przechadzały się swoim nieśpiesznym, uważnym krokiem jak docenci przy księgozbiorze podręcznym. Tylko parę razy, może dla rozgrzewki, zawołały rozdzierająco.

OD TEJ CHWILI NOTOWAŁEM CODZIENNIE W PAMIĘCI. Przebiśniegi za płotem sąsiedniej kamienicy, potem krokusy na skwerze. Ta czysta, spokojna piosenka kosa, w któryś, niespodziewanie ciepły poranek. Pierwsze motyle, jakby zdziwione pustką wiosennego krajobrazu, i powolne pszczoły, marudne jak obudzone w środku nocy dzieci. Pierwsza słoneczna niedziela i tłumy mieszczuchów nad rzeką, jak mrówki, które wylegają na powierzchnię, by rozkoszować się pierwszymi ciepłymi promieniami. Niebo na skraju miasta rozwibrowało się piosenką skowronka.

Te rubieże to wieczne pole bitwy. Zwarte szeregi przysadzistych, deweloperskich domków przeciwko poszarpanym partyzantom wiejskich ostańców. Czworoboki identycznych podwórek i chaotyczne figury zagród. Odmalowane ogrodzenia naprzeciw pogiętych siatek i poszczerbionych, drewnianych płotków. Rubieże rozpięte między dwoma porządkami jak linia frontu jeszcze przez lata skazane są na tymczasowość. Na drogi techniczne, usypane z gruzu, wielkie kałuże i dwa autobusy. Na jedną, zapchaną nitkę drogi dojazdowej i dalekie wyprawy do sklepu.

Nowe idzie nieubłaganie. Na podmokłą, bagienną łąkę wysypano gruz, jakoś zimą rozkwitły żółte skrzynki z przyłączami elektrycznymi. W tej okolicy to pospolite rośliny całoroczne. „Teren uzbrojony pod zabudowę mieszkaniową”. Pliszki żółte, które wracały tu co roku, będą musiały poszukać nowego domu. Między dwoma osiedlami pozostał jeszcze wąski pasek ziemi. Nieprzeniknione krzewy, palisady młodych wierzb, nieposłuszne, kolczaste sploty dzikich róż zdają się niepokonaną redutą, ale te chaszcze to góra trzy dni pracy dla ludzi z dobrym sprzętem. Dziś tym wąskim korytarzem przemyka wędrowna drobnica. „Na sprzedaż” – ostrzega już sflaczały baner.

DWA PRZYCZAJONE, CICHE PTAKI PRZYKUWAJĄ UWAGĘ. Próbują nie rzucać się w oczy. Drobniejsze niż mazurki, których stado trajkocze obok zawzięcie i nic sobie nie robi z mojej obecności. Kiedy tylko podnoszę aparat, oba spadają gdzieś na ziemię. Takich zagadek nie zostawia się nierozwiązanych. Płochliwe, skryte, a więc nieoswojone z widokiem człowieka, tak nie zachowują się ptaki, które spotykam na co dzień. Zbliżam się ostrożnie, o parę kroków. I czekam. Przywarły nisko, gdzieś w płowych wstążkach traw, ale nie na długo, zaraz sprawdzą, czy niebezpieczeństwo minęło.

Po chwili są. Wskoczyły z powrotem na gałęzie i przyglądają mi się nieufnie. Koniec marca, na gołym bzie widzę jak na dłoni – szara głowa, rdzawobrązowe skrzydła i grzbiet z ciemniejszymi cętkami.

H. REINHARD / BEW

Pokrzywnica (Prunella modularis)

W tych kombinacjach ciemnych, stonowanych kolorów i maskujących wzorów jest coś nieodparcie wróblowego, tylko dziób zupełnie inny, zaostrzony. Dziób do chwytania bezkręgowców, jak drobna pęseta, a nie cążki do kruszenia ziarna. I jeszcze oko dorosłego ptaka. Niepowtarzalne. Jakby tężejący karmel czy miód gryczany, a może siena palona. Nie do końca. Jak piwo Scotch Silly, produkowane od stu lat w belgijskim Silly na wzór szkockich piw. Mocne, ciemne, słodkawe.

KIEDY POKRZYWNICA WĘDRUJE NOCĄ nad uśpionym miastem, tylko czujne ucho wychwyci w niemilknącym zgiełku jej delikatne „tihihi". To nie jest jakaś wielka rzadkość, w naszym kraju raczej kryje się w iglastych młodnikach i w borach świerkowych. Dawniej nazywana „płochaczem pokrzywnicą", pozostaje w Polsce nieznana szerszej publiczności. Tymczasem na Zachodzie to gatunek synantropijny, żyjący blisko człowieka, ogrodowy i parkowy. Sąsiedzki, a przez to znajomy i budzący zasłużoną ciekawość, niepozorna pokrzywnica jest bowiem bohaterką prawdziwej opery mydlanej.

Opublikowane w latach 80. badania potwierdziły, że życie seksualne pokrzywnica ma zupełnie niespotykane. Niektóre ptaki żyją w klasycznych, monogamicznych związkach, ale spotyka się również grupy samców, tworzące związki z dwiema samicami (poliginia), a także prawdziwe komuny złożone z dwóch i więcej samców dzielących kilka samic (poligynandria). Najczęstszą strategią rozrodczą pokrzywnic jest poliandria – samice związane z dwoma lub więcej samcami.

Życie nie jest jednak zupełnie beztroskie, każdy samiec alfa próbuje zwiększyć swoje szanse na przekazanie genów, dlatego zazdrośnie pilnuje samicy. Ta jednak regularnie odwiedza zajmującego sąsiedni rewir samca beta. Po powrocie wykonuje przed samcem alfa taniec – potrząsa skrzydłami, podnosi ogon i wypina w jego kierunku kloakę (ptaki kopulują stykając się kloakami), którą samiec skubie zmuszając samicę do wydalenia ostatniej porcji nasienia, które może pochodzić od rywala. Dopiero wtedy przystępują do kopulacji. Sytuacja jest idealna z punktu widzenia samicy. Stara się przekonać dwa samce, że doczekają się z nią potomstwa, w taki sposób zobowiązuje oba do opieki. Kiedy trzy (albo więcej!) ptaki zajmują się pisklętami, ich szansa na przeżycie jest znacznie większa.

JAK BĘDZIE WYGLĄDAŁ ODCINEK SERIALU Z TĄ PARĄ spotkaną na działce na sprzedaż, nie dowiemy się nigdy. Życzę wszystkim sukcesu lęgowego. Tymczasem wiosna przyśpiesza, a w tym roku jest wyjątkowo szybka. Nie pamiętam, by warszawskie forsycje kwitły już pod koniec marca. Dziś koło domu pierwsza kapturka jeszcze po cichu, półgłosem, rozćwiczająca głos. Arie zaczną się za parę dni. Wiosna to wieczna optymistka. Kwitnie, nie kalkuluje. Nie patrzy na ceny ropy, na wojny, wybory i marne rokowania dla planety. ©

Wojownik

MONIKA OCHĘDOWSKA

Słyszysz? Trener kończy gwizdać, a dźwięk się jeszcze niesie i niesie. Ciężko grać na hali, niektórzy skarżą się na ból głowy.

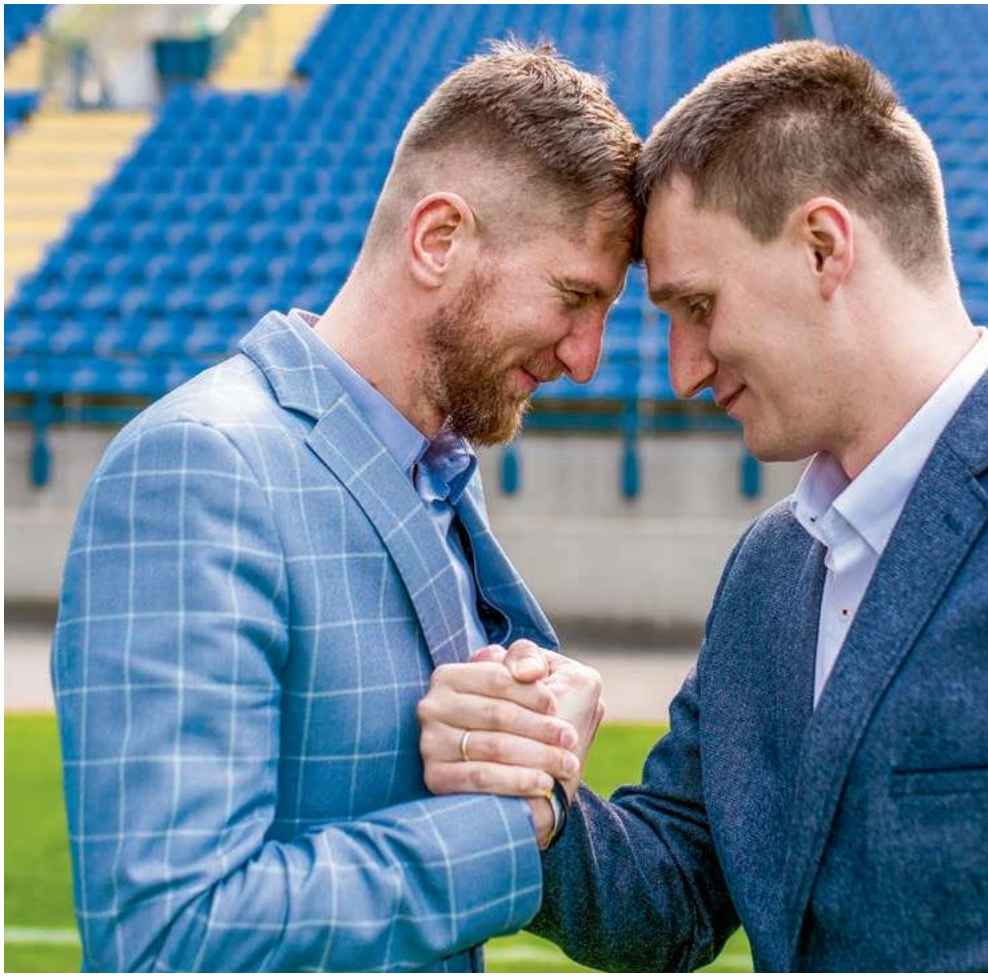

Jest poniedziałek, chwilę przed dziewiątą wieczorem. Na nowohuckich Suchych Stawach zaczyna się rozgrzewka krakowskiej drużyny blind footballu, piłki nożnej dla niewidomych i niedowidzących. Większość zawodników to reprezentanci Polski. Niektórzy na murawie orientują się całkiem nieźle. Pod warunkiem, że przeciwnik nie wystąpi w zielonych trykotach – te działają jak najprawdziwsze peleryny niewidki. Dla jednego z obrońców drużyny Tynieckiej ubrani na zielono piłkarze wchodząc na boisko dosłownie znikają. W polu widzenia pozostaje tylko żwawo podskakująca futbolówka. Podczas swojego meczu i tak zakłada czarne gogle, ale kibicować w takiej sytuacji – złości się – dramat. Wbrew pozorom w tej grze lepiej radzą sobie niewidomi niż słabowidzący, są przyzwyczajeni do ciemności, mają wyostrzony słuch. Opaska odbierająca resztki światła, którą wkładają wszyscy gracze blinda, bywa dużą barierą, potrzeba rocznego treningu, by pokonać dyskomfort.

Gol z odsłuchu

Trenują bieg slalomem i po łuku, zatrzymanie, zwrot. Ale na boisku najważniejsze jest słowo. „Voy", czyli z hiszpańskiego „idę, jestem". Z nim też trzeba się oswoić. Zwykle gdy początkujący zabiera się za piłkę, zapomina wojować. A wojować trzeba na każdym treningu, mówi trener, by się to stało nawykiem, przychodziło automatycznie. Powtarzane raz za razem przez kilkunastu biegnących od bandy do bandy zawodników, wzmocnione pogłosem hali wojowanie brzmi jak mantra. Do mantry dołączają dzwoneczki. W trakcie rozgrzewki znienacka rozbrzmiewa ich cały wór. Po chwili od nawierzchni hali odbija się naraz kilkanaście żółtych, grzechoczących piłek. Są trochę mniejsze od tradycyjnych futbolówek. To dzięki dźwiękowi wiadomo, dokąd biec.

Do pogłosu wojowania dostraja się teraz rytm pobrzękiwań, piłki toczą się od stopy do stopy. Ciała zawodników się pochylają, kulą. Układają tak, by mieć z grzechotką stały kontakt. W połączeniu z piłką każdy deficyt zmienia się w bogactwo, pisał historyk sztuki i kibic Horst Bredekamp. Nogą piłki nie złapiesz. Możesz to ograniczenie jakoś obejść, chwilowo, na próbę. To prawda, trzeba niezwykłej cielesnej wynalazczości, by podczas dryblingu precyzyjnie używać fragmentów ciała, które wydają się najmniej poręczne. I odwagi, by całkowicie oprzeć się na zmysłach rzadziej do oswajania zewnętrznego świata używanych. Ale żeby wlepiać gole z odsłuchu?

Jeśli za czar piłki odpowiada przezwyciężenie ułomności własnego ciała, blind football bliższy jest rozgrywanym w Hogwarcie meczom quidditcha – mała, brzęcząca piłka jeszcze mniej podlega kontroli piłkarza niż zwyczajna futbolówka. Nie widzisz jej. Gdy ucieknie – niewiele zrobisz. Najsłynniejszym szukającym w Hogwarcie był Harry Potter, w drużynie reprezentacji Polski to kapitan Marcin Ryszka.

Dotknąć dźwięku

Spotykamy się w kawiarni miasteczka studenckiego Akademii Górniczo-Hutniczej, na której Ryszka – jeden z pierwszych niewidomych absolwentów tej uczelni – na co dzień pracuje. Dosłownie kilkanaście godzin wcześniej w imieniu Pracowni Tyfloinformatyki odebrał Herkulesa, główną nagrodę w konkursie Kraków Bez Barier. Miasto od 12 lat wyróżnia osoby, instytucje i firmy świadomie ułatwiające niepełnosprawnym funkcjonowanie. W tym roku nagrody przyznano także twórcom innowacyjnych technologii i projektów badawczych.

– Jesteśmy pierwszą i na razie jedyną uczelnią w Polsce, która pracuje nad rozwojem technologii Ultrahaptic – mówi z dumą Ryszka. Co to takiego? Samo urządzenie przypomina niewielką płytkę. Niepozorne, ale składa się z ponad 200 małych głośników emitujących ultradźwięki o takiej częstotliwości, że można ich dotknąć. – Prezentując płytkę na konferencji praso-

JACEK TARAN DLA „TP"

Marcin Ryszka (po prawej) i Rafał Wisłocki, prezes TS Wisła Kraków

wej czułem się jak czarodziej – śmieje się Marcin, precyzyjnie odstawiając filiżankę na spodek.

– Poruszałem w powietrzu niewidzialnymi dla dziennikarzy pokrętłami i na przykład gasło światło. Albo włączała się muzyka. Dźwiękowy interfejs będzie miał szerokie zastosowanie w życiu codziennym – opowiada. – Zostanie niebawem wmontowany w sprzęty AGD i samochody. Ale mnie się marzy, by dzięki niemu osoby niewidome mogły studiować dotąd niedostępne kierunki, wykonywać rysunki techniczne, modelować wykresy, poznawać mapy, badać ukształtowanie terenu.

Po chwili Marcin jednak studzi swój zapał: – Przed nami jeszcze długa droga – mówi. Poprzedni projekt, który zrealizowali w pracowni „Tyflo" – aplikacja powiadamiająca o nadjeżdżającym autobusie dzięki montowanym na pojazdach i przystankach nadajnikom bluetooth – okazał się zbyt drogi, by miasto zdecydowało się go wdrożyć.

Na brak zajęcia nie narzeka. Kilka dni temu był na spotkaniu w siedzibie jednego z banków w Katowicach. Wypunktował tamtejszemu zespołowi bankowości internetowej błędy uniemożliwiające osobom niewidomym logowanie do konta. Projektanci są wciąż mało wrażliwi na obecność osób niewidomych w internecie, nie testują dostępności swoich serwisów, nie znają aktualnych standardów WCAG. Na poprawę użyteczności swojego konta musi teraz poczekać, ale wypłacanie gotówki już jest łatwiejsze, także dzięki niemu – pracował nad wprowadzeniem udźwiękowionych bankomatów. W Krakowie są takie dwa.

Pokażcie nas

Pamięta kolor nieba. Potem tylko ciemność i jeden z największych lęków – przed zanurzeniem w wodzie. Wzrok stracił jako pięciolatek, obie gałki oczne zaatakował siatkówczak, wówczas nieuleczalny. Unikał lekcji wuefu, szczególnie wtedy, gdy całą klasą mieli iść na basen. W wodzie poza wzrokiem tracił jeszcze słuch i kontrolę nad tym, co dzieje się wokół. Nauczył się pływać jako ostatni. A potem szybko zaczął trenować regularnie. Nie tylko dlatego, by móc zwiewać z kolejnych lekcji, na które zapisali go rodzice – nauki gry na gitarze.

– Moja rodzina ma tradycje sportowe, dziadek grał w piłkę w okręgówce, bracia jeździli na zawody, przywozili medale, też tak chciałem – mówi.

Wszędzie najmłodszy, trenuje z pełnosprawnymi pływakami – w tamtym czasie sytuacja dość niezwykła. Ma na tyle dobre wyniki, że interesuje się nim kadra juniorów. Przeciera szlaki innym, także wtedy gdy jako jedynego niewidomego pływaka przyjmują go do sekcji na AGH.

Dziś jako dziennikarz radia sportowego Weszło.fm rozmawia na antenie z podobnymi sobie zapaleńcami i łamaczami reguł – jednym z ostatnich gości jego audycji jest jedyny na świecie profesjonalny kierowca wyścigowy i drifter bez rąk Bartosz Ostałowski.

Nie lubi, gdy z niepełnosprawnymi sportowcami ktoś obchodzi się jak z jajkiem. Sporty, które uprawia, są równie niebezpieczne i kontuzjogenne jak drift. Powtarza, że blind football to gra z pogranicza rugby i hokeja.

– Mimo wojowania nie da się uniknąć starć, co chwilę ktoś ląduje na parkiecie, zdarzają się wstrząśnienia mózgu i połamane zęby. Widzowie siedzący zaraz za bandą także ryzykują uraz, na trybunach „ślepej" lepiej nie spuszczać piłki z oczu – śmieje się.

Jako pływak wiele razy, dosłownie, zderza się ze ścianą.

– Będzie trochę matematyki – uprzedza. – Wyobraź sobie dwudziestopięciometrowy basen. Czterdzieści długości to kilometr, a my na treningu musieliśmy przepłynąć kilometrów sześć. To jest dwieście czterdzieści nawrotów do wykonania. Pływałem przez piętnaście lat, a treningów w tygodniu było jedenaście. Tak, kilka razy porządnie rozwaliłem głowę. Na zawodach jest zwykle lepiej – tapper z teleskopową pałką zakończoną czymś miękkim sygnalizuje dotknięciem głowy czy barku, że możesz wykonać nawrót. Na treningach rzadko kiedy mieliśmy tappera, bo pływało nas jednocześnie dwudziestu.

Jak sobie radził?

– Liczyłem ruchy. Z czasem zdobywasz doświadczenie, ciało pamięta. Bywało, że trener obiecywał, że będę „klepnięty", żebym do końca dał z siebie wszystko, a potem bum! – śmieje się. – Okazywało się, że tappera nie było.

Treningi przynoszą rezultaty. W 2011 r. wygrywa Mistrzostwa Świata Osób Niewidomych w pływaniu w Antalyi. Jest najlepszy na 50, 100 i 200 metrów stylem klasycznym. Przez kolejne trzy lata zdobędzie jeszcze kilka krążków na mistrzostwach Europy i pojedzie na igrzyska paraolimpijskie.

– Niestety – rozkłada ręce – wyjazd do Londynu skończył się kompletną klapą.

I choć żartuje, że to już był najwyższy czas, by zawiesić majtki na kołku, w jego słowach słychać wciąż gorycz przegranej. A przegrywać nie lubi. Ostatecznie po zdobyciu czwartego miejsca na mistrzostwach Europy mówi „dość". Rozstanie z zawodowstwem nie jest łatwe – brakuje adrenaliny, rywalizacji, codziennej harówy na treningach. Zdarzają się momenty, gdy odcina mu prąd. Potrafi cały dzień leżeć na kanapie z włączonym kanałem National Geographic.

Przed paraolimpiadą w Rio de Janeiro jednak się podnosi. Chce, by zmagania jego koleżanek i kolegów tym razem można było oglądać w telewizji, żeby o paraolimpijczykach było równie głośno jak o wyczynach zdrowych, pełnosprawnych ↦

sportowców – żebyśmy ich poznali. W fundacji aktywizującej osoby niepełnosprawne, gdzie pracuje, wpadają na pomysł akcji „Pokażcie nas w Rio". Proszą o pomoc dziennikarzy i komentatorów sportowych – Przemysława Babiarza, Rafała Patyrę, Marka Jóźwika. Wybierają materiały ze zwycięskich startów niepełnosprawnych sportowców, których nikt nigdy nie miał okazji obejrzeć w telewizji. Na przykład ten, na którym widać rekordzistkę Europy Oliwię Jabłońską, której niepełnosprawność związana ze stawami skokowymi uniemożliwia szybkie „wypalenie" ze słupka. Oliwia na dystansie 100 metrów powoli nadrabia straty, w ostatnim momencie niezwykle efektownie wyprzedzając rywalki.

Dziennikarze dogrywają komentarz tak, jakby zawody odbywały się na żywo. Zmontowane filmy pokazują na konferencji prasowej. Udaje się. TVP transmituje igrzyska, a Marcin debiutuje w roli komentatora, siadając w studiu telewizyjnym obok Babiarza i Patyry. Rola „dwójki" go kręci, ma niesamowitą pamięć, lubi opowiadać.

– Komentator nie musi widzieć, równie ważne jest to, co dzieje się poza basenem i boiskiem, historia, która stoi za wysiłkiem i zwycięstwem – tłumaczy.

Nie trzeba widzieć piłki

Pierwszy raz na mecz blind footballu trafia przypadkiem, podczas feralnych igrzysk. Objawienie, że niewidomi także mogą grać. Trzeba to koniecznie zorganizować w Krakowie, myśli, i już siedząc na trybunach nie może się doczekać, by o „ślepej" opowiedzieć chłopakom. Drużyny składają się z pięciu zawodników. Ich jest na początku trzech. Piłki muszą sobie zrobić sami. Rozcinali zwykłe futbolówki, do środka wrzucali dzwonki, zanosili do wulkanizatora żeby połatał.

– Ludzie łapali się za głowę – wspomina z uśmiechem.

Niestety – gra trwała krótko, piłki natychmiast rozchodziły się na szwach. Marcin się uparł, że napisze do Międzynarodowej Federacji Sportu Niewidomych (IBSA) – i tak w 2010 r. dostali pierwszych dziesięć profesjonalnych grzechotek. A z trzech chłopaków regularnie trenujących blinda zrobiło się piętnastu.

– Niedługo później zadzwonił do nas trener z Wrocławia z propozycją wyjazdu na mistrzostwa Europy do Anglii. Fajnie, tyle że nie mieliśmy wtedy niczego – nawet strojów.

Pomógł im Robert Lewandowski.

– Grało dziesięć drużyn, zajęliśmy dziewiąte miejsce – śmieje się Marcin. Wygrana z Grekami po serii porażek była jednak na tyle motywująca, że po powrocie postanowili założyć oficjalną drużynę i fundację – tak narodziła się Tyniecka Nie Widząc Przeszkód.

Wróćmy do matematyki: boisko ma 20 na 40 metrów, mecz dwie połowy – każda trwa po 25 minut. A zawodnikom w polu gry potrzebni są przewodnicy. Jeden krzyczy zza bramki – dzięki temu wiadomo, gdzie jej szukać. Najlepszym przewodnikiem Tynieckiej jest Jurek, kierowca drużyny. Kiedyś dopingował chłopaków tak wytrwale, a potem tak bezwzględnie ochrzaniał w szatni po przegranym meczu, że zdecydowali się włączyć go do sztabu szkoleniowego. Dziś ćwiczy z zawodnikami, prowadzi treningi. Polecenia wydaje także ze środkowej strefy boiska trener. Ten, który opiekuje się Tyniecką, jest osobą słabowidzącą, często swoich graczy nie rozpoznaje, dostrzega ledwie zarys ich postaci. Chłopaki się z niego śmieją, bo czasami widzi, że dobrze rozegrali jakiś schemat i po meczu chwali: „Świetnie zachował się w tej sytuacji napastnik". Tyle że to był pomocnik.

Gra jest płynna, ponieważ toczy się nawet wtedy, gdy piłka odbija się od bandy – profesjonalne kosztują 30 tys. euro. Każdych innych trzeba się uczyć. Na turnieju we Francji mieli np. bandy jak do hokeja, długo nie wiedzieli, jak się od nich odepchnąć. Zanim zdążyli się przyzwyczaić – przeciwnicy zostawiali ich dwa metry w tyle.

Jak się w ogóle na boisku rozpoznają? Ktoś wydaje dziwne dźwięki, inny nosi na ręku charakterystyczną frotkę, krzyczy.

Krakowskiej drużynie bandy sfinansował Zarząd Infrastruktury Sportowej.

– Od kwietnia mamy także swoje boisko, na którym będziemy mogli je postawić – cieszy się Marcin. – Wyglądamy już organizacyjnie jak poważna drużyna. Stworzyliśmy też międzynarodową ligę. Grają regularnie z Pragą, Brnem, Budapesztem, Wiedniem i Wrocławiem. Każda z sześciu drużyn organizuje turniej u siebie, w sezonie mają więc 30 spotkań.

Jak idzie Tynieckiej?

– Gramy w lidze po raz drugi i zajmujemy drugie miejsce po trzech kolejkach – odpowiada z dumą Marcin. Na przełomie maja i czerwca organizują w Krakowie międzynarodowy turniej towarzyski – zagrają go już z Białą Gwiazdą na koszulkach. Kilka dni temu wzięła ich pod swoje skrzydła Wisła Kraków – to pierwsza w Polsce drużyna ekstraklasy z sekcją piłki nożnej osób niewidomych.

Żegnamy się. Marcin proponuje, żebyśmy sprawdzili, o której przyjedzie jego autobus. Zanim zdążę odblokować telefon, podnosi swojego iPhone'a na wysokość prawego ucha i na wygaszonym ekranie szybko swipuje, przesuwając palcem w różnych kierunkach. Słyszę kilka rwanych sylab wyczytanych przez przyspieszony do maksymalnej prędkości syntezator mowy – nieartykułowany szum spółgłosek.

– W porządku – mówi Marcin – autobus będzie za pięć minut.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

MARCIN RYSZKA *(ur. 1990) jest pływakiem, piłkarzem i dziennikarzem radia sportowego Weszło.fm, w którym prowadzi autorską audycję „W ciemno". Trzykrotny mistrz świata w Pływaniu Osób Niewidomych IBSA w Antalyi, brązowy medalista Mistrzostw Europy w Pływaniu Osób Niepełnosprawnych w Berlinie, uczestnik igrzysk paraolimpijskich w Pekinie i Londynie, wielokrotny mistrz i rekordzista Polski. Kapitan drużyny Tyniecka NWP Kraków, która od kwietnia stanowi sekcję piłki nożnej osób niewidomych i słabowidzących Wisły Kraków. Kapitan reprezentacji Polski w blind footbalu.*

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Chełmie, I Wydział Cywilny, toczy się postępowanie, sygn. akt I Ns 746/18, z wniosku Wacława Karpińskiego, o stwierdzenie nabycia w drodze zasiedzenia własności nieruchomości położonej w miejscowości Majdan Pławanicki, gm. Kamień, pow. chełmski, składającej się z działki gruntu nr 56, o powierzchni 1,24 ha, dla której nie ma urządzonej księgi wieczystej, znajdującej się w posiadaniu Wacława Karpińskiego i Elżbiety Karpińskiej.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia własności nieruchomości.

ANNA

Dziewit-Meller: *Made in China*

Kiedy po raz pierwszy w życiu (i jak na razie ostatni) byłam w Chinach, był to rok 2005. Pojechałam na festiwal muzyczny z zespołem Andy, w którym wówczas grałam.

Doświadczenie niezwykłe, zwłaszcza że była to moja pierwsza wyprawa poza Europę. Guangdzou (Kanton), do którego dotarłyśmy po długiej podróży i wielu przesiadkach, okazał się miastem bez początku i bez końca, rozciągającym się po horyzont, wielkim miejskim monstrum, w którym sznury aut, motocykli i rowerów pędziły przez ośmiopasmowe autostrady. Nasi gospodarze zadbali o to, byśmy czuły się dobrze, i przez cały ten (krótki) czas nie opuszczali nas na krok (choć raz zdołałyśmy ich zgubić na wielkim targowisku i była z tego spora awantura). Do dziś się zastanawiam, na ile ich troska wynikała ze zwykłego zaangażowania organizatorów międzynarodowej imprezy muzycznej, a na ile z pewnej konieczności pokazania nam Chin wyłącznie tak, jak powinnyśmy je oglądać. Odpowiedzi nie poznam zapewne nigdy, ale przyjmowałam tę ich stałą obecność za dobrą monetę.

Przeczytałam tymczasem w prasie, że właśnie w tym jedynym znanym mi mieście chińskim w 2015 r. narodziła się pewna szalenie interesująca inicjatywa, zwana Feministyczną Piątką. Bo – cóż za niespodzianka – w komunistycznych Chinach, których największy przywódca Mao Tse Tung powiadał o kobietach, że podtrzymują połowę nieba, a równościowe frazesy umajają propagandowe transparenty i przekazy dnia idące z serca Partii, jest dokładnie tak samo jak wszędzie: równość płci w sferze frazesów pozostaje i poza nie wychodzić nie bardzo powinna.

W 2015 r. do drzwi młodej mieszkanki Kantonu Zheng Churan, a także czterech jej koleżanek – aktywistek Woman's Right Action Group: Li Maizi, Wu Rongrong, Wei Tingting i Wang Man – zapukali smutni panowie ze służb i wyprowadzili je z domów w kajdankach. Zostały zatrzymane tuż przed 8 marca w związku z prowadzonymi przez siebie akcjami, na których agitowały przeciwko przemocy wobec kobiet oraz przeciw dyskryminacji mniejszości seksualnych. Aresztowano je, by nie były w stanie zrealizować kolejnych protestów zaplanowanych na to wielkie święto „wszystkich naszych miłych pań". Ich zatrzymanie – ku wielkiemu zaskoczeniu i niezadowoleniu chińskich przywódców – nie przeszło bez echa. O uwolnienie kobiet upominały się głośno nie tylko organizacje broniące praw człowieka z całego świata (w tym z Polski), ale także sami Chińczycy, zbierający na uniwersytetach podpisy pod petycjami, organizujący wiece wsparcia – i to mimo zmasowanych ataków administracji rządowej i cenzury. Kobiety w związku z międzynarodową i wewnętrzną presją uwolniono.

Leta Hong Fincher, autorka wydanej niedawno głośnej książki „Betraying Big Brother. The Feminist Awakening in China", o tamtych wydarzeniach mówi, iż były prawdziwym punktem zwrotnym dla ruchów kobiecych i równościowych w tym kraju. Po pierwsze świat dowiedział się, że w Chinach są feministki, które nie idą na pasku Komunistycznej Partii Chin i reprezentują oddolne ruchy społeczne. Co prawdopodobnie ważniejsze – dowiedziały się o nich również chińskie kobiety, które być może do tej pory nie miały pojęcia, że tak wiele z nich odczuwa głębokie nierówności społeczne związane ze swoją płcią. Ideałem promowanym przez chiński reżim jest wszak figura tradycyjnej rodziny prowadzonej przez ojca-lidera, któremu podporządkowana jest kobieta i cała reszta. Taką figurę reprezentuje przecież w oficjalnej retoryce przywódca Chin Xi Jinping – kolejny wielki ojciec narodu. #MeToo w Kraju Środka jest rutynowo cenzurowane – wpisy z tym hasztagiem znikają w kilka minut po ukazaniu się w sieci, podobnie jak opowieści kobiet o molestowaniu seksualnym i nadużyciach, jakich doświadczyły. Jeśli więc możemy robić coś dla kobiet w krajach takich jak Chińska Republika Ludowa, to mówić o nich, skoro nas nie dopada wściekła chińska cenzura. Rozgłos bowiem potrafi nie tylko zmusić władze do uwolnienia ludzi z więzień, jak to miało miejsce w przypadku kantońskich feministek, ale czasem uratować życie. W 2009 r. Deng Yujiao, 21-letnia pracownica salonu piękności w jednym z hoteli w Badongu w prowincji Hubei, została zaatakowana przez lokalnego urzędnika, który zjawił się w hotelu razem z kolegami w poszukiwaniu chętnych do seksu kobiet. Gdy zbulwersowana zachowaniem mężczyzny Deng odmówiła mu usługi, ten uderzył dziewczynę w twarz plikiem banknotów, po czym próbował ją zgwałcić. Deng w akcie samoobrony dźgnęła go ostrym narzędziem, powodując śmierć mężczyzny. Została oskarżona o zabójstwo z premedytacją. Sprawa ta jednak nabrała międzynarodowego rozgłosu, mimo wielkich wysiłków cenzury. Rozgłos ów uratował Deng, której ostatecznie zmieniono zarzut, uznając, iż działała w obronie koniecznej.

Nie cenzurujmy się więc sami i interesujmy się ludźmi, którym nie daje się głosu. Być może nasze zainteresowanie to naprawdę najważniejsza rzecz, jaką możemy im ofiarować. ©

POŻEGNANIE

Ś. † P.

Tadeusz Szyma

absolwent polonistyki i filozofii,
krytyk filmowy
i twórca filmów dokumentalnych,
w latach 1978–1991
nasz kolega redakcyjny,
zmarł nagle 5 kwietnia 2019 r.

Jego Bliskim składamy wyrazy
serdecznego współczucia

TYGODNIK POWSZECHNY

ŚWIAT

POWRÓT IRLANDZKIEJ DEPRESJI

„Musimy uniknąć nowej granicy dzielącej wyspę, inaczej znów ktoś może zginąć”, mówią mieszkańcy pogranicza Republiki Irlandii i brytyjskiej Irlandii Północnej.

MARCIN ŻYŁA Z LONDONDERRY (IRLANDIA PÓŁNOCNA)

Tej tajemnicy jeszcze nikt nie rozwiązał: od pięciu miesięcy wzdłuż granicy dzielącej Irlandię na Republikę Irlandii oraz brytyjską Północ ktoś nocami kradnie bankomaty.

Parę dni temu zniknął już jedenasty. W miasteczku Dungiven złodzieje wyrwali go ze ściany sklepu, łyżką koparki, po czym zapakowali na samochód. Nagrała to kamera i nazajutrz każdy miał w tej sprawie jakiś pomysł.

Szef europejskiej filii Stowarzyszenia Przemysłu Bankomatowego radził, żeby po sąsiedzku pilnować bankomatów. Minister przedsiębiorczości Republiki Irlandii, żeby we wsiach w ogóle je zlikwidować. Policja, żeby zwracać uwagę na koparki jeżdżące ulicami o trzeciej nad ranem. I żeby traktować poważnie zgłoszenia: 1 kwietnia we wsi Ahoghill pościg za złodziejami się opóźnił, bo zaalarmowany właściciel sklepu, w którego ścianę właśnie wjeżdżała koparka, sądził, że to primaaprilisowy żart.

Zupełnie nieśmieszne ostrzeżenie przyszło jednak od służb: za porwaniami bankomatów mogą stać organizacje paramilitarne, które po ćwierćwieczu pokoju mogą szykować się do nowej konfrontacji. A jak powiada klasyk, do prowadzenia wojny potrzebne są przede wszystkim pieniądze.

Jak w domu

Gdyby nie historia najnowsza i konflikt, w którym polityka splotła się z religią, 85-tysięczne miasto Londonderry w Irlandii Północnej w rankingach jakości życia mierzyłoby się z najlepszymi.

Ma wszystko, aby móc wieść tu spokojne życie: wijącą się szerokimi zakolami rzekę Foyle, śródmieście ze świetnie zachowanymi średniowiecznymi murami, łagodne wzgórza na przedmieściach. Pracować można w Belfaście, stolicy Irlandii Północnej (to tylko dwie godziny drogi), a w weekendy odwiedzać piękne hrabstwo Donegal (pół godziny), leżące już za granicą, w Republice Irlandii.

Paul Stafford mieszka tu od dwóch lat. Pochodzi z hrabstwa Yorkshire w Anglii. Do chwili, gdy na studiach poznał przyszłą żonę, urodzoną w Londonderry, z Irlandią Północną miał kontakt tylko raz, jako nastolatek: gdy ogłoszono, że Irlandzka Armia Republikańska (IRA) – zbrojne podziemie walczące o wyzwolenie (z jego punktu widzenia) Irlandii Północnej spod brytyjskiej władzy – podłożyła bombę, widział ewakuację śródmieścia Leeds.

Wtedy północnoirlandzka prowincja kojarzyła się z terroryzmem oraz z polityczno-religijną nienawiścią. Pamiętano zamachy IRA: Krwawy Piątek w 1972 r., gdy w Belfaście eksplodowało dziewięć bomb, ataki w pubach Birmingham (1974 r.) czy w hotelu w Brighton (1984 r.), z którego ledwo uszła z życiem premier Margaret Thatcher. W czasie tzw. Troubles (Kłopotów) – między końcem lat 60.

CHARLES MCQUILLAN / GETTY IMAGES

Dzielnica Bogside, gdzie podczas Krwawej Niedzieli w 1972 r. brytyjscy żołnierze zabili nieuzbrojonych demonstrantów, Londonderry, marzec 2019 r.

a początkiem 90. XX w. – po obu stronach zginęło łącznie 3,5 tys. ludzi.

34-letni Paul odnalazł się w nowym mieście. – Derry i jego rolnicze okolice są spokojne, podobne do Yorkshire – mówi, używając krótkiej, preferowanej przez mieszkańców nazwy miasta. – Most Pokoju, zbudowany za pieniądze Unii Europejskiej, połączył przedzielonych rzeką katolików i protestantów. Miasto ma dziś jedną energię. Ludzie są tu pomysłowi, powstają nowe firmy, jest świetna scena muzyczna.

Granica znów widoczna

Dziś w Londonderry czuć jednak nerwowość, gdyż tuż za miastem biegnie granica z Republiką Irlandii. To w dużej mierze przez nią Wielka Brytania wciąż nie może wyjść z Unii.

Przywrócenia kontroli nad granicą – dziś niewidoczną i nieodczuwalną – nie chce nikt. Spór idzie o to, czy Irlandia Północna może pozostać w europejskim wspólnym rynku. Bruksela i większość mieszkańców regionu nie widzą przeszkód. Ale Londyn nie chce, aby bariery celne *de facto* oddzieliły tę prowincję od pozostałych części Zjednoczonego Królestwa: Anglii, Walii i Szkocji. Specjalnie zaprojektowany podczas negocjacji brexitowych mechanizm, tzw. *backstop*, stał się kością niezgody między politykami Partii Konserwatywnej.

– Nie sądziliśmy, że to aż tak skomplikowane. Nagle granica stała się przeszkodą dla brexitu, punktem odniesienia dla rozmów w całym kraju. Znów stała się widoczna. A przecież dotąd ludzie przekraczali ją nawet dwukrotnie w ciągu dnia, ↦

↦ w drodze do pracy i z pracy, i nie zwracali na nią uwagi – mówi Paul Stafford.

Nic dziwnego: to granica niewidka. Na drodze A2, łączącej Donegal z Londonderry, informuje o niej tylko znak drogowy z napisami: „Witamy w Irlandii Północnej" i „Ograniczenia prędkości w milach na godzinę" (wcześniej, w Republice Irlandii, znaki podają je w kilometrach na godzinę).

Stąd granica prowadzi polami na szczyt wzgórza, następnie schodzi w dół, przecina niewielkie jezioro, biegnie wzdłuż strumyka, opuszcza go za kolejną wsią i dochodzi do rzeki Foyle. Kamienne mostki, murki na miedzach, wąskie dróżki i ciemna zieleń traw – jest tu wszystko z irlandzkich krajobrazów wsi. Tylko granicy nie ma.

Irlandzcy politycy prorepublikańscy chcieliby ją zlikwidować. W ostatnich tygodniach wrócił – jeszcze niedawno nierealny – pomysł zorganizowania ogólnoirlandzkiego referendum zjednoczeniowego. Michelle O'Neill, wiceprzewodnicząca partii Sinn Féin (kiedyś była to nieformalna polityczna reprezentacja IRA; dziś partia ta działa zarówno w Republice, jak i na Północy), twierdzi, że „zmiana wisi w powietrzu".

Rzeczywiście: unioniści – zwolennicy ścisłych związków Irlandii Północnej z Londynem – w ostatnich wyborach do regionalnego parlamentu utracili większość. Władze centralne zawiesiły (z innego powodu) lokalny parlament, lecz nawet w londyńskiej Izbie Gmin Demokratyczna Partia Unionistyczna (DUP) gubi się w taktycznej koalicji z premier May i powoli traci wpływy.

Rozwód, ale czyj

Tymczasem sondaże sugerują, że obywatele Wielkiej Brytanii są coraz bardziej obojętni w kwestii statusu Irlandii Północnej. Z badania Ipsos Mori na zlecenie londyńskiego King's College wynika, że tylko jedna trzecia Brytyjczyków ma nadzieję, że w ewentualnym referendum mieszkańcy Irlandii Północnej głosowaliby za pozostaniem w Zjednoczonym Królestwie. To dlatego O'Neill mówi, że „brexit całkowicie zmienił kontekst sytuacji", a do referendum dojdzie „w ciągu kilku najbliższych lat".

Paul Stafford zaś, jako doktorant na wydziale psychologii północnoirlandzkiego Uniwersytetu Ulsterskiego, wpadł na pomysł badań nad wpływem brexitu na stosunek do postaw i przemocy. – Dotąd koncentrowano się na jego skutkach politycznych i gospodarczych. Nie docenialiśmy, że tak silnie wpłynie na postawy – mówi Stafford. Jego plan: wypytać ludzi z Północy o nastroje, teraz i za kilka miesięcy, kiedy być może skończy się okres brexitowej niepewności.

Po ostatnim szczycie Rady Europejskiej w Brukseli można przypuszczać, że jego badania nie skończą się szybko. W miniony czwartek premier May uzgodniła z przywódcami pozostałych 27 państw członkowskich, że Wielka Brytania może zostać w Unii aż do 31 października – z opcją wcześniejszego wyjścia, jeśli brytyjski parlament zaakceptuje „umowę rozwodową" (odrzuconą dotąd trzykrotnie).

Formalnie ciągle możliwe jest więc wszystko: od tzw. twardego brexitu za pół roku, przez unię celną aż po ponowne referendum lub nawet odwołanie brexitu.

Widok na niewiadomą

Z prof. Edgarem Morgenrothem, ekonomistą z Dublin City University, rozmawiam telefonicznie. Mieszka w Republice, w hrabstwie Monaghan, sto kilometrów na północ od stołecznego Dublina. Blisko granicy: mówi, że stoi właśnie na szczycie wzgórza, z którego widzi Północ. I śmieje się, że pierwszy dostrzeże brexit.

Gospodarcze skutki brexitu Morgenroth zaczął analizować w 2013 r., kiedy jeszcze nie znano tego słowa. Potem pomagał w pracach dublińskiego Brexit Institute – prawdopodobnie jedynego think-tanku założonego wyłącznie w celu monitorowania wyjścia Brytyjczyków z Unii. Mówi, że dla niego osobiście brexit oznacza głównie konieczność wykupienia „zielonej karty" (ubezpieczenia komunikacyjnego przy wyjazdach poza obszar Unii). W telewizji jest na ten temat pełno reklam.

– Stan niepewności trwa od referendum, już niemal trzy lata. Ludzie przestali inwestować, przestali prowadzić transgraniczne biznesy – mówi Morgenroth. – W mojej okolicy ludzie pamiętają starą granicę z czasów Troubles. I wciąż myślą w jej kategoriach. Nie chcą jej powrotu, ale nie potrafią przed nią uciec. Chyba się nie da.

– Wie pan – zamyśla się profesor, a w słuchawce słychać tylko wiatr – to jest znacznie bardziej depresyjne, niż można sobie wyobrazić.

Morgenroth uważa, że podczas negocjacji brexitowych Republika Irlandii była wyjątkowo cierpliwa. – Gdyby zwiększyć presję na brytyjskich posłów w Izbie Gmin – mówi – znalazłaby się większość skłonna poprzeć umowę wynegocjowaną przez premier May.

– Kolejne unijne terminy są coraz mniej wiarygodne. Skoro wciąż je przesuwamy, jaki ma sens ich wyznaczanie? – denerwuje się Morgenroth.

I wylicza kolejne skutki brexitu dla Republiki: – Niski kurs funta sprawił, że przedsiębiorcom trudniej eksportować towary do Wielkiej Brytanii. I nie chodzi wyłącznie o wielkie sektory. Upadło już grzybiarstwo, wrażliwe nawet na pięcioprocentowe wahania cen.

W istocie funt stracił już jedną piątą swojej wartości.

Rządowe agencje alarmują, że gdyby doszło do tzw. twardego brexitu, wtedy sam tylko przemysł mleczarski w Republice Irlandii może stracić 47 mln funtów. Ale wiele firm ociągało się z przygotowaniami do brexitu. Morgenroth: – Nic dziwnego. Przygotowania oznaczały inwestycje, a nikt nie lubi wydawać pieniędzy na coś, o czym nie wiadomo, czy się w ogóle wydarzy.

Szlakiem pomników

Pora na spacer po Londonderry.

Pod koniec XIX w., po klęsce Wielkiego Głodu – zabił on półtora miliona Irlandczyków, a drugie tyle zmusił do emigracji – do miasta zaczęli przybywać mieszkańcy ze wsi w hrabstwie Donegal, niemal wyłącznie katolicy. Osiedlali się poza murami, w dolinie i na wzgórzach na wschód od centrum. Tak powstała robotnicza dzielnica Bogside.

Kiedyś Londonderry było znane z produkcji armat. Niedawno na murach umieszczono tablicę ku pamięci „wszystkich tych, którzy zginęli od broni wyprodukowanej w tym mieście". Ale stare armaty na murach są wciąż symbolicznie wycelowane w Bogside. W miejscu, gdzie obwarowania przechodzą przez protestanckie osiedle The Fountain, ze szczytu murów widać pub, boisko piłkarskie i kino. Ot, zwyczajną część miasta. Od osiedla katolickiego mury oddziela jednak łąka i dolina – tak jakby ta dzielnica wciąż była odepchnięta od miasta.

Sama Bogside zaś intryguje – bo wycieczki turystów przechodzą obok domów, gdzie wciąż mieszkają ludzie bezpośrednio dotknięci przez wydarzenia sprzed lat. W czasie konfliktu zginęło tu

z rąk brytyjskich żołnierzy 46 cywilów i drugie tyle członków irlandzkich ugrupowań paramilitarnych. Niewiele jest rodzin, które ominęłaby tragedia.

Szlak zwiedzania wyznaczają pomniki. Najpierw Seána Keenana, republikańskiego działacza, który między rokiem 1940 i 1972 spędził w brytyjskim internowaniu 15 lat, choć nigdy nie uznano go za winnego przestępstwa (na warunkowe zwolnienie sąd zgodził się dopiero na miesiąc przed upływem terminu internowania, aby Keenan mógł wziąć udział w pogrzebie syna zastrzelonego przez brytyjską armię).

Jest też pomnik poświęcony strajkom głodowym w Long Hesh, w więzieniach Parkhust i Wakefield, w wyniku których zmarło 12 Irlandczyków. Jest pomnik „ochotników" – jak nazywano członków IRA. Jest pomnik INLA – drugiej najstarszej organizacji paramilitarnej, którą utworzyli członkowie tzw. Oficjalnej IRA po tym, gdy podpisano porozumienie rozejmowe. I wreszcie – jest pomnik ofiar Krwawej Niedzieli z 1972 r.

Pół wieku „Wolnego Derry"

30 stycznia 1972 r. oddział brytyjskich spadochroniarzy otworzył ogień do nieuzbrojonych uczestników pokojowego marszu przeciw internowaniom. Żołnierze zabili 14 Irlandczyków, mężczyzn i chłopców, oraz ranili dalszych 17 osób.

Przez lata Londyn utrzymywał, że strzelano do uzbrojonych ludzi. Dopiero w 2010 r., po powtórnym śledztwie i długich staraniach rodzin ofiar przyznano, że wszyscy zabici byli nieuzbrojeni, a otwarcia ognia „nie da się usprawiedliwić". Wydarzenia te przeszły do historii pod nazwą Krwawej Niedzieli. Pisano o nich książki i poezje, irlandzki zespół U2 nagrał znaną piosenkę. Dla Bogside Krwawa Niedziela stanowiła coś w rodzaju mitu założycielskiego, do dziś budującego tożsamość dzielnicy.

Inny symbol tej części miasta to murale. Najsłynniejszy powstał równo pół wieku temu, gdy na ścianie jednego z domów wypisano hasło „*You Are Now Entering Free Derry*" (Wkraczasz właśnie na teren Wolnego Derry).

W tej okolicy starcia uliczne zdarzały się regularnie, barykady rozbierano i budowano na nowo. W 1971 r., jeszcze przed Krwawą Niedzielą, „Wolne Derry" powstało naprawdę: przez 11 miesięcy teren ten *de facto* znajdował się poza brytyjską kontrolą. Od tego czasu ponad sto tysięcy protestantów – w obawie przed przemocą ze strony irlandzkich katolików – przeniosło się na drugą stronę rzeki. Dziś nie tylko Bogside, ale też całe śródmieście Londonderry jest w 99 proc. katolickie.

Na murach Londonderry wisi tablica ku pamięci „wszystkich, którzy zginęli od broni wyprodukowanej w tym mieście". Ale stare armaty na murach są wciąż **symbolicznie wycelowane w dzielnicę Bogside.**

Dopiero „Operacja Motorman" – regularna ofensywa w lipcu 1972 r., z udziałem 5 tys. żołnierzy, czołgów i pojazdów opancerzonych – zakończyła istnienie „Wolnego Derry". Odnawiany co jakiś czas napis przetrwał likwidację ulicy; dziś dołącza się do niego inne polityczne deklaracje.

– To pewnie przypadek, że właśnie teraz, tuż przed datą brexitu ogłoszono, że jeden z byłych żołnierzy, którzy strzelali do demonstrantów w 1972 r., będzie sądzony. Widać jednak, że pewne narracje z przeszłości zaczynają być kwestionowane. Pojawiają się szokujące interpretacje – mówi Paul Stafford.

Rzeczywiście: do dwunastu murali odnoszących się do konfliktu – oraz tych z wizerunkami Mahatmy Gandhiego, Matki Teresy czy Nelsona Mandeli – dołączają te promujące marksizm, hasła poparcia dla różnych stron konfliktu na Bliskim Wschodzie. Eamonn McCann, związany z Bogside 76-letni dziś polityk i jeden z współtwórców ruchu praw obywatelskich, coraz więcej mówi o amerykańskim imperializmie, a po aneksji Krymu bronił „prawa do samostanowienia" mieszkających tam Rosjan.

Ktoś znów może zginąć

Gdy w słuchawce ustaje wiatr, pytam prof. Edgara Morgenrotha, co może się stać na Północy po brexicie.

– Grupy aktywne w czasie Troubles, nacjonaliści czy republikanie, one nigdy nie zniknęły – mówi. – Pozostawały w uśpieniu. Teraz są bardziej aktywne. I to jest powód, dla którego musimy uniknąć nowych kontroli na granicach. Nie chodzi tutaj tylko o gospodarkę. Dla niej byłoby to trudne, ale to nie koniec świata. Musimy uniknąć nowej twardej granicy dzielącej wyspę, bo znów ktoś może zginąć. W styczniu przed budynkiem sądu w Derry eksplodowała już bomba...

W tym miejscu wraca sprawa ostatnich tajemniczych wydarzeń na granicy. – Co kilka dni słyszymy o kradzieży bankomatu. Wcześniej tego nie było. Obawiam się, że to grupy paramilitarne pilnie poszukują gotówki. A jedyny powód, dla którego mogą jej potrzebować, to chęć zdobycia funduszy na zakup broni – prof. Morgenroth tłumaczy to spokojnym tonem, jakby wyjaśniał studentom, co to jest popyt, a co podaż.

Wie, o czym mówi. W latach 90. pracował w Irlandii Północnej. Codziennie sprawdzał swój samochód, czy nie podłożono pod nim bomby. Aż wiosną 1998 r. podpisano porozumienie wielkopiątkowe, które zakończyło tę pełzającą wojnę.

– Nie wszystkich dawnych bojówkarzy złapano. Była amnestia, niektórym darowano kary. Upłynęło trochę czasu, pozostali wyszli z więzień. Oni tutaj są. Mógłbym panu wskazać palcem tych, którzy mieszkają w mojej okolicy – dodaje Morgenroth.

– Dopiero brexit i porozumienie konserwatystów z politykami DUP przypomniały wielu Brytyjczykom o Irlandii Północnej – twierdzi z kolei Paul Stafford. – Ale też szybko ich zmęczyły. Wielu myśli dziś, że jeśli granica ma być problemem, to już lepiej niech Północ przyłączy się do Republiki.

Czy tak się kiedyś stanie? Na razie zostają paradoksy. Mimo brexitu Republika Irlandii jeszcze nigdy nie czuła się tak pewnie w Europie jak teraz. Wskaźniki poparcia dla Unii są tu nawet wyższe niż w Polsce: aż 64 proc. obywateli Republiki Unia kojarzy się dobrze. „Brexit" – czyli „British exit" – to nazwa myląca, nie ma bowiem w niej Irlandii, kraju, który może najbardziej doświadczyć jego skutków. I paradoks trzeci: w brytyjskim referendum w 2016 r. większość mieszkańców Północy głosowała za pozostaniem w Unii Europejskiej.

Im bliżej granicy z Republiką, tym bardziej chcieli zostać. ©℗ MARCIN ŻYŁA

SAMUEL DE ROMAN / GETTY IMAGES

Elektrycznym skuterem można poruszać się tutaj szybciej niż samochodem. Madryt, 1 kwietnia 2019 r.

Hiszpańska stolica walczy o powietrze

KATARZYNA MOŁONIEWICZ Z MADRYTU

Ochrzczono go swojskim mianem „boina" – beret. Faktycznie: czasem madrycki smog jest wielki jak berety w Kraju Basków. Wtedy Ratusz ogłasza „scenariusz piąty": najwyższe zanieczyszczenie i najostrzejsze restrykcje.

Moja pierwsza madrycka zima, wiele lat temu. Wynajmuję pokój w dużym mieszkaniu w centrum. Razem z resztą domowników spędzam czas wolny od pracy przy okrągłym stoliku w salonie, przykrytym ciężką serwetą do ziemi. Pod stolikiem elektryczny piecyk, przy którym grzejemy okryte serwetą nogi i oglądamy telewizję. Innego źródła ciepła nie ma.

Wraz z awansem zawodowym przeskakuję kilka stopni w hierarchii grzewczej Madrytu i przeprowadzam się do mieszkania z centralnym ogrzewaniem, gazowym. Jak sama nazwa wskazuje, jest sterowane centralnie, co oznacza, że ciepło jest przez kilka godzin rano, a potem kilka godzin po południu. W nocy nie grzeją, bo zdrowo jest spać w chłodzie.

To nie ogrzewanie i przestarzałe piece są źródłem madryckiego smogu. Ci sami mieszkańcy hiszpańskiej stolicy i okolic, którzy oszczędzają na gazie i elektryczności, kupują na kredyt duże auta. W aglomeracji madryckiej jest ich prawie 4 miliony. Średni wiek auta to ponad 11 lat. Według organizacji Ekolodzy w Akcji – 80 proc. smogu w stolicy ma źródło w ruchu samochodowym.

Beret nad miastem

Ośnieżone szczyty gór Guadarrama widać z wielu punktów Madrytu, jednej z najwyżej położonych europejskich stolic. Wjeżdżając do miasta z jeszcze wyżej położonych peryferii, widać unoszącą się szaroróżową chmurę trujących substancji. Ochrzczono ją swojskim mianem: *boina*, czyli beret. Czasem jest on mniejszy, a czasem wielki jak te noszone w Kraju Basków. Zakrywa wtedy nie tylko stolicę, ale i okoliczne miejscowości, do których wielu madrytczyków przeprowadziło się w poszukiwaniu świeżego górskiego powietrza.

Z beretem najlepiej radzą sobie deszcz i wiatr. Najgorzej jest przy dobrej pogodzie, wyżowej, bez opadów.

Przez dziesięciolecia struktura miejska rozlewała się coraz szerzej, aż znikł zupełnie południowy model miasta o zwartej zabudowie. Deweloperzy kupowali tanio tereny na peryferiach i wznosili gigantyczne osiedla, których mieszkańcy mają często po dwa auta na rodzinę. Samochód jest totemem, symbolem statusu i wolności. Publiczne pieniądze inwestuje się w coraz większą liczbę szos, obwodnic, arterii szybkiego ruchu. W długich godzinach szczytu te symbole wolności stoją uwięzione w monstrualnych korkach na drogach szybkiego ruchu i uwalniają do atmosfery dwutlenek azotu.

Dwutlenek azotu to słowo-klucz smogowego leksykonu. Gdyby słowem roku 2018 nie został w Hiszpanii mikroplastik, mógłby nim być równie dobrze dwutlenek azotu.

Carmena mówi: teraz Madryt!

Wifredo, inżynier telekomunikacji: – Żadna ekipa przed nią nie zrobiła nic. Przeciwnie. Fałszowali dane o zanieczyszczeniu, bagatelizowali, kpili, że na coś przecież trzeba umrzeć.

Flor, nauczycielka chemii: – Moim autem nie mogę parkować w centrum, ale trudno. Carmenę popieram bezwarunkowo, bo ona pierwsza zaczęła walczyć o dobre powietrze.

W 2015 r. burmistrzynią Madrytu zostaje Manuela Carmena, 71-letnia była komunistka i emerytowana sędzia, rodowita *madrileña*. Wygrywa z ramienia Ahora Madrid (Teraz Madryt), ugrupowania o rodowodzie obywatelskim i antysystemowym, o którym nikt wcześniej nie słyszał, bo powstało doraźnie na potrzeby wyborów. W ten sposób kończy się 25-letni okres rządów w stolicy konserwatywnej Partii Ludowej. Pogromcą prawicy zostają nie umiarkowani socjaliści, jak dotąd w Hiszpanii bywało, lecz lewicowi aktywiści miejscy spod znaku Podemos (Możemy), partii wyrosłej z tzw. ruchu oburzonych.

Babcia Manuela działa szybko. Jej sztandarowym projektem jest Madryt Centralny, strefa niskiej emisji w starym centrum. Projekt jest częścią radykalnego Planu Walki o Czyste Powietrze.

Kto wjedzie, a kto nie?

Antysmogowe restrykcje dotyczą tzw. almendry (migdału): obszaru wewnątrz obwodnicy M-30, wielkiej autostrady okalającej miasto. Najostrzejsze wprowadzono w ścisłym centrum, w świeżo utworzonej strefie Madrid Central. Na 472 hektarach zostaje drastycznie ograniczony ruch samochodowy. Pierwszeństwo zyskują piesi, rowery i komunikacja miejska. Ratusz dąży do tego, żeby centrum stało się płucami miasta.

Na pytanie, jaki masz samochód, nie podaje się już marki. Nieważne, czy to luksusowe audi, czy skromny opel corsa. Istotna jest kwalifikacja ekologiczna, potwierdzona okrągłą naklejką. Niebieskie „Zero" to pojazdy elektryczne, niebiesko-zielone „Eco" to hybrydy. Etykietkę „C", zieloną, mają auta na benzynę wyprodukowane po 2006 r. i diesle po 2014 r. Żółte „B", których jest większość, to benzyniaki z lat 2000-05 i diesle z lat 2005-14. Pozostałe auta uznaje się za szkodliwe dla środowiska. Jako takie nie posiadają etykietki ekologicznej i nie mają prawa poruszać się po centrum. Wyjątek zrobiono dla rezydentów, osób z ograniczoną mobilnością, karetek i służb miejskich.

Ale wjechać do centrum to nie wszystko, trzeba jeszcze zaparkować. „I tu jest kot pogrzebany" – jak mówi się po hiszpańsku. Nawet ci, którzy mają prawo wjazdu, muszą wiedzieć zawczasu, że parkowanie jest dozwolone tylko na wyznaczonych podziemnych parkingach. Chyba że ma się pojazd elektryczny.

Luisa, dyrektorka departamentu w dużej instytucji państwowej w centrum: – Od lat jeżdżę do pracy metrem. W mojej instytucji nie znam osoby, która przyjeżdżałaby teraz autem. Musiałaby zaparkować na parkingu podziemnym, a kto będzie płacił 30 euro dziennie? Auta używam tylko poza Madrytem, zresztą moje jest stare, do centrum bym nie wjechała. Niektórzy moi koledzy używają elektrycznych rowerów.

Flor: – Zanim zorientowaliśmy się, jak to działa, prawie wszyscy dostaliśmy po kieszeni za złe parkowanie. Przy wjeździe do centrum auto jest fotografowane i z góry masz mandat. Żeby ten mandat unieważnić, musisz zaparkować na którymś z podziemnych parkingów. W sobotę wieczorem zdarza się, że wszystkie parkingi są pełne i musisz wyjechać poza strefę, ale mandat już zarobiłeś. Tak było nawet lepiej, bo ludzie szybciej się nauczyli nowych zasad.

Daria, tłumaczka, mieszka pod Madrytem: – To był chaos. Nagle okazało się, że jest cała masa różnych norm, o których trzeba wiedzieć. Ratusz wprowadził je na hurra i ludzie byli zdezorientowani. Tu chodziło bardziej o efekt propagandowy niż o realną walkę ze smogiem.

Wifredo: – Z etykietkami na auta nie było żadnego problemu. Większość ludzi dostała je pocztą od urzędu miasta. Jak nie wiesz, w której jesteś kategorii, to wystarczy, że wpiszesz na stronie swój numer rejestracyjny.

Scenariusze dla miasta

Kolejne słowo-klucz to scenariusz, scenariusz smogowy. Jest ich pięć. Scenariusz piąty oznacza najwyższy stopień zanieczyszczenia i najostrzejsze restrykcje. Przy niekorzystnym scenariuszu może się zdarzyć, że tylko auta elektryczne będą mogły swobodnie poruszać się po mieście, choć taka sytuacja jeszcze się nie zdarzyła.

Ratusz ogłasza codziennie scenariusz na kolejny dzień. Wielu mieszkańców Madrytu i okolic śledzi do późna stronę internetową miasta, żeby dowiedzieć się, co ich czeka. Czy pojadą do pracy samochodem, czy podmiejską kolejką, czy dzieci trzeba będzie obudzić wcześniej, czy będą mogły pospać dłużej. Czy obwodnicą będzie można jechać 90 km na godzinę, czy tylko 70.

Eva, dyrektorka szkoły: – Dla mnie było coś upokarzającego w tym wyczekiwaniu do późna na ogłoszenie scenariusza. W zeszłym roku kupiłam sobie hybrydę, żeby mieć większą swobodę. Kiedy jest większe zanieczyszczenie, ograniczają też prędkość na obwodnicy do 70 km. To absurd, bo w ten sposób ludzie dłużej jadą i jest większa emisja spalin.

Marisa, nauczycielka: – Moim zdaniem za dużo tych norm i scenariuszy. Czy nie lepiej by było, gdyby prędkość na obwodnicy ograniczyć do 70 km/h zawsze, niezależnie, czy smog jest większy, czy mniejszy? Poza tym wiadomo, że największe zanieczyszczenie powodują nie mieszkańcy Madrytu, którzy już dawno przerzucili się na komunikację miejską, ale przyjezdni. Uważam, że trzeba zwiększyć ograniczenia wjazdu do miasta.

Andrés, prawnik: – Już pięć lat temu kupiłem sobie hybrydę. Nie dlatego, by uniknąć restrykcji, ale świadomie, by mniej truć. Fakt, zawsze jeździłem do pracy autem. Moje biuro jest w granicach Madrid Central i hybrydą mogę wjechać bez problemu. Za parking płaci firma.

Piesi górą

Wtorek, jedenasta rano. Wysiadam z metra przy Gran Via, zwanej madryckim Broadwayem, ulicy kin, teatrów muzycznych i sklepów. Burmistrzyni zrealizowała tu swój wielki projekt zwany peatonalizacją.

To słowo, kolejne w antysmogowym słowniczku, nie ma dobrego polskiego odpowiednika. Chodzi o przekształcanie ulic w deptaki dla pieszych. Pierwszą reakcją na takie inicjatywy jest zawsze protest właścicieli sklepów, którzy argumentują, że stracą klientów, gdy ci nie będą mogli dojeżdżać samochodem.

Od niedawna Gran Via ma szerokie na dziewięć metrów chodniki, sygnalizację świetlną w stylu retro, drewniane ławeczki i secesyjne latarnie. Jezdnia skurczyła się do dwóch pasów w każdym kierunku. Protesty właścicieli lokali trwają do dziś, ale liczba ludzi przetaczających się przez tę emblematyczną madrycką ↦

arterię nie wskazuje, by mieli stracić klientelę. Można by pomyśleć, że ulicą idzie jakaś wyjątkowo liczna manifestacja, ale to zwykły w tym miejscu ruch we wtorkowe przedpołudnie.

Elena, urzędniczka: – Ulica, przy której pracuję, została całkiem zamknięta dla ruchu. Po raz pierwszy możemy otwierać okna. Przedtem się nie dało, taki był smród i hałas. To stare centrum, z wąskimi ulicami i kamieniczkami. Czuję się teraz jak w małym miasteczku. Niedawno odwiedziła mnie przyjaciółka, która mieszka od jakiegoś czasu za granicą. Madryt wydał jej się inny, przyjaźniejszy, piękniejszy, choć nie wiedziała, dlaczego. Dla mnie jest oczywiste, że to dlatego, iż nie ma korków, hałasu, samochodów zaparkowanych równolegle w dwóch rzędach. Po hiszpańsku jest nawet takie określenie: zaparkować w pierwszym, drugim, albo i w trzecim rzędzie.

Małe i elektryczne

Gdy spaceruję po wielokulturowym Lavapies, przejeżdżają obok bezszelestne smarty i kie. Ulicami Madrytu jeździ coraz więcej samochodów elektrycznych. Ich właścicielami rzadko są osoby prywatne, w większości to firmy carsharingowe. W chwili obecnej działa ich w stolicy cztery, wśród nich światowy lider Car2go, a łączna pula samochodów wynosi 2450. Auta wypożycza się jak miejskie rowery i zostawia tam, gdzie użytkownikowi pasuje.

Idealnym scenariuszem jest nie tylko zamiana samochodów benzynowych na elektryczne, ale współdzielenie auta, przestawienie się z własności na usługę. Samochód był jednak przez tyle lat symbolem statusu, że ta zmiana okaże się pewnie najtrudniejsza.

Jorge, taksówkarz: – Jeżdżę od dwóch lat autem elektrycznym, więc ograniczenia w ruchu mnie nie dotyczą. Ale infrastruktura jest cały czas słaba. Punktów szybkiego ładowania jest mało albo miesiącami stoją zepsute. Są dzielnice, gdzie nie mam jak naładować samochodu i tracę klientów. Albo nie mogę naładować baterii w stu procentach, bo jest ograniczenie czasowe do 45 lub 30 minut.

Pociąg polityczny

Choć smog jest obiektywnie mierzalny i jego konsekwencje dla zdrowia również, stosunek do działań Ratusza jest polityczny i emocjonalny. Sympatia bądź niechęć moich rozmówców dla inicjatyw burmistrzyni zależy bezpośrednio od ich sympatii politycznych.

O ile w Ratuszu rządzi lewica, to władze regionalne Madryckiej Wspólnoty Autonomicznej są w rękach konserwatywnej Partii Ludowej. Obie administracje podstawiają sobie wzajemnie nogę przy każdej okazji. Prawica grzmi, że ograniczenia w ruchu są zamachem na swobody obywatelskie. Ratusz konsekwentnie realizuje, punkt po punkcie, swój program.

KATARZYNA MOŁONIEWICZ

Oznaczenie na jezdni informuje, że tutaj zaczyna się Madryt Centralny: strefa niskiej emicji w starym centrum. Madryt, 2019 r.

Javier, wykładowca uniwersytecki: – Uniwersytet Autonomiczny, na którym pracuję, jest właściwie poza miastem, ale wolę dojeżdżać do pracy metrem. Mam wrażenie, że od czasu wprowadzenia w życie przez Ratusz planu antysmogowego częstotliwość pociągów jest mniejsza, choć powinno być odwrotnie. Metro zależy od Wspólnoty Autonomicznej, czyli od Partii Ludowej, a ta chce nastawić wyborców przeciwko Carmenie. Autobusy zależą od miasta, a kolej podmiejska od rządu. Przy takim podziale kompetencji łatwo robić zamieszanie.

Mercedes, księgowa: – Mieszkam pod Madrytem i widzę, że zanieczyszczenie nie kończy się na granicy miasta, więc działania powinny być wspólne. Teraz wyrzuca się ruch z centrum i przenosi problem na peryferie. Kiedy miasto ogłasza scenariusz alarmowy, powinno się od razu zwiększyć częstotliwość kursowania komunikacji publicznej, a tak nie jest. Politycy prowadzą ze sobą wojnę i wszyscy na tym cierpimy. Bo oni przecież też.

Rewolucja z asekuracją

Mam przed sobą mapę gęsto utkanej sieci madryckiego metra, które w tym roku obchodzi stulecie. O ileż łatwiej robić rewolucję antysmogową, gdy ma się w odwodzie 12 linii i 301 stacji. Plus dziesięć linii i 89 stacji szybkiej kolei podmiejskiej.

Andrés: – Nawet jeśli w następnych wyborach zmieni się ekipa, to ludzie już nie dadzą sobie wmówić, że smog jest wymysłem ekologów.

Tymczasem jest jeszcze dużo do zrobienia. Madryt, choć ma warunki pogodowe lepsze niż Amsterdam, nie jest miastem rowerzystów. Ścieżek rowerowych jest mało albo biegną kuriozalnie środkiem jezdni, niezabezpieczone przed samochodami.

Pozostało też jeszcze trochę pieców węglowych, ale mają zniknąć od 2020 r. – Hiszpania, tradycyjny kraj górniczy, rezygnuje z węgla i likwiduje prawie wszystkie kopalnie.

Auta i ludzie

Projekt Madrid Central wszedł w życie cztery miesiące temu. I zadziałał, mimo że w okresie pierwszych trzech miesięcy nie karano mandatami kierowców samochodów nieposiadających prawa wjazdu.

Organizacje mieszkańców i eksperci są zgodni, że nie sprawdziły się apokaliptyczne wizje wymarłego miasta oraz upadających sklepów i restauracji. Od połowy marca miękka perswazja została poparta twardymi sankcjami: 90 euro za nieuprawniony wjazd.

Efekt: mimo niesprzyjających warunków atmosferycznych poprawiła się jakość powietrza.

Idę uliczką hipsterskiej dzielnicy Malasaña i próbuję sobie przypomnieć, jak wyglądała jeszcze niedawno, pełna trąbiących samochodów. Dumna z metamorfozy mojego przybranego miasta, zaczepiam wychodzącą z kamienicy señorę: – Jak wspaniale, wreszcie jest czysto i spokojnie!

– Wspaniale? – mierzy mnie wzrokiem kobieta. – Czy ty wiesz, co się tutaj teraz dzieje? Dzień i noc łażą mi ludzie pod oknami. I się drą. Ja już chyba wolałam samochody. © KATARZYNA MOŁONIEWICZ

SEAN GALLUP / GETTY IMAGES

Postój udręczonych ojców

AGNIESZKA KAMIŃSKA Z ZURYCHU I BERNA

Przemoc domowa nie jest przypisana do jednej płci: w Szwajcarii co piąta ofiara agresji w związku to mężczyzna. Przełamywanie tabu to element szerokiej debaty o równouprawnieniu.

Oliver Hunziker ma 54 lata i jest informatykiem w niewielkiej firmie elektrotechnicznej w Zurychu. W niemieckojęzycznej części Szwajcarii znany jest jako polityk i działacz na rzecz praw ojców. Od 10 lat pomaga też mężczyznom-ofiarom przemocy domowej.

W jego przypadku wszystko zaczęło się od rozwodu. Hunziker: – Ponieważ zajmowałem się dziećmi o wiele częściej niż żona, myślałem, że będzie dla nich lepiej, jeśli po rozwodzie zostaną ze mną, w naszym, do tej pory wspólnym mieszkaniu. O to wnioskowałem podczas rozprawy przed sądem rodzinnym. Tymczasem dostałem trzy dni na opuszczenie mieszkania. Wtedy pojawił się sprzeciw: o nie, tak po prostu nie może być.

Problem ciągle wstydliwy

Wszelkie formy agresji, do których dochodzi w rodzinie, są w Szwajcarii od 2004 r. przestępstwem ściganym z urzędu. Ponadto w 2018 r. kraj ratyfikował Konwencję Rady Europy ze Stambułu, która zobowiązuje do zapobiegania i zwalczania wszelkich form przemocy wobec kobiet, w tym przemocy domowej.

W dokumencie jest mowa o kobietach, gdyż to one cierpią najczęściej. Ale przemoc nie zawsze ma męskie oblicze. W 2017 r. (z tego okresu pochodzą najnowsze dane) w całej Szwajcarii, liczącej 8,5 mln obywateli, policja odnotowała ponad 17 tys. czynów karalnych popełnionych w domu. Jeśli chodzi o agresję w związkach, w co piątym przypadku to mężczyzna był ofiarą, a kobieta sprawczynią.

Liczby w policyjnych statystykach potwierdzają, że problem istnieje, ale agresja w czterech ścianach, której ofiarą pada mężczyzna, to temat wciąż ignorowany w publicznej debacie. Istnieje silne przekonanie, że jeśli takie rzeczy w ogóle się dzieją, są to pojedyncze historie. W rzeczywistości trudno ocenić skalę zjawiska, gdyż wielu przypadków nie da się jednoznacznie zaklasyfikować albo wcale nie zostają zgłoszone.

– Cierpienie ofiar przemocy domowej często nie wychodzi poza cztery ściany. Wstyd przed przyznaniem się do bycia ofiarą, przekonanie o własnej winie, myślenie „mogłem jej/mogłam jego nie prowokować", to wszystko powstrzymuje przed wyjściem z problemem do innych i szukaniem pomocy. Dotyczy to zarówno mężczyzn, jak i kobiet – mówi „Tygodnikowi" Hunziker.

Przecież jesteście facetami

Mężczyźnie już samo przyznanie, że jest ofiarą przemocy domowej, przychodzi trudno.

Hunziker: – Choć nie jesteśmy kulturą macho, to w społeczeństwie wciąż silnie zakorzeniony jest pogląd, że bycie mężczyzną wyklucza bycie ofiarą. Ci, którzy się do nas zgłaszają, próbowali wcześniej szukać pomocy na policji. Usłyszeli, że przecież są facetami, to niech sobie radzą.

Reakcje policji na takie zgłoszenia są różne. Pobłażliwe komentarze to jedno. Zdarza się też, że winę przypisuje się ofierze. – Często mężczyzna przez długi czas znosi agresję psychiczną i fizyczną, a frustracja, gniew, bezsilność narastają aż do ↦

↦ momentu, gdy nie wytrzymuje i zaczyna się bronić. Ponieważ zwykle jest silniejszy fizycznie, dopiero akt samoobrony sprawia, że wszystko wychodzi na jaw. Nikt nie pyta, co działo się wcześniej – mówi Hunziker.

Psychologowie przyznają, że trzech na czterech mężczyzn z historią domowej przemocy to jednocześnie i sprawcy, i ofiary. W wielu przypadkach trudno wskazać palcem, kto w rodzinie jest winny eskalacji konfliktu.

Szantaż emocjonalny, groźby, wyzwiska, policzek, szarpanie, gryzienie, plucie... Stereotyp kobiecej przemocy w wersji *soft* nie ma potwierdzenia w faktach. Podobnie jak przekonanie o tym, że ofiarami są jedynie słabeusze. Procent ciężkich pobić mężczyzn jest co prawda niski, ale rośnie w przypadku aktów przemocy z użyciem ostrych narzędzi.

Tymczasem mężczyźni często bagatelizują przemoc fizyczną ze strony partnerek. „To nic, przecież nawet nie bolało, jakoś to zniosę" – myślą. Dlatego w wielu rodzinach agresja trwa latami. Aż do momentu, gdy wydarzy się tragedia.

Międzylądowanie

Ogólna zasada, jeśli chodzi o interwencję w domu, głosi: „*Wer schlägt, der geht*" (Kto bije, ten odchodzi). Ale jeśli w rodzinie są dzieci, a zachowanie matki nie zagraża ewidentnie ich zdrowiu czy życiu, rzadko kiedy odchodzi ona. „Mężczyźni często sami wtedy usuwają się z drogi, aby załagodzić sytuację. Idą spać do kolegi lub rodziców" – mówi Bernhard Graser, rzecznik policji kantonu Argowia.

Osoba, która opuszcza wspólne mieszkanie, może otrzymać sądowy zakaz powrotu do domu nawet do dwóch tygodni. Dlatego Oliver Hunziker stworzył ZwüscheHalt (postój, przystanek, międzylądowanie). To jedna z pierwszych w Europie sieci domów pomocy dla mężczyzn-ofiar przemocy domowej, do których można także przyjść z dziećmi.

Pierwszy taki ośrodek powstał w Aarau, stolicy Argowii. Kolejne otwarto w Bernie i Lucernie. Łącznie mogą pomieścić ok. 20 osób. W 2017 r. schronienie znalazło w nich 29 mężczyzn i sześcioro dzieci.

Hunziker: – Przychodzą bezrobotni, finansiści i wykładowcy akademiccy. Szwajcarzy i obcokrajowcy. Jedni wyprowadzają się po kilku tygodniach, inni zostają dłużej, średnio przez trzy miesiące. Mieliśmy takiego, który wracał trzy razy.

MATERIAŁY PRASOWE

Oliver Hunziker

Prócz dachu nad głową, dostają pomoc psychologiczną i prawną. Przede wszystkim jednak chcą, żeby ktoś ich wysłuchał.

Bez pieniędzy od państwa

Oto kilka historii mieszkańców ZwüscheHalt.

„Przeprowadził się z Chile. Żona pracowała, a on był w domu z dziećmi. Nie znał języka, nie miał znajomych i własnych pieniędzy. Któregoś dnia po prostu kazała mu się wynosić. Wylądował na ulicy".

„Postawny, szpakowaty, po pięćdziesiątce. Typ kulturysty. Chciał wybiec z domu, ale nie zdążył. Wbite w plecy ostrze trafiło głęboko między żebra. Trzy tygodnie dochodził do siebie w szpitalu".

„Już nigdy nie zobaczysz dzieci, zostaniesz z niczym – słyszał miesiącami, prawie codziennie. Szarpanie, wyzwiska, płacz. Po kolejnej interwencji policji musiał wynieść się z domu. Nie zdążył nawet zabrać kurtki".

Koniec listopada 2018 r. Setki kobiet już po raz dziesiąty wychodzą na ulice Zurychu w ramach corocznej kampanii społecznej „16 dni przeciw przemocy wobec kobiet". „Prawa kobiet to prawa człowieka" – widnieje na transparentach. Mężczyźni nie wychodzą na ulicę z hasłami „Żona plunęła mi w twarz". Trudno wyciągnąć z nich osobiste historie, nie dzielą się nawet swoimi imionami.

W Szwajcarii działa 25 ośrodków z programami psychologicznej pomocy dla sprawców przemocy domowej. Dziewięć z nich ma ofertę również dla kobiet, z czego tylko jeden przeznaczoną wyłącznie dla sprawczyń.

Domy pomocy dla męskich ofiar przemocy domowej nie dostają wsparcia finansowego od państwa, utrzymują się dzięki dotacjom. Jeden, ten pierwszy w Aarau, niedawno zamknięto. Trwają poszukiwania nowego lokum.

Skoro bije, to ma powód

Berno, uznawane za faktyczną stolicę (Szwajcaria nie ma stolicy *de iure*), to miejsce, gdzie próbuje się przełamać społeczne tabu.

Niedawno na ulicach miasta przechodnie mogli zobaczyć posiniaczone ciało mężczyzny. Na plakatach. To zorganizowana przez lokalne władze kampania, która ma uwrażliwić mieszkańców na problem i przypomnieć o istnieniu miejsc, do których można się zwrócić o wsparcie. W 2017 r. do miejskiego ośrodka pomocy ofiarom przemocy w Bernie zgłosiło się 257 osób, w tym 14 mężczyzn. Kolejnych 50 określiło się jako i sprawcy, i ofiary jednocześnie.

Niedawno mieszkańcy berneńskiego kantonu zdecydowali w referendum o nowych przepisach, które pozwalają na wydanie zakazu zbliżania się sprawcy przemocy domowej do ofiary i kontaktu z nią.

Zdaniem Olivera Hunzikera samo prawo to nie wszystko, ważny jest sposób jego egzekwowania: – Przepisy są w porządku, ale państwo, czyli organy ścigania, urzędy i sądy traktują problem niezwykle jednostronnie. Działaniom urzędników przyświeca niewyrażone wprost przekonanie, że jeśli kobieta bije, to na pewno ma powód, a tym powodem jest mężczyzna. Możemy tutaj mówić o dyskryminacji ze względu na płeć – mówi działacz.

Choć fachowe wsparcie jest dostępne, to szacuje się, że po pomoc zwraca się jedynie 20 proc. mężczyzn poszkodowanych w rodzinie. Obawy przed niesprawiedliwym wyrokiem i pogorszeniem sytuacji materialnej powstrzymują ich od przerwania toksycznej relacji i szukania pomocy.

Duży jest też strach przed utratą kontaktu z dziećmi. – W tego typu sprawach priorytetem dla wymiaru sprawiedliwości jest dobro dziecka. Robi się wszystko, aby dzieci mogły zostać w domu, co w Szwajcarii wciąż często oznacza: z matką – mówi „Tygodnikowi" Katrin Napierkowski, adwokatka z zuryskiej kancelarii prawnej.

Tradycyjny model w głowach i w prawie

– Pod uwagę bierze się również to, który z rodziców ma wyższe zarobki i większą szansę na znalezienie sobie innego mieszkania – dodaje Napierkowski.

Tym rodzicem zwykle jest ojciec. Tradycyjny model rodziny, w którym kobieta pełni rolę opiekunki, a mężczyzna żywi-

ciela, wciąż tkwi jeśli już nie w ludzkich głowach, to w wielu elementach organizacji szwajcarskiego społeczeństwa.

Kosztowna instytucjonalna opieka nad dziećmi i specyficznie zorganizowany system szkolnictwa (m.in. częste ferie, wolne popołudnia i przerwy lunchowe) blokują matkom możliwość zarabiania pełnej pensji. Gdy w rodzinie są dzieci poniżej 4. roku życia, wtedy kobiety, jeśli w ogóle pracują, to zwykle w niepełnym wymiarze godzin. W takiej sytuacji jest 82 proc. aktywnych zawodowo matek. Tymczasem na redukcję godzin pracy decyduje się tylko 13 proc. ojców.

W ogromnej większości przypadków to na mężczyznę spada więc odpowiedzialność za materialny byt rodziny – także wtedy, gdy małżeństwo się rozpada. A odsetek rozwodów w Szwajcarii jest wysoki: o ile w 1975 r. rozpadało się 15 proc. małżeństw, o tyle dziś jest to już ponad 40 proc.

– Jeśli po rozwodzie dzieci zostają z matką i ona opiekuje się nimi w pełnym wymiarze czasu, ojciec pokrywa koszty ich podstawowych potrzeb, m.in. jedzenia, mieszkania, ubrania, ubezpieczenia. Jeśli kobieta nie pracuje lub pracuje na część etatu i nie jest w stanie utrzymać się sama, wówczas były mąż wyrównuje także jej brakujące potrzeby finansowe. Od 2017 r. dotyczy to także dzieci i partnerów w związkach nieformalnych – tłumaczy Katrin Napierkowski.

Jeszcze do 2018 r. w szwajcarskim prawie rozwodowym obowiązywała tzw. zasada 10/16. Zgodnie z tym przepisem nie można było wymagać od opiekunki – bo w praktyce chodzi o kobietę – żeby podjęła pracę, jeśli dziecko ma mniej niż 10 lat. Potem zalecało się w miarę możliwości zatrudnienie na pół etatu, a w pełnym wymiarze dopiero po osiągnięciu przez najmłodsze potomstwo wieku 16 lat.

Przepisy te prowadziły często do kuriozalnych sytuacji, gdy w liczniejszych rodzinach dobrze zarabiający mężczyzna przez wiele lat był zmuszony oddawać byłej żonie większą część zarobków. Tradycyjny model rodziny był więc ugruntowany w przepisach prawa.

Sfera publiczna, sfera domowa

O zmianę tej sytuacji – ich zdaniem dyskryminującej mężczyzn – walczyły przez długi czas szwajcarskie organizacje ojców, nazywając tutejsze prawo rodzinne luksusowym dla kobiet.

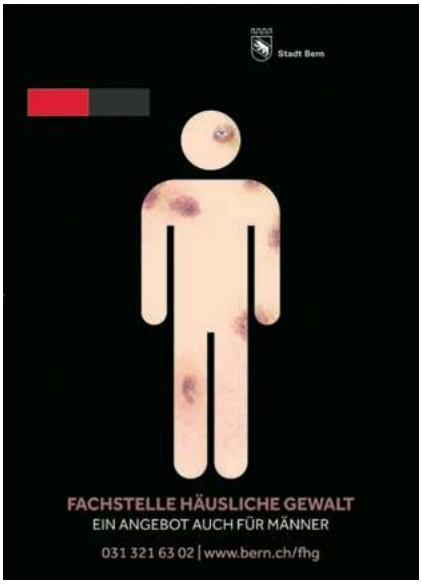

MATERIAŁY PRASOWE

Plakat z kampanii społecznej w Bernie, mającej uwrażliwić na problem przemocy domowej wobec mężczyzn.

Teraz, choć to zależy od kantonu, opiekun zobowiązany jest do podjęcia pracy już wtedy, kiedy dziecko idzie do przedszkola. To kolejna – po wprowadzeniu wspólnej władzy rodzicielskiej i prawa naprzemiennej opieki nad dzieckiem – zmiana w kierunku równouprawnienia mężczyzn i kobiet w rodzinie.

– Teraz moi klienci często starają się wypracować kompromis, dzieląc się opieką nad dziećmi np. w proporcji czasu 40/60. Wtedy oboje mogą pracować i dzielą również finansową odpowiedzialność za dziecko. To krok w dobrą stronę – mówi Napierkowski.

Jeszcze do lat 80. XX w. mężczyźni w Szwajcarii dzierżyli władzę w domu i poza nim. Nowelizacja prawa rodzinnego z 1988 r. zniosła zasadę dominującej roli ojca, decydującego również o tym, czy żona może pracować zawodowo. Od tej pory kobiety powoli zdobywały kolejne przyczółki aktywności publicznej. Dziś walka wciąż toczy się o wyrównanie zarobków, większą reprezentację kobiet w polityce i na kierowniczych stanowiskach.

W jej ferworze zapomina się czasem o ważnej rzeczy: o wpuszczeniu mężczyzn do sfery domowej na zasadach partnerskich, a nie patriarchalnych.

Urlop dla ojca poproszę

Jednym z gorących tematów w szwajcarskiej dyskusji o równouprawnieniu płci są urlopy rodzicielskie. Helweccy ojcowie są jednymi z niewielu w Europie, którzy po przyjściu na świat dziecka nie mają prawa do świadczenia opiekuńczego. Pracodawcy dają z tej okazji zwykle jeden dzień wolnego – podobnie jak na przeprowadzkę czy pogrzeb bliskiej osoby [w Polsce ojcowie mają prawo do dwutygodniowego urlopu ojcowskiego, a potem tzw. tacierzyńskiego – red.].

Travail Suisse – organizacja związkowa, zrzeszająca 150 tys. pracowników różnych branż – dąży do wprowadzenia zagwarantowanego prawnie czterotygodniowego płatnego urlopu dla wszystkich ojców.

– Miałoby to wpływ na zwiększenie obecności ojca w życiu dziecka i rozwój jego kompetencji związanych z życiem rodzinnym. Większe społeczne zaufanie do mężczyzn na tym polu to szansa na bardziej partnerskie związki. W dłuższej perspektywie mogłoby to pozytywnie wpłynąć na aktywność zawodową matek i możliwość pogodzenia przez kobiety pracy i rodziny – tłumaczy w rozmowie z „Tygodnikiem" Adrian Wüthrich, parlamentarzysta Socjaldemokratycznej Partii Szwajcarii i prezes Travail Suisse.

Wüthrich dodaje, że urlopy ojcowskie – obok poprawy oferty całodziennych żłobków i otwarcia się pracodawców na niepełnoetatową pracę mężczyzn – to element całego pakietu społecznego, który ze Szwajcarii uczyniłby kraj bardziej przyjazny rodzinom.

Inaczej widzą to pracodawcy i szwajcarski rząd: szacują, że miesięczny urlop ojcowski będzie finansowym obciążeniem dla gospodarki rzędu 420 mln franków rocznie. To głównie ze względu na pieniądze polityczna dyskusja nad świadczeniami dla ojców toczy się w Szwajcarii już od kilkunastu lat i wciąż nie jest pewne, jakie konkretne propozycje i kiedy trafią pod głosowanie obywateli (jak wiele spraw w tym kraju, także i te są rozstrzygane w referendum).

W międzyczasie naprzeciw ojcom zaczynają wychodzić instytucje publiczne. Na 20 dni wolnego mogą liczyć urzędnicy miejscy w Genewie, Neuenburgu czy St. Gallen. Sprawy w swoje ręce biorą też duże firmy: hojne urlopy ojcowskie oferują międzynarodowe korporacje, jak Google, Johnson&Johnson, Ikea czy Microsoft.

Od lipca tego roku aż 14 tygodni płatnego urlopu da ojcom farmaceutyczny gigant Novartis. To będzie szwajcarski rekord.

© AGNIESZKA KAMIŃSKA

Szklane domy na kaspijskim piasku

TEKST I ZDJĘCIA JUSTYNA MARCINKOWSKA Z BAKU

W stolicy Azerbejdżanu buduje się na potęgę. Azerowie mówią, że są dumni ze swojego kraju, a jednak masowo z niego wyjeżdżają.

Najpierw blaknie zieleń. Potem samolot kołuje nad Morzem Kaspijskim nad głowami plażowiczów. Z maszyny wychodzą ciemnoskórzy mężczyźni z czarnymi wąsami i złotymi zębami, ubrani w białe porządne koszule.

Jest wśród nich Cawidan. Z lotniska imienia Hejdara Alijewa (ojca obecnego prezydenta), aleją im. Hejdara Alijewa, przez plac im. Hejdara Alijewa, pojedzie na sowieckie blokowisko. Tam Cawidan wynajmuje do spółki z kuzynem obskurną kawalerkę.

Cawidan ma cel

Jest synem krawca z Lankaran, subtropikalnego regionu Azerbejdżanu niedaleko Iranu, słynącego z herbaty i cytrusów. Ale Cawidan odwiedza rodzinny dom tylko dwa, trzy razy w roku. W drodze powrotnej do stolicy wiezie trochę słoików z dżemem z białych wiśni, które mama wkłada mu do walizki.

W jego pokoju, w Baku, stoją dwa tapczany, stół przykryty ceratą. Na stole dwie szklanki i dwa talerze: dla niego i kuzyna. Pod oknem deska do prasowania koszuli. I hak z garniturem zawieszonym na ścianie nad łóżkiem, przygotowanym na następny dzień do pracy.

Cawidan jest kimś. Ludzi z wyższym wykształceniem w Azerbejdżanie jest niewielu. A on jest zdeterminowany, bystry i wie, czego chce. Dlatego z asystenta rektora awansował na szefa jego biura. Pracę kończy o duwdziestej pierwszej, więc do fryzjera zapisuje się na dwudziestą drugą. Tutaj to nie problem: czy ktoś chce wziąć kredyt, czy też kupić buty, do późna w nocy będzie to możliwe. W Baku panuje dziki kapitalizm.

Jesteśmy w środku Drugiego Boomu Naftowego. Cawidan mówi o wzroście PKB. A także o tym, że Azerbejdżan jest mistrzem szachowym, jako pierwszy muzułmański kraj wprowadził prawa wyborcze dla kobiet, a stolica wymieni niedługo flotę autobusów.

Odkąd kraj podpisał Kontrakt Stulecia, do Europy płynie rzeka ropy, a do Baku rzeka pieniędzy. Złoża Azerbejdżanu oszacowano na 6 bilionów baryłek ropy. Zbudowano jedne z najambitniejszych projektów na świecie: ropociąg Baku–Tbilisi–Ceyhan i gazociąg Baku–Tbilisi–Erzerum. Do 2050 r. na inwestycje przewidziano 13 mld dolarów.

Zatrudnienie w biznesie naftowym daje pieniądze, o których zwykłym Azerom się nie śniło. Ale kto nie pracuje w nafcie, ten nie ma na życie. Dlatego Cawidan trzy razy w tygodniu uczęszcza na lekcje języka niemieckiego. Chce stąd wyjechać. Mógłby przesyłać pieniądze ojcu i bratu, którzy otworzyliby sklep z własnoręcznie szytymi garniturami.

Jelena ogląda sandały

Wyjazdu Jeleny najbardziej chcą jej rodzice. Jej matka, wyfiokowana Azerka, mówiąca wyłącznie po rosyjsku, pyta o warunki w Polsce. Choć wolałaby, aby Jelena emigrowała do Norwegii – jak córka znajomych, która zatrudniła się w norweskim biznesie naftowym i przesyła pieniądze do domu.

Oprócz Jeleny chcą wyjechać też jej przyjaciółki: Samira, Safora, Sabina, Diana i Jekaterina. Wątpią, by mogły zaczepić się w Europie, do tego potrzebna jest wiza. Myślą o Rosji, skąd pochodzi część rodziny Jeleny. Już teraz żyje tam, zarobkowo, aż milion Azerów – więcej niż co dziesiąty obywatel dziewięciomilionowego kraju.

Jelena ma 30 lat, jest pół-Rosjanką, pół-Azerką. To popularny tutaj model rodziny mieszanej (choć zwykle to ojciec ma azerskie korzenie). Skończyła matematykę. Pracuje w administracji klubu sportowego, gdzie zarabia 400 manatów. W przejściu podziemnym do metra jest sklep z butami, do którego zagląda Jelena. Czeka aż sandały, które kosztowały 70 manatów, spadną do 50. To niska cena za buty – ceny w Baku są podobne do tych w Polsce.

Inne są natomiast płace. Najniższa pensja to 85 manatów, czyli ok. 180 zł. Najniższa emerytura: 65 manatów. Emerytowany lekarz dostaje 100 manatów miesięcznie (230 zł). Co prawda wynajem mieszkania kosztuje mniej niż w Warszawie, a paliwo jest dwa razy tańsze, ale droższa niż w Polsce jest importowana żywność, zwłaszcza nabiał, mięso, owoce. Dlatego Azerowie pracują od rana do nocy.

Matka Jeleny od wczesnego rana farbuje kruczoczarne włosy Azerek u siebie w domu. Potem idzie do pracy w zakładzie fryzjerskim. Po powrocie gotuje zupę z soczewicy i znów zajmuje się klientkami. Ojciec Jeleny w tym czasie pracuje na budowie. Ona wraca o osiemnastej i przyjmuje uczniów na korepetycje z matematyki.

JUSTYNA MARCINKOWSKA

Wyburzane stare kamienice w centrum Baku, 2018 r.

Kaukaski Dubaj

Tymczasem na polecenie prezydenta Baku stało się jednym wielkim placem budowy.

Stolica ma być drugim Dubajem. Miasto otoczono archipelagiem sztucznych wysp, na których stoją rezydencje naftowych baronów. Jest Azerbaijan Tower (w momencie powstania najwyższy budynek świata), Crystall Hall, budynek Eurowizji (powstał, gdy duet Ell i Nikki wygrał z piosenką „Running Scared" Eurowizję 2011). Nad miastem górują Flame Towers: trzy wieże w kształcie płomieni, podświetlone wieczorami ognistą iluminacją. Jest też Trump International Hotel & Tower, budowany przez obecnego prezydenta USA i nigdy nieukończony. Mówi się, że nad wieżowcem wisi klątwa: najpierw były problemy z gruntem, potem pożar, a na koniec plotki o powiązaniu Trumpa z irańskimi fundamentalistami.

Z powodu ropy przyjeżdżają tu biznesmeni z Anglii i Francji, szejkowie arabscy wraz z żonami w czadorach. Manat do 2006 r. był wart tyle co euro. Nikogo poza biznesmenami nie było stać, by przyjeżdżać. W Baku nie było ani jednego hostelu.

Dostatnie miasto, nieoszpecone graffiti i reklamami, o jednostajnej zabudowie z piaskowca, bez bezdomnych psów, bez żebraków i dzikiego handlu ulicznego. Za to z robiącą wrażenie architekturą. Baku okresu drugiego boomu znalazło się, według rankingu przewodnika Lonely Planet, w czołówce pięciu państw z najbardziej nowoczesną architekturą na świecie.

Nikt nie narzeka, wódz może przecież robić, co zechce. Ma ochotę na wyścigi Formuły 1 – proszę bardzo. Samochody, ku zgrozie konserwatorów zabytków, rozbijają się o XII-wieczne budynki bakijskiej starówki. Chce igrzysk – również są. Ilham Alijew aplikuje o przyznanie krajowi kolejnych imprez: letnich igrzysk olimpijskich, zawodów szachowych, paraolimpiady. W Baku od 1994 r. odbyło się ponad 500 imprez sportowych o światowym zasięgu (bilety sprzedawano często za półdarmo).

Prezydent utrzymuje kosztowną reprezentację sportowców, którzy pokazują w Europie wielkość Azerbejdżanu. Celem jest zorganizowanie czegoś spektakularnego: olimpiady. To byłoby dla dynastii Alijewów – rządzącej tym postsowieckim krajem od 1993 r. – prawdziwą legitymacją władzy.

Perłą w koronie prezydenta jest Baku – dopieszczone do granic możliwości, przynajmniej w miejscach, gdzie poruszają się turyści. Wrażenie robią nawet przejścia podziemne: wykończone marmurem, ozdobione płaskorzeźbami, czyste, jasne, schludne, przestronne, przypominające bardziej korytarze galerii handlowych. – Jak łatwo wam, Europejczykom, zaimponować – wzdycha znajomy z Baku.

Fasada i kulisy

Pod politurą nowoczesności i bogactwa znajduje się zupełnie inne Baku.

Wystarczy wejść w bramę, najdalej w sąsiednią ulicę, gdzie mężczyźni wysiadują pod sklepikami, sprzedając arbuzy i grając w domino. Rudery domów przyklejonych do siebie lśnią talerzami anten satelitarnych. Worki cebuli suszą się na balkonach. Na co drugim domku wisi szyld Awtojuma: zakład samochodowy. To zaplecze, podgrodzie stolicy, dzielnica mechaników i dzieciaków biegających na bosaka, rachitycznej roślinności i kur dziobiących w piasku.

W bocznych uliczkach zaparkowane są łady, ale to rzadki widok. Takie auta najczęściej w ogóle nie wjeżdżają do stolicy. Dominują za to na prowincji, na lokalnych drogach. Nie wszystkie mogą wjechać na autostradę. Mogą za to zawieźć do azerskich wiosek – tam dojechać można tylko autem, a drogi zbudowano jeszcze w drugiej połowie XX w.

Gdy kończy się miejsce do stawiania nowych wieżowców, władze zabierają się do wyburzania. Ich łupem padają głównie slumsy, w których koczują przesiedleńcy, ale zdarza się, że wyburza się nawet secesyjne kamienice z czasów pierwszego boomu naftowego (trwał on przez ostatnie trzy dekady XIX w.).

Tak powstało m.in. Heydar Aliyew Center, które w 2014 r. otrzymało tytuł najlepszego projektu roku londyńskiego Design Museum – mimo protestów, że budynek powstał na gruzach praw człowieka. Aby zrobić dla niego miejsce, władze wyburzyły dzielnicę i eksmitowały mieszkańców. ↦

JUSTYNA MARCINKOWSKA

Stare miasto w Baku. Na dywaniku portret prezydenta Hejdara Alijewa, założyciela „dynastii".

↦ Biała, futurystyczna bryła usytuowana jest pośród malowniczych wzgórz porośniętych trawą. Teoretycznie to centrum kultury, w praktyce budynek poświęcony zmarłemu w 2003 r. prezydentowi, pierwszemu z dynastii.

Ajran szanuje prezydenta

Chce wyjechać na Zachód, ale na razie studiuje w Kijowie. Z Ajran spotykamy się w kawiarni koło stacji metra Elmer Akademisi. Ściany od podłogi do sufitu wypełniają regały z książkami; jest Proust i Kafka. Z głośników sączy się muzyka klasyczna. Zamawiamy macchiato i grzane wino. Tu Azerbejdżan jest Europą pełną gębą.

Fotografia na ścianie przedstawia znajomą już postać. To Hejdar Alijew, „ojciec Azerbejdżanu", który przejął władzę w wyniku zamachu stanu w 1993 r., a wcześniej, przed 1989 r., rządził krajem z ramienia Moskwy jako lider lokalnej partii komunistycznej. Obok wiszą czterokrotnie mniejsze podobizny jego syna (obecnego prezydenta) i Mehriban, żony syna, która pełni funkcję wiceprezydenta. Edukację kończy właśnie Hejdar junior, typowany na kolejnego następcę. – Ten człowiek uratował nasz kraj, to nasz bohater narodowy – mówi Ajran, wskazując na mężczyznę na portrecie.

Fotografie wodza wiszą na honorowym miejscu każdego szanującego się banku, przychodni i sklepu. Łagodne oblicze prezydenta rozpartego w fotelu na tle azerskiej flagi, prezydent z dziećmi albo rozmyślający nad przyszłością kraju. Każde miasto i miasteczko ma swoją ulicę Alijewa seniora, jego plac, szkołę, pomnik i centrum kultury jego imienia. Jego podobizna zajmuje pierwszą stronę szkolnych podręczników. Przy autostradach, w miastach, nawet na wsiach twarz „ojca Azerbejdżanu" spogląda dobrotliwie z billboardów.

Dzień urodzin prezydenta jest nazywany Świętem Kwiatów – najważniejsze miejsca w mieście przykrywają kompozycje z rzadkich roślin, są koncerty i fajerwerki, a centralne obchody odbywają się pod posągiem wodza w parku jego imienia. Co roku z myślą o tym dniu sprowadza się ponad sto ton kwiatów z Turcji, Włoch, Francji, Holandii, a nawet Brazylii.

W języku azerskim słowo *gul* (kwiaty) jest podobne do *qul* (niewolnicy). W 2004 r. dwóch blogerów napisało na pomniku hasło „Święto niewolników", wykorzystując językowe podobieństwo. Kilka godzin później zostali oskarżeni o handel narkotykami.

Aleksandr chce zostać

Jest jednym z Polonusów, jak mówią o sobie potomkowie Polaków w Azerbejdżanie. Ma korzenie polskie i rosyjskie, mówi płynnie po polsku. Studiował w Berlinie, szukał pracy w Polsce, ale wrócił do Azerbejdżanu. Jest prawnikiem.

Nie bez powodu Baku znane jest w Polsce głównie za sprawą „Przedwiośnia" Stefana Żeromskiego. W XIX w. miasto było popularnym wśród Polaków celem emigracji zarobkowej. W większości nad Morze Kaspijskie trafiali jednak polscy zesłańcy, którzy byli budowniczymi tutejszego przemysłu. W tym czasie żyło ich kilkadziesiąt tysięcy, w centrum miasta wzniesiono nawet świątynię zwaną „kościołem polskim". Ich potomkowie do dziś tu żyją.

Polacy budowali też Baku dosłownie – tylko gruzińska reprezentacja architektów była liczniejsza niż polska. Polscy absolwenci architektury w Sankt Petersburgu – Józef Płoszko, Kazimierz Skórewicz i Józef Gosławski – zbudowali ratusz, pocztę główną, gmach obecnego ministerstwa finansów, wille nafciarzy.

Olga Jurzanina-Makowielska, przewodnicząca Wspólnoty Polonii w Azerbejdżanie, to starsza pani, której rodzina zawędrowała do Baku w XIX w. ze względu na ojca – objął on posadę na tutejszym uniwersytecie. Wręczyła mi przewodnik po zabytkach polskiej architektury, w języku angielskim i rosyjskim. Wersja polska została rozchwytana przez członków Polonii (choć większość nie mówi po polsku, poza pojedynczymi słowami).

Ale język polski przeżywa dziś renesans. Młodzi, w których domach nie mówi się w tym języku od kilku pokoleń, dzięki lekcjom zorganizowanym przez Polonię stają się na nowo Polakami. Robią to po to, żeby wyjechać. Wystarczy kilka słów – proszę, dzień dobry, dziękuję – legitymują się polskim pochodzeniem i wyjeżdżają.

Murad: to nie miejsce do życia

Mieszka na przedmieściach. Żeby dostać się do Murada, muszę pokonać ruchliwą ulicę i rondo, na którego środku jest skwerek, jest nawet ławka i chodnik. Nie ma za to przejścia dla pieszych, a rozpędzone auta nie zwalniają. Nie wiadomo, jak można się tam dostać i wypocząć w kuszącym cieniu drzew. Właściwie ten skwer to ewenement – w mieście parki są tylko w centrum i służą do robienia wrażenia.

Murad właśnie zaczyna studia w Turcji. Jego siostra uczy się niemieckiego, by w przyszłości studiować w Berlinie. Azerowie nie gardzą też Polską: jest tańsza, blisko Niemiec, słynie z dobrej edukacji. Choć Polacy niewiele wiedzą o ich kraju, oni wiedzą całkiem sporo o Polsce. Kraków, Gdańsk, dziękuję bardzo – mówią. Komu

nie uda się uciec na Zachód, ten jedzie pracować do Rosji, Gruzji albo Turcji.

Murad uważa, że Azerbejdżan to nieszczęśliwe miejsce. – *It is a place to breathe, not to live.* To miejsce do oddychania, ale nie do życia – mówi. Lubi czytać fantastykę, najbardziej Orwella. Porównuje Azerbejdżan do kraju Wielkiego Brata. Jego rodzina nie lubi prezydenta, odkąd matka w wieku ośmiu lat dorysowała rogi przywódcy na portrecie, co skończyło się wyrzuceniem z pracy jej ojca i prześladowaniem całej rodziny.

O polityce w Baku nie wypada rozmawiać. Azerowie nie narzekają, a jeśli już, to po cichu. Po objęciu władzy przez dynastię Alijewów zamknięto prywatną telewizję BMT i satyryczne czasopismo „Czamsza", a pracowników obu instytucji wsadzono do więzienia. W 2003 r. wygrana Ilhama Alijewa wywołała co prawda falę protestów, ale szybko je zduszono.

„Tutaj jest nudno"

Murad twierdzi, że nie chodzi tylko o standard życia. Tu jest strasznie nudno, wszyscy rozmawiają o pieniądzach, nie ma życia kulturalnego. W Yarat Center jest coś na kształt wystawy poświęconej młodej azerskiej sztuce. Czasem odbywają się dyskusje, pokazy filmowe, performanse. To najbardziej awangardowe miejsce w mieście.

Poza tym w Baku uderza kulturalna pustka. Nie ma kin, teatrów, festiwali. Nie ma też życia nocnego. Są cztery niewielkie kluby taneczne, kluby PlayStation i czaj-chany, azerski odpowiednik ogródków piwnych, w których mężczyźni piją herbatę i grają w nerda. Jest też undergroundowy klub technoparty. Jego slogan to „Artificial music in the artificial city" (Sztuczna muzyka w sztucznym mieście).

Chyba większość Azerów chce wyjechać. I większość, równocześnie, popiera swoją dynastię. „To nasz bohater narodowy" – mówią o Hejdarze Alijewie. Owszem, jego syn, wybrany w oficjalnie demokratycznych wyborach, jest mniej charyzmatyczny – przyznaje Jelena. – Ale nie ma takich warunków, by pokazać swoją wielkość. Hejdar Alijew zakończył trapiącą kraj wojnę z Armenią, za jego czasów zaczęły płynąć pieniądze z Kontraktu Stulecia. Ludzie odetchnęli.

Dlatego, mimo kontrastów rozrywających kraj, Jelena będzie głosować na Ilhama Alijewa. Ale po jego śmierci nie chce, by rządził Hejdar junior. – Podobno ma problemy psychiczne – szepcze. Kto zatem? Jelena chce, by rządziła żona Ilhama. Nie dziwię się, że nie bierze pod uwagę nikogo spoza klanu Alijewów. Opozycja, zduszona w zarodku, nie istnieje lub siedzi w więzieniu.

Z punktu widzenia Europy Azerbejdżan to państwo autorytarne. Z punktu widzenia Azerbejdżanu nigdy nie było takiej wolności i dostatku jak teraz. Po szachu, carze, Stalinie i dyktatorze żyje się najlepiej w historii. Według Democracy Index 2018 Azerbejdżan zajął 149. lokatę na 167 pozycji, w kraju łamane są prawa człowieka i wolność słowa.

Ale Cawidan powie, że to nieprawda. Że ludzie zagalopowują się w protestach i łamią prawo. To wszystko. Kraj się rozwija i niedługo bieda zniknie. *Inszallah*, jeśli Bóg pozwoli. Przecież Azerbejdżan jest wielki.

© JUSTYNA MARCINKOWSKA

REKLAMA

LIECHTENSTEINOWIE CHCĄ DO CZECH

Historyczny ród Liechtensteinów nie składa broni w walce o swoje dobra na ziemiach czeskich, skonfiskowane po II wojnie światowej.

AURELIUSZ M. PĘDZIWOL Z PRAGI

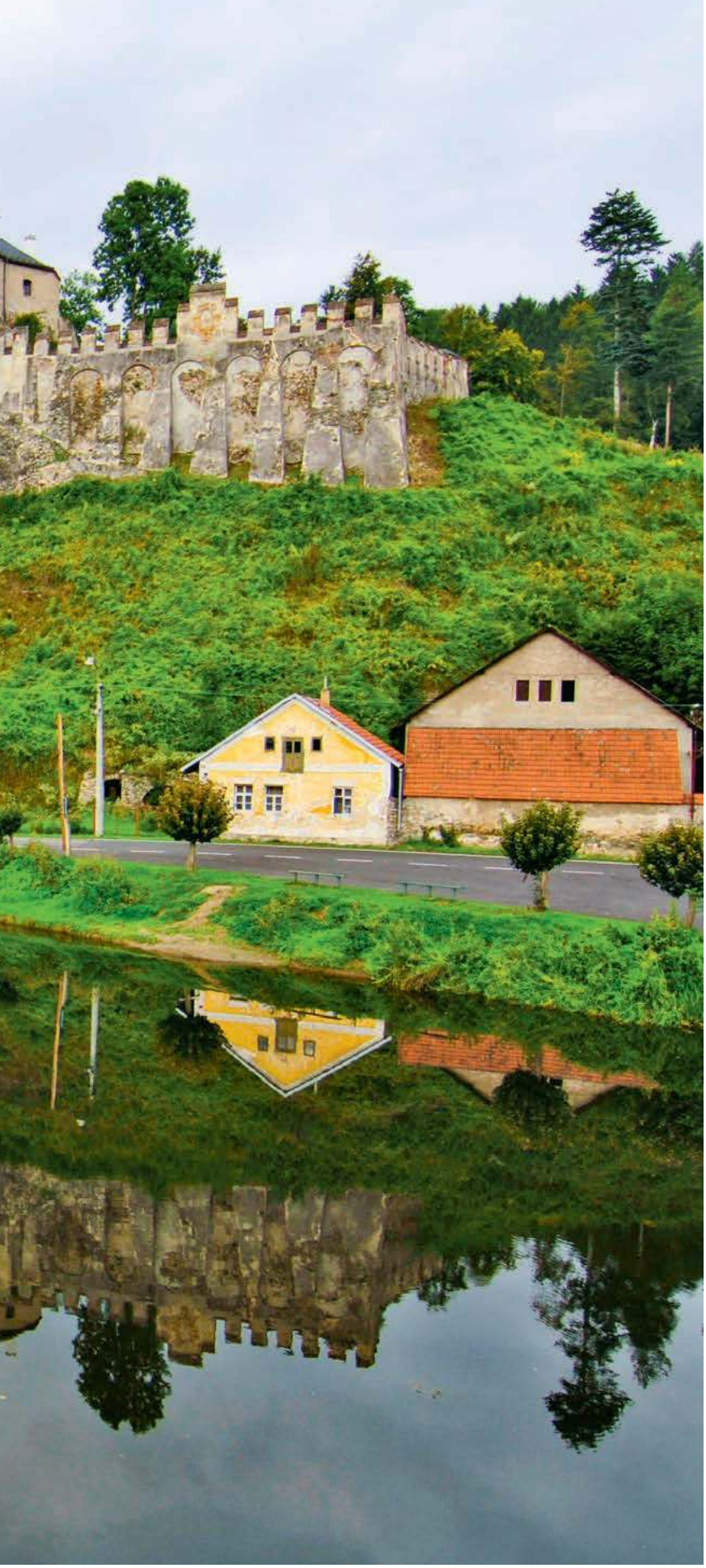

ALAMY STOCK PHOTO / BEW

Zamek Šternberk, kiedyś własność Liechtensteinów

Doprawdy, jest o co walczyć: chodzi o obszar niemal czterokrotnie większy niż samo Księstwo Liechtenstein. A do tego o zamki i pałace, o zbiorach sztuki nie wspominając.

Fundacja zarządzająca majątkiem rodu Liechtensteinów złożyła 20 grudnia ubiegłego roku w 26 czeskich sądach skargi, w których domaga się wydania rodowego majątku, używanego jej zdaniem przez czeskie państwo nielegalnie.

Dobra te zostały skonfiskowane po II wojnie światowej na mocy tzw. dekretów Beneša, ówczesnego prezydenta Czechosłowacji, jako niemieckie, gdyż ich właściciele – arystokratyczna dynastia żyjąca od średniowiecza na obecnych ziemiach czeskich – zostali uznani przez władze czechosłowackie za Niemców. Wbrew zapewnieniom samych Liechtensteinów, że Niemcami nie są i nigdy nie byli, oraz że w czasie niemieckiej okupacji odmówili podpisania volkslisty (niemieckiej listy narodowościowej).

Liechtensteinom chodzi zwłaszcza o 600 km² lasów, w tym o – znajdujący się na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO – lednicko-valticki krajobraz kulturowy na południu Moraw. Jest on co najmniej tak rozległy, jak leżące na obszarze 160 km² Księstwo Liechtenstein. Skarga dotyczy też czterech pałaców – w Valticach i Lednicach, w oddalonych 30 km na wschód od Brna Bučovicach oraz w Velkich Losinach pod Jesenikami – a także zamku Šternberk niedaleko Ołomuńca.

Rzecznik prasowy fundacji Liechtensteinów oznajmił, że skargi dotyczą wyłącznie tej części rodowego majątku, która dziś znajduje się w rękach czeskiego państwa. Fundacja nie domaga się natomiast ani działek i nieruchomości użytkowanych przez samorządy oraz osoby prywatne, ani też gruntów, przez które dziś przebiegają autostrady.

Sądowe skargi poprzedziły wezwania przedsądowe do zwrotu majątku, które fundacja rozesłała 6 grudnia do instytucji państwowych, dając im siedem dni na spełnienie roszczeń. Zostały jednak zignorowane jako nieuzasadnione przez zarządzający państwowym majątkiem urząd ÚZSVM.

Książę Alojzy liczy na negocjacje

„Lepiej by było, gdybyśmy nie musieli tych skarg składać, bo jesteśmy zdania, że w interesie Czech i Liechtensteinu leży znalezienie rozwiązania tej kwestii" – mówił czeskiej agencji prasowej CTK książę dziedziczny Alojzy, który od 2004 r. pełni obowiązki głowy państwa w zastępstwie ojca, księcia Jana Adama II. Okazją do rozmowy z dziennikarzami była 300. rocznica istnienia Księstwa Liechtenstein, które powstało 23 stycznia 1719 r.

Jak mówił książę Alojzy, fundacja została zmuszona do wejścia na drogę sądową za sprawą nowelizacji czeskiego kodeksu cywilnego, która ↦

↦ skróciła terminy wnoszenia takich roszczeń. Gdyby tego nie zrobiła, z końcem 2018 r. uległyby przedawnieniu.

Ale Liechtensteinowie wciąż uważają, że problem można rozwiązać bez wchodzenia na drogę sądową i deklarują gotowość do negocjacji. „Oczywiście ucieszyłoby nas, gdybyśmy w interesie i dla dobra obu stron znaleźli jakieś rozwiązanie tej otwartej kwestii" – powtórzył książę Alojzy.

Książę uważa, że współpraca jego kraju z Czechami rozwija się dobrze, choć spory majątkowe ją komplikują.

Problem z wzajemnym uznaniem

Ale to i tak ogromny postęp, bo właśnie z powodu sporów majątkowych oba państwa nie uznawały się wzajemnie i nie utrzymywały ze sobą stosunków dyplomatycznych przez 17 lat – od momentu podziału Czechosłowacji i powstania niezależnej Republiki Czeskiej. Z Czechosłowacją było zresztą podobnie. Pośrednikiem między Vaduz a Pragą przez cały ten czas była Szwajcaria.

Gwoli ścisłości należy dodać, że w 1990 r. Liechtenstein zaoferował Czechosłowacji odnowienie stosunków dyplomatycznych, o ile Praga zgodzi się zająć roszczeniami obywateli tego kraju, dotyczącymi zwrotu zagrabionego im majątku. To jednak spotkało się z odmową.

Dwa lata później usamodzielniającej się Republice Czeskiej zależało jednak na uznaniu jej suwerenności. Czekała bowiem na głosowania w międzynarodowych organizacjach o przyjęciu do grona ich członków. Praga obwarowała jednak nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Vaduz niezwykłym warunkiem: była gotowa uznać suwerenność Księstwa od 1993 r., choć Liechtenstein uzyskał ją w 1806 r., kiedy to odłączył się od Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego (likwidowanego wtedy z woli Napoleona).

„W tej sytuacji Liechtenstein nie kiwnął nawet palcem w bucie, żeby uznać Czechy" – tłumaczył 10 lat temu w rozmowie z dziennikiem „Mladá fronta Dnes" Pavél Jurzík, prezes Historycznego Stowarzyszenia Liechtenstein i autor książek o rodzie Liechtensteinów oraz ich posiadłościach.

Profesor Horčička zlicza majątek

Do nawiązania stosunków dyplomatycznych doszło dopiero 10 lat temu, 8 września 2009 r. I to pomimo, że w zasadniczej kwestii nic się nie zmieniło. Liechtensteinom nie udało się bowiem odzyskać żadnej, nawet najmniejszej części majątku. Republika Czeska nie zgodziła się także uznać za nieważne, czy choćby nieobowiązujące, te z dekretów Beneša, na mocy których doszło do jego konfiskaty.

– Myślę, że to nie był przypadek, iż do tej decyzji rządu doszło w czasie, gdy ministrem spraw zagranicznych był książę Karol Schwarzenberg – mówi „Tygodnikowi" prof. Václav Horčička z Instytutu Historii Światowej Uniwersytetu Karola w Pradze. Horčička zastrzega jednak, że nie jest całkiem wtajemniczony w tej materii.

Czesko-Liechtensteińska Komisja Historyków, powołana do życia wraz z podpisaniem porozumienia o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych, zleciła profesorowi opracowanie historii powojennych konfiskat liechtensteińskiego majątku.

Trzy miesiące później doszło także do wzajemnego uznania suwerenności i nawiązania stosunków dyplomatycznych między Liechtensteinem i Słowacją, drugim państwem-sukcesorem Czechosłowacji. W tym przypadku przeszkodą był nie tyle majątek, którego Liechtensteinowie tam praktycznie nie mieli (poza jedną cegielnią w okolicach Bratysławy), lecz wciąż obowiązujące również i w tym kraju dekrety, na mocy których ród został pozbawiony ogromnego majątku.

Dekrety automatyczne

Oficjalnie nazywane są dekretami prezydenta republiki. Wydawał je Edvard Beneš – najpierw prezydent na uchodźstwie, a potem także po powrocie do kraju, do 28 października 1945 r. – czyli do dnia, w którym ukonstytuowało się Tymczasowe Zgromadzenie Narodowe.

Dekretów było sto kilkadziesiąt. Większość z nich po prostu regulowała działanie państwa i nigdy nie budziła żadnych kontrowersji. Lecz kilka ma szczególny charakter: na ich mocy ludzie zostali pozbawieni praw i majątku ze względu na swą narodowość, a nie popełnione (lub nie) czyny.

W siódmym tomie publikacji wspomnianej komisji historyków Václav Horčička napisał, że z punktu widzenia Liechtensteinów, którzy nie byli obywatelami Czechosłowacji, decydującą rolę odegrały dwa z nich: dekret nr 5/1945 („o nieważności niektórych działań majątkowo-prawnych z czasu niewoli i o narodowym zarządzie dóbr majątkowych Niemców, Węgrów, zdrajców i kolaborantów oraz niektórych organizacji i instytucji" z 19 maja 1945 r.) oraz dekret nr 12/1945 („o konfiskacie i przyspieszonym rozdzieleniu majątku rolnego Niemców, Węgrów, jak też zdrajców i nieprzyjaciół narodów czeskiego i słowackiego" z 21 czerwca 1945 r.).

Pierwszy z tych aktów prawnych wprowadził pojęcie osób nielojalnych wobec państwa, na pierwszym miejscu stawiając „osoby narodowości niemieckiej lub węgierskiej". Dopiero drugi dekret zdefiniował, o kogo konkretnie chodzi: „Za osoby narodowości niemieckiej lub węgierskiej należy uważać osoby, które w którymkolwiek spisie powszechnym od roku 1929 przyznały się do niemieckiej lub węgierskiej narodowości, lub stały się członkami grup narodowych lub formacji albo partii politycznych stowarzyszających osoby narodowości niemieckiej lub węgierskiej".

Wobec Niemców i Węgrów dekrety były stosowane automatycznie. Zdrajcom i kolaborantom narodowości czeskiej i słowackiej oraz innym Słowianom (Polakom, Rusinom) winę trzeba było udowodnić.

Wpis w spisie

W przypadku Liechtensteinów o ich przynależności narodowej zadecydował wpis dokonany z 1929 r.

– W spisie powszechnym z Velkich Losin książę Franciszek Józef II, wówczas jeszcze książę dziedziczny, a nie panujący, jest zapisany razem z rodzicami i rodzeństwem jako osoba narodowości niemieckiej – mówi dziś prof. Horčička.

Jednak tego wpisu nie dokonał nikt z Liechtensteinów.

– Ten arkusz – dodaje czeski historyk – jest podpisany przez dyrektora tamtejszego gospodarstwa, a nie osobiście przez ojca Franciszka Józefa II, księcia Alojzego. To była powszechna praktyka. Otwartą kwestią pozostaje, w jakim stopniu ten spisowy arkusz jest materiałem dowodowym – zastanawia się profesor. To jego zdaniem temat dla prawników, a nie tylko historyków.

Fakt, że spisowej adnotacji nie dokonał osobiście książę, nie martwił, jak się zdaje, zanadto tych, od których zależało wywłaszczenie ogromnego majątku, wycenionego wówczas na 350 mln franków szwajcarskich. – Nie licząc zbiorów sztuki – podkreśla Horčička.

Gdy niemal pół wieku później, w 1993 r., czescy dziennikarze rozmawiali z księciem Janem Adamem II, ocenił on wartość skonfiskowanego majątku na miliard dolarów. „Powiedzmy, że zaczniemy od negocjacji na temat kwoty 300 mln franków szwaj-

AURELIUSZ M. PĘDZIWOL

Zamek w Mikulowie na Morawach

carskich" – powiedział wtedy Jan Adam II w rozmowie z gazetą „Mladá fronta Dnes".

Jak dotąd, nie miał z kim rozpocząć takich rozmów.

Ani Niemcy, ani zdrajcy...

Jeszcze w drugiej połowie lat 40. XX w. Liechtensteinowie usiłowali obalić decyzję o konfiskacie przed czechosłowackimi sądami. Argumentowali, że nigdy nie byli Niemcami, lecz mieli odrębną narodowość – właśnie liechtensteińską. Oraz że trudno im zarzucić zdradę, skoro nie tylko odmówili podpisania volkslisty, ale też nie uznali nigdy likwidacji Czechosłowacji.

– Książę Franciszek Józef II, który stanął na czele rodu w 1938 r. po śmierci księcia Franciszka I, powoływał się po wojnie wielokrotnie na fakt, że Liechtenstein, w odróżnieniu od Szwajcarii, żadnym oficjalnym aktem nie uznał powstania Protektoratu – przypomina prof. Horčička (Protektoratem Czech i Moraw Niemcy nazwali okupowane ziemie czeskie).

Wychodzi zatem na to, że zdrajcami też nie byli. Pozostaje rozstrzygnąć, czy może Liechtensteinowie byli kolaborantami.

Czeski historyk podkreśla, że urzędy czechosłowackie po wojnie nigdy się nie zajmowały poważnie udowadnianiem im kolaboracji, co najwyżej bardzo mgliście. Natomiast sami Liechtensteinowie przedstawili szereg dowodów, że pomagali swoim prześladowanym pracownikom czeskiej narodowości.

– Takim przykładem może być doktor Svoboda, centralny dyrektor dóbr liechtensteińskich, który był sądzony przez Volksgericht [hitlerowski sąd specjalny – red.] we Wrocławiu. Karol Alfred, brat księcia, osobiście zeznawał na jego korzyść i z całą pewnością pomógł go uratować, bo Svoboda nie tylko nie został stracony, ale nawet wypuszczono go na wolność – mówi prof. Horčička i dodaje, że Liechtensteinowie przedstawiali po wojnie więcej podobnych przypadków.

Jego zdaniem nie można dziś jeszcze definitywnie powiedzieć, jakie było stanowisko Liechtensteinów wobec okupacji, Niemiec i wobec nazizmu w ogóle. – Z tego, co wiemy dziś, nie ma żadnej możliwości udowodnienia im rzeczywistej kolaboracji podczas nazistowskiej okupacji – dodaje.

Pyrrusowe zwycięstwo hrabiego

Przez całe lata 40. Liechtensteinowie zabiegali więc o anulowanie konfiskaty ich majątku i jego zwrot. Ostatecznie przegrali w 1951 r. – w trzy lata po puczu, w wyniku którego komuniści definitywnie przejęli pełnię władzy w Czechosłowacji.

W podobnej sytuacji jak oni znalazł się hrabia Adam Stadnicki – Polak, właściciel zamku we Vranovie nad Dyją na południu Moraw. Podobnie jak Liechtensteinowie, odmówił podpisania volkslisty – i to pomimo, że w jego przypadku był to warunek, jaki Niemcy postawili, by mógł zachować własność.

– Zamek został skonfiskowany wraz z przyległościami i sprzedany niemieckiemu generałowi za dwa miliony reichsmarek – mówi „Tygodnikowi" jego wnuk Andrzej Stadnicki, który dziś żyje na Dolnym Śląsku. – A potem, już jako własność niemiecka, został skonfiskowany na mocy stosownego dekretu Beneša.

Podobnie jak Liechtensteinowie, także Stadnicki usiłował po wojnie odzyskać własność. I podobnie jak w ich przypadku, proces przeciągnął się tak, że końca dobiegł dopiero po komunistycznym puczu. W odróżnieniu od Liechtensteinów, w 1949 r. Stadnicki wygrał. Ale, tak jak Liechtensteinowie, majątku nie odzyskał. Ani jego potomkowie po 1989 r.

„Po prostu nie rozumiem..."

„Ta sprawa jest tak jasna, że po prostu nie rozumiem, dlaczego Stadniccy nie siedzą dziś we Vranovie" – powiedział wiele lat temu wspomniany książę Schwarzenberg, który po upadku komunizmu odzyskał leżący 80 km na południe od Pragi zamek Orlík oraz 13 tys. hektarów lasów i pól. Do jego rąk nie wróciły jedynie ruiny leżącego 10 km dalej na południe zamku Zvíkov.

Różnica polegała na tym, że Schwarzenbergom majątek zabrali komuniści już po 1948 r., zamek Stadnickiego zaś skonfiskowały władze teoretycznie demokratycznej jeszcze Czechosłowacji przed tymże rokiem. Po aksamitnej rewolucji jesienią 1989 r. Czesi i Słowacy uznali bowiem, że nie są w stanie naprawić wszystkich krzywd popełnionych w przeszłości, a co najwyżej te, które wyrządzili komuniści po tym, jak przejęli władzę 25 lutego 1948 r.

Dlatego też władze Czech bronią się dziś przed każdą decyzją, która mogłaby doprowadzić do stworzenia precedensu i przełamania tej granicznej daty, a zwłaszcza doprowadzić do naruszenia dekretów Beneša. Dlatego zarówno Stadniccy, jak i Liechtensteinowie pewnie jeszcze długo będą mogli wejść do swoich zamków tylko jako turyści.

Dziesięć księstw Liechtenstein

Ale Liechtensteinowie nie godzą się na taki obrót spraw. Nadal walczą o swoje. Mają nadzieję na ugodę z czeskim rządem, ale przygotowują się też do batalii sądowej.

Profesor Horčička mówi, że o ile mu wiadomo, książę Jan Adam II nie wyklucza także podważenia pierwszej reformy rolnej z czasów przedwojennej Czechosłowacji, w wyniku której Liechtensteinowie stracili jeszcze niemal o połowę więcej niż wskutek dekretów Beneša. Bo przedtem należało do nich łącznie 1600 km² włości na obszarze dzisiejszej Republiki Czeskiej. To równo dziesięć razy więcej, niż liczy sobie Księstwo Liechtenstein.

– Ale zasadniczo to, czego obecnie się Liechtensteinowie domagają, to majątek, który został w ich rękach po pierwszej reformie rolnej – podkreśla czeski historyk.

Jest więc o co walczyć.

© AURELIUSZ M. PĘDZIWOL

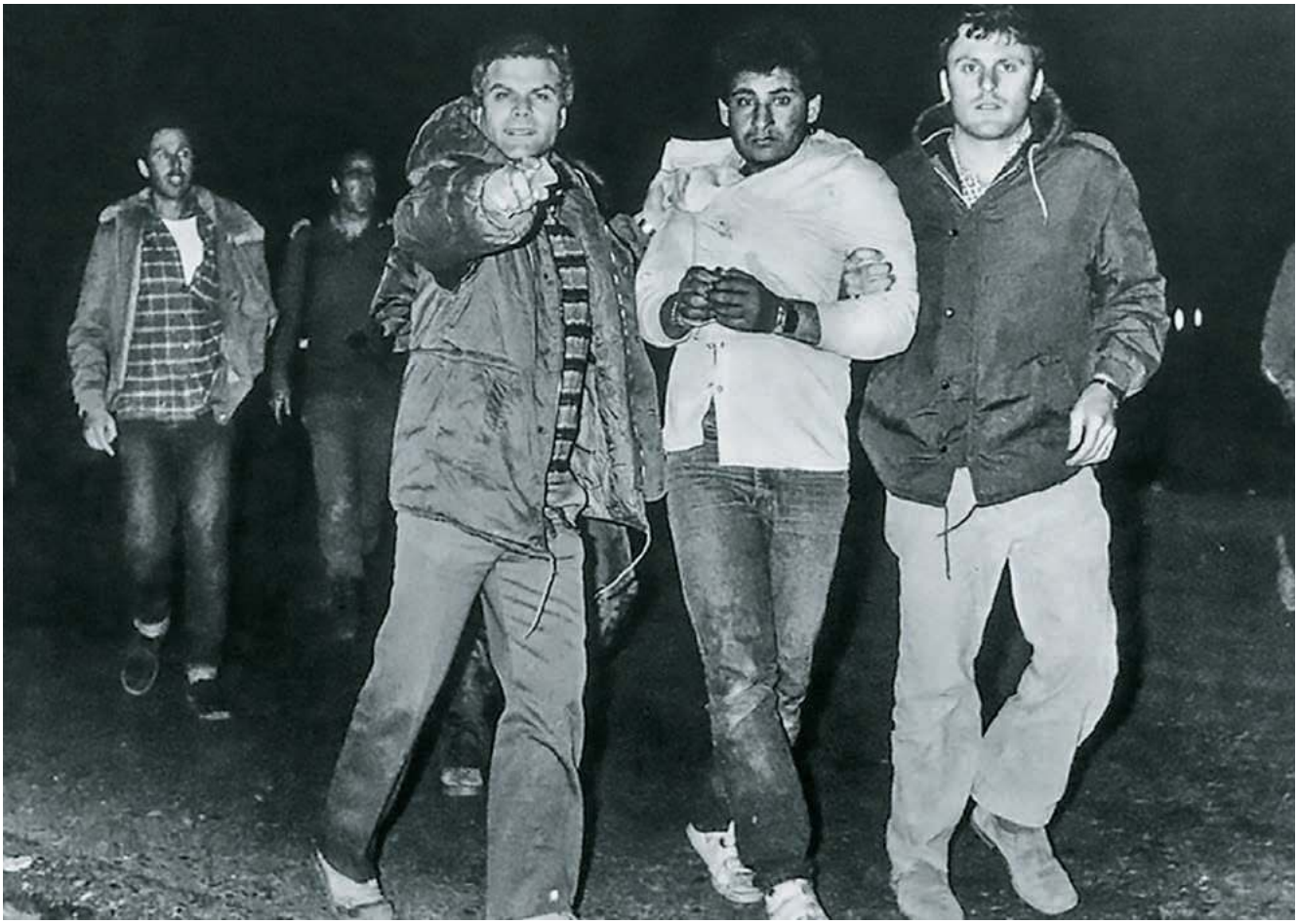

ZDJĘCIE Z KSIĄŻKI „POWSTAŃ I ZABIJ" / MATERIAŁY WYDAWCY

Fotografia zrobiona po porwaniu autobusu linii 300, które doprowadziło do ujawnienia nielegalnych metod likwidacji stosowanych przez Szin Bet.

Skrytobójcy w służbie państwa

RONEN BERGMAN, AUTOR KSIĄŻKI O MOSSADZIE:

Ludzie, o których piszę, nie czują się winni. Nie dlatego, że są pozbawieni uczuć. Oni uważają, że to, co robili, było właściwe, że trzeba było to zrobić, aby Izrael był bezpieczny.

PATRYCJA BUKALSKA: Poświęcił Pan tej książce osiem lat. Od początku to przedsięwzięcie spotykało się z problemami, zarzucano Panu nawet „akt szpiegostwa". Nie chciał Pan zrezygnować?

RONEN BERGMAN: Już jako dziecko byłem uparciuchem, na co narzekała mama. Nie jestem człowiekiem, który się poddaje. Pisanie tej książki było długą podróżą, w której rzeczywiście nie brakowało chwil frustracji i niepokoju. Nie wiedziałem czasem, jak mi się uda dotrzeć do końca – a nie byłoby to możliwe bez wsparcia wielu osób.

Byli pracownicy Mossadu otrzymali ostrzeżenie, żeby z Panem nie rozmawiać. Jednak przeprowadził Pan liczne rozmowy z nimi. Nie bali się?

To tajemnica. (*śmiech*) Ale poważnie, nie o wszystkim mogę mówić. Może powiem tak: jest pewien wspólny element, który łączy wiele z tych osób – oni chcieli, aby ludzie wiedzieli. Po tylu latach życia w ciemności, wśród tajemnic, naprawdę chcieli, aby ludzie dowiedzieli się, co zrobili, żeby Izrael był bezpieczny. Zdecydowali się mówić, bo wiedzieli, że ta książka będzie w pewien sposób historią izraelskiego wywiadu. Chcieli, żeby ich ślad też się tam znalazł. Poza tym zdradzę jeszcze coś z mojego warsztatu: gdy nie mieli entuzjazmu, aby rozmawiać, mówiłem im coś, co denerwuje Izraelczyków bardziej niż cokolwiek innego. Mianowicie, że jeśli będą milczeć, ich działania zostaną przypisane komuś innemu.

A zatem duma? Może nawet próżność?

Nie myślę, że to była próżność. Po prostu nie chcieli, by odebrano im ich zasługi.

To ciekawe, bo niektóre opisane działania niekoniecznie są powodem do dumy.

Operacje, które gdzie indziej byłyby postrzegane jako co najmniej kontrower-

syjne, niekoniecznie będą tak traktowane w Izraelu. Owszem, zabicie człowieka lub udział w zabijaniu byłby w większości krajów świata powodem do wstydu. Jednak ludzie opisani w książce nie są mordercami. Oni wierzą, że „selektywne eliminacje" (ang. *targeted killings*) to zło konieczne do zapewnienia bezpieczeństwa Izraelowi. Także w oczach opinii publicznej nie są zabójcami, lecz obrońcami. Z dzieciństwa pamiętam serial „Star Trek" i słowa narratora: „Kosmos, ostateczna granica". Ludzie izraelskiego wywiadu są postrzegani w społeczeństwie jako ci, którzy strzegą ostatecznej granicy bezpieczeństwa państwa. Oni sami chcą, by inni wiedzieli, co dla tego bezpieczeństwa zrobili.

Metoda „selektywnych eliminacji" jest uznana w Izraelu za niezwykle efektywną. Wieloletni szef Mossadu Meir Dagan uważał nawet, że zamachy „są o wiele bardziej moralne" niż wojna, bo czasem zabicie kilku ważnych osób pozwala zapobiec wojnie i ocalić wielu innych. Co jednak mnie uderza: metodę tę stosowano nie w sytuacjach wyjątkowych – była wszechobecna, poniekąd fundamentalna.

Tak, jest częścią fundamentów państwa. Wynika to z kilku przyczyn, które czynią Izrael odmiennym od innych krajów. Jedną z głównych jest pamięć Holokaustu lub raczej „przetłumaczenie" tej pamięci dzisiaj. Moi rodzice są ocalałymi z Holokaustu. Mama przyjechała z Polski, ojciec z obozu dla uchodźców w Niemczech. Na miejscu, razem z innymi Żydami, stali się nowymi Izraelczykami i tworzyli państwo Izrael. Jeśli ludzie, którzy przeżyli Holokaust, wyciągnęli z niego wnioski, były to trzy rzeczy. Po pierwsze, zawsze będzie ktoś, kto będzie chciał nas zabić. Po drugie, inni nam nie pomogą. Po trzecie, musimy mieć bezpieczne miejsce: własne państwo. Oni mieli to zawsze w tyle głowy. Po deklaracji niepodległości z 1948 r. cały czas był przynajmniej jeden wróg, który chciał nas zniszczyć. Nie było więc wyboru. Była tylko jedna opcja: „Powstań i zabij pierwszy". To zdanie z Talmudu, które stało się tytułem książki, powtarzało wielu rozmówców. Nie dlatego, że chcieli popisać się znajomością Pisma. Chcieli wyjaśnić swój stan umysłu i sens swego działania.

W CIĄGU PONAD 70 LAT ISTNIENIA Izrael nieustająco walczył o przetrwanie. W tym czasie nie tylko stoczył wiele wojen, lecz przeprowadził również ok. 2700 skrytobójczych operacji wywiadowczych. To więcej niż jakikolwiek inny kraj Zachodu od czasu II wojny światowej. Książka „Powstań i zabij pierwszy" Ronena Bergmana, której polski przekład ukazał się niedawno w wydawnictwie Sonia Draga (przeł. Piotr Grzegorzewski i Jerzy Wołk-Łaniewski), opowiada o przyjętej przez Izrael na tak wielką skalę metodzie „selektywnej eliminacji" przeciwników i tłumaczy, dlaczego tak się stało. Czytelnikowi pozostawia odpowiedź na pytanie, czy tak się stać musiało.

RONEN BERGMAN (ur. 1972) jest izraelskim reporterem śledczym i autorem wielu książek. Studiował prawo na Uniwersytecie w Hajfie i stosunki międzynarodowe na Uniwersytecie w Cambridge. Publikuje w prestiżowych gazetach: izraelskiej „Yedioth Ahronoth", a także w „New York Timesie", „Guardianie" czy „Frankfurter Allgemeine Zeitung". Zajmuje się przede wszystkim problematyką służb specjalnych i kwestiami wojskowymi. W Polsce jest znany jak dotąd bardziej z powodu wymiany zdań z premierem Mateuszem Morawieckim w styczniu 2018 r., gdy zapytał go o nowelizację ustawy o IPN. Rodzice Bergmana ocaleli z Holokaustu, jego matka pochodziła z Polski. ©℗ PB

Jeden z Pana rozmówców mówi, że Żydzi nie chcieli być już postrzegani jako bezbronne ofiary.

Meir Dagan miał w gabinecie zdjęcie swojego dziadka z getta w Łukowie, zrobione tuż przed tym, jak został zastrzelony przez nazistów. Każdemu, kto wchodził do jego gabinetu, pokazywał to zdjęcie. Mówił: „Patrzcie, to mój dziadek, chwilę później go zabili. A my jesteśmy tutaj i moim zadaniem jest dopilnowanie, by coś takiego nigdy się nie zdarzyło. Żydzi nigdy już nie będą klękać". Na marginesie, Dagan mówił płynnie po polsku.

Z Holokaustem wiąże się też pewien paradoks. Powszechnie Mossad kojarzy się z „łowami na nazistów", w tym ze spektakularnym porwaniem z Argentyny Eichmanna i jego procesem. Pan pisze, że wymierzenie sprawiedliwości nie było wcale priorytetem.

Egzystencjalną groźbę dla Izraela widziano w regionie Bliskiego Wschodu. Naziści ukrywający się w Ameryce Południowej zagrożeniem już nie byli. Wielka szkoda, że ci ludzie dożyli starości i umarli z przyczyn naturalnych, ale odłożenie ścigania ich było w tamtym czasie logiczną decyzją.

Wyjaśnijmy: wiązało się to z podejrzeniem, że w latach 60. XX w. niemieccy naukowcy budują w Egipcie rakiety. Dzięki nim Egipcjanie mieli być w stanie uderzyć w każde miejsce w Izraelu. Egipski prezydent Naser zaczął się jawić jako „nowy Hitler", który wspierany przez byłych nazistowskich naukowców może zagrozić Izraelowi. Eliminacja tego zagrożenia była wtedy głównym celem Mossadu, a ściganie nazistów miało być tylko „dodatkiem" do głównych misji.

Takie były priorytety.

Mengele, słynny lekarz z KL Auschwitz, został odnaleziony w Brazylii, ale nie podzielił losu Eichmanna, choć agenci Mossadu byli blisko.

Tak, to wyjątkowo frustrujące.

Pisze Pan też o innym micie dotyczącym Mossadu: zamachu na olimpiadzie w Monachium w 1972 r., w którym zginęli izraelscy sportowcy. Panuje przekonanie, że Mossad dopadł wszystkich odpowiedzialnych za to Palestyńczyków.

Chciałem napisać prawdziwą historię wywiadu Izraela. Jeśli muszę zniszczyć kilka mitów, trudno. To jeden z nich. Widzieliśmy film „Monachium" Stevena Spielberga. To *fake news* w stu procentach. Nie ma tam nic prawdziwego. Spielberg padł ofiarą oszusta, który twierdził, że był członkiem oddziału Mossadu przeprowadzającego eliminacje. ↦

↦ **A nie był?**
Nie.

Twierdzi Pan, że nie zabito osób bezpośrednio zamieszanych w ten zamach, lecz inne, choć też związane z palestyńską organizacją Czarny Wrzesień. Niemniej działania Mossadu miały efekt odstraszający.
Tak, to było skuteczne. Ale nie w taki sposób, jak pokazano to w filmie.

Metoda „selektywnej eliminacji" miała przynieść efekty także podczas drugiej intifady na początku XXI w., miała ograniczyć wtedy liczbę samobójczych zamachów. Co jednak z jej etyczną stroną?
Uważam, że jeśli się kogoś zabija, nawet diabła wcielonego, to takie działanie ma swoją moralną cenę. Pytanie, jaka jest alternatywa? Jeśli ktoś twierdzi, że jest absolutnie przeciwny „selektywnym eliminacjom", to pytam: co proponuje w zamian? Np. w sytuacji, gdy wiemy, że konkretny człowiek rekrutuje zamachowców samobójców, i że ci, których już wysłał, zabili setki ludzi. Nie możesz go aresztować, bo jest poza zasięgiem twoich służb. Jedyny sposób, by go powstrzymać, to zabić. Co zatem zrobisz? Co? Odpuścisz możliwość zabicia go i pozwolisz mu dalej wysyłać zamachowców? Wtedy krew ofiar będzie także na twoich rękach. Ważne jest jednak też inne pytanie: co z przypadkowymi, postronnymi ofiarami eliminacji?

I co z pomyłkami.
Tak, jednak pytanie o postronne ofiary jest ważniejsze, bo pomyłek nie było prawie wcale. Do jednej znanej pomyłki doszło podczas akcji w Lillehammer w Norwegii w 1973 r., gdy omyłkowo zabito Ahmeda Bouchiki, brata muzyka zespołu Gipsy Kings.

To była porażka Mossadu, kilku agentów zostało tam aresztowanych. Jeden wpadł, bo kupił krany do swojego domu w Tel Awiwie i z tym bagażem jeździł autem używanym podczas akcji. Jechać pociągiem z takim pakunkiem byłoby mu niewygodnie.
W każdym razie w Lillehammer zabili nie tego człowieka, którego mieli zabić. Tego właściwego też zabili, później. Zginęli jednak też inni ludzie i to jest problem. Tak, potworny dylemat. Nie ma łatwej odpowiedzi.

Zespół Mossadu: Rafi Eitan (drugi od prawej) i Cwi Aharoni (drugi od lewej) w São Paulo na krótko przed tym, jak wypatrzyli Josefa Mengele, „Anioła Śmierci" z Auschwitz.

KOLEKCJA CWI AHARONIEGO / MATERIAŁY WYDAWCY X2

Premier Lewi Eszkol (czwarty od lewej, w czarnej czapce i pod krawatem), szef Mossadu Meir Amit (pośrodku, uśmiechnięty), szef sztabu Icchak Rabin (w mundurze) i były dyrektor Mossadu Isser Harel (trzeci od prawej), 1965 rok.

MOSZE MILNER, BIURO PRASOWE RZĄDU

Jest jeszcze jeden ryzykowny aspekt „selektywnych eliminacji": zabicie przywódcy grupy będącej zagrożeniem może mieć długofalowe skutki odmienne, niż planowano.
Zgadzam się. To kolejny problem. Dlatego Izraelczycy mają wiele wątpliwości co do eliminacji liderów.

Szokujący jest również fakt, jak wielką niezależnością cieszą się w Izraelu tajne służby, Mossad czy Szin Bet. Nie odpowiadają w zasadzie przed nikim.
Ależ są pod bardzo ścisłą kontrolą premiera.

Tylko premiera!
Rzeczywiście. Ale był tylko jeden przypadek w historii, gdy służby wymknęły się spod jego kontroli.

Chodzi o autobus linii 300? Prasa ujawniła, że zatrzymani arabscy terroryści, którzy porwali autobus, zostali zabici na miejscu, nawet bez formalnego przesłuchania. Potem tuszowano sprawę tego de facto morderstwa, a w końcu doszło nawet do zaszantażowania władz państwa przez Szin Bet.
To było szaleństwo. Ale to tylko jeden taki przypadek. Z jednej strony mamy silną i skuteczną społeczność wywiadowczą zapewniającą bezpieczeństwo Izraela, dokonującą nadzwyczajnych rzeczy. Z drugiej strony, jak pani sugerowała, mamy słabe instytucjonalne mechanizmy nadzoru i kontroli rządu oraz parlamentu nad służbami. Nie są one jednak poza kontrolą, są kontrolowane – przez premiera. Niemniej to jeden z powodów, dla których chciałem napisać tę książkę: kiedy instytucjonalne mechanizmy kontroli są słabe, to my, dziennikarze czy historycy, mamy obowiązek wypełnić tę lukę.

Jeszcze w kwestii kontroli. Chodzi o to, ile zależy od osobowości przywódcy. Przykładem Ariel Szaron: miał obsesję na punkcie przywódcy Organizacji Wyzwolenia Palestyny Jasera Arafata i był skłonny wydać rozkaz zestrzelenia cywilnego samolotu z pasażerami, jeśli miałby lecieć nim Arafat. Jak można powierzać jednej osobie całą kontrolę?
Zgadzam się, że nie można oddawać całej kontroli jednemu człowiekowi. Na tym polega zresztą demokracja i zasada „kon-

troli i równowagi". W Izraelu mamy w tej kwestii jeszcze trochę do zrobienia.

Szaron nazywany był „królem Izraela", jest bohaterem narodowym. Pan nazywa bohaterami innych ludzi: tych, którzy mieli odwagę sprzeciwić się rozkazom lub ich nie wykonywać.

Dla mnie bohater to nie tylko ktoś, kto jest odważny na polu walki, lecz także ktoś, kto ma dość odwagi, by sprzeciwić się charyzmatycznemu dowódcy – z taką władzą jak Szaron. Taką osobą jest opisany przeze mnie porucznik z prestiżowej Jednostki 8200.

Jednostka ta oficjalnie odpowiadała za powstrzymanie zamachów terrorystycznych. Nieoficjalnie miała wpływ na decyzje, kogo zabić, wskazywała obiekty w Autonomii Palestyńskiej do zbombardowania. Ten porucznik starał się zapobiec atakowi na budynek w chwili, gdy będą tam cywile. Dodajmy, że izraelski żołnierz ma możliwość odmówienia wykonania rozkazu, który w oczywisty sposób narusza prawo. Nazywa się to „czarna flaga".

Ten porucznik chciał dokładnie to zrobić. Poszedł do przełożonych, powiedział o tym, ale oni odrzekli, że to nie są jego kompetencje, że nie ma nic do tego, i że to nie jest sytuacja „czarnej flagi".

Zlekceważono jego zastrzeżenia, a jego samego zwolniono ze służby.

Czyli w teorii jest taka możliwość, ale w praktyce to trudne. Inna sprawa, że większość sytuacji nie jest tak jasna jak sprawa z 1956 r., w której wydano wyrok i stworzono koncept „czarnej flagi".

Chodziło o rozstrzelanie ponad 40 mężczyzn, kobiet i dzieci wracających z pracy w polu do swej wioski już po godzinie policyjnej. Czy sądzi Pan, że w przyszłości Izrael będzie musiał się rozliczyć z „selektywnych eliminacji"? Ponownie ocenić tamte decyzje? Czy to już zawsze będzie zaklasyfikowane jako rzeczy, które „trzeba było zrobić"?

Mam nadzieję, że tę książkę będą czytali również decydenci w Izraelu i skłoni ich to, by spojrzeli na pewne rzeczy z innej perspektywy. Choć nie ma w niej jednoznacznej konkluzji. To zbyt skomplikowane.

A co z Pana rozmówcami? Czy podzielenie się swoimi doświadczeniami było dla nich ulgą?

Niektórzy chcieli to z siebie wyrzucić, ale nie z poczucia winy. Chcę to podkreślić: w żadnym razie nie czują się winni. Nie dlatego, że są pozbawieni uczuć. Uważają, że to, co robili, było właściwe, że trzeba było to zrobić, aby Izrael był bezpieczny. Jeśli ma się takie głębokie przekonanie, łatwiej poradzić sobie z konsekwencjami. Poza tym naprawdę Holokaust zmienił wszystko. Przedtem Ben Gurion był przeciwny „selektywnym eliminacjom". Wtedy, w czasach Hagany [główna żydowska organizacja podziemna przed powstaniem Izraela – red.] nazywało się to „osobisty terror". Potem jednak zmienił zdanie.

Czy historia Izraela wyglądałaby inaczej, gdyby nie zdecydowano się na „selektywne eliminacje" na taką skalę?

Eliminacje to *modus operandi*. Są narzędziem do rozwiązania problemów, gdy zapada decyzja o użyciu siły. I bywały przypadki, gdy trzeba było uciec się do siły. Jednak kontynuacją takiego rozwiązania powinna być polityka, dyplomacja. A to jest to, co większości izraelskich przywódców się nie udało.

Jest granica, poza którą użycie siły przestaje być skuteczne.

Cytuje Pan dziennik premiera Moszego Szareta, który w 1955 r. pisał: „Zastanawiam się nad naturą i losem tego narodu, zdolnego do przejawów tak wysublimowanej duchowej wrażliwości, tak głębokiej miłości do człowieka (...) podczas gdy równocześnie wydaje na świat młodych chłopców zdolnych do mordowania z zimną krwią (...). Który z tych dwóch duchów przewijających się przez karty Biblii zwycięży swego rywala?". Który zatem?

Moim zdaniem zwycięży ten wrażliwy. Ale jestem z natury optymistą i to może zaburzać moją ocenę.

©℗ Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

Posełki polskie

Sto lat temu w ławach Sejmu Ustawodawczego II RP zasiadły pierwsze kobiety.

Było ich osiem. Zofia Moraczewska, Zofia Sokolnicka, Maria Moczydłowska, Jadwiga Dziubińska, Anna Piasecka, Gabriela Balicka, Franciszka Wilczkowiakowa i Irena Kosmowska. Posełki, posełkinie, posłowie kobiecy, nawet poślice – wraz z ich pojawieniem się w życiu publicznym powstał problem: „nie tak łatwo nazwać kogoś, kto jeszcze przed chwilą nie istniał" (słowo „posłanki" nie było jeszcze w użyciu).

Dziś pierwsze posełki nie istnieją w naszej świadomości. Pamięć o nich jest znikoma, ulice nie noszą ich imion, nie ma pomników. Historie kobiet wyjątkowych, nie tylko na miarę ich czasów, stara się przywrócić Olga Wiechnik w książce „Posełki. Osiem pierwszych kobiet". Pochodziły z różnych środowisk (socjalistki i endeczki, społeczniczki, aktywistki, nauczycielki, redaktorki, panny z dobrych domów, z zamożnych i tych uboższych). W Sejmie walczyły o rzeczy ważne: edukację, trzeźwość (słynne „Lex Moczydłowska"), zmianę przepisów cywilnych dotyczących praw kobiet (wykreślono zapis o posłuszeństwie mężowi; kobiety będą mogły dysponować swymi zarobkami). Mimo różnic politycznych potrafiły mówić jednym głosem. „Stoję tu jako przedstawicielka swojego klubu, ale przede wszystkim reprezentuję wszystkie kobiety" – mówiła w Sejmie Moczydłowska. O niektórych dowiadujemy się więcej: pozostawiły dzienniki, także źródła sejmowe na ich temat są obszerne. Z kolei opowieści o innych są krótkie, nie zachował się ani jeden list. Wiechnik rozmawia z ich żyjącymi krewnymi, często jako pierwsza porządkuje ich życiorysy.

Książkę kończy wciąż aktualny testament Zofii Moraczewskiej, który tuż przed śmiercią rozesłała do kobiet. „Najdroższe moje, porzućmy zdecydowanie i raz na zawsze to jakieś nasze (...) poczucie kompleksu niższości. Nie jesteśmy ani odrobinę mniej warte czy mniej mądre od mężczyzn – jesteśmy tylko inne".

©℗ EWELINA BURDA

Olga Wiechnik
POSEŁKI. OSIEM PIERWSZYCH KOBIET, *Wydawnictwo Poznańskie, 2019*

WOJCIECH

Bonowicz:
Sprawy obyczajowe

Dziwne ludzkie obyczaje. O nich napiszę. Na przykład: wrzucanie monet do fontanny czy studni na zamkowym dziedzińcu, do Morskiego Oka. Trzeba stanąć tyłem i zrobić to przez prawe ramię. Pieniążek wrzuca się po to, żeby wrócić w dane miejsce, albo żeby spełniło się jakieś inne, wypowiedziane w duchu, życzenie. W ten sposób w Fontannie di Trevi ląduje co roku około półtora miliona dolarów. W sezonie drobne trzeba wyławiać codziennie, inaczej fontanna szybko się przepełni. Z oglądanego przed laty filmu o Morskim Oku pamiętam przygnębiający obraz ryb krążących wśród korodujących monet. Na szczęście zwyczaj wrzucania pieniędzy do tego pięknego stawu powoli odchodzi w przeszłość. A z filmu Barei zapamiętałem dialog między cieciem a chłopcem ze szkolnej wycieczki: „– A ty dlaczego nie wrzucasz? – Bo ja tu nie chcę wrócić. – Głupek".

Na obiad musi być mięso. Właściwie czemu? Przeglądam kartę w znakomitej restauracji: na dwadzieścia głównych dań dziewiętnaście jest mięsnych. Dwudzieste to ryba. Owszem, są sałatki, ale też z mięsem lub wędliną. Mogę wybrać coś z przystawek albo z deserów. Nie jestem wegetarianinem, ale mógłbym być. A tego dnia nawet chciałbym, bo mięsne już mi się przejadło. Rozglądam się po stołach i widzę, że tylko ja grymaszę. Przymus mięsa. Wydawał się zrozumiały 20-30 lat temu, gdy wciąż mieliśmy w pamięci okres, kiedy mięsa było mało. Ale teraz? Pierogi z kapustą i grzybami mi się marzą. Albo z kaszą gryczaną i serem. A najlepiej placki ziemniaczane. Gołe, bez dodatków, albo z sosem kurkowym.

Za to przymus picia nieco zelżał. Pokazujesz charakterystyczny gest, jakbyś trzymał w rękach kierownicę, i masz spokój przez resztę wieczoru. W tygodniku „Przekrój" była niegdyś rubryka poświęcona zasadom dobrego wychowania; prowadziła ją autorka ukrywająca się pod pseudonimem „Jan Kamyczek". Któregoś razu przyszedł list od czytelnika, który chciał się poradzić w dwóch sprawach. O pierwszej napisał obszernie: „Jak mam się zachować w gościnie, gdy wszyscy podnoszą kieliszki z wódką i piją zdrowie solenizanta, a ja jeszcze nigdy wódki nie piłem i jestem zdecydowany nigdy nie pić? Co mam powiedzieć, gdy gospodarz pyta: »Cóż to, nie chcesz wypić za zdrowie solenizanta?«". Drugie pytanie było krótsze, ale zapewne związane z pierwszym: „Kiedy są imieniny Janusza?".

Jechałem niedawno pociągiem z ośmioletnim Antkiem. To *à propos* picia. Antek był wygadany, a mama nieszczęśliwa. Nieszczęśliwa dlatego, że w krótkim czasie, o nic nie pytając, dowiedziałem się od Antka mnóstwa szczegółów z życia rodziny. W końcu wstała, spojrzała na synka błagalnie i położywszy palec na ustach, wyszła z przedziału. Jak tylko zniknęła, Antek nachylił się do mnie podniecony: „Mój tata był raz nietrzeźwy" – powiedział. „Niemożliwe" – skłamałem. „Jak byliśmy z mamą nad morzem – ciągnął Antek – tata przysłał nam esemesa: »Kocham was«. To znaczy mamę i mnie. A mama powiedziała: »Co mu się stało? Chyba się opił«".

Po co o tym wszystkim piszę? Bo dziwność ludzkich obyczajów nie przestaje mnie zdumiewać. Czyż Pismo nie powiada: „Daj temu, kto cię prosi"? Powiada, jak najbardziej. Otóż nowym – dziwnym – politycznym obyczajem jest nie dawać temu, kto prosi, lecz temu, który nawet się nie spodziewa. Stoi za tym wielki wysiłek tęgich głów czy niepozorny wysiłek główek małych – sam już nie wiem. Może Antek by mi to wyjaśnił, bo zanim mama wróciła do przedziału, zdążył jeszcze objaśnić mi, skąd się biorą dzieci. I powiem Wam, że rzeczywiście: żadnych lekcji na ten temat w szkołach nie potrzeba. Dzieci wiedzą już wszystko. ©

COPERNICUS FESTIVAL

ZAPRASZA NA

„LEONARDO DA VINCI – GRAMATYKI TWORZENIA"

KONCERT INAUGURACYJNY W WYKONANIU:

SŁAWOMIRA ZUBRZYCKIEGO – VIOLA ORGANISTA
DANIELA ELGERSMY – KONTRATENOR

COPERNICUS FESTIVAL

WTOREK
21.05.2019
GODZ. 19:00

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE
GMACH GŁÓWNY

Bezpłatne wejściówki do pobrania na **powszech.net/copernicus**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 16/2019

PARTNER DODATKU
pah
Polska Akcja Humanitarna

We wspólnym świecie

WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI DLA PAH

Nowe więzi

WOJCIECH BONOWICZ

Społeczeństwo, które pomaga jest lepiej „sklejone". Wtedy nawet polityczne podziały nie mają aż tak niszczących skutków.

MACIEJ MOSKWA / TESTIGO DLA PAH

W Sudanie Południowym, 2015 r.

Jak daleko sięga nasza odpowiedzialność? Odpowiedź na to pytanie jest, wbrew pozorom, bardzo prosta: nasza odpowiedzialność sięga dziś tak daleko, jak tego chcemy.

Świat współczesny stwarza bowiem możliwości pozwalające, powiedzmy, średnio zamożnemu mieszkańcowi południowej Polski zaangażować się w odnowę zabytków na Pomorzu, ochronę puszczy amazońskiej w Brazylii czy organizację opieki medycznej dla ofiar bombardowań w Jemenie albo trzęsienia ziemi w Indonezji. Możemy promować zdrowe żywienie we własnym kraju albo ratować zagrożonych głodem w Rogu Afryki. Możemy walczyć o więcej zieleni, parkingi, trasy rowerowe, plac zabaw albo lepszą szkołę na własnym osiedlu. Możemy też wesprzeć tych, którzy chcą tego samego po drugiej stronie kuli ziemskiej. Ludzie w Azji Środkowej będą pić wodę z pomp, które współfinansowaliśmy, a uchodźcy podjęci z Morza Śródziemnego zostaną potraktowani z godnością, jak ludzie – bo wsparliśmy organizacje, które o nich się troszczą.

Piękne mobilizacje

Czy to, że pojawiły się tak ogromne możliwości, uczyniło nas – ludzkość – lepszą wspólnotą? Na to pytanie z kolei odpowiedzieć trudniej. Bo jak to zważyć? Z jednej strony obserwujemy zjawiska świadczące o ucieczce od odpowiedzialności w ogóle lub opór przeciwko jej rozszerzaniu. Z drugiej przybywa ludzi, instytucji, organizacji, dla których wezwanie do „solidarności bez granic" jest zobowiązujące. Dla jednych istotne jest dobro ich samych i najbliższej rodziny, dla innych – etnicznej wspólnoty, do której należą; ale nie brakuje przecież i takich, którzy ten krąg odpowiedzialności zarysowują sobie szerzej. Myślę, że mimo wszystko jesteśmy – jako ludzkość – wspólnotą lepszą, wrażliwszą; świadczą o tym statystyki pokazujące, że w walce ze skrajnym ubóstwem, śmiertelnością dzieci czy analfabetyzmem jesteśmy coraz skuteczniejsi. Liczba tych, którzy cierpią z powodu biedy czy wykluczenia, jest ciągle duża, ale jednak maleje, a działania na rzecz poprawy tej sytuacji cieszą się uznaniem.

Jako wolontariusz i darczyńca uczestniczę w różnych akcjach społecznych. Nie-

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 16/2019 REDAKCJA: Marcin Żyła
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara, Edward Augustyn SKŁAD: Marta Bogucka KOREKTA: Sylwia Frołow, Grzegorz Bogdał, Maciej Szklarczyk
NA OKŁADCE: 29-letnia Olga z małą Aloną, jedną z czworga jej dzieci (fot. Wojciech Grzędziński). Mieszka we wschodniej Ukrainie, w domu częściowo zniszczonym na skutek wojny. Wsparcie finansowe od PAH pozwala jej zaspokajać najważniejsze potrzeby.
POLSKA AKCJA HUMANITARNA – wpłać na konto: 02 2490 0005 0000 4600 8316 8772
(w tytule przelewu wpisz „Pomagam". Kod akcji: 20193) lub on-line: www.pah.org.pl/wplac

które mają maleńki zasięg – ot, chodzi o to, by zebrać kilka czy kilkanaście tysięcy złotych na konkretny cel: letni obóz dla osób, które same nie zorganizują sobie wyjazdu, skomplikowaną operację, pomoc pogorzelcom. Ludzie angażują się, bo znają tych, którym pomagają, lub tego, który pomoc organizuje: wiedzą, że pieniądze, które zebrali, nie zostaną zmarnowane. Takie lokalne mobilizacje są bardzo piękne. Niektórzy potrafią z wielką determinacją bronić ostatniego kawałka parku w małej miejscowości albo szkoły, która z powodów ekonomicznych może i powinna być zlikwidowana, ale dla mieszkańców jest bezcennym miejscem integracji.

Czasem nawet zaczyna się od rzeczy z pozoru mało ważnych. Byłem tego świadkiem: kiedy moja córka była w gimnazjum, zorganizowała z koleżankami zbiórkę na ratowanie chorego konia. Same przygotowały kiermasz, natomiast dyrekcja i nauczyciele zapewnili miejsce, podsunęli termin i nie przeszkadzali. Była to, być może, najważniejsza lekcja etyki – a i wychowania obywatelskiego – jaką moja córka odbyła przez wszystkie lata szkoły.

Zrozumieć krzyk

Rośnie wiedza na temat tego, czym jest mądre pomaganie. Polska Akcja Humanitarna i inne duże organizacje pomocowe prowadzą programy edukacji globalnej. Dzięki temu tysiące ludzi wspiera innych bardziej świadomie.

Wciąż też poruszają mnie reakcje ludzi, którzy gotowi są pomóc komuś, kogo nigdy nie zobaczą na oczy. Od kilkunastu lat współpracuję z fundacją organizującą akcję „Pączek dla Afryki". W kilkuset szkołach uczniowie zbierają pieniądze dla swoich rówieśników w środkowej Afryce – jednym z najbardziej zaniedbanych rejonów świata, regularnie nawiedzanym przez rebelie i klęski głodu. Jest coś niesłychanie głębokiego w tym, że człowiek nie musi widzieć owoców swojej dobroczynności, żeby się w nią zaangażować. Do wyobraźni przemawiają same fakty: niewiele trzeba, aby zebrać równowartość ciepłego posiłku dla jednego, a czasem dwójki dzieci, które tam nie jadają ich codziennie.

Owoce zbiórki mogą być też bardziej spektakularne. To na przykład, jak w przypadku PAH, pompa we wsi, która od najbliższej studni była dotąd oddalona o 30 kilometrów. Albo murowana szkoła, chroniona przed deszczem, i normalne ławki, w których mali uczniowie mogą usiąść nad prawdziwymi zeszytami. Społeczeństwo, które pomaga, które jest solidarne wewnątrz i na zewnątrz, jest lepiej „sklejone". Wtedy nawet polityczne podziały nie mają aż tak niszczących skutków.

Kiedy wieszam na Facebooku zdjęcie z moimi niepełnosprawnymi przyjaciółmi – nawet nie po to, żeby coś zbierać, tylko po to, żeby podzielić się z innymi moją radością – dostaję „lajki" od tych, którzy chodzą na czarne protesty, i od tych, którzy sympatyzują z „dobrą zmianą". Kiedyś w „Etyce solidarności" ks. prof. Józef Tischner pisał: „Najpierw jest ranny i jego krzyk. Potem odzywa się sumienie, które potrafi słyszeć i rozumieć ten krzyk. Dopiero stąd rośnie wspólnota". Możliwe, że w hałaśliwych sporach „krzyk rannego" przebija się z coraz większym trudem, ale czuję, że ciągle jeszcze jesteśmy na niego wrażliwi.

Szczęście i wspólnota

A jeśli pomagamy dlatego, żeby bardziej kochać samych siebie? Tak, nie należy lekceważyć i tej motywacji. W tym, że chcemy lepiej o sobie myśleć, że pomagając, po prostu lepiej się ze sobą czujemy, nie ma przecież niczego złego. Często myślę o pewnej wymianie zdań, której byłem świadkiem. W Filharmonii Krakowskiej odbywało się spotkanie z Jeanem Vanierem, założycielem wspólnoty Arka i ruchu Wiara i Światło. W pewnym momencie ktoś z publiczności zapytał: „Czy nie jest tak, że wybierając pomaganie innym, ludzie często kierują się jakimś swoim interesem? Że intencje takich osób rzadko bywają czyste?".

Jean się ożywił, spojrzał na tę osobę uważnie i powiedział: „W swoim życiu szukałem najpierw poczucia siły. Ten rodzaj kontaktów, który wyznaczało wydawanie i wykonywanie rozkazów był dla mnie łatwiejszy. Nie musiałem się za bardzo angażować, wszystko było sformalizowane. Być może bałem się trochę relacji z kobietami. W każdym razie dopiero spotkawszy osoby z upośledzeniem odkryłem świat więzi, którego wcześniej nie znałem".

A potem dodał, szeroko się uśmiechając: „Nie wiem, czy moje intencje są czyste. I nie wiem, czy dobrze robię to, co robię. Ale jestem taki szczęśliwy...". ©

PAH X 2

SOMALIA:

Woda nie tylko do picia

Susza z lat 2016-17 spowodowała wielką migrację. Wyschnięcie rzek, utrata terenów uprawnych i śmierć zwierząt hodowlanych zmusiły ludzi do szukania ratunku w miastach. Mówi Maryan Abukar: – Żyję sama z piątką dzieci. Utrzymujemy się dzięki uprawie kukurydzy i mleku moich dwóch krów. W trakcie suszy nie mieliśmy wody do picia ani dla krów i do nawodnienia kukurydzy. Dzięki dostawom od PAH moje krowy przeżyły i teraz żywią nas swoim mlekiem.

SUDAN POŁUDNIOWY:

Nasiona to życie

Elizabeth Nyaden uczestniczyła w szkoleniu z metod uprawy ziemi organizowanym przez PAH. Dostała nasiona warzyw i narzędzia, które pozwoliły jej na samodzielną uprawę.
– Jestem matką siedmiorga dzieci – mówi.
– Przed szkoleniem nie mogłam znaleźć pracy, sytuacja była bardzo ciężka, szczególnie w trakcie klęski głodu. Po szkoleniu zaczęłam uprawiać ziemię. Teraz zbieram warzywa ze swojego pola i je sprzedaję. Dzięki zarobionym pieniądzom moja rodzina nie musi już polegać na żywności przekazywanej przez organizacje humanitarne.
Pomimo zakończenia wojny domowej, w Sudanie Południowym sytuacja jest wciąż niestabilna. Komplikują ją również trudne warunki klimatyczne i kryzys ekonomiczny. Pomocy potrzebuje ponad 6 mln ludzi.

PAH X 2

KENIA:

Piaskowe tamy

– Dzięki tamie mam wystarczającą ilość wody dla swoich warzyw i owoców. Teraz zarabiam więcej – mówi 62-letni Jouseph Mulibalu, ojciec ośmiorga dzieci. Niedawno wrócił do Machakos w południowej Kenii. Wcześniej musiał zostawić gospodarstwo i szukać pracy w Nairobi. W Kenii rolnictwo w dużym stopniu jest uzależnione od pogody. Rolnicy wykorzystują wodę opadową, lecz deszcze są coraz słabsze. Wraz z lokalnym partnerem PAH buduje tamy piaskowe pozwalające na zgromadzenie wody podczas pory deszczowej i wykorzystywanie jej później w okresie suchym.

SYRIA:

Dom w gruzach

Ośmioletnia wojna i związane z nią przemieszczenia ludności sprawiły, że większość Syryjczyków potrzebuje pomocy. Wielu nie może pracować i nie jest w stanie zapewnić swoim bliskim dachu nad głową, ubrań, pożywienia, dostępu do czystej wody. – Wraz z rodziną zostałem zmuszony do ucieczki z mojej wsi Al-Omqiya – opowiada 60-letni Abdulsalam Alakhras. – Moja rodzina liczy dziesięć osób. Nasz rodzinny dom leży w gruzach, a wraz z nim wszystko, co posiadaliśmy, łącznie z ziemią, która nas żywiła. W Hazzarin (północno-zachodnia Syria) wynajmujemy dom, co pochłania bardzo dużo pieniędzy. Od PAH Abdulsalam otrzymuje regularnie paczki żywnościowe, które pozwalają jego rodzinie wyżywić się przez cały miesiąc.

70 dolarów na samodzielność

Pomoc żywnościowa się zmieniła. Zamiast dostawać paczki z jedzeniem, ofiary wojen i susz same decydują dziś, na co, przy pomocy telefonów, wydadzą pieniądze – mówią pracownicy misji PAH w Somalii i Iraku.

MARCIN ŻYŁA: Rozmawiamy przez Skype'a. Gdzie teraz jesteście?

BIRHANU WAKA: Jestem w biurze Polskiej Akcji Humanitarnej w Erbilu. Dziś jest 9 kwietnia, czyli święto państwowe – rocznica obalenia Saddama Husajna. Ale u nas się pracuje.

KIRSTEN POOLE: A ja w Genewie, w siedzibie Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców. Trwa przerwa podczas spotkania grupy roboczej Global WASH and Shelter – razem z pracownikami innych organizacji zastanawiamy się, jak skuteczniej pomagać w kwestii higieny, dostępu do wody, sanitariatów i schronienia. To jednak nietypowy dla mnie dzień. Zwykle pracuję w biurach PAH w Mogadiszu, stolicy Somalii, lub w Nairobi.

Pamiętam obraz sprzed lat – program telewizyjny o dostarczaniu żywności. Kontenery lądujące na spadochronach, rzucający się na nie ludzie, chaos. Niektórym pomoc humanitarna kojarzy się tak do dziś.

KP: Od tamtego czasu dużo się zmieniło – jej dostarczanie bardzo się sprofesjonalizowało. Nie reagujemy już wyłącznie na nagłe kryzysy, jak wojny czy katastrofy naturalne, lecz wzmacniamy lokalne społeczności tak, aby mogły się lepiej chronić przed ich skutkami. To ważne choćby w Somalii, gdzie dzisiejsze wyzwania – susze i pogarszające się bezpieczeństwo żywnościowe – są podobne do tych z lat 80. XX w.

Dziś oprócz „pomocy" żywnościowej mówi się też o „wsparciu".

KP: Badacze akademiccy i praktycy wciąż zastanawiają się i uczą, jaka pomoc jest najbardziej skuteczna. W Somalii trwa długi, ciągnący się od lat kryzys. W takich warunkach walka z ubóstwem i niedożywieniem jest bardzo trudna. Działania PAH polegają na zapewnieniu uchodźcom wewnętrznym mechanizmu, który w żargonie humanitarnym nazywamy Multipurpose Cash Assistance (MCA). Dzięki bezpośredniemu wsparciu gotówkowemu ludzie uciekający przed skutkami suszy, powodzi lub walk mają do dyspozycji pewne kwoty. Innymi słowy: możliwość samodzielnego wyboru.

BW: Idea takiej pomocy polega na elastyczności. Potrzebujący mogą wydawać pieniądze na to, co jest im najbardziej konieczne. MCA użyto po raz pierwszy w 2004 r. po tsunami w Malezji.

Jak to wygląda w praktyce?

KP: W Mogadiszu co miesiąc dostarczamy beneficjentom równowartość 70 dolarów. Mogą je wydawać przy pomocy telefonów komórkowych – w wielu państwach Afryki to popularna metoda płatności. Oni najlepiej wiedzą, czego potrzebują. W kwietniu może to być jedzenie, w maju – kanister do noszenia wody.

Metoda ma też inne zalety. Po pierwsze, zamiast – jak kiedyś – przywozić z Zachodu pszenicę w workach, wspieramy lokalny rynek, pomagamy mieszkańcom wychodzić z trudnej sytuacji. Im bardziej systematyczna jest pomoc, tym większa jest szansa, że aby przeżyć, nie będą musieli sprzedawać zwierząt hodowlanych czy domów. Oraz że lepiej przygotują się na ponowną suszę. Po drugie, w takich krajach jak Somalia pomoc tego rodzaju może w przyszłości stanowić podwalinę pod budowę nowego systemu polityki społecznej.

RAFAŁ GRZEŁEWSKI / PAH

Dystrybucja pieniędzy w obozie Debaga w irackim Kurdystanie, listopad 2018 r.

BW: Rozróżnienie na pomoc humanitarną i rozwojową, choć potrzebne, rodzi nieporozumienie. Tradycyjne podejście mówi, że jedna następuje po drugiej. Czasem tak rzeczywiście musi być, jednak wydaje mi się, że skuteczna organizacja powinna mieć zarówno możliwość szybkiego reagowania na kryzys, jak i realizowania celów długoterminowych. Właśnie tak, równoważąc te potrzeby, stara się działać PAH.

Na przykład?

BW: W Iraku pomagamy w okolicy Mosulu. Kiedy w październiku 2016 r. rozpoczęła się tu ofensywa armii irackiej, której celem było wyzwolenie miasta z rąk ISIS, liczbę uchodźców wewnętrznych podawano w milionach. Potrzebna była natychmiastowa pomoc w obozach. Teraz, po zakończeniu walk, ludzie powoli wracają do swoich miejsc. Na to też musimy być przygotowani, trzeba im pomóc w integracji. Wsparcie żywnościowe, choć niezbędne, nie wyczerpuje wszystkiego.

Wróćmy do pomocy gotówkowej. Czy nadzorujecie, na co są wydawane pieniądze?

KP: Każdy kraj ma określony tzw. *minimum expenditure basket* – kwotę, która powinna wystarczyć na pokrycie kosztów wody, wyżywienia, mieszkania. Dopasowujemy do niej potrzeby wynikające z sytuacji danej społeczności. Po każdym transferze pieniędzy pytamy ludzi, na co je wydali, czy są zadowoleni, co chcieliby zmienić. I na bieżąco dopasowujemy program do nowych potrzeb. W Somalii większość pomocy dostarczana jest właśnie w ten sposób. Prowadząc takie konsultacje pokazujemy ludziom, że są aktywną częścią naszych działań. Organizacje takie jak nasza powinny ich wspierać w znajdywaniu własnych rozwiązań.

Pieniądze to nie wszystko. Jeśli widzimy, że w danej społeczności 80 proc. pieniędzy idzie na wyżywienie, próbujemy zaspokajać inne braki. Gdy dostajesz miesięcznie 70 dolarów, nie wydasz ich raczej na zbudowanie latryny. A lepsze warunki sanitarne to mniejsze ryzyko chorób. Mniejsze ryzyko chorób to niższe wydatki na leczenie. Niższe wydatki to możliwość zgromadzenia pieniędzy na czas kryzysu itd.

BW: W Iraku niektóre grupy zbrojne mają swoje „wydziały" humanitarne. Wokół Mosulu, gdzie działamy, w obozach jest dużo uzbrojonych ludzi. Niełatwo się w tym wszystkim poruszać. Żeby pomagać skutecznie, zanim w danym rejonie przystępujemy do działania, rozeznajemy potrzeby: rozmawiamy z muftimi, właścicielami lokalnych biznesów, władzami.

Jak szybko jesteście w stanie zareagować w razie kryzysu?

KP: W Somalii nawet w ciągu 72 godzin. Pamiętam taką sytuację. W dwóch prowincjach niedaleko Mogadiszu trwały walki oddziałów Unii Afrykańskiej z Asz-Szabab. Członkowie tej ostatniej otworzyli tamy i woda wylała się na rozległy teren. Kiedy jego mieszkańcy próbowali uchodzić na łodziach, zdarzało się, że je podpalano. Była to sytuacja ekstremalna – ludzie dosłownie uciekali przed śmiercią – ale w takich też działa PAH.

Trzy i pół miliona ludzi potrzebuje tu wsparcia żywnościowego. To potrafi być paraliżujące. Ale kiedy się udaje, choćby tylko do pewnego stopnia, jest to dla nas nagroda. To duża satysfakcja, że nie musisz mówić ludziom: „W waszej sytuacji nic się nie da zrobić".

Jak walczyć z mitami dotyczącymi działalności pomocowej?

BW: Nieporozumienia dotyczą często sprawiedliwej dystrybucji pomocy. To prawda, zdarzają się złe działania. Z oddali nie zawsze jednak widać, że pracownicy organizacji humanitarnych w terenie to zwykle bardzo oddani, zaangażowani ludzie. Pracują dniami i nocami, żeby zmienić życie innych. I zmieniają! PAH działa w Iraku od 2006 r. Był tu w najtrudniejszych momentach, podczas bitwy o Mosul. Tak wielu ludzi udało się ocalić, tak wiele sytuacji polepszyć. Z 8,5 mln ludzi przesiedlonych sytuacja ponad 5 mln jest już ustabilizowana.

KP: Media skupiają się na wydarzeniach drastycznych, jak niedawny cyklon w Mozambiku, Malawi i Zimbabwe. Ludzi łatwiej wtedy namówić do pomagania organizacjom humanitarnym, czujemy wsparcie opinii publicznej. Sytuacja komplikuje się w przypadku kryzysu, który się przedłuża: jest mniej wiadomości w obiegu, zaczyna brakować pieniędzy. Paradoks polega na tym, że ludzie na miejscu cierpią w takich sytuacjach nie mniej niż w czasie zdarzeń nagłych – dochodzi np. ubóstwo dziedziczone z pokolenia na pokolenie. Trzeba pamiętać, aby przy podziale pieniędzy nie kierować się tylko i wyłącznie emocjami opinii publicznej. To prowadzi nas do całkiem innego tematu – edukacji.

©℗ Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

KIRSTEN POOLE jest kierowniczką programową PAH w Somalii. W biurach w Mogadiszu i Nairobi zajmuje się koordynacją pomocy oraz kontaktami z innymi partnerami organizacji.

PAH X 2

BIRHANU WAKA jest szefem misji PAH w Iraku. W branży humanitarnej od 14 lat – pracował m.in. na misjach w Etiopii, Liberii, Sudanie Południowym i Zambii.

Nowe życie

NIE SĄ TO ŁATWE SPOTKANIA. Bywa, że trwają bardzo krótko, a ludzi, których się odwiedza – obojętnie, czy dzieje się to w Somalii, Iraku lub Syrii – prosi się zwykle o to samo, trudne zadanie: opowiedzieć o tym, co przeżyli. Często o najgorszych momentach swojego życia.

NA ZDJĘCIACH WOJCIECHA GRZĘDZIŃSKIEGO zrobionych na wschodzie Ukrainy widać jednak ich drugie życie, to które mogli rozpocząć (czasem – podtrzymać, ale to przecież też dużo) dzięki pomocy otrzymanej od PAH. Dzięki niej jest jakaś nadzieja.

JAK U PANI ALEKSANDRY ze zdjęcia po prawej stronie. Przed wojną pracowała jako HR-owiec. W 2015 r., gdy zbliżał się front, uciekła z Doniecka. Dołączyła do grona ponad 1,5 mln tzw. uchodźców wewnętrznych w tym kraju. Co było dalej? Nowa rzeczywistość, nowe mieszkanie, nowi przyjaciele. I, na szczęście, nowa pasja i praca – pani Aleksandra zajęła się wypiekami. Wzięła udział w szkoleniu, napisała biznesplan, po czym otrzymała od PAH wsparcie finansowe na rozkręcenie własnej firmy. Kupiła profesjonalny piekarnik i opiekacz.

PANI TATIANA (na zdjęciu poniżej) mieszka z kolei w Swietłodarsku – to też wschodnia Ukraina. Przez 28 lat pracowała w szkolnej bibliotece. Kiedy przyszła wojna, jej sytuacja materialna stała się bardzo zła. Dzięki pomocy może kupić lekarstwa.

JULIA PODA (zdjęcie w prawym dolnym rogu) w swoim domu w Nowoselice Perszej. Mieszka tu z mężem Aleksiejem Żukowem. Rodzina dostaje nasze wsparcie finansowe, które pozwala na zakup podstawowych produktów. Kobieta cierpi na epilepsję, ma problemy z mową, trudno jej utrzymać długopis w ręku. Mąż się nią opiekuje. Małżeństwo opuściło Donieck przed wojną, w 2012 r. W mieście mieszka rodzina kobiety, w tym jej wnuczka. Julia i Aleksiej wydali pieniądze, które otrzymali od PAH, na produkty spożywcze, herbatę i cukier, kupili proszek do prania, szampon, wiadro do noszenia wody.
Julia kupiła również buty. ©℗ Oprac. ŻYM

POLSKA AKCJA HUMANITARNA
Wpłać na konto: 02 2490 0005 0000 4600 8316 8772 – w tytule przelewu wpisz „Pomagam".
Kod akcji: 20193. Online: www.pah.org.pl/wplac
PRZEKAŻ 1%
KRS: 0000 136 833

WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI DLA PAH X 4

EVERETT COLLECTION / EAST NEWS

Slavoj Žižek

BŁAZEN I PROROK NA UBITEJ ZIEMI

Według Petersona nieustannie, każdego dnia wybieramy dobro lub zło. Według Žižka nasz wpływ na rzeczywistość to zaledwie iluzja, którą sprzedaje nam kapitalizm. W Wielki Piątek obaj staną twarzą w twarz do boju o swoje racje.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Trzy tysiące biletów wyprzedało się błyskawicznie, ale na portalach aukcyjnych można jeszcze upolować pojedyncze sztuki. Ceny zaczynają się od 200 dolarów. W internecie istne szaleństwo. Obstawianie zwycięzcy, starcia między grupkami fanów, memy i pełne oburzenia tweety. 19 kwietnia w Toronto! Najgorętszy pojedynek tej wiosny nie odbędzie się między bokserami ani piłkarzami, tylko między...

No właśnie. Kim właściwie są Slavoj Žižek i Jordan Peterson – bohaterowie wyczekiwanego starcia tytanów? Naukowcami? Filozofami? Celebrytami? Ich szumnie zapowiadane spotkanie to nie tylko okazja, żeby przedstawić zawodników i ich dotychczasowe osiągnięcia, lecz przede wszystkim świetny pretekst, by spytać: co to dziś znaczy być intelektualistą? Jakie role czy wręcz maski mogą przybrać ci, którzy chcieliby z powodzeniem

LARS PEHRSON / SVENSKA DAGBLADET / FORUM

Jordan Peterson

zmieniać świat myślą, przebić się na zatłoczonym rynku idei, inspirować, mieć realny wpływ na opinię publiczną i decyzje polityków?

W oficjalnym, dystrybuowanym przez amerykańskiego wydawcę opisie bestsellera Petersona „12 życiowych zasad" możemy przeczytać, że jest to książka napisana przez „najbardziej wpływowego obecnie intelektualistę [*public intellectual*] zachodniego świata według »New York Timesa«". Warto przyjrzeć się tej deklaracji. Zawartej w niej potrzebie stworzenia rankingu, samemu określeniu *public intellectual*, dla którego brak chyba dobrego polskiego odpowiednika, ale też manipulacji symptomatycznej dla współczesnego rynku idei.

Co roku ukazuje się tyle książek. Skąd mieć pewność, że nie przegapimy czegoś ważnego? Z powodzi nowych idei, ostrzeżeń i diagnoz ratuje nas wskazanie tych „najbardziej wpływowych". Ale „New York Times" nie prowadzi takiego rankingu. Szukając źródła cytatu o najbardziej wpływowym obecnie intelektualiście, trafiam po prostu na publicystyczny felieton Davida Brooksa. Zdanie w całości brzmi: „Mój przyjaciel Tyler Cowen przekonuje, że Jordan Peterson jest najbardziej wpływowym obecnie intelektualistą zachodniego świata i ma w tym sporo racji [*he has a point*]". Czyli jeden facet napisał, że drugi powiedział... Ale skoro działo się to wszystko na łamach „New York Timesa" – dziesiątki tysięcy czytelników otrzymają wyrwany z kontekstu fragment zdania jako drogowskaz.

Nie przytaczam tu tej historii dlatego, że jest niezwykła. Przeciwnie. Przywołuję ją właśnie dlatego, że jest symptomatyczna. Oto, jak wygląda dziś arena, na której intelektualiści rywalizują o wpływy, sławę, a czasem pewnie nawet o pieniądze.

Pogromca smoka

Jordan Peterson to kanadyjski wykładowca, autor dwóch bardzo różnych książek. Jego pierwsza praca, „Maps of Meaning", to dość hermetyczny przewodnik po interpretacji klasycznych mitów naszej kultury, napisany w duchu Jungowskiej analizy archetypów. Powraca w nim obraz odwiecznej walki kosmosu z chaosem, obejmującej wszystko: od naszych codziennych wyborów po najtrwalsze paradygmaty kultury. Chaos zaś uosabiany jest przez znany z mitologii obraz prastarego potwora – smoka o wielu głowach i kobiecej naturze. Pramatki, która tworzy życie tylko po to, by wkrótce pożreć swe dzieci.

Druga książka Petersona to popularyzatorski poradnik pt. „12 życiowych zasad. Antidotum na chaos". Wątkiem łączącym wszystkie tytułowe zasady jest lęk przed rozpadem tożsamości i porządku społecznego, którego gwarantem są ustalone normy postępowania i hierarchie. Ich symbolem wśród czytelników Kanadyjczyka stały się homary, których warunkowane hormonami i odruchami losy autor opisuje w jednym z rozdziałów. Skoro nawet homary tworzą hierarchię, skoro nawet wśród nich są zwycięzcy i przegrani – przekonuje Peterson – to porządek, rozumiany właśnie jako drabina, jest czymś odwiecznym ↦

↦ i wiecznym. Podważanie jego istnienia jest szaleństwem, które może nasz świat otworzyć na apokalipsę. Bo tylko porządek trzyma w ryzach straszliwe demony naszej natury i pradawnego smoka chaosu. Czyli druga książka to właściwie ta pierwsza, tylko napisana jeszcze raz, znacznie prościej.

Ale to nie książki uczyniły Petersona słynnym, lecz internet. Wszystko zaczęło się od wideo, które nagrał w związku z planowanymi zmianami kanadyjskiego prawa dotyczącego reguł tzw. politycznej poprawności. Peterson sprzeciwił się projektowi ustawy wprowadzającemu m.in. obowiązek zwracania się do każdego wybranymi przez niego/nią zaimkami. Historia tego sprzeciwu pokazuje doskonale, jak nieprzewidywalną i kapryśną bestią jest dziś sława. Film, od którego zaczęła się wciąż wzbierająca fala, która wyniosła Petersona aż do nadchodzącej debaty, jest wedle jakichkolwiek obiektywnych kryteriów po prostu słaby. Psycholog w ogóle się w nim nie pojawia. Słychać jedynie jego monotonny głos na tle bardzo prostej prezentacji w Power Poincie. Nie ma żadnych retorycznych fajerwerków. W dodatku, wbrew wszelkim regułom internetowych guru wieszczących skracający się czas uwagi i triumf cywilizacji obrazkowej, trwa niemal godzinę. Godzina gadania i czarne napisy na białym tle.

Mimo to jakimś cudem materiał wzbudził zainteresowanie użytkowników portalu YouTube, a potem także dużych mediów. Rozpoczął się medialny efekt śniegowej kuli. Kanadyjczyka zapraszano do studia kolejnych, coraz większych programów telewizyjnych i radiowych. Swych poglądów bronił zawsze błyskotliwie i rzeczowo, stając się dla internautów symbolem retorycznego zwycięstwa spod znaku „w punkt" i „zaorano".

A było z kim walczyć. Peterson od dawna uznaje komunistyczny totalitaryzm za ostrzeżenie przed tym, do czego prowadzić może podważanie hierarchii. W swoim gabinecie przechowuje jako memento kolekcję przykładów sowieckiej propagandy.

Dziś za nowe wcielenie smoka chaosu filozof uznaje postmodernizm („nową skórę, którą zamieszkuje dziś stary marksizm") oraz „marksizm kulturowy". Według Petersona media, nauka i przemysł rozrywkowy zdominowane są przez marksizm, którego Kanadyjczyk obsesyjnie wręcz nie cierpi. Ślady tej ideologii dostrzega absolutnie wszędzie, co jego wypowiedzi upodabnia często do popularnych w internecie materiałów z teoriami spiskowymi. Na przykład oryginalny film o politycznej poprawności zaczyna się od deklaracji, że około 20 proc. naukowców z nauk społecznych uważa się za marksistów. Według Petersona w niczym to nie jest lepsze od utożsamiania się z nazizmem, biorąc pod uwagę morderczą naturę marksizmu, którą ten ujawnił, gdy wprowadzono go w wielu krajach.

„Ale ja nie jestem politycznie poprawny" – dodaje zaraz Peterson, który uwielbia sytuować się w roli samotnego bojownika o rozum, uciśnionego przez wszechobecny marksistowski spisek.

Szop ze śmietnika

Slavoj Žižek to prawdziwy przodownik pracy – od trzech dekad utrzymuje imponujące tempo kilku książek rocznie (łącznie ma ich już na koncie dobrze ponad 50), kręci także filmy. Choć wielu dawnych fanów ubolewa, że Słoweniec w pewnym momencie przestał być oryginalny i zaczął odcinać kupony od swej imponującej popularności.

Posługując się narzędziami psychoanalizy i marksizmu Žižek dekonstruuje otaczającą nas kulturę, pokazując jej ukryte mechanizmy. Ostrze Žižka zwrócone jest przeciw późnemu kapitalizmowi i jego produkcji kulturowej – wielkim firmom, sieciom handlowym, wzorcom relacji międzyludzkich. Przepis Žižka na popularność jest bardzo prosty. Sprawdzamy, o czym jest teraz głośno. „Pokemon Go"? „Kung-fu Panda"? Nowe „Gwiezdne wojny"? Oglądamy to uważnie, a potem dodajemy kategorie Jacques'a Lacana i Karola Marksa. Zawsze te same. Realne, Symboliczne i Wyobrażone, środki produkcji, maskowanie ideologii.

„Pokemon Go" to doskonała metafora ideologii – tłumaczył Žižek kilka lat temu, w momencie szczytowej popularności gry. Bo ideologia opiera się na zasadzie rozszerzonej rzeczywistości, gdzie na Realne (termin Lacana) nakłada się od razu gotowe interpretacje, budując fałszywą świadomość (termin marksistowski) i ukrywając rzeczywiste stosunki własności i produkcji. „Kung-fu Panda" jest zbudowana ze stereotypowych ujęć Azji i sztuk walki, ale zarazem cały czas robi sobie z nich żarty. To pokazuje – twierdzi Žižek – jak ideologia może przetrwać, uwewnętrzniając elementy krytyki, a nawet pastiszu, szyderstwa czy ironii.

Jak tu nie uwielbiać faceta, który na wykładzie filozoficznym, na łamach nobliwej gazety albo w telewizyjnym studiu nagle zacznie opowiadać o pokemonach albo pandach, żeby na końcu wyprowadzić z tego wszystkiego błyskotliwą intelektualną woltę?

W dodatku Žižek ma niepowtarzalny *image* – rozbiegany wzrok, zmierzwiona broda, mnóstwo tików na czele z pociąganiem nosem, które stało się wręcz jego znakiem rozpoznawczym. Po angielsku mówi doskonale, bez trudu i w czytelny sposób formułując nawet najbardziej złożone myśli. Ale zarazem ostentacyjnie eksponuje swój środkowoeuropejski akcent, sepleni, zawiesza się w pół zdania. Można więc powiedzieć, parodiując nieco samego Žižka, że jego retoryka jest ucieleśnieniem heglowskiej dialektyki – jednocześnie doskonała i spektakularnie zła. W swoich podniszczonych koszulkach jest czymś w rodzaju współczesnego Diogenesa. Najwierniejsi fani przedstawiają go wręcz jako szopa ze śmietnika, nawiązując do cytatu z filozofa, który opisując przedstawioną wyżej metodę interpre-

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Zakopanem, I Wydziałem Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 567/18, toczy się postępowanie z wniosku Wspólnoty Mieszkaniowej „Tamaris" w Zakopanem, o stwierdzenie nabycia spadku po Hannie Pażus-Cieszewskiej z d. Święcickiej, c. Edwarda i Anny z d. Reszke, ur. 23 sierpnia 1939 r. w Zakopanem, ostatnio zamieszkałej w Zakopanem przy ul. Przewodnika Jana Krzeptowskiego 33/5, której zwłoki znaleziono 4 marca 2013 r. w Zakopanem.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców ww., aby w ciągu 3 miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Zakopanem i udowodnili swoje prawa do spadku po ww., gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w toczącym się postępowaniu.

tacji hollywoodzkich hitów stwierdził, że żywi się śmieciami prosto z kosza.

Ale ten śmietnikowy *image* nie powinien nas zwieść! Żeby rozmontowywać kapitalizm, Žižek starannie ogląda hollywoodzkie superprodukcje, pije kawę w sieciówkach, lata samolotami po całym świecie i ma program w telewizji Russia Today. Co więcej, swoich odbiorców zaprasza do tego samego, proponując im „rozkosz demaskatora". Usprawiedliwia tym samym konsumpcję dokonywaną w trybie „dekonstrukcji" czy „ironii". Wolno oglądać najnowsze blockbustery pod warunkiem, że robimy to krytycznie („Mamo, ja nie oglądam seriali cały dzień, ja tylko dokonuję krytyki popkultury w stylu Žižka!").

Peterson broni tradycji i porządku, Žižek podkopuje je i podważa. **Kto zwycięży?**

Žižek w zaskakująco wielu punktach mógłby się zgodzić z Petersonem. Podstawową dzielącą ich różnicą jest jednak myślenie spiskowe, o które Słoweniec wielokrotnie oskarżał swego kanadyjskiego adwersarza. Za zło odpowiada, według Petersona, „marksizm kulturowy", który ma formę spisku – jest sterowany przez konkretne osoby, w konkretnym (niecnym) celu.

Tymczasem kluczowe dla filozofii Žižka są pojęcia „nieświadomego" oraz marksistowskiej logiki systemowej wykraczającej poza intencjonalne działania jednostek. Tam, gdzie filozofia Petersona opiera się na „skupionej sprawczości", a więc wskazywaniu winnych i braniu odpowiedzialności (chociażby za własne życie), Žižek ukazuje „odpowiedzialność rozproszoną" – mechanizmy niezależne od jednostek, uwarunkowania systemowe.

Peterson jest dalekim spadkobiercą purytańskiej etyki i poradników samopomocy. W jego świecie nieustannie, każdego dnia wybieramy dobro lub zło. Posprzątamy swój pokój lub nie zrobimy tego, będziemy się garbić albo wyprostujemy plecy (to autentyczne przykłady z jego książki!). W świecie Žižka nasz wpływ na rzeczywistość to zaledwie iluzja, którą sprzedaje nam kapitalizm. Nie każdy może stać się milionerem, supermodelką albo genialnym filozofem. Walka z przeciwnościami losu i ciężka praca nic nie dadzą, bo nasz los decyduje się na poziomie znacznie większych struktur wyzysku, dominacji, dyskryminacji...

Kto jest starszy?

Mam przed sobą dwa zdjęcia. Timothy Snyder i Kuba Wojewódzki. Obaj sfotografowani niedawno przy okazji promocji swoich nowych książek („Drogę do niewolności" Snydera bardzo polecam!). Snyder wydaje mi się przynajmniej 10 lat starszy od Wojewódzkiego i z wielkim zaskoczeniem dowiaduję się, że w rzeczywistości jest od niego sześć lat młodszy.

Wydaje mi się, że ta pomyłka nie świadczy jedynie o sile magii Piotrusia Pana, ani też o moich słabych kompetencjach w rozpoznawaniu twarzy. Snyder jest starszy od Wojewódzkiego ze względu na role, które przyjęli. Mędrzec jest zawsze starszy od błazna, król od rycerza, matka od księżniczki. Żeby zaistnieć w przestrzeni publicznej ukształtowanej przez YouTube, a media społecznościowe, telewizyjne *talk-shows* i kanały radiowe nadające gadanie 24 godziny na dobę, trzeba przybrać maskę. Podporządkować swoją sceniczną personę zestawowi oczekiwań. Dawniej można było się ukryć za swoimi książkami. Dziś filozof musi mieć także głos, twarz, niepowtarzalny styl, rozpoznawalne powiedzonka.

W tym popkulturowym świecie Jordan Peterson musi być prorokiem. Nie dlatego, żebym uważał, że ma rację. Nawet nie ze względu na bardzo oczywiste figury retoryczne (choć dają się zauważyć inspiracje Petersona stylem amerykańskich kaznodziejów). Peterson jest prorokiem na poziomie najgłębszych struktur organizujących logikę jego filozofii. Cechuje go poczucie misji i lęk przed upadkiem grożącym „królestwu"; szanuje władzę, wierząc w jej boską (naturalną) proweniencję, a zarazem – niczym starotestamentowy prorok – bierze na siebie obowiązek napominania gnuśnego władcy, który nie dostrzega wszechobecnych znaków niebezpieczeństwa.

I wreszcie – choć może się to wydać nieco kontrowersyjne wobec religijnej powściągliwości Petersona – przemawia głosem Boga. Bóg Petersona to niekoniecznie Jahwe. To niekoniecznie w ogóle bóg osobowy. To mogą być „fakty, które są faktami", „natura", „rzeczywistość" – ważne, że Kanadyjczyk ma poczucie, iż wnosi do debaty głos spoza realiów ludzkiego sporu, głos objawiony i jako taki niepodlegający dysputom, głos spoza obszaru dowolności interpretacji. To daje mu siłę w walce z postmodernistyczną zarazą.

Žižkowi przypada maska błazna. Szydzi ze wszystkich i sam – celowo – pozostaje śmieszny. Jest obsceniczny i wulgarny, gardzi zaszczytami, ale na dworze Króla Kapitalizmu umościł się wyjątkowo wygodnie. Może i nosi wytarte koszulki, ale na nogach ma zawsze skarpetki kradzione z Lufthansy. Specjalnie lata pierwszą klasą na liczne występy, żeby – jak się chwali – podkradać w samolocie ciepłe skarpety rozdawane pasażerom, których stać na najdroższe bilety.

Gdy Peterson ostrzega przed upadkiem i wzywa do pokuty, Žižek nawołuje do odrzucenia porządku i rozpętania rewolucji. Kanadyjczyk broni tradycji i porządku, Słoweniec – podkopuje je i podważa. Dlatego 70-letni Slavoj Žižek przemawia z pozycji młodszego, choć matematycznie jest niemal o pokolenie starszy od 56-letniego Petersona.

Kto zwycięży w zbliżającej się debacie? Odpowiedź jest prosta. Żaden z dwóch uczestników. Nie przekonają się wzajem do niczego, mają też niewielkie szanse na przeciągnięcie na swą stronę jakichkolwiek stronników adwersarza. 19 kwietnia wielkim zwycięzcą będzie współczesna kultura popularna ukształtowana przez nowe media. Intelektualne starcie tytanów będzie ostatecznym dowodem na skalę, w jakiej memy, filmy i tweety podporządkowały sobie dziś nasz świat.

I nie mówię tego ubolewając! Nie ma we mnie nic z proroka wieszczącego upadek. Przeciwnie – jestem technologicznym optymistą. Tak samo filozofię podporządkowało sobie wcześniej pismo, a w okresie nowożytnym – druk. Te zmiany samym filozofom też na początku wydawały się przerażające. Nie ma co narzekać. Pora chwytać popcorn i włączać odbiorniki.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

KRECICA

JAGODA SZELC, REŻYSERKA:

Nauczyłam się mówić „nie". To trudne słowo. Szczególnie dla kobiet. Nie umiałam wyznaczać granic, bo nie chciałam kogoś zranić.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Kto w dzieciństwie miał na Panią największy wpływ?

JAGODA SZELC: Szkoła. Stąd głęboko zakorzeniła się u mnie opinia, że największą nobilitacją jest być dobrym nauczycielem. A najgorszym wstydem jest bycie złym. Pierwszym nauczycielem, którego darzyłam zaufaniem, był Janusz Piasecki. Uczył biologii i lubiłam ten przedmiot, ale głównie dlatego, że on był czuły, wyrozumiały, mądry i kochał młodzież. Nie byłam typem kujona – po prostu lubiłam być w szkole. Do pewnego momentu lubiłam też chodzić na rekolekcje, choć nie byłam wierząca. Pochodzę z ateistycznego domu.

To dlaczego rekolekcje?

Bo w kościołach jest cisza, w której można sobie posiedzieć. Lubiłam też siedzieć w namiocie, który był rozłożony w moim pokoju. Miałam tam magnetofon i z kaset słuchałam bajek. Chciałam – miałam 6, 7, 8 lat – w przyszłości pracować w radiu. A ze wszystkich słuchowisk najbardziej lubiłam „Pchłę Szachrajkę". Choć ta bajka ma antykobiecy finał – najpierw Szachrajka robi to, co chce, jest oszustką, ale na końcu obiecuje, że już będzie grzeczna, wychodzi za mąż i rodzi 5 tysięcy dzieci.

Jaki byłby lepszy finał?

Szachrajka przyznaje się, że źle robiła, obiecuje poprawę i robi dalej, co chce, tylko inaczej.

Na przykład?

Idzie w sztukę... I nie twierdzę, że Szachrajka robi źle zakładając rodzinę. Tyle że w tym akcie zabrakło Pchły Szachrajki. I zdaje się, że straciła przydomek, lecz w bajce nie jest wspomniane, jak jej było na imię potem. Czyli pozostała bezimienna.

A wracając do pani pytania o człowieka, który miał na mnie wpływ. Ja bym nie romantyzowała jednej osoby. Wiem, że to brzmi górnolotnie, ale wszyscy ludzie mają na nas wpływ. Jak to oszacować? Dlatego trzeba uważać na to, co się mówi do ludzi. Wszyscy – to jest bardziej sprawiedliwe.

Sprawiedliwe?

Opowiem pani historię z planu filmowego, po którym myślałam, że się pożegnam z zawodem. Ryba psuje się od głowy – reżyser oraz operator byli przemocowcami, więc reszta ekipy była niespokojna i panował straszny *mobbing*. Głównie w stosunku do mnie. Przyszłam tam się uczyć, a byłam zawstydzana za każdy błąd. Ciężko to przeżyłam. Myślałam, że jeśli po tej sytuacji będę reżyserować, bo wtedy nie byłam tego wcale pewna, to nikt na planie mojego filmu nie będzie czuł się tak jak ja.

Ale gdzie w tym wszystkim sprawiedliwość?

W tym, by umieć przekuć to, co nas spotkało, w lekcję. Wygrać albo się czegoś nauczyć. I nikt nam nie może realnie zaszkodzić. I to też ma na nas wpływ. Tylko ty decydujesz jaki.

No dobrze, ale jeszcze proszę powiedzieć coś więcej o bliskich. Ktoś z rodziny miał na Panią wpływ?

Nie było takiej osoby. Dopiero w szkole filmowej spotkałam prawdziwych nauczycieli.

Na Akademii Sztuk Pięknych ich nie było?

A! No tak! Tam był ważny profesor Nicole Nascow, Macedończyk, uchodźca, emigrant. Historia naszego spotkania wiąże się ze zbiegami okoliczności. Gdy miałam 16 lat, pojechałam na obóz, na ↦

JAGODA SZELC (ur. 1984) jest reżyserką i scenarzystką. Ukończyła grafikę na Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu oraz Wydział Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej PWSFTviT w Łodzi. Była także stypendystką Uniwersytetu Arystotelesa w Salonikach. Zanim stanęła na planie debiutanckiego filmu „Wieża. Jasny dzień" (nagrodzonego Złotymi Lwami za najlepszy debiut reżyserski oraz najlepszy scenariusz podczas 42. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni), zrealizowała 10 krótkometrażowych etiud fabularnych i dokumentalnych. „Monument", jej drugi pełnometrażowy film, który niedawno miał kinową premierę, jest jednocześnie dyplomem studentów Wydziału Aktorskiego Szkoły Filmowej w Łodzi. Obecnie pracuje nad kolejnym filmem – „Delikatnym balansem terroru", za którego scenariusz otrzymała II Nagrodę Mazowieckiego Konkursu Scenariuszowego „Script Wars". W planach ma ekranizację „Chłopów" Reymonta.

MICHAŁ SZYMOŃCZYK

↦ którym miałam uczyć się jeździć na snowboardzie. A ponieważ jestem sportowo ograniczona i nic dobrego z tego nie wychodziło, gdy inni byli na stoku, ja czytałam gazety w hotelu, po którym biegały myszy. W ostatni dzień nie wytrzymałam, uciekłam z obozu i wylądowałam na mocno zakrapianej imprezie. I tam właśnie spotkałam Nascowa. Zobaczył moje rysunki i powiedział, że jestem dotknięta palcem Bożym.

Mocno powiedział.

Oczywiście, myślałam, że on się pomylił. A ponieważ nie wykazywałam zdolności do niczego, to pomyślałam też, że skoro Nascow proponuje, to i tak nie mam nic, więc spróbuję. Jeszcze gdy byłam w liceum, Nascow pozwolił mi przychodzić na zajęcia ze studentami... A później zdawałam egzamin wstępny i za pierwszym razem się nie dostałam.

Moment... Pani powiedziała, że do niczego nie miała zdolności.

Powiem więcej: słowa Nascowa to była pierwsza pozytywna rzecz, którą na swój temat usłyszałam. Od dziecka miałam przekonanie, że nic ze mnie nie będzie. I to było dobre: czułam się wolna. Ale choć od tego czasu trochę lat minęło, wiem o sobie tyle, że nie jestem zdolna, tylko pracowita. Dla mnie najbezpieczniejszym miejscem jest szara strefa – nie lubię rokować. Nie lubię, jak mi się mówi o stawkach. Nie lubię, jak ktoś we mnie pokłada wiarę, bo nie lubię robić rzeczy dlatego, że ktoś ode mnie ich oczekuje. To jest dla mnie nienaturalne, ponieważ mam w środku taką osobę, z którą toczę psychomachię. Ona jest o wiele bardziej okrutna niż każdy inny krytyk.

A co z egzaminem na ASP?

W następnym roku tak się zawzięłam, że praktycznie nie wychodziłam z pracowni. Gdy przed komisją rozłożyłam teczkę, na dwie szerokości sali musiałam układać prace. I nie zdawałam na malarstwo, choć było mi organicznie bliższe, tylko na grafikę.

Bo?

Bo trudnej było się dostać i tam byli prawie sami mężczyźni. A we mnie zrodziła się niezgoda. Chciałam wkroczyć na ten męski wydział jako kret.

Żeby sobie czy komuś coś udowodnić?

W domu mi powiedziano, że nie ma nic po śmierci i że jesteśmy mięsem, które się rozkłada. Z taką wiedzą musiałam sobie radzić.

Żeby załamać system. Lub inaczej: żeby było zdrowo.

Gdy zdawałam na reżyserię, to po raz kolejny w porównaniu z koleżankami i kolegami byłam sporo do tyłu, bo każdy z nich był już na planie filmowym, a ja nie. I też nie zdałam. I znowu się zawzięłam. Udało się za drugim razem. Zawsze wszystko mi się udaje za drugim razem. Ciekawe czemu? Na pierwszym roku reżyserii robiłam wszystko: nosiłam kable, nagrywałam dźwięk, każdemu chciałam pomóc, byle nie schodzić z planu i nauczyć się jak najwięcej. Braki szybko nadganiałam, nawet ponad normę.

Ale dlaczego zdecydowała się Pani na Szkołę Filmową?

Tak żartem to może mieć związek ze zdarzeniem z dzieciństwa. Gdy miałam sześć lat, bawiłam się na obskurnym podwórku, na które z kamerą przyszli studenci ASP. Byłam brudna i miałam gile w nosie. Poprosili mnie, żebym weszła do taczek, a potem z nich wyskakiwała. Nagrywali mnie na taśmie 8 milimetrów. Powiedzieli, że jutro też przyjdą i żebym na nich czekała. Więc na następny dzień czekałam ładnie ubrana, na stopach miałam lakierki. A oni nie przyszli. Dziś myślę, że dlatego najpierw poszłam na ASP, a potem do Szkoły Filmowej, bo chciałam odszukać powody, dla których studenci nie przyszli. Ta historia wróciła do mnie niedawno. Jednak konstatacja jest następująca: nawet gdybym nie robiła filmów, tobym nie żałowała tego czasu. Studia tam były najlepszą rzeczą, jaka mnie spotkała.

Pod jakim względem najlepszą?

Ludzkim – sporo się dowiedziałam o sobie, Szkoła Filmowa skonfrontowała mnie z deficytami. Jesteś tam poddawana ciągłej krytyce. Jeśli jesteś nieasertywna, niespójna, leniwa, tchórzliwa, to film cię obnaży. Ja miałam problem z kontaktem ze sobą, choć byłam już dość uformowana i w miarę dorosła. Niektórzy młodsi studenci tego nie wytrzymują – i wtedy Szkoła Filmowa ich miażdży. A mnie nie zmiażdżyła, tylko dała narzędzia.

O jakich deficytach Pani mówi?

Przede wszystkim o tym, że nie umiałam mówić. Dopiero nauczyciele mnie nauczyli. Później nauczyłam się mówić: „nie". To trudne słowo. Szczególnie dla kobiet. Nie umiałam wyznaczać granic, bo nie chciałam kogoś zranić. Ale też nie umiałam tego, bo sama nie wiedziałam, co mam w środku. Więc nauczyłam się też słuchać do środka.

Czego ważnego jeszcze nauczyła się Pani w Szkole Filmowej?

Że trzeba poważnie potraktować historię, która do ciebie wraca. Czy raczej powód, dla którego wraca. Jestem gorliwą pansemiotyczką. Jeszcze nie w manii.

Pani ma taką powracającą historię?

Mnóstwo. Ale opowiem o tym, co mi nie daje spokoju. Niedawno podróżowałam z Żywca do Katowic pociągiem, który w ogóle nie został zarejestrowany – przyjechał niezgodnie z planem i odjechał nie o tej godzinie, co trzeba. Słowem: pociąg widmo.

I co z tego wynika?

Że mnie tam nie było. Nie pamiętam drogi zupełnie, bo byłam w swoich myślach – przegapiłam całą podróż. Więc pociąg też nagle się pojawił w Żywcu. Ciekawe.

Dalej nie rozumiem.

Chodzi o to, że rzeczywistość wyrzuciła na zewnątrz to, co było we mnie uwewnętrznione. Żeby mi to pokazać. Cuda cały czas zdarzają się, tylko rzadko je widzimy. Akt patrzenia jest bardzo ciekawym zjawiskiem. *À propos* cudów.

Bezcenne było dla mnie spotkanie z Mariuszem Grzegorzkiem, rektorem, który powiedział: „Nieważne, czy wasze filmy będą udane, czy nieudane, ważne by wychodziły z dobrego autorskiego korzenia". Żeby były spójne z tobą. Zgodne. Szczere. To znaczy, że mówienie o sztuce w kategoriach ładny/nieładny, podoba mi się/nie podoba – jest poziomem najprymitywniejszym.

I jeszcze masę rzeczy nauczył mnie Wojtek Emm; niestety już nie żyje. Specjalizo-

wał się w moim ukochanym zagadnieniu, czyli w psychoakustyce. To taka trochę pchła szachrajka... Chodzi o psychologię słuchania dźwięków. Kadr jest ograniczony, a dźwięk nie. W tym sensie dźwięk jest bardziej święty niż obraz. Samym odgłosem sztućców da się skierować uwagę widza w konkretną stronę kadru, po to by przerzucił spojrzenie i czegoś nie widział lub zobaczył maleńką rzecz, która umyka np. bohaterowi. Jest masa rzeczy, którą dźwięk robi lepiej niż obraz – wciąż się tego uczę. Rozwijam też pomysł na dźwiękowe storyboardy do filmu. Myślę, że to jest pewna innowacja. Nie słyszałam, żeby ktoś poza mną to robił.

Była też Jolanta Dylewska, operatorka, która nauczyła nas, że światło w filmie podobnie jak historia zawsze jest w procesie. Rozwija się identycznie jak bohater, ma swoją dramaturgię. Dylewską szanuję też, bo nauczyła nas, że skromność w kinie jest najbardziej szlachetna. I tak dalej...

A co powiedział Pani Martin Scorsese, z którym kilka miesięcy temu spotkała się Pani w Nowym Jorku?

Bardzo byłam zainteresowana, jak on sobie radził z ekspozycją własnej osoby. Wiem, że pod koniec lat 70. miał straszny problem: depresję oraz totalną kokainową zapaść. Robert de Niro, by nim wstrząsnąć, do szpitala przyniósł mu scenariusz „Wściekłego byka", powiedział, że muszą ten film nakręcić... Scorsese powiedział mi, że życie prywatne i zawodowe musi być w magnetycznym tańcu, bo inaczej jest klapa. Jemu wyszło dopiero piąte małżeństwo.

Rozmawialiśmy też o „Ostatnim kuszeniu Chrystusa" – lubię ten film. On był zaskoczony, zapytał: „Naprawdę? Strasznie mnie za niego zjechali". Ciekawa byłam, jak sobie radzi z odpornością psychiczną. Zdjęcia do „Kuszenia" kręcone były na pustyni i Willem Dafoe miał zakraplane oczy, by źrenice Chrystusa były poszerzone. Po zdjęciach Dafoe stracił na trzy dni wzrok... Albo gdy w Paryżu odbywały się pokazy „Kuszenia", zdarzały się zamachy na kina – to był wyraz niezgody na taki wizerunek Zbawiciela.

Natomiast w Jodie Foster, która zagrała w „Taksówkarzu", zakochał się psychopata. A potem zabił kogoś w restauracji.

I jak radził sobie z tym wszystkim Scorsese?

Nie radził sobie. Miał zapaść.

Oszczędzanie wody to moja modlitwa.

Wchodzę do domu i zamiast myć ręce, myję talerz. Dużo myślę, jak minimalizować emisję samej siebie.

A Panią Scorsese o co pytał?

O to, jak realizowałam sceny z dziećmi i jaki mam system i metodologię pisania. O pracę na planie. Pytał o to, jak wpadałam na poszczególne sceny. Bardzo dobrze orientował się w polskiej kulturze. Rozumiał, dlaczego kościół w moim filmie jest w remoncie.

Później pokazał mi oprawione rysunki Wajdy do ostatniej sceny „Popiołu i diamentu", które ten mu podarował. Poprosił, żebym mu przetłumaczyła, co tam jest napisane w notatkach: „Maciek, śmieci, krew". Trochę się śmialiśmy.

Czyli mówiła Pani o śmierci. To też ważny temat Pani filmów.

Jakkolwiek to zabrzmi: śmierć to była moja namiętność. Fetysz. W domu mi powiedziano, że nie ma nic po śmierci i że jesteśmy mięsem, które się rozkłada. Z taką wiedzą musiałam sobie radzić. Nic mi religia w szkole nie dała. Później przestałam na nią chodzić. Katechezy przypominały Cartoon Network – z dziećmi nie rozmawia się poważnie o duchowości, tylko karmi się je absurdalnymi dykteryjkami.

A ja miałam ogromne potrzeby duchowe... Choć wierząca nie jestem i nie będę. Jednak uważam, że każdy te potrzeby posiada, nawet zdeklarowani ateiści. Ja swoje realizuję przez ekologię czy szacunek do zwierząt. Oszczędzanie wody to moja modlitwa. Ostatnio, jak wchodzę do domu, to zamiast myć ręce, myję jeden talerz. Dużo myślę, jak minimalizować emisję samej siebie. Taka jest moja religia.

A ten wątek umierania jest istotny w Pani filmach „Wieża, jasny dzień" i „Monumencie"?

Kiedy pracowałam nad „Wieżą", odchodziła bliska mi kobieta. Byłam przy ostatnich momentach jej życia. Była wspaniała: uczyła swoje dzieci, jak się umiera. Do samego końca pozostawała dorosła... Choć słaba fizycznie i obolała, w tym procesie odchodzenia cały czas troszczyła się o swoje dzieci. Kiedy płakały, to je głaskała po głowie. I każdemu zostawiła list, w którym napisała, że nie wymarzyłaby sobie wspanialszych dzieci. A te dzieci miały swoje za uszami... Lecz zostawiła je z dobrym przekazem – każdemu ofiarowała prezent. W pewnym momencie mówiliśmy jej, że za oknem jest piękna pogoda, niebo jest niebieskie, na gałęziach siedzą ptaki, zrobiło się cieplej. I daliśmy jej do ust kostkę lodu, bo ona nie mogła już pić. Powiedziała wtedy: „Och, chyba jestem w niebie".

Wzruszyło mnie, jak do ostatnich chwil okazywała wdzięczność. To była dla mnie ważna lekcja. Wcześniej wydawało mi się, że trzeba mieć rodzinę, by ci ktoś coś tak intymnego pokazał... A okazuje się, że człowiek, który w twoim życiu pojawia się tylko na chwilę, okazuje się być tak ważnym nauczycielem. Już nie boję się śmierci. Raczej czuję ekscytację.

Naprawdę?

W swoim życiu przeszłam przez wiele śmierci tożsamościowych. I dobrze, bo teraz jestem szczęśliwym człowiekiem. Pani pyta, na ilu byłam swoich pogrzebach? Może trzech? Jeden – to jak z Wrocławia, mojego rodzinnego miasta, wyjeżdżałam do Łodzi. I w przeddzień wyjazdu zgubiłam wszystkie swoje dokumenty. I pamiętam, że sobie wtedy pomyślałam: „E, jadę na czystą kartę". Od tego czasu raz na jakiś czas sama wyrzucam swoje dowody osobiste do rzek.

A jeszcze te dwa Pani „pogrzeby"?

Oj, miałam już śmierci nagłe i zawały serca. Tragiczne wypadki. Samospalenia. Wykrwawienia. Wszystko.

Eh, żartuje Pani.

Trochę tak, trochę nie.

„Monument", drugi Pani film, mówi o tym, że w pewnym momencie należy zapomnieć o wszystkim, czego się człowiek dotąd nauczył, by w sztuce zrobić krok dalej.

Jeśli nauczyciel nie jest w stanie powiedzieć, jak to zrobić, to znaczy, że jest mądry. Ale to jest bardzo trudne, bo czasami chcą pokazać rozwiązania, które mogą się im wydawać świetne. Mam za sobą awanturę z Mariuszem Grzegorzkiem. ↦

↦ Krzyczałam, że wolę wyjść ze Szkoły Filmowej ze swoimi błędami niż z jego najlepszymi radami. I on umiał odpuścić, bo jest właśnie mądrym nauczycielem. Tak naprawdę na końcu tylko ty wiesz, kim jesteś. I nie musisz nikogo do tego przekonywać.

A jak wygląda Pani szczęście?

Gdy byłam gówniarą, wydawało mi się, że ludzie muszą mieć dużo rzeczy i dużo do opowiedzenia. A teraz mnie to g... obchodzi. Najbardziej lubię być w domu, sprzątać i gotować dla ludzi, których kocham. Jestem dumna, że jestem weganką i świetną kucharką. Że mam przyjaciół i nikomu nie muszę niczego udowadniać. Że czytam tylko te książki, które chcę czytać, a nie czytam książek, bo mam coś wiedzieć. I jeszcze chcę robić tylko te filmy, które chcę robić. I że ich nie muszę robić do końca życia. W prywatnej sferze nie mam zupełnie ambicji. Ambicje są obrzydliwe i czynią ten świat gorszym.

Czerpię też przyjemność z tego, że czuję się w końcu dorosła. W dorosłości jest dużo obciążeń, w tym ogrom odpowiedzialności, ale też jest ona wspaniała, bo możesz o sobie decydować. I najważniejsze, że nie wszyscy mnie będą lubić. Słowem, im bardziej minimalizuję potrzeby, tym mniejsze są wpływy zewnętrzne – nie kontrolują mnie korporacje ani ludzie i nie ulegam modom. Suma moich lęków się kasuje. Jestem wolna.

Żadnych lęków?

Nie no, oczywiście, że mam. Szarżowałam... Czasem się budzę przerażona z myślą, że nie mam pieniędzy na trzeci film i co to będzie. Ale jestem na tyle duża, by wiedzieć, że i tak coś będzie.

Jak to mówią: „Trumny nie mają bagażników". Na świat przyszłam naga i tylko po to, żeby się nachapać doświadczeń, fakultetów. Tyle. Chciałabym jeszcze nakręcić ze dwa filmy. Bo jeszcze mnie to szalenie, że tak powiem, kręci. Chciałabym też mieć pracę, by co do gara włożyć. Na razie uczę się uczyć w Szkole Filmowej na reżyserii. Jestem nauczycielem. Chciałabym być dobrym nauczycielem.

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

Na końcu środka świata

PIOTR KOSIEWSKI

Muzeum Susch okrzyknięto wielkim wydarzeniem, zanim zwiedzający przekroczyli jego progi. Czy instytucja stworzona w Szwajcarii przez Grażynę Kulczyk może podbić Europę? Albo i wieś?

Muzeum zajęło zabudowania XIX-wiecznego browaru oraz pozostałości założonego w 1157 r. klasztoru u stóp Przełęczy Flüela, niegdyś będącego przystankiem w pielgrzymce do Rzymu lub Santiago de Compostela. Zostały one starannie odrestaurowane oraz uzupełnione o nowe przestrzenie przez dwójkę szwajcarskich młodych architektów Chaspera Schmidlina i Lukasa Voellmy'ego. Mają doświadczenie w rewitalizacji starych zabudowań (m.in. na siedzibę bazylejskiej Gallery von Bartha zaadaptowali dawną stację benzynową).

Wszystkie współczesne części, przede wszystkim obszerne podziemne przestrzenie wystawiennicze połączone z już istniejącymi, wydają się niemalże niewidoczne, nienaruszające historycznej przestrzeni małej szwajcarskiej wioski. Oszczędność, minimalizm, brak ostentacji – to wszystko zwraca uwagę w Muzeum Susch.

Architekci ze szczególną dbałością podeszli do historycznych pozostałości. Odrestaurowano drewniane okładziny w pomieszczeniach mieszczących dziś muzealne bistro, na swoim miejscu pozostały osmalone belki stropowe pomieszczeń dawnego browaru, a w byłej stajni pozostawiono odpływy, którymi niegdyś pozbywano się nieczystości. Sięgnięto wreszcie po lokalne materiały: żwiru wydobytego z koryta rzeki przepływającej przez Susch użyto do wykonania tynków, a ka-

CLAUDIO VON PLANT / MUZEUM SUSCH

Panorama Susch

STUDIO STEFANO GRAZIANI / MUZEUM SUSCH

Powyżej i na następnej stronie wnętrza Muzeum Susch

wałki skał usuniętych spod historycznych zabudowań, by powstały nowe pomieszczenia, stały się materiałem dla podłóg. Ostatecznie powstał labirynt 25 sal, dających ponad 1500 m² przestrzeni wystawienniczej, a także biblioteka, sala wykładowa i biura. Jedne pomieszczenia to ascetyczne, białe przestrzenie, inne, mroczne, wyglądają jak części jaskiń ukształtowanych jedynie siłami natury.

Muzeum Susch pokazuje, jak bardzo w naszych czasach zmieniło się myślenie o architekturze. Już przeminęła moda na budynki-ikony, często nachalne monstra, ingerujące w zastaną przestrzeń. Ale też Muzeum Susch może być przykładem, że – jak zauważył na łamach „Guardiana" Oliver Wainwright – w epoce, w której „architekci często są odsuwani na bok, a wykonawcy idą na skróty, budynki mogą być nadal dobrze wykonane". Po prostu.

Dodatkowo w przestrzeń muzeum na stałe wprowadzono wybrane przez Grażynę Kulczyk dzieła. Niektóre z nich rzeczywiście są *site-specific*, czyli stworzone dla tego właśnie miejsca. Mirosław Bałka w naturalnej grocie będącej częścią klasztornych zabudowań ustawił wielką cylindryczną formę, którą zatytułował „NARCISSUSSUSCH". Jej powierzchnie wykonane z polerowanej, nierdzewnej stali odbijają otaczające skały. Natura nieustannie przegląda się w swym lustrzanym wizerunku. I tylko wejście zwiedzającego zakłóca tę narcystyczną kontemplację. Dawną wieżę browaru zapełniła monumentalna rzeźba Moniki Sosnowskiej „Schody", w której wszystko uległo zmiażdżeniu, odkształceniu, zamieniło się w dziwną, groźną formę. Jednak wiele innych prac powstało wcześniej i w Susch umieszczono je wtórnie.

Miejsce

Przed pięciu laty, w rozmowie z „Tygodnikiem Powszechnym" Grażyna Kulczyk podkreślała: „moja kolekcja, dziś jedna z największych w tej części Europy, nie powstała wyłącznie dla mojej przyjemności. Od początku była tworzona z myślą o tym, by się nią dzielić". Kulczyk próbowała stworzyć muzeum w Poznaniu, później złożyła propozycję Warszawie. Nie udało się. W czasie rozmów z władzami stolicy trwały już prace w Susch. Jednak kolekcjonerka przez cały czas podkreślała: jego powstanie nie oznacza porzucenia pomysłu stworzenia muzeum w Polsce. Czy jest tak nadal – nie wiadomo. A szwajcarski projekt to „muzeum plus". Poza Muzeum Susch jego integralnymi częściami są: cykl debat Disputaziuns Susch, program rezydencji dla artystów i badaczy akademickich Temporars Susch oraz *think tank* Instituto Susch mający się zajmować obecnością kobiet w nauce i sztuce.

Muzeum otwarto 2 stycznia. Jego powstanie stało się wydarzeniem, zwłaszcza w Polsce, chociaż trzeba zaznaczyć, że odnotowało to wiele, przede wszystkim europejskich mediów, w tym entuzjastycznych – wbrew stereotypom – szwajcarskich. Jednak nadwiślański obraz był szczególny i nie zawsze przystający do rzeczywistości: oto polska milionerka niemalże na krańcu świata, w niewielkiej szwajcarskiej wiosce, niczym z bajki, otwiera swoje muzeum, odmieniając Susch i tamtejszą społeczność. Nie zabrakło nawet niemalże lirycznych opowieści np. o kolekcjonerce osobiście częstującej lokalną społeczność winem.

Susch, zabytkowa wioska w szwajcarskiej Gryzonii, rzeczywiście jest niewielka – zamieszkuje ją zaledwie 200 osób. Położona w Engadynie, rozciągającej się wzdłuż rzeki Inn i otoczonej ze wszystkich stron wysokimi górami, może uwodzić. Niedaleko stąd do Włoch, Austrii i Liechtensteinu. Davos jest blisko i St. Moritz też, a tam bywają umowni „wszyscy". Sama dolina od dawna była miejscem popularnym, nie tylko wśród artystów. ↦

↦ To tu czas spędzali m.in. Fryderyk Nietzsche i Rainer Maria Rilke. W Davos osiadł wybitny niemiecki ekspresjonista Ernst Ludwig Kirchner. Dzisiaj zaś na terenie Engadyny działają liczne galerie i muzea. W St. Moritz jest ich kilkanaście, w tym od końca ubiegłego roku filia jednej z najważniejszych galerii na świecie Hauser&Wirth. W Zuoz działa m.in. filia cenionej galerii Monica De Cardenas, Gian Enzo Sperone, marszand i współtwórca wielkiej galerii Sperone Westwater, organizuje wystawy w barokowym budynku Chasa dal Guvernatur w Sent, a cenione barcelońskie studio architektoniczne Barozzi/Veiga zaprojektowało siedzibę Bündner Kunstmuseum w Chur. No i w okolicy takich obiektów architektonicznych jest mnóstwo. Jak nie Foster, to Zumthor. A jak nie oni, to engadyńskie malowane wsie.

Grażyna Kulczyk przyznawała, że nie jest to przypadkowa lokalizacja. Niby jest „w górach, daleko od dużych ośrodków, ale to lokalizacja na swój sposób w »centrum świata«" – mówiła przed kilkoma laty w wywiadzie w polskiej edycji „Forbesa". „Mieszka lub bywa tam bardzo dużo ciekawych ludzi, także zamożnych, którzy mają bardzo bogate tradycje kolekcjonerskie, posiadają własne muzea i galerie – dodawała. – I to jest fantastyczne, bo skonfrontuję się z tymi, którzy wiedzą, jak to się robi od pokoleń". Jeżeli pamięta się o kontekście, w jakim powstało Muzeum Susch, to jego lokalizacja nie jest kaprysem, lecz przemyślaną decyzją.

Samo Susch, rozłożone po obu stronach rzeki, u stóp góry, jest niezwykle malownicze. Chociaż niewielkie, to zachowały się w nim historyczne zabudowania, m.in. XIII-wieczna wieża oraz gotycki kościół, a dzisiejsza jego zabudowa, z licznymi okazałymi domostwami, wyróżnia się wśród innych, jakie można zobaczyć, jadąc tu koleją. Jednocześnie dojazd jest pewnym wyzwaniem, zwłaszcza dla osób niepodróżujących samochodem. Położone jest trzy godziny drogi od Bazylei, Berna czy Zurychu, ale dojazd koleją z tego ostatniego oznacza dwie lub trzy przesiadki. W Susch pociągi zatrzymują się na żądanie! [rzeczywiście stają – red.]. Jeden hotel, a w nim jedna pizzeria, częściej zamknięta. Jest to także – zwłaszcza dla osób z naszej części Europy – wyzwanie finansowe, ale taka już jest cała ta bajeczna Szwajcaria.

W cytowanej już rozmowie z „Tygodnikiem" Grażyna Kulczyk deklarowała: „inwestuję w społeczeństwo". Jej galeria ulokowana w przestrzeniach poznańskiego Starego Browaru była dostępna dla szerokiej publiczności. Preselekcja odwiedzających w przypadku Muzeum Susch jest zaś nieuchronna i narzuca się pytanie, do kogo ono zostało adresowane.

Trzeba jednak przyznać, że sam pomysł na muzeum został starannie przemyślany. W pierwszym momencie można nie dostrzec wielu drobiazgów. Np. w nazwie słowo „muzeum" jest po polsku. W pomieszczeniach kawiarni zawieszono zakopiańskie projekty architektoniczne Stanisława Witkiewicza, wskazując na powinowactwa między naszą a szwajcarską architekturą tego czasu. Z kolei nazwy pozostałych części projektu w Susch są w *romansch*, języku retoromańskim, którym posługuje się miejscowa ludność. Dobry kontekst dla sztuki: między lokalnością a wymiarem globalnym, polskością a kontekstem, w którym muzeum działa. Na ile jest ona czytelna dla większości zwiedzających, to już inna kwestia.

Wystawa

Moim celem – tłumaczyła Grażyna Kulczyk w rozmowie ze Stefanem Pirovano dla portalu Conceptual Fine Arts – jest „stworzenie miejsca dla tych, którzy zostali pominięci lub historycznie zignorowani, i wprowadzenie ich do kanonu głównego nurtu, gdzie wszyscy mogą ich docenić". Od dawna też podkreśla, że chce pokazywać dialog między artystami z Europy Wschodniej a tworzącymi w innych częściach świata. Jej kolekcja dawała możliwość skonfrontowania polskich artystów, a z czasem także z innych krajów naszego regionu, z szeroko rozumianym Zachodem. W interesujący sposób poka-

zywała związki między nimi, zarówno dobrze znane, jak i dotąd rzadko dostrzegane.

W Susch polskość czy środkowoeuropejskość ma być stale obecna. Ale jest jeszcze jeden wyznacznik, który ma określać tożsamość tego muzeum – twórczość kobiet, historyczna i współczesna. Sama instytucja ma być zaś zakorzeniona w kolekcji Grażyny Kulczyk. Nieustannie poszerzanej i uzupełnianej, także o artystów do niedawna przeoczanych lub niedocenianych, jak autorka delikatnych rzeźb, odwołujących się do biologicznych form, Mária Bartuszová, Włoszka Carol Rama, twórczyni niepokojących, pełnych erotycznych treści obrazów, czy tworząca w Nowym Jorku Judith Bernstein, wykonująca zaskakujące, pełne fallicznych motywów rysunki i obrazy (jej indywidualną wystawę można właśnie oglądać w warszawskiej Fundacji Galerii Foksal).

STUDIO STEFANO GRAZIANI / MUZEUM SUSCH

Oparcie działalności muzeum na prywatnym zbiorze może być szansą, ale też ograniczeniem. Może się okazać, że działalność wystawiennicza zostanie podporządkowana osobistym upodobaniom kolekcjonującej osoby lub będzie tylko promocją zbioru i jego właściciela. Pierwsza wystawa otwarta w Susch pozwala w praktyce zobaczyć, jak ma wyglądać działalność tego muzeum. Co więcej, „Kobieta patrząca na mężczyzn patrzących na kobiety" przekonuje, że warto – wbrew medialnemu szumowi – poważnie potraktować stworzone przez Grażynę Kulczyk miejsce.

Na wystawie przygotowanej przez Kasię Redzisz, główną kuratorkę Tate Liverpool, wcześniej pracującą w londyńskiej Tate Modern, od lat też prowadzącą z Mirosławem Bałką projekt „Otwock", znalazły się prace ponad 30 artystów, a przede wszystkim artystek tworzących w ostatnim półwieczu.

To wystawa o patrzeniu. O tym, jak ono jest przefiltrowane przez kulturę, stereotypy, uprzedzenia, przede wszystkim dotyczące płci, które – jak podkreśla kuratorka – „determinują naszą percepcję dzieł sztuki i świata w ogóle". Jest tu polityka reprezentacji, wyzwolenie seksualne, kwestionowanie tradycyjnego podziału ról kobiet i mężczyzn. A jednocześnie zaskakująco zawężono tematykę, pomijając wiele wymiarów społecznych i klasowych, zwłaszcza rolę kobiety i jej miejsce w życiu społecznym i politycznym. To wykluczenie może zaskakiwać, a nawet budzić niepokój: czy nie proponuje się ucieczki w bezpieczne, niekontrowersyjne obszary. Jednak wybór dokonany przez Kasię Redzisz dobrze się broni: powstała wystawa trudna, niepokorna, budząca chwilami sprzeciw, także w społecznościach, w których emancypacja staje się oczywistością (warto pamiętać, że jest to dość nowy proces, a w Szwajcarii kobiety prawa wyborcze uzyskały w 1971 roku).

Na wystawie kobiety na mężczyzn patrzą z rzadka, ale prowokująco, często ironicznie, jak w pracy Sarah Lucas, która wykonała ogromny bakłażan o zaskakująco fallicznym kształcie. Za to patrzą na kobiety, własną, kobiecą seksualność, bezpruderyjnie, ostro, czasami bez niedomówień. Marlene Dumas przedstawia łono, a swój obraz tytułuje „Immaculate". Betty Tompkins z fotograficzną szczegółowością maluje chwilę stosunku, z członkiem zanurzonym w srom. Ale są tu też macierzyństwa czy śmierci, w tym przejmująca „Matka z zabitym dzieckiem" Andrzeja Wróblewskiego.

Zarazem wystawa podważa obiegowe wyobrażenia o hierarchiach i kanonach interpretacyjnych. Obraz cięty Lucia Fontany czy op-artowskie płótno Wojciecha Fangora umieszczone wśród prac artystek nagle nabierają nieoczekiwanych znaczeń. Wreszcie to same kobiety podważają artystyczne *status quo*. Nieprzypadkowo wystawę otwiera zapis głośnego performansu Hannah Wilke „Through the Large Glass" z 1976 r. Artystka staje przed „Wielką Szybą" Marcela Duchampa, ikonicznym dziełem XX-wiecznej awangardy. Zaczyna uwodzić, przybiera erotyczne pozy. Obala dystans, powagę dzieła i wielkiego muzeum, w którym jest ono przechowywane. Zachowuje się niestosownie, ale przecież taki wizerunek kobiety był promowany w ówczesnych mediach, zwłaszcza adresowanych do mężczyzn.

W ciągu pierwszych ośmiu tygodni od otwarcia Muzeum Susch odwiedziło 5 tys. osób. To bardzo dużo. Czy utrzyma się to zainteresowanie, gdy zniknie powab nowości i medialny powiew? Czy muzeum nie stanie się kolejną z wielu instytucji zajmujących się sztuką?

Jego powstanie dobrze pokazuje paradoksy związane ze współczesną sztuką, z jej dążeniem do demokratyzacji odbioru, a jednocześnie z elitarnością, związaną chociażby z cenami, jakie osiągają dziś dzieła sztuki. Muzeum – jak deklaruje jego twórczyni – ma być alternatywną propozycją wobec tempa funkcjonowania świata sztuki, swoistą *slow motion option*. „Dla mnie jest oczywiste, że świat sztuki jest gotowy na kolejny ruch", na spowolnienie – tłumaczy Grażyna Kulczyk Natalii Rachlin z „The Wall Street Journal Magazine". I dalej: „Odległe miejsca będą na mapie: ludzie potrzebują ciszy, odpoczynku, świeżego powietrza i zdrowej żywności. Przybycie tutaj jest okazją do bycia razem z naturą, ale teraz także kulturą. Wszystko to jest w Susch". No tak, ale dzisiaj wszystko się staje *slow*. Poczekajmy, aż hotel i pizzeria przestaną kaprysić. Jak się już ma we wsi muzeum, to warto się poświęcić.

© PIOTR KOSIEWSKI

Współpraca ROBERT ZAKRZEWSKI

A WOMAN LOOKING AT MEN LOOKING AT WOMEN / KOBIETA PATRZĄCA NA MĘŻCZYZN PATRZĄCYCH NA KOBIETY, *Muzeum Susch, kuratorka Kasia Redzisz, wystawa czynna do 30 czerwca 2019 r.*

UNIVERSAL HISTORY ARCHIVE / UNIVERSAL IMAGES GROUP / EAST NEWS

Wolfgang Amadeusz Mozart komponuje w Pradze uwerturę „Don Giovanniego", karta z cyklu „Życie Mozarta", reklamująca pastę bulionową marki Liebig, Paryż, 1906 r.

Rozpustnik poturbowany

PIOTR KAMIŃSKI

Arcydzieło? Oczywiście! Arcyopera? Jak najbardziej! Tylko dlaczego nie możemy usłyszeć „Don Giovanniego" w najlepszym, oryginalnym kształcie, który wymyślił sam Mozart?

Jak piszą w swojej przedmowie wydawcy „Don Giovanniego" w „Neue Mozart-Ausgabe" (Nowym Wydaniu Dzieł Mozarta), istnieje tylko jedna autentyczna wersja utworu: opera, skomponowana dla Pragi i tam z ogromnym sukcesem wystawiona 29 października 1787 r. Jest to zarazem jedyna wersja, którą można precyzyjnie zdefiniować. Rzecz w tym, że tego właśnie „Don Giovanniego" gramy najrzadziej.

Od najwcześniejszej zachowanej taśmy (Metropolitan, dyr. Tullio Serafin, 1935), przez pierwsze, legendarne nagranie (Fritz Busch, Glyndebourne, 1936), aż po najświeższe dokumenty z dziesiątków scen i estrad: setki dyrygentów, tysiące śpiewaków. Wszyscy, z bardzo nielicznymi wyjątkami, powielają ten sam wizerunek tej arcyopery: arbitralnie sklecony tekst muzyczny i tempa bardzo dowolnie traktujące oznaczenia Wolfganga Amadeusza Mozarta w imię potocznych wyobrażeń o treści i wymowie utworu.

Czego Mozart nie słyszał

W styczniu 1787 r., na wieść o triumfie, jaki minionej jesieni odniosło w Pradze jego „Wesele Figara", Mozart zjechał z żoną nad Wełtawę. Całe miasto grało, śpiewało, gwizdało i tańczyło „Figara". Wracając do Wiednia w pierwszych dniach lutego Mozart wiózł już zamówienie na nową operę dla praskiej trupy Pasqualego Bondiniego. Ponieważ jednak librecista „Figara", Lorenzo da Ponte, miał ważniejsze zlecenia, zmajstrował Mozartowi naprędce adaptację cudzego libretta na wyświechtany temat, krążący po teatrzykach kukiełkowych. W 35 lat później Lorenzo da Ponte przedstawi w swoich „Pamiętnikach" gładszą i korzystniejszą dla siebie wersję ówczesnych wydarzeń.

Jedyny raz w całej swojej karierze operowej Mozart jest Panem Stworzenia i pisze w Pradze, co chce. A jednak, w dwa tygodnie po sensacyjnej prapremierze, odrzuciwszy kolejną propozycję Bondiniego, wraca do Wiednia – i znów robi, co mu każą. Na użytek tamtejszego wznowienia „Don Giovanniego" przebudowuje całą sekwencję II aktu między sekstetem („Sola, sola") a sceną na cmentarzu. Skreśla arię Leporella („Ah, pietà signori miei"), zastąpioną strzępkiem recytatywu, oraz arię Ottavia („Il mio tesoro"), pisząc tenorowi inną, łatwiejszą („Dalla sua pace") w akcie I. Dopisuje farsowy duet Zerliny i Leporella („Per queste tue manine") oraz, na żądanie primadonny, Cateriny Cavalieri, wielką scenę dla Donny Elwiry („In quali eccessi" – „Mi tradì"). Jaki los spotkał

w Wiedniu finałowy sekstet („Ah, dov'è il perfido!") – nie wiadomo. Wiemy jedynie, że w pośmiertnym wznowieniu opery pod dyrekcją Franza Xavera Süssmayra (1798) finał ów skreślono – co weszło w zwyczaj, powszechny w wieku XIX i z rzadka wskrzeszany po dziś dzień.

Nie wiem, kiedy skostniał obiegowy kształt opery, którego Mozart nigdy nie słyszał. Przypuszczalnie już w pierwszych latach XIX w., kiedy „Don Giovanni" podbił Europę. Składa się nań wersja praska z dwiema wstawkami wiedeńskimi, czyli arią Ottavia z I aktu i sceną Elwiry z aktu II. Te numery łamią podstawową regułę utworu: w oryginale wszystkie arie wpisane są w sytuację i skierowane do partnerów. Dwa „ciała obce" śpiewa się po staremu, na pustej scenie, do publiczności. O ile jednak „Dalla sua pace" innych szkód nie wywołuje, o tyle dygresja Donny Elwiry ma złowrogie skutki uboczne. Jest to zresztą przypadek znamienny.

Scena ta (recytatyw i aria) zamyka wspomnianą, przerobioną sekwencję aktu II. Skleiwszy po sekstecie dwa recytatywy, Mozart wprowadza na scenę Zerlinę z nożem w ręku, wlekącą schwytanego Leporella. Następuje farsowy duet, Zerlina biegnie po pomoc, Leporello zaś wyrywa z futryną okno, do którego został przywiązany, i znów czmycha. Zerlina wraca po chwili z Elwirą i Masettem, by stwierdzić jego brak. Całość kwituje scena Elwiry.

Wersja obiegowa zachowuje wyłącznie tę scenę, wstawioną arbitralnie po „Il mio tesoro" Ottavia. Tym samym słyszymy skutek, czyli arię *serio*, ale nie przyczynę, czyli duet *buffo*. Co gorsza, wali się architektura całego utworu. Oryginalny schemat przewiduje trzy różne postaci kobiece, bliskie typom znanym z komedii *dell'arte*. To dumna arystokratka o niezłomnym sercu (postać *serio*), szczera i prosta dziewczyna z ludu (postać *semi-serio*) i „przytulia lepczyca" w pewnym wieku (postać *buffo*).

Mozart, rzecz prosta, wstrzyknął w te foremki szekspirowskie złoto, kruszyć ich jednak nie musiał. Ciążenie Elwiry ku *buffo* wyrażają nie tylko zamaszyste rytmy, szerokie interwały i „staroświeckie" wokalizy. Jej postać to typowy, komediowy „natręt": wpada nieproszona i zawsze coś stłucze.

Wymuszona na Mozarcie w Wiedniu, przepiękna skądinąd, aria koncertowa zaciera komiczną naturę postaci, czyniąc z niej niewyraźną kopię Donny Anny. Dość już teraz obsadzić w tej roli młodą, śliczną, w biel odzianą Kiri Te Kanawę – i nieszczęście gotowe.

Odkształcanie

To tylko jeden z zabiegów w ramach „normalizacji", jakiej romantyzm poddał „Don Giovanniego". *Opera buffa*, ze swym mieszaniem gatunków i klas społecznych, wyrażała oświeceniowy sceptycyzm, umysłowy i społeczny zamęt. Romantyzm jej nie lubił. Ostatnia włoska *buffa* to „Don Pasquale" Donizettiego z 1843 r. Następna to „Falstaff", ostatnie arcydzieło Verdiego, bezpotomna anomalia powstała pół wieku później. „Don Giovanni" miał na swą obronę – koligacje metafizyczne; im to zawdzięcza błyskawiczną adopcję i... śmiertelny uścisk, z którego wyszedł nie do poznania.

Zaczęło się naturalnie od podtytułu, nieszczęsnego „*dramma giocoso*". Powtórzmy raz jeszcze: jest to w XVIII w. obiegowy synonim *opery buffo*, pozbawiony specyficznej treści, skoro niepodobna zdefiniować gatunku, do którego należałby „Don Giovanni" i „Aptekarz" Józefa Haydna, a nie należało – „Wesele Figara". Byłoby to, co więcej, mnożenie bytów ponad potrzebę. *Buffa* od zarania podkradała wyniosłej koleżance z talerza kąski *serio*, gdy ta wystrzegała się śmiechu jak diabeł wody święconej.

Sam Mozart zresztą opatrzył „Don Giovanniego" w swoim katalogu terminem „*opera buffa*". Czemuż więc nieszczęsne „*dramma giocoso*", którego setki przykładów znają dzieje opery, przylepiło się do podeszwy temu jedynie utworowi? Dlaczego los ten ominął... „Così fan tutte", noszące przecież ten sam podtytuł? Otóż poszło o nobilitację, na którą „Così" i tak nie mogło liczyć. „Don Giovanniego" zaś magiczne słówko „*dramma*" strzeże przed podejrzeniem o pokrewieństwo z „Weselem" – nie „Figara" zgoła, lecz „Fonsia". Dynda mu wprawdzie z tyłu frywolne „*giocoso*", ale pisane petitem, niczym wstydliwy podpunkt w umowie.

Skutkiem czego lepi się wciąż od romantycznego dziegciu – którego strzegą ignorancja i bałamuctwo. W komentarzu do swego nagrania maestro Teodor Currentzis zapewnia np., że finałowy sekstet *buffo* Mozart skomponował... w Wiedniu, czyli pod przymusem. To uparta legenda, alibi metafizycznego *dramma*. Currentzis przynajmniej sekstet ów nagrał – gdy jego kolega Giovanni Antonini skreślił go w niedawnym, koncertowym wykonaniu dzieła w Paryżu. No a bajek o nocnym sukcesie Giovanniego wobec Donny Anny nie uciszyło nawet zeznanie rzekomego sprawcy w tekście opery („*vanno mal tutti quanti*" – „nic mi dzisiaj nie wychodzi"). Czucie i wiara silniej mówi do mnie...

Ani czarne, ani białe

Odkształcanie mozartowskiego dzieła przebiega jednak różnymi drogami. Nonsensy można ignorować, błędy prostować, oryginalny tekst muzyczny przywrócić. Cóż jednak począć z zapisanym w naszej pamięci muzycznym kształtem dzieła? Poczynając od „wzorca z Sèvres", jakim jest wspomniane nagranie wielkiego Fritza Buscha? Kto nam uwierzy, gdy powiemy, że – pomimo swych niedościgłych zalet – nagranie to nader swobodnie poczyna sobie ze wskazówkami Mozarta?

Na szczęście nie będziemy w tym osamotnieni. Spory wokół „jedynie słusznych" temp w dziele Mozarta zaczęły się wkrótce po jego śmierci i trwają do dzisiaj. Pierwsza sesja muzykologiczna na ten temat odbyła się w Lipsku w 1815 r. W 1839 r. praski muzyk Václav Jan Tomášek (1774–1850) ogłosił opracowane z pamięci oznaczenia metronomiczne „Don Giovanniego", którego słyszał wielokrotnie od prapremiery. Kłopot w tym, że inni świadkowie i ówcześni badacze wcale się z nim nie zgadzają. Zaufamy raczej współczesnemu praktykowi, którego kompetencje i argumentacja mówią same za siebie.

W 1971 r. wybitny kompozytor, dyrygent i teoretyk, urodzony w Warszawie w roku 1913 René Leibowitz, wydał zbiór esejów o interpretacji muzycznej, gdzie jeden poświęcony jest „Don Giovanniemu". Na przykładzie tym Leibowitz analizuje błędnie rozumiane przez współczesnych oznaczenia temp u Mozarta, wskazując na wielką wagę tych kwestii w muzyce w ogóle, a muzyce dramatycznej w szczególności.

Zacznijmy od scen kluczowych: śmierci Komandora w akcie I i jego wizyty na uczcie w akcie II, czego motywy przepowiada Uwertura. W swej klasycznej monografii jeden z najwybitniejszych „mozarcistów" stulecia, Edward J. Dent, skarży się na Mozarta, który w scenie śmierci „zdaje się tak pochłonięty myślą muzyczną, że zapomina o sytuacji", w scenie wieczerzy zaś – na nudziarstwo Komandora, który, jak to staruszek, ględzi wolno ↦

↦ i z namaszczeniem, skutkiem czego dramatyczny efekt sceny diabli biorą. Szkoda, pisze Leibowitz, że Dent nie zajrzał do partytury, gdzie znalazłby odpowiedź: Mozart zapisał obie te sceny w tempie znacznie szybszym niż to, które uparcie stosujemy, od Buscha po dziś dzień.

Jak wynika zarówno z analizy mozartowskich oznaczeń, jak i z praktyki: szybszym dwukrotnie. Gdy je zastosować, wszystko nabiera sensu: figury zapisane w Uwerturze (przerażenie, wicher, świst bicza) budzą zgrozę, a serce konającego Komandora wali nieprzytomnie, czemu odpowiada dygot Leporella pod stołem w scenie wieczerzy.

Geniusz dramaturgiczny Mozarta olśniewa szczególnie w scenach zbiorowych, gdzie stosuje on środek niedostępny teatrowi mówionemu: każda postać wyraża sobie tylko właściwe treści i emocje, a choć „wszyscy mówią naraz", nikt nie zagłusza pozostałych. By to osiągnąć, Mozart pisze każdemu odmienną, charakterystyczną muzykę, wartościami rytmicznymi przypisując każdemu jego własne, „ukryte" tempo, po czym oznacza takie tempo ogólne, które wszystko spoi w organiczną całość. Tym sposobem abstrakcyjna forma muzyczna przekształca się w żywy teatr.

Nasze dwie sceny należą do najwspanialszych – pod warunkiem wszakże, iż zostaną wykonane w zgodzie z powyższą zasadą. Tradycyjne tempo natomiast zaciera rysy postaci i sens sytuacji. W scenie śmierci, zamiast trzech odrębnych narracji (trwoga konającego, filozoficzny dystans zbrodniarza, bełkot fagasa), słyszymy ogólnikową kontemplację; w scenie uczty zaś taki sążnisty patos nawet Kamiennego Gościa odziera z grozy, protagoniście i służącemu pod stołem nie zostawiając żadnych szans.

Geniusz dramaturgiczny Mozarta olśniewa szczególnie w scenach zbiorowych. Każda postać wyraża sobie tylko właściwe treści i emocje, a choć „wszyscy mówią naraz", nikt nie zagłusza pozostałych.

Dlaczego więc wykonawcy uparcie tempa tego unikają – choć stosują je powszechnie w arii Donny Anny z I aktu („Or sai chi l'onore") oznaczonej tak samo i, jak pisze Leibowitz, pod każdym względem podobnie skonstruowanej? Winę za to ponosi po części romantyczne ponuractwo, wolno się jednak obawiać, że przyczyna leży głębiej.

Wskazują na to potoczne interpretacyjne pomyłki, które układają się w niepokojący schemat: *serio*/wolno, *buffo*/szybko. Mozart trzyma swoje tempa w ryzach, unikając skrajności, posłuszny zasadom sformułowanym w sławnym liście z 26 września 1781 r.: „Namiętności, nawet gwałtowne, nigdy nie powinny przekraczać granic dobrego smaku, a muzyka w sytuacji nawet najbardziej koszmarnej (...) powinna zostać muzyką".

Niestety, z czasem wszystko, co było w tej muzyce subtelnie odmierzonym niuansem – przepoczwarzyło się w ostry kontrast, a umiarkowane zrazu tempa rozjechały w przeciwległych kierunkach. Pierwszą ofiarą tego procesu padła zaś wartość najwyższa: wieloznaczność, tęczowe bogactwo tonów, nastrojów i gatunków. Ma być białe albo czarne, albo „Rossini", albo „Wagner".

Mozartowskie tempo w pierwszej arii Donny Anny da się pomyśleć, bo w tej butelce akurat nie ma żadnego chochlika: cała aria utrzymana jest w jednoznacznym tonie. W scenach z Komandorem wszakże to samo tempo wyzwala trzy skłócone i rozmigotane „komunikaty", od których słuchacz mógłby dostać uszopląsu, bezpieczniej więc sprowadzić wszystko do jednego, kojącego pryncypium.

Słynny duet „Là ci darem la mano" składa się z dwóch części. Pierwszą gra się zbyt wolno, biorąc ją za „duet miłosny", drugą – za szybko, by wyrazić „radosne spełnienie". Tyle że to nie duet, ale komediowe *duettino*, a temat sceny to nie miłość, ale bałamuctwo. Aria Donny Anny z II aktu („Non mi dir") rozjechała się podobnie; jej część druga, oznaczona powściągliwie *allegretto moderato* (jedyny taki przypadek u Mozarta), grana jest zazwyczaj w dziarskim *allegro*, przez co brzmi jak popis Królowej Nocy. Wzbudziło to niegdyś zrozumiałą furię Berlioza („niewybredna błazenada!"), który, podobnie jak Edward J. Dent, obarczył winą Mozarta. Jest też w operze seria fragmentów na 6/8, w bliskich sobie tempach *allegro*

TP

To już tuż oczekiwane, dwusetne

urodziny Stanisława Moniuszki przypadają 5 maja

Z tej okazji dziesiątki najróżniejszych instytucji w całej Polsce przygotowały niezliczoną ilość wydarzeń – akcja ochrzczona została mianem „Święta ulicy Moniuszki".
Dzięki koncertom, tańcom, konkursom mieszkańcy ulic Moniuszki (oraz wszystkich innych) będą nie tyle składać hołd twórcy polskiej opery – co poznawać go i cieszyć się jego muzyką.

ZESTAW TYCH IMPREZ PRZEDSTAWIMY W NASZYM DRUGIM JUŻ DODATKU POŚWIĘCONYM KOMPOZYTOROWI

– a obok omówimy też odbywający się w tym roku podwójnie jubileuszowy, bo Dziesiąty Międzynarodowy Konkurs Wokalny im. Stanisława Moniuszki.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

LEEMAGE / EAST NEWS

Don Giovanni w czwartej scenie z II aktu „Don Giovanniego" Mozarta, karta reklamująca pastę bulionową firmy Liebig, Paryż, 1900 r.

i *allegretto*. Mało kto dba o pokrewieństwo między nimi; nowy dyrektor muzyczny Metropolitan Opera, Yannick Nézet-Séguin (na płycie wydanej przez Deutsche Grammophon w 2012 r.), pozwala sobie wręcz na Allegro ponad trzykrotnie szybsze od Allegretta! Aria „szampańska" („Fin ch'han dal vino") galopuje w dzikim szale, tratując tekst i muzykę, co spotyka też nagminnie przedostatnią sekwencję finału I aktu („Trema, trema"); tutaj wszystkie rekordy bije... wielki Bruno Walter (nagranie z Salzburga w 1937 r.). Za to aria Zerliny z II aktu („Vedrai, carino") wlecze się ospale (w nagraniu Karla Böhma z 1967 r.), a w drugiej części arii „katalogowej" Leporella zamiast okrutnej drwiny w formie menueta – słyszymy nadęte kazanie.

Dysonans poznawczy

We wszystkich tych przypadkach ofiarą pada zarówno materia muzyczna, jak teatralny sens i wyraz, co więcej: decyzje owe są tak niezborne i sprzeczne z mozartowskimi oznaczeniami, że trudno nie zadać sobie pytania o przyczynę tylu zakorzenionych błędów i wypaczeń. Szczególnie dzisiaj, po słomianej rewolucji „barokowej" sprzed 30 lat (nagrania Arnolda Östmana dla L'Oiseau-Lyre 1989 i Rogera Norringtona dla EMI 1992), której sprawcy spróbowali wprowadzić w życie bodaj część sugestii Leibowitza. Wątły płomyczek pośpiesznie zadeptał już John Eliot Gardiner (Archiv 1994), po czym ostateczny powrót do rutyny odtrąbił wspomniany Nézet-Séguin, bardziej głuchy na nauki „barokowców" niż Sir Georg Solti (1996) i Claudio Abbado (1998).

Niefrasobliwość? Trudno pomawiać o coś takiego największych dyrygentów XX wieku. Kto wie jednak, czy nie w tym cały szkopuł. *Maestri* generacji Fritza Buscha utrwalili na płytach wiekową tradycję, która dzięki ich mistrzostwu i autorytetowi narzuciła się następcom jako wzór i świadectwo prawdy. Wielka śpiewaczka Elisabeth Schwarzkopf starła się kiedyś z Arturem Toscaninim w kwestii arii Paminy w „Czarodziejskim flecie". Toscanini gromił niemieckich wykonawców za ich żałobne tempo, sprzeczne z oznaczeniem Mozarta, na co Schwarzkopf odpaliła, że „u nas tak się to gra". Gdy za takim „się" stoją największe nazwiska – lepiej z nimi nie zadzierać (tempo tej arii jest przedmiotem dyskusji od 200 lat, odkąd Georg Nicolaus Nissen, drugi mąż Konstancji Mozart, poskarżył się w swej biografii kompozytora z 1829 r. na wykonawców grających ją coraz wolniej).

W 1929 r. Arturo Toscanini zaprogramował w La Scali swą pierwszą w życiu produkcję „Don Giovanniego". Projekt odwołano przed próbą generalną, a Maestro nigdy do tej opery nie wrócił. Do dziś nie wiemy, dlaczego podjął tę dramatyczną decyzję. Być może wywołał ją „dysonans poznawczy" między tym, co ujrzał w partyturze i co mu dyktował jego niezawodny instynkt muzyczny – a tym, co słyszał od młodości. W przeciwieństwie do dzieł Verdiego, gdzie ufał sobie bezgranicznie, w operach Mozarta nie czuł się dość pewnie, by wziąć się za bary z tak potężną tradycją.

Kto ten dzielny, kto się zgłasza?

© PIOTR KAMIŃSKI

Autor jest krytykiem muzycznym, znawcą opery i pisarzem. Tłumaczył dzieła Samuela Becketta, Raymonda Chandlera, Jeana Geneta i Williama Szekspira. W latach 1982–2010 pracował jako dziennikarz w Radio France Internationale. Wydał kilka książek o operze napisanych po francusku, w tym monumentalny przewodnik „Mille et un opéras", który ukazał się po polsku jako „Tysiąc i jedna opera" (PWM 2008 i 2015). Od 1981 r. mieszka w Paryżu.

MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

Ricky Gervais i Penelope Wilton w miniserialu „After Life"

Depresja komika

JAKUB MAJMUREK

Zdaliśmy sobie sprawę, że sama ironia nie wystarczy, że często okazuje się bezradna wobec fundamentalnych egzystencjalnych lęków.

W powieści Angeli Carter „Wieczory cyrkowe" wybitny klaun, Wielki Buffo, przeżywa żałobę po śmierci żony, dziecka i matki. Jest w trasie ze swoim cyrkiem, wieczorami wychodzi na scenę, ludzie zaśmiewają się z jego wygłupów i spływających po makijażu łez. Rankami klaun, już w cywilu, zapija smutki w obskurnych barach. W jednym z nich, widząc jego smutek, barman mówi mu: „Słuchaj, widzę, jak jesteś smutny, wiem, czego ci trzeba, idź do cyrku na występ Wielkiego Buffo, on cię na pewno rozśmieszy". Klaun, zdaje się mówić brytyjska pisarka, jest skazany na smutek: sam pociesza nas wywoływanym przez siebie śmiechem, ale gdy schodzi ze sceny, nie ma już nikogo, kto pocieszyłby w ten sposób jego.

Przywołana tu scena z powieści Carter mogłaby służyć jako motto dla amerykańskiego serialu „Kidding" (HBO Go) Dave'a Holsteina i Michela Gondry'ego. Jim Carrey wciela się tam w rolę gwiazdy dziecięcej telewizji, od lat rozśmieszającej dzieci w całych Stanach, niezdolnej poradzić sobie z depresją po śmierci syna w wypadku samochodowym. Depresja staje się centralnym tematem także dwóch innych komediowych seriali, które niedawno miały premierę: „After Life" (Netflix) i „Barry" (HBO Go).

Depresja żółciowca

Co mówi nam ta fala „depresyjnych komedii"? Każda z nich trochę inaczej podchodzi do tematu – depresja ma w nich zupełnie różny osobisty i społeczny wymiar, odzwierciedlający specyficzną wrażliwość stojącego za produkcją komika. Depresja w ujęciu Ricky'ego Gervaisa, który odtwarza główną rolę i napisał scenariusz „After Life", to dół zgorzkniałego żółciowca, chroniącego się przed światem za murem agresywnego, często obraźliwego sarkazmu.

Taki typ humoru od dawna jest jego znakiem rozpoznawczym. Gervais zwrócił na siebie uwagę światowej publiczności jako kilkukrotny prowadzący imprezę wręczenia Złotych Globów. Jego żarty często balansowały na granicy dobrego smaku, bywały obraźliwe, a przy tym prawie zawsze zabawne. Gervais w trakcie gali żartował z „bezwartościowych" Złotych Globów, sugerował, że nagrodę można dostać za łapówkę, gratulował chirurgom plastycznym „świetnej roboty", której efekty może podziwiać teraz cały świat, robił aluzje do problemów z alkoholem gwiazd, kpił z antysemityzmu Mela Gibsona i wygłaszał żarty w stylu: „»I Love You Phillip Morris« to film, gdzie dwóch heteroseksualnych aktorów udaje gejów. Zupełnie inaczej niż pewien słynny scjentolog. Podobno. Konsultowałem ten żart ze swoimi prawnikami". Niektóre gwiazdy były naprawdę obrażone, zwłaszcza Robert Downey Jr., którego Gervais zaprosił na scenę słowami: „Większość z was zna go z takich miejsc jak więzienie hrabstwa Los Angeles czy klinika leczenia uzależnień Betty Ford", nawiązując do problemów aktora z narkotykami.

Odtwarzany przez Gervaisa główny bohater „After Life", Tony, w podobny sposób zwraca się do ludzi wokół siebie – przede wszystkim współpracowników z małej, lokalnej, bezpłatnie rozdawanej gazetki w niewielkim angielskim mieście, w której redakcji pracuje. Nieustannie wypiwa łakomstwo i wygląd redakcyjnego fotografa, entuzjazm młodej stażystki, naiwność szefowej działu reklamy. Tony ma jednak dobry powód do zgorzknienia – przeżywa żałobę po śmierci ukochanej żony, jedynej osoby, z którą był kiedykolwiek szczęśliwy. Poza nią nie bardzo ma jakichkolwiek bliskich. Para świadomie

nie miała dzieci, Tony nie ma rodzeństwa, jego ojciec cierpi na demencję, jedyne bliskie osoby, które mu zostały, to brat żony i jego synek.

Tony właściwie nie widzi dalszego sensu życia. Próbuje nawet popełnić samobójstwo, ale nie ma sumienia zostawić swojego psa. „Gdybyś potrafił sam sobie otworzyć puszkę z żarciem, już bym nie żył" – mówi do czworonoga. Poczucia sensu nie jest mu w stanie zapewnić praca. Gazetka, w której pracuje, służy głównie jako platforma do ogłoszeń lokalnym biznesom. Tony co tydzień pisze portret „ciekawej osoby" ze społeczności, czy raczej lokalnego dziwadła – np. chłopaka, który nauczył się grać na dwóch fletach prostych jednocześnie, dmuchając w nie dwiema dziurkami od nosa; czy mężczyzny, na którego ścianie pojawiła się plama w kształcie twarzy Kennetha Branagh. Dziwimy się, że przedsięwzięcie w ogóle ekonomicznie się spina, że jeszcze nie pożarł go internet. Tony ma świadomość, że ten moment się zbliża. „Zanim zaczniesz naprawdę karierę, nie będzie żadnych gazet, tylko hejt w internecie, ludzie publikujący nienawistne opinie, które nie są nawet ich, tylko mają przyciągnąć kliki i reklamodawców" – mówi uczącej się zawodu dziewczynie.

Nihilistyczny, żółciowy sarkazm Tony'ego początkowo jest przede wszystkim zabawny. Z odcinka na odcinek Tony zdaje się jednak coraz bardziej tracić kontrolę nad własnym życiem: sięga po ciężkie narkotyki, grozi kilkulatkowi pobiciem, wydaje się wstępować na ścieżkę, z której nie ma powrotu. Humor, sarkazm, ironia ostatecznie nie działają w sytuacji ekstremalnego smutku. Nie chronią przed poczuciem bezsensu i samotności.

Depresja prekariusza

Także oglądając „Barry'ego" czujemy, że ta historia nie może mieć happy endu. Barry to były marines. Po powrocie z wojen na Bliskim Wschodzie cierpi na depresję. Nie potrafi znaleźć sensu w życiu. Pomaga mu stary znajomy, Fuches, który wymyśla Barry'emu nowe powołanie: zabójcy na zlecenie. Gdy zawiązuje się akcja, Barry znów zaczyna mieć wątpliwości. Praca mordercy go męczy, nie przynosi mu satysfakcji, nie jest w stanie rozbić otępiającego poczucia kompletnej obojętności na wszystko.

Bierze jednak kolejne zlecenie: w Los Angeles ma zlikwidować mężczyznę sypiającego z żoną szefa czeczeńskiej mafii. By zbliżyć się do ofiary, zapisuje się na kurs aktorski, na który ta uczęszcza. Kontakt ze sceną okazuje się pierwszą rzeczą od długich miesięcy, która sprawia, że Barry w końcu czuje, że żyje. Chce zerwać z dotychczasową profesją i zawodowo zająć się aktorstwem. Z jego branży tak łatwo jednak się nie odchodzi. Barry przenosi się do Los Angeles, ale naukę aktorskiego kunsztu musi łączyć z pracą dla Czeczeńców.

Aktorstwo pozwala byłemu marines ponownie uwierzyć w amerykański sen. Uruchamia fantazję o szczęściu: sukcesie, sławie, miłosnym i rodzinnym spełnieniu. Życie zawodowego mordercy i byłego weterana nie pozostawiało żadnych przestrzeni do marzeń – praca dla zorganizowanej przestępczości jest w „Barrym" ciężka, żmudna, niepewna i – biorąc pod uwagę ryzyko – wcale nie tak dobrze płatna. Jak się okazuje, także świat aktorski przynosi więcej frustracji niż spełnień, a każda nadzieja na szczęśliwe zakończenie, jaką narracja podsuwa Barry'emu i widzom, prędzej czy później obraca się w pył.

Depresja Tony'ego dotykała osoby w średnim wieku, zmagającej się z poczuciem bezsensu i braku możliwości zmiany dotychczasowego życia. Jednocześnie Tony osiągnął pewną stabilizację, chroniącą go przed deklasacją. Ma stabilną pracę, w której dotrwa do emerytury, i ładny dom w uroczym angielskim miasteczku. Barry reprezentuje pokolenie, które nie ma takiego luksusu, nie załapało się na amerykański sen i nie wie, czy kiedykolwiek się załapie, czy wyrwie się z wiecznie prekarnej, najeżonej ekonomicznymi pułapkami egzystencji.

Twórcy serialu – wcielający się w rolę Barry'ego komik Bill Hader i Alec Berg – bardzo sprawnie przechodzą między komedią a tonem jak najbardziej serio. Barry w jednej scenie jest pociesznym w swoich nieudanych zabiegach o serce ukochanej nieszczęśliwym, komicznym kochankiem, a w następnej bezwzględnym zabójcą. Przemoc w „Barrym" jest kreskówkowo przesadzona, ale czasem bywa zupełnie serio. W scenach zabójstw Barry przeraża, z każdym kolejnym odcinkiem czujemy się coraz bardziej niekomfortowo z tą postacią.

Uwięzienie w żarcie

Inny rodzaj dyskomfortu przynosi Jeff w genialnej kreacji Jima Carreya z „Kidding". Jeff przypomina świeckiego świętego. Od lat jest ikoną amerykańskiej telewizji dziecięcej, znanym w całych Stanach jako Mr. Pickles, autorytetem dla kolejnych pokoleń amerykańskich dzieci. Gdy złodzieje kradną jego samochód i przekonują się, do kogo należy, zawstydzeni odstawiają go na miejsce. Większość zarobków Jeff przekazuje na cele dobroczynne, sam żyje bardzo skromnie. Kocha żonę i dzieci.

Utrata syna niszczy jego małżeństwo. Jeff popada w rozpacz. Chce opowiedzieć o niej przez swoją sztukę. Wierzy, że może, że powinien, użyć swojego autorytetu, by oswoić młodych widzów ze śmiercią. Na to nie chce się jednak zgodzić ekipa produkująca program, prowadzona przez ojca Jeffa, Seba. Dla Seba Mr. Pickles to przede wszystkim poważne przedsięwzięcie biznesowe, oparte na współpracy z wielkimi sieciami telewizyjnymi, firmami produkującymi gry i zabawki, zagranicznymi partnerami. Nie można pozwolić sobie, by Mr. Pickles zaczął wywoływać kontrowersje i odstraszył klientów. „Pomyśl o wszystkich ludziach, którzy stracą przez ciebie pracę" – Seb zbija każdy pomysł syna.

Jeff z każdym odcinkiem głębiej pogrąża się w rozpaczy. Wdaje się w z góry skazany na klęskę romans z terminalnie chorą kobietą. Goli sobie na łyso część głowy, niszcząc fryzurę, do której przyzwyczajone były kolejne pokolenia dzieci. Nagrywając nowe odcinki swojego serialu odchodzi od scenariusza i zaczyna mówić o takich kwestiach jak ludobójstwo rdzennych Amerykanów. Program nie idzie na żywo, producenci są w stanie wyciąć niewygodne fragmenty. Przerażeni, że kiedyś stracą nad Jeffem kontrolę, szukają sposobu, jak zastąpić go kukiełką albo jak zmienić program w kreskówkę. W Europie Wschodniej jest wiele utalentowanych aktorów dubbingu, zdolnych za rozsądne pieniądze naśladować głos Jeffa.

Jeff jest więźniem swojego sukcesu. Jego sztuka stała się tak popularna, że stracił nad nią kontrolę. Zyskał globalną widoczność, ale właśnie ona uniemożliwia mu powiedzenie czegokolwiek istotnego. Maska postaci z dziecięcego *show* zrosła się z jego twarzą, uniemożliwiając przemówienie dorosłym głosem. Jeff/Mr. Pickles wygląda jak podstarzały, zmęczony życiem Piotruś Pan, który chce, ale nie może dorosnąć – zbyt wielu ludzi zainwestowało poważne pieniądze w jego ↦

↦ wieczne dzieciństwo, by mogli mu na to pozwolić.

Sytuację Jeffa można czytać jako metaforę infantylizmu naszej kultury – przez pryzmat trudności, na jakie napotyka, gdy próbuje mówić o rzeczach ostatecznych: śmierci, stracie, cierpieniu, żałobie. Można ją też interpretować jako alegoryczny portret komika uwięzionego w swoim *emploi* błazna, które zaczyna mu ciążyć, krępować go, dusić. Formuła „komedii depresyjnej" okazuje się dla Carreya idealnym narzędziem, by zrzucić podobną maskę, by po raz kolejny (po „Truman Show") przypomnieć widzom, że potrafi być po prostu znakomitym, niekoniecznie komicznym aktorem. Jak można przypuszczać, jest to powód, dla którego po formułę depresyjnej komedii sięgają inni komicy – pozwala ona zaprezentować widowni trochę inne spektrum aktorskich możliwości. Bill Hader odszedł z programu „Saturday Night Live", by szukać dla siebie innych ról i doświadczeń aktorskich. Już rola w „Między nami bliźniakami" (2014) pokazała jego możliwości jako dramatycznego aktora, „Barry" potwierdza niezwykłą rozpiętość talentu tego wykonawcy.

Co po ironii?

Dlaczego „komedia depresyjna" może być atrakcyjna dla widzów? Formuła ta w jakimś sensie odbija naszą postironiczną kulturę. Postironiczną, bo na zawsze zmienioną przez pracę wielkich ironistów, w której nie możemy na żadną wartość, światopogląd, zaangażowanie czy obietnicę patrzeć bez ironicznego dystansu. A jednocześnie zdajemy sobie sprawę, że sama ironia nie wystarczy, że często okazuje się bezradna wobec fundamentalnych egzystencjalnych lęków.

Co robić w tej sytuacji? „Kidding" ostatecznie wydaje się wierzyć w siłę wyobraźni, artystycznej kreacji i płynącej w niej szczerości. W „After Life" Gervais pozwala Tony'emu wrócić do świata, odbudować więź z bliskimi, z kolegami pracy, z przyjaciółmi. Odpowiedzią na rozpacz okazuje się nie sarkazm, ale bycie wspólnie z innymi ludźmi. Żaden z tych głosów nie przekonuje do końca, ale trudno się nie zgodzić z twórcami obu tych produkcji, że trzeba szukać jakiejś postironicznej utopii.

© JAKUB MAJMUREK

Sprzedam samochód nauczyciela

ANITA PIOTROWSKA

To wcale nie jakościowe seriale stały się dziś odpowiednikiem XIX-wiecznej prozy, jak głosi obiegowa opinia. Jest nim kino Nuriego Bilge Ceylana.

Turecki reżyser niczego nie spłaszcza, nie przykrawa, nie rozdrabnia, na siłę nie uatrakcyjnia, a epickość pojmuje w sensie jak najbardziej ścisłym. Jego kino jest rozlewną, gęstą, wielowarstwową opowieścią zanurzoną głęboko w miejscu i czasie. Ale także w myślach, snach i w samym języku. Najnowszy film Ceylana trwa trzy godziny, bo który inny twórca pozwoliłby sobie na wplecenie do akcji kilkunastominutowej dysputy na temat literatury czy religii? Głównym bohaterem jest początkujący pisarz, a więc ktoś, kto „robi w słowach". Metrum i metraż filmu zostały świetnie dostrojone do temperamentu postaci.

Kiedy Sinan (Doğu Demirkol) powraca ze studiów pedagogicznych do rodzinnego miasteczka w północnozachodniej Turcji, ma głowę pełną lektur, teorii, wybujałych aspiracji. Z marszu planuje wydanie książki pod tytułem „Dzika grusza". Ewentualną pracę w szkole traktuje niczym przykrą konieczność zarobkową – wszak stworzony został do „wyższych celów". Żeby jeszcze dostać posadę w którejś z uroczych miejscowości nad Morzem Egejskim!

Wszystko jednak wskazuje na to, że Sinan wyląduje gdzieś na dalekiej prowincji, na niespokojnych południowo-wschodnich rubieżach kraju. Zupełnie jak kiedyś jego ojciec (Murat Cemcir), życiowy nieudacznik, który dziś roztrwania marną nauczycielską pensję na hazard i zaciąga następne długi. To najbardziej frapująca postać filmu: nieuleczalny lekkoduch i tragiczny marzyciel w jednej osobie. Geniusz Ceylana polega na tym, że jego bohaterowie co i raz nam się wymykają.

Ceylan wyspecjalizował się w portretowaniu bohaterów balansujących między wzniosłym osamotnieniem a wyniosłą izolacją. W filmach „Uzak", „Klimaty" czy „Zimowy sen" powraca postać inteligenta bądź artysty, który zamknął się w wieży i stamtąd woła na puszczy. Woła przede wszystkim o uznanie swojej wyjątkowości i moralnej przewagi. Nigdy zresztą nie dowiemy się, czy debiutancka książka bohatera „Dzikiej gruszy" była obiektywnie cokolwiek warta. Trudno też dziwić się sceptycyzmowi potencjalnych sponsorów wydawniczych: lokalnego burmistrza czy właściciela piaskarni, wobec „nietuzinkowej metapowieści", która z całych sił nie chce być promocją regionu. Ale łatwo też zrozumieć frustrację Sinana, który odbija się od kolejnych drzwi, unikając jak ognia zgniłych kompromisów.

Tyle że Ceylan w ironiczny sposób rozprawia się z rygoryzmem swojego bohatera. Kolejne spotkania i rozmowy – z dawną koleżanką z klasy, która prosi oczytanego kolegę o życiową radę; z uznanym pisarzem, w którym Sinan już teraz widzi potencjalnego rywala; z kumplem ze studiów, który zamiast dylematów humanisty wybrał pracę w tureckiej policji i „tłucze lewaków" – składają się na obraz człowieka, który śpi. Nie angażuje się, nie bierze odpowiedzialności, za to chętnie ocenia i pogardza. Czy pisarz w ogóle może nienawidzić ludzi? W sukurs Sinanowi można by przywołać listę wybitnych mizantropów współtworzących historię literatury.

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Dzika grusza”

Ale czy dobry pisarz może być nieuważny i mieszkać wyłącznie we własnej głowie? I tę odpowiedź Ceylan po swojemu komplikuje, przepuszczając swoją opowieść przez czas, rozliczne dygresje, przez zmieniające się pejzaże i pory roku.

Albowiem gadulstwo „Dzikiej gruszy”, o dziwo, nie szeleści papierem, rozpisane na dużej intensywności obrazy. Zapyziałe rodzinne miasteczko, jak i turystyczne Çanakkale, gdzie bohater studiował, a już szczególnie wioska, w której jego „nawiedzony” ojciec od lat próbuje wybudować studnię, to bardziej stany duszy niż malownicze topografie. Inaczej funkcjonują tu postaci kobiece: matka i siostra Sinana czy wspomniana już klasowa piękność uwięzione są w świecie tureckich telenowel, pogodzone z dożywotnimi rolami „domowych bogiń”. Na stare lata, czego przykładem wiejski dom dziadków głównego bohatera, role się jakby odwracają: skrachowani mężczyźni udają się na emigrację wewnętrzną, oddając stery kobietom. Nie jest to jednak perspektywa dla kogokolwiek kusząca – wygląda raczej na deterministyczną sztafetę płci i pokoleń. Wie o tym dobrze cytujący tureckich poetów, ale w głębi Czechowem podszyty ojciec Sinana. Wie o tym ten ostatni, kiedy idzie przez wieś w towarzystwie dwóch młodych imamów i w długich ujęciach, do wtóru psów, krów i kogutów, peroruje do upadłego w obronie „własnej prawdy”.

Ten wspaniały film, wymagający od widza filmowego i zarazem czytelniczego uczestnictwa, sam nie jest wolny od grzechu pychy. Ceylan lubuje się nadmiernie w metaforach i symbolach, lecz w przeciwieństwie do głównego bohatera siostra zwana Pogardą opuściła go na dobre. Swoich bohaterów traktuje z cierpką czułością, a w ich poczuciu własnej nadzwyczajności dostrzega nade wszystko ukrytą rozpacz.

Niedawno na nasze ekrany wszedł intrygujący film „Przedszkolanka” Sary Colangelo. Jego tytułowa bohaterka, zagrana z wyczuciem przez Maggie Gyllenhaal, swoje pisarskie niespełnienie zaczyna kompensować poświęcając całą swą uwagę i zdrowy rozsądek kilkuletniemu wychowankowi obdarzonemu poetyckim talentem. Te dwa filmy, amerykański i turecki, oba traktujące o chorobliwym pięknoduchostwie i tęsknocie, niepoetycko się ze sobą rymują. Mimowolnie wpisują się także w bieżące polskie dysputy o wyższości czytających nad nieczytającymi i *vice versa* czy o wielkiej roli osób odpowiedzialnych za wczesną edukację.

W jednej ze scen tureckiego filmu widzimy należący do ojca Sinana stary samochód, a na nim ogłoszenie „Sprzedam samochód nauczyciela”. Może więc film Ceylana tak naprawdę opowiada o kapitale symbolicznym – tym mniej efektownym, wypracowanym gdzieś na uboczu i w pocie czoła, oraz tym domniemanym czy nawet urojonym, domagającym się fanfar. Kiedyś nazywało się to w dużym uproszczeniu pozytywizmem i romantyzmem. ©

DZIKA GRUSZA (AHLAT AĞACI) – *reż. Nuri Bilge Ceylan. Prod. Turcja/Francja 2018. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 10 maja.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [20 – 26 IV]

1. Arvo Pärt

Koncert, Polska 2018, TVP Kultura, 19 IV, 22.40, 20 IV, 22.10

W programie I Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Europy Środkowo-Wschodniej EUFONIE, który odbył się w listopadzie ubiegłego roku w Warszawie, znalazły się utwory estońskiego mistrza. Orkiestra Kameralna z Tallina pod dyrekcją Tõnu Kaljuste oraz Estoński Filharmoniczny Chór Kameralny przypomnieli m.in. „Fratres”, „Salve Regina” czy „Te Deum”.

2. The Act

Serial, reż. zbiorowa, USA 2019, HBO GO, odc. 1, HBO3, 21 IV, 21.00, 22 IV, 18.15, HBO, 23 IV, 18.15, HBO2, 24 IV, 17.20

Tę historię przedstawił wcześniej dokument „Kochana mamusia nie żyje”. Przed nami ośmioodcinkowa wersja fabularyzowana, gdzie fenomenalna Patricia Arquette wciela się w autentyczną postać Dee Dee Blanchard. Samotna matka ze stanu Missouri przez lata dręczyła psychicznie i fizycznie córkę, wmawiając jej rozmaite choroby.

3. Kamerdyner

Dramat historyczny, reż. Filip Bajon, Polska 2018, Canal+, 22 IV, 22.55, Canal+ 1, 22 IV, 23.55

Zakazana miłość, różnice klasowe oraz wspólne losy Polaków, Kaszubów i Niemców – twórca „Magnata” tworzy kolejną sagę rodzinną, osadzoną na tle historycznych przemian i problemów narodowościowych. Na uwagę zasługują zwłaszcza role Janusza Gajosa, Anny Radwan czy Adama Woronowicza.

4. Miłość, śmierć i roboty

Serial, reż. zbiorowa, USA 2019, odc. 1–18, Netflix

Trwają od kilku do kilkunastu minut, są lepszej lub gorszej jakości i reprezentują bardzo różne style animacji czy gatunki filmowe. Łączy te opowiastki mroczna wizja przyszłości zdominowanej przez inteligentne maszyny, krwiożercze cyborgi, duchy z pradawnych wierzeń i... żywe kultury bakterii. Serial przeznaczony jest dla widzów dorosłych.

Lektor:
Lek na depresję

▪ *Gerald Durrell*
MOJA RODZINA I INNE ZWIERZĘTA
Przeł. Anna Przedpełska-Trzeciakowska, Noir sur Blanc, Warszawa 2019, ss. 290.

Jeśli ktoś walczy z wiosennym kryzysem i nie może doczekać się lata – ta książka jest dla niego. I cała „Trylogia z Korfu", której dalsze części wkrótce zostaną wznowione. Opowieść chłopca o cudownych latach na greckiej wyspie, o nieco ekscentrycznej rodzinie, poznanych tam przyjaciołach i o narodzinach własnej zoologicznej pasji mieści się w najlepszej tradycji angielskiej prozy humorystycznej. Oparta została na faktach, choć nie stanowi ich dosłownego zapisu. Autor skomponował ze wspomnień uwodzicielski obraz utraconej arkadii, słonecznego świata bez cieni, w którym każdy chciałby natychmiast zamieszkać.
Gerald Durrell (1925–1975), przyrodnik i pisarz, twórca ogrodu zoologicznego na wyspie Jersey, ośrodka ratowania rzadkich i wymierających gatunków zwierząt, rzeczywiście jako dziesięciolatek zamieszkał na Korfu, wraz z owdowiałą matką Louisą, najstarszym bratem Lawrence'em – w przyszłości autorem „Kwartetu aleksandryjskiego" i „Kwintetu awinionskiego", drugim bratem Lesliem, miłośnikiem broni, oraz siostrą Margo. Prawdziwe są też postaci przyjaciół, którzy wspierali Durrellów podczas ich pobytu na wyspie: doktora Theodore'a Stephanidesa, półkrwi Anglika, i taksówkarza Spirosa Halikiopulosa, zwanego Americanos (bo spędził kilka lat w Chicago). Wszyscy sportretowani zostali w tonacji buffo (choć nie wszyscy byli z tego zadowoleni), a całość opowieści składa się z ciągu scen i epizodów niesłychanie zabawnych, w których istotną rolę odgrywa fauna Korfu, włącznie z zaskrońcami, gekonami i skorpionami. Autorką przekładu jest jedna z najlepszych polskich tłumaczek. Czegóż chcieć więcej?
Pisałem tu niedawno o książce Michaela Haaga, której autor zweryfikował i uporządkował fakty dotyczące pobytu Durrellów na Korfu. Zauważył np., że Gerald pominął osobę żony Lawrence'a, Nancy – być może dlatego, że gdy „Moja rodzina..." ukazała się w 1956 r., Lawrence był już żonaty z Eve Cohen, pierwowzorem Justyny z „Kwartetu...". Haag opisał też wcześniejszą historię Durrellów, która tłumaczy ich niechęć do zadeszczonej i reumatycznej Anglii: wszyscy, i rodzice, i dzieci, urodzili się w Indiach, a do ojczyzny przodków przyjechali dopiero po śmierci Durrella-ojca w roku 1928. Korfu miało być lekiem dla pogrążonej w depresji Louisy – i lek zadziałał. Książka jej najmłodszego syna działa podobnie. ©℗

JAN
Klata:
Egzamin zżycia

Czy warto
bronić swoich
przekonań?
Rozprawka

Szydło
Broniarz
Duda

Fraszka
Wyznaczyć treść
fraszki

Kamieniu na szaniec
Quo vadis?
Życie mnie
mnie

A potem
mnie
minie

W rocznicę
miesięcznicę
dziennicę
kata
strofy ©

podkast TP powszechny: weź, słuchaj!
powszech.net/podkast

ARTUR BROZONOWICZ

Rohingowie: lud wygnany

Posłuchaj: tak brzmi obóz Balukhali. Jeden z 36 olbrzymich obozów w Bangladeszu przy granicy z Birmą. Rohingowie uciekający przed czystkami etnicznymi i okrucieństwem birmańskiego wojska utknęli w nich bez formalnego statusu uchodźców. A teraz Bangladesz chce ich przesiedlić. Na bezludną wyspę.
Jak ten lud znalazł się na linii frontu globalnych interesów? Posłuchaj reportera „TP" Marka Rabija i opowieści samych Rohingów.

Słuchaj na powszech.net/podkast

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PAWEŁ

Bravo:
Jajka w czyśćcu

„Widzisz jajo? Oto, czym możesz obalić wszelkie szkoły teologii i wszystkie świątynie świata" – pisał w 1769 r. Diderot w „Rozmowie z d'Alembertem". W oryginale brzmi to jeszcze zuchwalej, bowiem francuskie, zwiewne jak westchnienie kokoty słowo *oeuf* staje naprzeciw szeregu twardych, sugerujących masywne filary ładu boskiego głosek t (*toutes temples de la terre*). Były czasy, kiedy fankluby tego burzyciela w naszym kraju do tego stopnia groziły rozniesieniem zarazy na państwa ościenne, że zasmucona Katarzyna musiała w zbożnej intencji zamknąć Polskę, jak pisała do króla Stasia, „w ściślejszych granicach" (Polacy ówczesną jej pomoc strukturalną wciąż niewdzięcznie zwą rozbiorami). Dziś już Diderot nikogo niczym nie zaraża, oświeceni ludzie chcąc zamanifestować suwerenność swego myślącego jestestwa czytają prędzej Žižka – wystarczy zajrzeć na wcześniejsze strony „Tygodnika", gdzie nasz niestrudzony komentator sportów intelektualnych opowiada o zapowiadanym na Wielki Piątek starciu tegoż z drugim tytanem myśli z YouTube'a.

W takim tygodniu, kiedy Kościół raczej nakazuje skupienie na rzeczach wiecznie umykających rozumowi, a rozpiska przygotowań do świętowania nakazuje szczególną ekonomię czasu i rozsądne gospodarowanie uwagą, wolne chwile z większym dla duszy pożytkiem spędzę na kontemplacji jaja – czego jak czego, ale tego produktu przed Wielką Nocą w każdej lodówce pełno.

Produktu? Uwiera mnie to słowo, ptak jaja nie produkuje, co najwyżej z siebie wydala, jednak trudno je zaliczyć do jakiejś prostej kategorii porządkującej wedle pochodzenia czy funkcji nasz jadalny świat. Ani to mięso, choć trudno sobie wyobrazić coś bardziej zwierzęcego jak ten wehikuł reprodukcji, ani to wydzielina na podobieństwo mleka czy miodu, ani tym bardziej owoc, choć przecież stanowi nasiono nowego życia. Osobny od zawsze byt o charakterze granicznym, między brakiem a pełnią.

Czymże jest jajo – zapytywał dalej w dialogu Diderot? „Pozbawioną czucia i świadomości masą, nawet kiedy znajdzie się w nim zarodek". A jakże może przejść do życia i świadomości? „Dzięki ciepłu". Filozof wykłada dalej swemu rozmówcy, jak przez samo działanie ciepła, czyli bliskości i troski, w bezmyślnej materii pojawia się czujące i myślące ciało pisklęcia i wreszcie ptak, „który cierpi, kocha, pragnie jak pan, ma pańskie uczucia i zdolny jest działać tak jak pan".

Ostrze polemiczne tego dialogu jest skierowane tyleż przeciw Kościołowi, co filozofii Kartezjusza i jego podziałowi na niematerialny rozum i nierozumną materię (gdzie zwierzęta są raczej podobne maszynom niż ludziom). Nie czas tu jednak na roztrząsanie tych szczegółów, już prędzej warto zadać pytanie, czy porównanie naszych uczuć do ptasich jest stosowne. Jeśli czytacie Stanisława Łubieńskiego, to będziecie skłonni się dać przekonać, że tak. A pogardliwe określenie „kurzy móżdżek" to przejaw solidnej pychy wobec istoty, której w trakcie ostatniego stulecia wyrządziliśmy niesamowitą hodowlaną krzywdę.

W porównaniu z dawnymi kurami obecne nioski są tytanami produktywności i zmienił się ich wygląd, budowa ciała. Ale jajo? To się nie zmieniło. Czasami, zanim wbiję je na patelnię albo do miski z mąką na makaron, kładę je na stole, delikatnie głaszczę i turlam, zafascynowany tym, że jest coś, czego się specom od coraz bardziej efektywnej i wygodnej żywności nie udało poprawić ani na jotę. Praktycznie nic innego w spiżarni już nie przypomina jedzenia sprzed choćby trzech pokoleń, nawet zboże rośnie na polach inne i specjaliści od archeologii kulinarnej biedzą się, jak przerobić przepisy z uwagi na inne parametry i właściwości fizykochemiczne dzisiejszej mąki. A jajo tkwi pośrodku tego nurtu wiecznych ulepszeń jak ostaniec. Tak pod względem kształtu, jak i życiodajnego wnętrza.

Jak przystało na emblemat doskonałości i ponadczasowej pełni, można te cechy zniweczyć jednym prostym ruchem – rozbicie jajka o kant patelni to była pierwsza profesjonalna czynność w kuchni, jaką dorośli dawali mi łaskawie wykonać w dzieciństwie, i nie sądzę, żebym był w tej inicjacji odosobniony. „Umie sobie zrobić tylko jajecznicę" – mawiamy, żeby podkreślić nieudaczność osobników płci męskiej, tych, którzy we wszystkim są zależni od płci rzekomo od nich słabszej. Ale zawsze będą mogli liczyć na śniadanie, bowiem jak śpiewał Brassens, kiedy dziewczynie ktoś powie „kocham", to dla niej jest jak drugi chrzest i wtedy dopiero wykluwa się z jaja. ©℗

Na szczęście dla nieogarniętych facetów jajecznicę trudno zrobić „niewłaściwie" – dlatego bawi mnie, kiedy autorzy książek całkiem serio podają sążniste przepisy. Cóż tu ulepszać? Nawet dodatki – każdy ma swój sens i nie ma żadnych świętych reguł. W Neapolu robią „jajka w czyśćcu" (uova in purgatorio). Przepis jest prosty i de facto powiela wzorzec izraelskiej szakszuki – tyle że bez papryki. Na patelni dusimy sos pomidorowy w dużej ilości (już wcześniej zrobiony, jeśli nie, to musimy pomidory z puszki poddusić na oliwie dobre pół godziny), aż zrobi się gęsty tak, że przeciągając łyżką zostawiamy ślad – następnie robimy zagłębienia i wbijamy jajka, po czym przykrywamy, i na wolnym ogniu pozwalamy się im ściąć. Nazwa ponoć pochodzi od typowych neapolitańskich kapliczek wotywnych, w których białe duszyczki otoczone są przez czerwony ogień piekielny. Brzmi to dla mnie wiarygodnie, w tym mieście sprawy ostateczne miesza się z przyziemnymi z nigdzie indziej niespotykaną bluźnierczą pasją.

ADOBE STOCK

ZMYSŁY

TEN TRZECI

Nie mogłem na niego patrzeć i jednocześnie koncentrować się na ścianie, ale byłem pewien, że tam jest. Wyczuwałem jego obecność, nie potrzebowałem dowodu.

BARTEK DOBROCH

Pojawia się zawsze tam, gdzie toczy się walka o najwyższą stawkę. Gdzie życie i śmierć oddziela cienka linia, którą może przerwać jeden mały błąd, fałszywy krok, sen spadający znienacka jak kamień. W momentach, gdy samotność wzywa swoim milczeniem tak głośno, że jej wołanie przebija się przez huk wiatru, przez ściany namiotu, mgły, śniegu, pyłu, przez ciemność lub biel tak jasną, że człowiek w niej błądzi.

Ciasteczko dla towarzysza

Kojarzy się z górami. Tymi najwyższymi. Spora część relacji na jego temat pochodzi od himalaistów. Prawdopodobnie pierwszym znanym człowiekiem, któremu przytrafiło się takie spotkanie, był Frank Smythe, brytyjski wspinacz, botanik i członek Royal Geographical Society – człowiek, któremu bliższy był naukowy racjonalizm niż wiara w cuda i zabobony.

W 1933 r. wspinał się północną granią na Everest. To tamtędy prowadziły drogi pierwszych prób zdobycia najwyższego szczytu świata, a śmiałków nie powstrzymywała świadomość losu George'a Mallory'ego i Andrew Irvine'a, którzy ten szlak przecierali. Podczas jednej z prób Smythe wyruszył wraz z Erikiem Shiptonem, jednym z najwybitniejszych brytyjskich alpinistów. Mimo silnych symptomów wyczerpania organizmu parł ku szczytowi. Odwracał się i zerkał na towarzysza. Wydawało mu się, że są związani liną, więc nawet gdyby pośliznął się i zaczął zsuwać po pokrytym twardym śniegiem i lodem zboczu, towarzysz zatrzymałby jego lot i uratował przed upadkiem aż do tybetańskiego podnóża północnej ściany Everestu. Na wysokości 8500 metrów zatrzymał się na odpoczynek. Wyjął z plecaka miętowe ciasteczko i przełamał na pół, by podzielić się z partnerem. Nie był to jednak Shipton, który zawrócił wcześniej z powodu wyczerpania. Smythe uświadomił sobie, że od wielu godzin wspinał się na Everest zupełnie sam.

Podobnie jak Jerzy Kukuczka na Makalu. Gdy doszedł na wysokość 8000 metrów, z trudem rozbił namiot, łamiąc przy tym maszt i ledwie przytwierdzając płachtę do podłoża. Gotując posiłek miał wrażenie, że powinien go zrobić dla dwóch i podzielić się z towarzyszem herbatą. „Co więcej, byłem przekonany o czyjejś obecności w namiocie i nie dam głowy, czy przypadkiem nie usiłowałem z tym kimś rozmawiać – przyznawał kilka lat później. – Rano, kiedy wychodziłem w kierunku szczytu, złudzenie czyjegoś towarzystwa nadal mnie nie opuszczało. Łapałem się na tym, że staję, aby poczekać na tego drugiego, że co jakiś czas robię mu miejsce, aby zmienił mnie na prowadzeniu".

Reinholdowi Messnerowi trzeci himalaista objawił się podczas dramatycznego zejścia z Nanga Parbat z bratem Güntherem, wolniejszym i wyczerpanym, znaną tylko z map i zdjęć flanką Diamir. Ów trzeci nie odzywał się, szedł z Messnerem cały czas na prawo od niego, choć poza zasięgiem jego wzroku, zatrzymywał się, gdy ten przystawał. „Nie mogłem na niego patrzeć i jednocześnie koncentrować się na ścianie, ale byłem pewien, że tam jest. Wyczuwałem jego obecność, nie potrzebowałem dowodu" – czytamy w „Nagiej górze". Gdy Messner zszedł do doliny i czekał na brata, tajemniczy himalaista już tam był. Jak i na odnalezionym po zawróceniu lawinisku, które najprawdopodobniej pochłonęło Günthera, wywołując wtórną lawinę wyrzutów i oskarżeń kierowanych pod adresem ocalałego.

Droga do Emaus

Himalaiści nie byli pierwszymi, którzy doświadczyli takiego widmowego spotkania. Najbardziej znanym na-

DANIEL H. BAILEY / ALAMY / BEW

wiązaniem do tego doświadczenia jest fragment opublikowanej po raz pierwszy w 1922 r. „Ziemi jałowej" T.S. Eliota. W części V, zatytułowanej „Co oznajmił grom", czytamy:

Kim jest ten trzeci, który ciągle idzie obok ciebie?
Gdy liczę nas, jesteśmy tylko ty i ja
Lecz gdy spoglądam przed siebie w biel drogi
Jeszcze ktoś inny wędruje przy tobie
(...)
– Kim jest ten, który idzie po twojej drugiej stronie.

(przeł. Krzysztof Boczkowski)

W przypisach do „Ziemi jałowej" Eliot naprowadzał na tropy tej wizji: „Poniższe wersy powstały pod wpływem jednej z ekspedycji polarnych (zapomniałem której, ale sądzę, że jednej z wypraw Shackletona): wspomniano tam, że grupa podróżników, będąc u kresu sił, miała ciągle złudzenie, iż jest o jednego członka wyprawy więcej, niż w rzeczywistości ich było".

Faktycznie, Eliot musiał zetknąć się z dziennikami podróży Ernesta Shackletona, wydanymi po raz pierwszy pod tytułem „Południe" w Londynie w 1919 r., bądź z prasowymi relacjami autora z jego Imperialnej Wyprawy Transantarktycznej w latach 1914-17.

Gdy do Shackletona dotarły informacje o zdobyciu bieguna południowego wpierw przez Roalda Amundsena, a następnie przez pięcioosobową grupę pod przewodnictwem Roberta F. Scotta, musiał zmienić pierwotny plan i obrać za cel jeszcze ambitniejsze wyzwanie – trawers Antarktydy przez biegun od morza do morza. Jednak wszystkie okoliczności miały sprawić, że wyprawa, która w sierpniu 1914 r. na statku „Endurance" („Wytrwałość") wyruszyła z Wielkiej Brytanii, nie przeszła do historii eksploracji, ale raczej do kanonu opowieści o ludzkiej walce o przetrwanie i woli przeżycia.

Shackleton, który wsiadł na statek w Buenos Aires, podjął decyzję o kontynuowaniu rejsu, choć po dotarciu na antarktyczną Georgię Południową wielorybnicy z norweskiej stacji Grytviken ostrzegli go przed bardzo trudnymi warunkami lodowymi panującymi w tamtym sezonie u progu lata na morzu. Faktycznie: w drugiej połowie stycznia zmierzający do zatoki Vahsel i brzegów Antarktydy statek utknął na Morzu Weddella zabetonowany przez pak, czyli dryfujący lód. Po ponad ośmiu miesiącach coraz grubsza, napierająca pokrywa lodowa zmusiła załogę do opuszczenia statku. Zatonięcie „Endurance" było dopiero początkiem trwającej kolejne osiem miesięcy gehenny, obejmującej tułaczkę po pękającym paku oraz dopłynięcie po 497 dniach przebywania poza lądem na Wyspę Słoniową na trzech ciągniętych wcześniej na saniach szalupach.

Na wyspie pozostała większa część 20-osobowej załogi, natomiast Shackleton z pięcioma towarzyszami wyruszył małą łodzią „James Caird" przez wzburzone wody Cieśniny Drake'a na oddaloną o 1200 km Georgię. Gdy dotarli do jej południowych brzegów, łódź była w opłakanym stanie i nie nadawała się do kontynuowania żeglugi na przeciwny brzeg wyspy, zaś trzech członków załogi było niezdolnych do marszu. Shackleton z dwoma pozostałymi podjął resztkami sił próbę przedostania się przez przecinający wyspę górski masyw do leżącej u północno-wschodniego wybrzeża osady wielorybniczej Stromness. Było więc ich trzech, nie dwóch: Shackleton, kapitan „Endurance" Frank Arthur Worsley oraz marynarz, drugi oficer na utraconym statku Tom Crean. Gdyby im się nie powiodło, zapewne cała załoga „Endurance" rozrzucona na dwóch wyspach pośród antarktycznej dzikości zmarłaby z głodu, zimna i wyczerpania, we mgle tajemnicy, która spowiłaby przebieg ich heroicznej walki o przetrwanie, opisany później przez Shackletona. Polarnik powracając w dzienniku do ostatnich godzin ponad półtorarocznej tułaczki, gdy szli prawie nieprzerwanie we mgle lub w świetle księżyca, niemalże cały czas w milczeniu, związani liną, przecinając śnieżne pola i obchodząc szczeliny, pisał: „Wiem, że podczas tego długiego i ciężkiego 36-godzinnego marszu przez nienazwane góry i lodowce Georgii Południowej często zdawało mi się, że jest nas czterech, nie trzech". Nie zwierzał się ze swoich odczuć towarzyszom, jednak Worsley po czasie sam wyznał: „Szefie, miałem dziwne uczucie podczas marszu, że była z nami inna osoba". Do podobnego wrażenia przyznał się Crean.

Worsley potwierdzał to prawie siedem lat po zakończeniu epickiej przeprawy, której obrazy, jak podkreślał, wracały mu wyraźnie w pamięci:

„Znowu liczę naszą grupę – Shackelton, Crean, ja i – kim był ten czwarty? Oczywiście było nas tylko trzech, ale to dziwne, że kiedy w pamięci przeglądaliśmy przeprawę zwykliśmy zawsze myśleć o czterech, a następnie poprawiać się".

To doświadczenie jawi się w pismach Shackletona jako przeżycie religijne. Głęboko wierzył, że zarówno przez śnieżne pola Georgii Południowej, jak i wcześniej, przez wzburzone wody Cieśniny Drake'a, prowadziła go i jego towarzyszy Opatrzność, choć szczęśliwe dotarcie na wyspę można przypisywać także, a może nawet w zasadniczej mierze, nawigacyjnemu geniuszowi Worsleya.

W wielu interpretacjach doświadczenia Shackletona przewijały się nawiązania biblijne. Brytyjski baptysta, pastor Frank Boreham, widział w nich rozgrywającą się w polarnej scenerii ewokację sceny z Księgi Daniela:

„Król Nabuchodonozor popadł w zdumienie i nagle powstał. Zwrócił się do swych doradców, mówiąc: »Czy nie wrzuciliśmy trzech związanych mężów do ognia?«. Oni zaś odpowiedzieli królowi: »Rzeczywiście, królu«. On zaś w odpowiedzi rzekł: »Lecz widzę czterech mężów rozwiązanych, przechadzających się pośród ognia i nie dzieje się im nic złego; wygląd czwartego przypomina anioła Bożego«" (Dn 3, 91-92).

Przy czym w dosłownym brzmieniu w ostatnich słowach chodzi o „syna Bożego". Tak jak u Eliota.

W „Ziemi jałowej", której czas sakralny zamyka się w cyklu Wielkiego Tygodnia, pomniejszył on faktyczną liczbę wędrowców, nazywając tajemniczego współtowarzysza ich tułaczki „tym trzecim", zamiast „tym czwartym", aby w poetyckiej wizji złączyć tę scenę ze znanym z Ewangelii według św. Łukasza obrazem wędrówki uczniów do Emaus.

„Tego samego dnia dwaj z nich byli w drodze do wsi, zwanej Emaus, oddalonej o sześćdziesiąt stadiów od Jeruzalem. Rozmawiali oni ze sobą o tym wszystkim, co się wydarzyło. Gdy tak rozmawiali i rozprawiali ze sobą, sam Jezus przybliżył się i szedł z nimi. Lecz oczy ich były jakby przesłonięte, tak że Go nie poznali" (Łk 24, 13-16).

Droga do Stromness w ten symboliczny sposób stała się drogą do Emaus, czyli drogą do wiary w Zmartwychwstanie.

„My wiemy, »kim jest ten trzeci«. To Ten, którego rozpoznajemy »przy łamaniu chleba« – pisze ks. Andrzej Draguła, ↦

Z ARCHIWUM RODZINY BERBEKÓW

Obraz Ewy Dyakowskiej-Berbeki z cyklu „W Drodze", wykonany techniką collage, 2015 r.

podkreślając kwestię wiary w rozpoznaniu postaci. Religijnym interpretacjom „tego trzeciego" sprzyja na pewno fakt, że jego obecność objawiała się zazwyczaj w sytuacjach wędrówki i dzielenia się pokarmem lub napojem. W wizji Eliota zauważano jednak grozę i towarzyszącą wędrowcom śmierć, a nie – jak pisał Shackleton – „obecność bliską naszym sercom". Nie mógł zetknąć się z wersami Eliota. 5 stycznia 1922 r., po powrocie dzień wcześniej na statku „Quest" na Georgię Południową, umarł na zawał. Na swojej ziemi jałowej, nieopodal Stromness, swojego Emaus.

Znajomy polarnika, pisarz i *ghostwriter* jego wspomnień Harold Begbie w pamiętniku „Shackleton: A Memoir" postrzegał jego mistyczne doświadczenie w szerszej perspektywie: „On był naprawdę głęboko świadomy duchowej rzeczywistości, która kryje się we wszystkich widocznych rzeczach".

Z kolei krewny podróżnika, także badacz polarny i historyk, Jonathan Shackleton uważa, że w chwilach intensywnych przeżyć ujawniała się miłość jego przodka do poezji i literatury, przyzywania biblijnych wersetów i wyobrażeń o bóstwie czy też potędze nieznanego w celu wyjaśnienia przeżywanych uczuć, odnalezienia sensu swoich emocji.

„Przebiliśmy się przez fasadę naszych własnych możliwości. Zobaczyliśmy Boga w jego wielkich działach. Usłyszeliśmy wiadomość, którą ma dla nas Natura. Dotarliśmy do nagiej ludzkiej duszy" – pisał Ernest Shackleton w „Południu".

A próbując opisać swoją niemoc wobec próby opisania doświadczonego zjawiska, cytował „Endymiona" Johna Keatsa z jego „pustką ludzkich słów, bezsilnością mowy doczesnej".

Opiekun wielu

Ten trzeci. Czynnik Tego Trzeciego. Boski, niewidzialny, widmowy albo fantomowy towarzysz. Tajemniczy przyjaciel. Druga osoba. Inna osoba. Anioł stróż. Bezcielesna obecność. Bezsilność mowy widać już na poziomie mnogości określeń, którymi ludzie doświadczający podobnego odczucia próbowali nazwać spotkaną czy raczej wyczuwaną postać.

Są w ich relacjach jednak elementy wspólne. Wszystkim owa obecność wydaje się zaskakująco realna, nie wyśniona czy wyimaginowana. Nie ma mowy o tworze wyobraźni, ale o osobie z krwi i kości.

Dawniej zwykło się uważać doświadczenie obecności innej osoby za halucynację wywołaną niedotlenieniem, wychłodzeniem, wyczerpaniem organizmu. Jednak osoby, które tej obecności doświadczyły, oddzielają ją od

halucynacji związanych z dezorientacją, deterioracją, zaburzeniami świadomości skutkującymi niebezpiecznymi czy wręcz autodestrukcyjnymi zachowaniami, zwodzącymi często i mamiącymi. Łączą zaś ze stresem – można by rzec: bojowym – zagrożeniem, lękiem i uczuciem osamotnienia.

Czasem zresztą trudno te doświadczenia jednoznacznie zaszufladkować. Jak w przypadku niedawnej historii Élisabeth Revol, walczącej o przetrwanie zimą na Nanga Parbat, której na pograniczy snu i jawy, może w fazie REM, objawiła się kobieta przynosząca jej herbatę, a w zamian za to prosząca o but, który po kilku godzinach Francuzka znalazła leżący obok, co poskutkowało odmrożeniami.

Ten trzeci.
Czynnik Tego Trzeciego.
Boski, niewidzialny, widmowy albo fantomowy towarzysz. Tajemniczy przyjaciel. Druga osoba. Inna osoba. Anioł stróż. Bezcielesna obecność. Bezsilność mowy daje się zauważyć już na poziomie mnogości określeń.

Wizje związane z pragnieniem ciepła i jednocześnie powodujące nieracjonalne przypadki ściągania elementów ubioru towarzyszą często hipotermii. Artur Hajzer na tej samej górze w zjawisku słupa słonecznego ujrzał wróżkę mającą pretensje za papierek, który wypadł mu z rąk. Schodząc, zbierał więc w kolejnych obozach śmieci. „Nieznany obserwator kontrolował każdy mój krok i każdą decyzję" – wspominał doznanie spod wierzchołka Broad Peaku australijski wspinacz Greg Child.

Z reguły jednak tajemniczy przyjaciel jawi się jako ktoś opiekuńczy, ratujący życie, pomagający wydostać się z opresji, wskazujący drogę, dodający otuchy.

Revol niepewnie wiąże tajemniczą postać z matką. Podobnie jak Peter Hillary, syn pierwszego zdobywcy Everestu, któremu zmarła w katastrofie lotniczej matka zwizualizowała się w niepokojącym odczuciu czyjejś obecności, którego doświadczył podczas marszu na biegun południowy, gdy po kłótni ze swoimi towarzyszami zdecydował się kontynuować wędrówkę samotnie.

Jednak najczęściej bezcielesna obecność jest także bezosobowa, jak w pominiętych wcześniej wersach z Eliota:

„*Stąpa spowity płaszczem brunatnym, w kapturze,*
Nie wiem czy jest to kobieta czy mąż".

– Znalazłem się w pułapce, bo nie mogłem wyjść z tej ściany, w której tkwiłem sam, bez łączności. Ani zejść na dół, ani wejść do góry, czułem stres – odtwarza po latach swoje przeżycia ze wspinaczki wschodnim urwiskiem ośmiotysięcznika Dhaulagiri Krzysztof Wielicki. – Wtedy pojawił się ktoś. Ani kobieta, ani mężczyzna, ani ktoś bliski. Po prostu ktoś. Próbowałem się radzić tego kogoś, którędy iść. To powtórzyło mi się jeszcze na Sziszapangmie w podobnej sytuacji.

Niesłuszne jest jednak łączenie podobnych historii jedynie z zimnem i wysokością. Bardzo podobne odczucia towarzyszyły samotnym żeglarzom, podróżnikom przemierzającym pustynie i dżungle, pilotom, astronautom, nurkom, grotołazom eksplorującym głębokie jaskinie, walczącym na wojnie żołnierzom, ofiarom katastrof.

Bodaj pierwszą relację dotyczącą tego odczucia złożył Joshua Slocum, żeglarz, który pod koniec XIX w. podjął próbę samotnego rejsu dookoła świata. Podczas sztormu, złożony chorobą, widział wysokiego człowieka za sterem statku. Potem czuł nadal jego niewidzialną obecność, a sam łapał się często na rozmowach z nim czy wydawaniu komend załodze statku.

W znanej dzięki ekranizacji Danny'ego Boyle'a („127 godzin") historii Arona Ralstona, któremu spadający głaz przygniótł rękę w kanionie w Utah, zmuszając ostatecznie do jej amputacji, także przewija się poczucie obecności kogoś potężnego.

Zbiegłemu z tureckiej niewoli żołnierzowi i kuzynowi Brama Stokera świadomość czyjejś obecności towarzyszyła w czasie morderczej przeprawy przez góry Taurus i nie opuszczała także dwóch pozostałych zbiegów.

Ron DiFrancesco, który jako ostatni żywy człowiek uratował się z południowej wieży World Trade Center w zamachu z 11 września i jako jeden z zaledwie czterech ocalałych z pięter znajdujących się ponad miejscem uderzenia samolotu, twierdził, że otuchy dodawał mu cały czas i prowadził przez płomienie głos niewidzialnego człowieka. Głęboko religijny makler przypisywał ratunek boskiej interwencji.

Anioł stróż i naukowcy

Spotkania z „tym trzecim" zdarzały się nie tylko osobom religijnym, ale także tym, którzy podważali, jak Wojtek Kurtyka, chrześcijańską wizję świata. Nie bez znaczenia może być jednak fakt, że relacje o spotkaniach pochodzą najczęściej od ludzi, którzy dorastali w chrześcijańskim kręgu kulturowym, z rozpowszechnionym w jego ikonografii już od XVII w. wizerunkiem anioła stróża – a więc niewidzialnej, ale odczuwalnej obecności. Kierowane do dziecięcej wyobraźni obrazki przedstawiają jego postać czuwającą nad parą bawiących się nad przepaścią maluchów. Niezależnie od wiary, istnienie takiej postaci może być za sprawą podobnych obrazków czy słów modlitwy („Aniele Boży, stróżu mój / Ty zawsze przy mnie stój") głęboko wyryte w podświadomości. Nie bez znaczenia, przynajmniej w oddziaływaniu na wyobraźnię, może być fakt, że scenerię takich opowieści stanowią często najwyższe góry, świat zamieszkiwany według lokalnych plemion przez duchy i demony, akweny morskie będące przedmiotem legend, pustkowia, na których podobnych wizji doświadczali mistycy różnych religii.

Krzysztof Wielicki tłumaczy swoją wizję racjonalnie: – Człowiek w trudnej sytuacji szuka pomocy. To dowód na naszą stadność, na to, że człowiek szuka drugiego, w sytuacji gdy samotność wiąże się z jakąś pułapką, sytuacją ostateczną, zagrożeniem życia.

Greg Child w szkicu „Ktoś obok nas" pisze: „Próba rozwikłania zagadki przypomina śledzenie niewidzialnego człowieka – brak jest odcisków palców, brak jest materialnych dowodów. Te ostatnie znajdują się w nas samych".

Zjawisko budzi od lat zainteresowanie zarówno teologów, tropicieli zjawisk nadprzyrodzonych i parapsychologicznych teorii, jak i psychologów, neurologów i psychiatrów.

Naukowcy już od ponad stulecia zauważali podobne doznania u ludzi dotkniętych urazami mózgu, epileptyków, narkoleptyków i schizofreników. Jednym z pierwszych, którzy obserwowali zjawisko niewidzialnej obecności u cierpiących na ↦

↦ schizofrenię pacjentów, był niemiecki filozof i psychiatra Karl Jaspers. Nadał mu miano „obecności spersonifikowanej".

W drugiej połowie XX w. kanadyjski neurolog Macdonald Critchley zaczął opisywać fenomen u osób zdrowych, jednak znajdujących się w sytuacjach ekstremalnych.

W Polsce już w 1967 r., a więc na długo przed nastaniem złotej ery polskiego himalaizmu, Zdzisław Ryn, psychiatra i alpinista, na marginesie pracy o zaburzeniach psychicznych w chorobie wysokościowej opisywał przypadki rozmów z nieobecnym towarzyszem wśród rodzimych uczestników wypraw andyjskich i Adama Skoczylasa, który brał udział w szwajcarskiej pionierskiej ekspedycji na Dhaulagiri. W pracach Ryna zjawisko to pojawia się obok innych obserwowanych u himalaistów – towarzyszącego niektórym zdradliwego błogostanu i *out-of-body experience*, czyli doświadczenia wyjścia poza ciało.

Szwajcarski naukowiec Peter Brugger widział w nim odpowiednik doświadczeń bólu fantomowego u ludzi po amputacjach. Przy opisywaniu zjawiska „unilateralnie postrzeganej obecności" forsował więc określenie „fantomowy towarzysz". Widział w niej eksternalizację świadomości własnego ciała, czyli rozszerzenie jej na przestrzeń znajdującą się poza jego granicami.

Przełomem dla naukowego wyjaśnienia fenomenu mogą być ostatnie badania innego szwajcarskiego neurologa Olafa Blankego, który wraz z zespołem lekarzy z Lozanny wywołał rzeczywiste i silne wrażenie czyjejś obecności za pomocą elektrostymulacji mózgu osoby chorej na epilepsję.

Po kolejnych badaniach na chorych Blanke zaprosił do eksperymentu grupę zdrowych ochotników. Inżynierowie opracowali do tego celu robota, który dotykając delikatnie pleców badanego odtwarzał na nich dokładnie narysowany przez nich z zasłoniętymi oczami wzór. Wpierw z idealną koordynacją, co powodowało u badanych uczucie dotykania własnych pleców, następnie z niewielkim opóźnieniem, które wraz ze wzorem lustrzanym powodowały, że badany błędnie identyfikował źródło czuciowe i motoryczne – powodowało to rozłączenie pozycji ciała i zmysłów, tworząc dziwne uczucie czyjejś obecności w sali. Uczucie tak silne i niepokojące, że u kilku uczestników doprowadziło do przerwania testu.

Choć nauka potrafi już wywołać „tego trzeciego" i dowieść, że nie jest zjawiskiem nadprzyrodzonym, ale pochodzi z nas samych, to jednak nadal daleko do poznania spektrum bodźców i przyczyn, które wywołują jego pojawienie się w sytuacjach ekstremalnych. Nadal trudno pojąć, czemu wrażenie tej obecności jest tak realne. I czemu przytrafia się jednocześnie więcej niż jednej osobie.

Pozostaje więc furtka dla wiary w Boską interwencję, anioła stróża, postrzeganie zjawiska jako *mysterium tremendum.*

© BARTEK DOBROCH

Korzystałem m.in. z książek: Johna Geigera „Ten trzeci", Zdzisława Ryna „Góry. Medycyna. Antropologia", Ernesta Shackletona „Południe", Grega Childa „Mieszane uczucia" oraz książek innych himalaistów.

REKLAMA

ANDRZEJ

Stasiuk: *O cielesności*

Kiedy w naszej cerkwi odprawiały się jeszcze regularnie nabożeństwa, zapamiętałem taki obraz: po mszy, w letni ciepły dzień wyszli z cerkwi nasz prawosławny ksiądz i jego żona. On dostojny, solidny, z brodą, ona postawna, dorodna blondynka. Zeszli w dół cerkiewnego wzgórza, w miejsce, gdzie potok spływający z Żydówki (tak nazywa się góra) wpada do Zawoi. Tworzy się tam coś w rodzaju głębokiego po pierś basenu wypełnionego czystą, zimną wodą o zielonkawym odcieniu. Oboje stanęli na brzegu i się rozebrali. Ksiądz do gatek, jego żona miała na sobie dwuczęściowy kostium. A potem skoczyli w głąb zielonkawych wód.

Patrzyłem na ten widok jak urzeczony. Na wzgórzu wśród drzew pobita gontem osiemnastowieczna cerkiew o skromnej, ale olśniewającej urodzie, w dole jasne ciała kapłana i jego żony pluszczące się w zielonej rzece. Jakiś rajski spokój, jakaś harmonia emanowały z tej wizji. Tam krzyż w błękicie, a tutaj nagość bez żadnych podtekstów, nagość, można rzec, bezgrzeszna.

Wiele księżyców temu miałem okazję przebywać w wojsku i w więzieniu. Wiem, co to znaczy kilkudziesięciu młodych facetów zamkniętych w jednym miejscu, zdanych na siebie i odciętych od świata. Testosteron skrapla się na ścianach. Seks jest obsesją. Seks wypełnia cały czas i przestrzeń. Za dnia rozmawia się o kobietach, w nocy ich widma nie pozwalają spać. Nie ma przed tym ucieczki, bo tak działa biologia młodego mężczyzny. Zwłaszcza mężczyzny zamkniętego i skazanego na własne rojenia, na rojenia innych mężczyzn, skazanego na wspomnienia i na marzenia o tym, że kiedyś nadejdzie wyzwolenie i spełnienie. I wciąż się o tym mówi, opowiada, zamyka w słowach mniej lub bardziej wyszukanych.

Nigdy nie byłem w seminarium, ale mogę sobie wyobrazić. W końcu nie przebywają tam jacyś inni mężczyźni, kastraci albo wyrafinowana anielska płeć. To są te same hormony, ten sam testosteron, podobny wiek. Ta sama wizja kobiecości spędzająca sen z oczu. Tyle że w miejscach, które poznałem, te rojenia były jak najbardziej akceptowalne, stymulowane w opowieściach, podsycane niczym dziki, pogański kult. Wolność i kobiecość to były dwie religie wyznawane przez tych wszystkich zniewolonych łotrów, do których zresztą należałem. A może to była jedna religia? Pamiętam nocne krzyki desperatów wczepionych w okienne kraty i wołających w ciemność: „Wolności albo .....!".

Co tymczasem dostają seminaryjni chłopcy? Dostają wypreparowaną wizję kobiecości, coś w rodzaju kobiecego zombie, którego jedyną dopuszczalną cechą i funkcją jest macierzyństwo. Macierzyństwo. Koniec. Kropka. Reszta to mrok, grzech i przekleństwo, albo jeszcze gorzej, czyli nicość, nieistnienie. Nicość, z której *deus ex machina*, jak diabeł z pudełka, raptem zjawia się od razu kobieta-matka. Łagodna, cierpliwa, skromna, ze wzrokiem spuszczonym na dziecię albo wzniesionym do nieba, pozbawiona zupełnie seksualności, co najwyżej z dyskretnie odsłoniętą mleczną piersią. Ani słowa o tym, skąd dziecię się wzięło. Ani słowa o namiętności, o pasji, pożądaniu, nagości, fizjologii, która tak przecież jest zwierzęca, nieokiełznana, tak bliska tego, co jest „grzeszne", wyuzdane i bezrozumne. Nie ma opowieści o tym, że zanim dziecię się zjawi i uświęci wyklętą i pogrążoną w mroku i nicości kobiecość, to jest testosteron, estrogeny, krew, pot, rozkosz i łzy, czyli te wszystkie rzeczy, które Pan w mądrości i dobroci swojej dał nam, abyśmy nie pomarli i Jego plan realizowali, aż po wypełnienie dni. I nie sądzę, by chłopcy w seminariach mieli o tym pojęcie. W zamian dostają tylko lęk przed kobiecością i poczucie grzechu, gdy tylko ich myśl i wyobraźnia wybiegną poza wezbraną mleczną pierś.

Oczywiście doświadczają tych wszystkich ekscytujących, ciemnych uczuć, doświadczają pożądania, doświadczają ich nawet bardziej niż inni chłopcy w ich wieku. Doświadczają tak samo mocno, jak żołnierze w koszarach czy łotry w celach, tyle że są wobec nich bezbronni. Nie mogą nawet otworzyć okien i wykrzyczeć w mrok nocy owej słynnej ni to skargi, ni to błagania. Stłumieni, zablokowani, wykastrowani, trawieni obsesjami wyją bezgłośnie do kobiecości, która jawi im się jako niezwalczona pokusa i jako upadek.

A potem, proszę sobie wyobrazić, wychodzą w świat, jadą umajonymi prymicyjnymi drogami i biorą na siebie rolę przewodników duchowych. Biedni, połowiczni, pozbawieni męskości, w istocie kalecy i niepełnosprawni. Pozbawieni podstawowej wiedzy o tym, kim jest człowiek w swoich fundamentalnych zachowaniach i potrzebach. Nie mając pojęcia, kim jest kobieta, kim jest mężczyzna, wypowiadają się kategorycznie o tym, kim powinni być. Nie bez przyczyny przecież seks, kobiece ciało są obsesją kościelnego nauczania. Brzuch i tyłek kobiety wypełniają imaginarium tak szczelnie, że na resztę zostaje niewiele miejsca. Nie da się stłumić cielesności, nie da się przekreślić seksualności. Proszę mi nie opowiadać, że młode, jurne chłopaki opuszczające seminaria to jeden w drugiego synowie świętego Makarego ze Sketis. W dodatku nie udają się na pustynię, ale pomiędzy nas, by wpływać na nasze życie, na nasze zachowania, na żywe kobiety i mężczyzn. Na ich dusze i ciała. Bez wiedzy, bez doświadczenia, z jakąś co najwyżej złudną, wyobrażoną empatią. Tutaj powinienem napisać „amen", ale chciałbym powrócić do obrazu z początku tekstu, ponieważ obrazy są silniejsze niż słowa. Chciałbym powrócić do obrazu dwóch ciał, kobiety i mężczyzny, wcale już nie najmłodszych, ciał, które zaznały siebie nawzajem, ciała kapłana i jego kobiety – jakże to szokująco brzmi, prawda? – zanurzonych w przejrzystej, chłodnej wodzie u stóp świątyni. I chciałbym Państwa z tym obrazem pozostawić. Dopiero teraz: amen. ©

Przypis od autora:

W miejscu wykropkowanym pada słowo wyrażające wielkie, nieodparte pragnienie cielesnego obcowania z kobietą.

STANISŁAW

Mancewicz:
O strajkowaniu

Z niechęcią – choć jest to zajęcie popularne i powabne – oddajemy się porównaniom dzisiejszej władzy do władzy sprzed roku 1989. Owszem, czynimy tak czasem, ale rzec trzeba, że potem żałujemy i mamy zawsze z tego powodu kaca, który wynika z ogromnej łatwości w parabolizowaniu w tym guście. Dziś jednak pozwolimy sobie na pewne przywołania, które wydają nam się szczególnie celne.

Grubo przed, ale i w trakcie prehistorycznej fali strajków w 1980 r., zwanych sierpniowymi, strajkowanie było nie tyle aktem sprzeciwu pracowniczego, ile po prostu buntem wobec władzy i systemu. Słowo „strajk" było w zasadzie zabronione, czy też nie mogło być używane oficjalnie w kontekście innym niż historyczny. Można było mówić, owszem, o strajkach szkolnych z czasów rozbiorów. Albo o strajkach robotniczych – gdy czyniono wycieczki na temat zbrodni kapitalistów w upiornych czasach sanacji. Starsi muszą pamiętać, że za peerelu słowo „strajk" było objęte tak mocno przestrzeganym tabu, że używano go tylko prywatnie, w telewizji, radiu i w gazetach zaś stosowano zwrot „nieplanowane przerwy w pracy". Każde strajkowanie, jako się rzekło, było przed 1980 rokiem czynem antypaństwowym, antypolskim, uderzało w strategiczne sojusze i bezpieczeństwo ojczyzny, ułatwiało knowania wrogim ośrodkom emigracyjnym. To dzięki strajkom podnosiły głowę ziomkostwa na czele z takimi ludźmi jak Hupka, Czaja i Hartmut Koschyk, co łacno powodowało podważanie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Słowem: strajk, a zwłaszcza udział w nim, był przestępstwem najcięższego gatunku, za które można było dostać dowolną karę. Dlatego też, zanim władza decydowała się na nazwanie „nieplanowanych przerw w pracy" strajkiem, trochę czasu upływało, bowiem Biuro Polityczne i propaganda wraz z esbecją musiały opracować metodologię, strategię i taktykę działania. Póki trwały „nieplanowane przerwy w pracy", było w miarę bezpiecznie, gdy władza zaczynała używać słowa „strajk", robiło się nieprzyjemnie.

Przez ostatnich wiele lat w Polsce strajk był strajkiem w znaczeniu światowym, to znaczy zwykłym i dosłownym. Pomiędzy strajkującymi a strategicznymi sojuszami, ziomkostwami, wrogimi ośrodkami nie znajdowano – bo nie szukano – żadnych związków. Za rządów PiS-u już tak nie jest, jest za to podobnie, a nawet dzieje się wszystko prędzej niż za Gierka czy Jaruzelskiego.

Wszystkie strajki, z którymi mieliśmy do czynienia w ciągu ostatnich lat, stawały się według władzy natychmiast ściśle polityczne. Lekarze, inwalidzi czy nauczyciele w chwili podjęcia decyzji o proteście socjalnym ani przez chwilę nie byli ludźmi walczącymi o te sprawy. Są wrogami w sensie nie tylko politycznym, ale dowolnie każdym, co znaczy, że można im zarzucić cokolwiek, w tym – jak słyszymy – że są komunistami, Żydami, złodziejami bądź oszustami. Wymienienie wszystkich obelg, którymi ludzie władzy w Polsce, bądź sami, bądź za pomocą swoich mediów, są w stanie obrzucić przeciwnika, choćby był zwykłym niepolitycznym człowiekiem, lecz niepokornym, nie jest możliwe. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

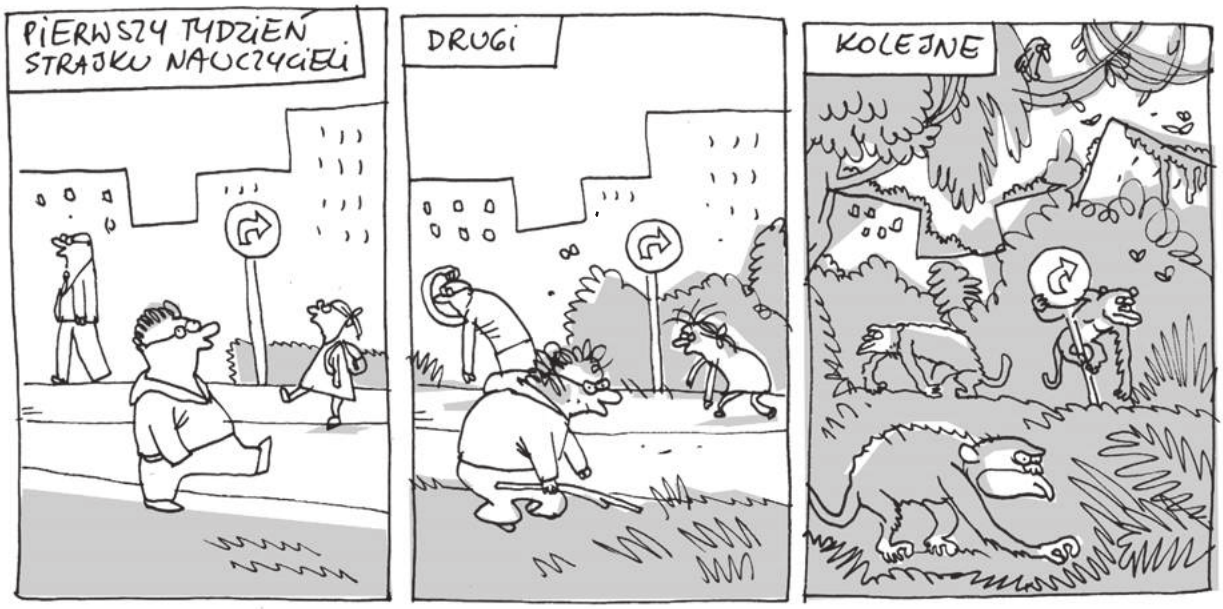

WIELKIE PYTANIA NA NOWO

TYGODNIK POWSZECHNY
2/2019

REWOLUCJA NEURONAUKOWA

SZTUCZNA INTELIGENCJA

115 Tłumacz zmechanizowany
MARCIN MIŁKOWSKI
Od instrukcji obsługi pralki po „Odyseję”

119 Niesztuczna inteligencja
WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Śluzem w komiwojażera

122 Sztuczna ludzka inteligencja
ŁUKASZ LAMŻA
LECH MAZURCZYK
Główni bohaterowie rozwoju tradycyjnej AI

124 Dowody z obwodów
TOMASZ MILLER
Czy matematycy są jeszcze potrzebni

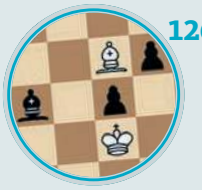

126 W dżungli wariantów
ROZMOWA Z MICHAŁEM KRASENKOWEM
Szachy: sztuka i kalkulacja

129 Prawdziwe kłamstwa
AGATA KAŹMIERSKA
Od postprawdy do postrzeczywistości

132 Siostra
TOMASZ FIAŁKOWSKI
O ludziach i maszynach równych przed Prowidencją

134 Imitacja doskonała
ŁUKASZ LAMŻA
Pozory inteligencji w grach komputerowych

Redakcja: Łukasz Kwiatek, Łukasz Lamża
Projekt graficzny: Marek Zalejski
Fotoedycja: Grażyna Makara, Edward Augustyn
Infografiki: Lech Mazurczyk
Skład: Andrzej Leśniak
Okładka: Marek Zalejski / ANDREW OSTROVSKY/ADOBE.STOCK.COM

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Projekt „Wielkie Pytania dla Polski na nowo” realizujemy dzięki wsparciu z grantu Templeton Religion Trust.
Menedżerem projektu jest Grzegorz Jankowicz, zaś Łukasz Lamża jest redaktorem serii wydawnictw.

Templeton Religion Trust

Copernicus Center

ŁUKASZ LAMŻA

ZROZUMIEĆ WSZECHŚWIAT

REWOLUCJA NEURONAUKOWA

WARTOŚCI DZIŚ

JĘZYK I KOMUNIKACJA

Opinie wyrażone na łamach niniejszej publikacji należą wyłącznie do ich autorów i nie muszą one odzwierciedlać stanowiska Templeton Religion Trust.

Sztuka tworzenia sztucznej inteligencji (AI) dawno już wyszła ze swojej pierwszej, zalążkowej fazy, w której próbowaliśmy nauczyć maszyny myślenia ludzkiego, licząc na to, że uda nam się wyrzeźbić w krzemie „elektronicznego geniusza” – istotę poruszającą się zasadniczo po tych samych ścieżkach poznawczych, co my sami, tylko szybciej.
Program ten szybko się wyczerpał, a w latach 90. nastała „zima AI”. Dziś inteligencja maszyn ma już zupełnie inny rodowód. Elastyczna, płynna, niespecyficzna struktura, pod pewnymi względami przypominająca ludzki mózg, jest „karmiona światem” w potężnych dawkach i jej samej pozostawia się zadanie wykrycia porządku w tej surowej magmie danych. Programy tłumaczeniowe i szachowe, do analizy mowy ludzkiej i obrazów, zachowują się coraz inteligentniej, jednak kluczem okazało się nie ich ręczne dostrajanie na ludzki obraz i podobieństwo, lecz pozostawienie ich rozwoju metodzie prób i błędów, tylko częściowo nadzorowanej.
Ze zmianą metody wiąże się zmiana perspektywy. Tego typu AI nie jest już automatem, który ma posłusznie wykonać zadane mu polecenia. Bardziej przypomina partnera, którego rozliczamy z efektów, mając tylko ograniczony wstęp do wnętrza jego głowy, i któremu pozostawiamy na etapie rozwoju sporą dawkę wolności. Dopiero po fakcie zorientowaliśmy się, że to przecież właśnie w takich warunkach wyłania się nasza własna inteligencja. ©℗

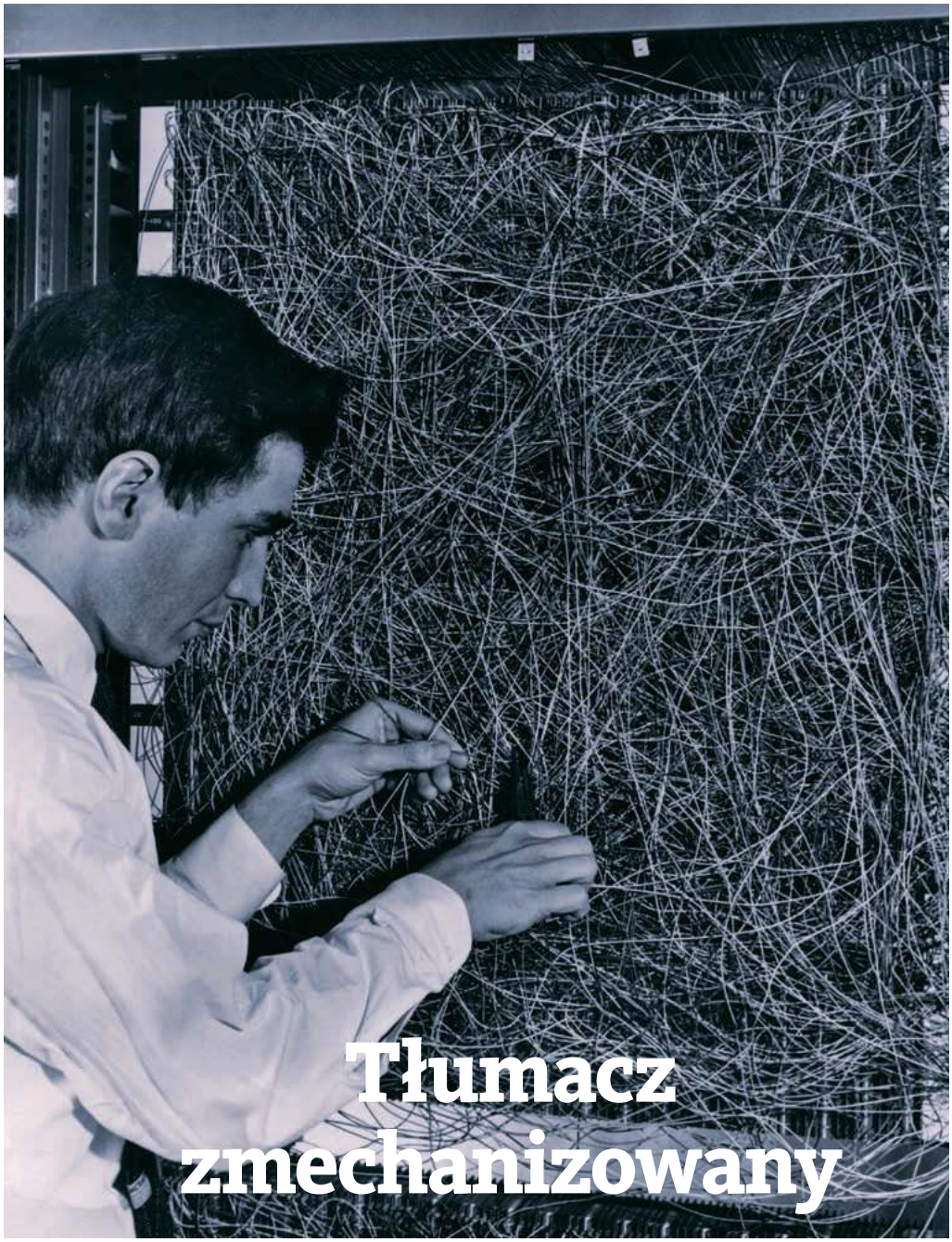

FREDERIC LEWIS / ARCHIVE PHOTOS / GETTY IMAGES

Na zdjęciu: operator komputera Mark I z zainstalowanym perceptronem Rosenblatta pracuje przy sieci sensorów. Cornell Aeronautical Laboratory, Buffalo, Nowy Jork, ok. 1960 r.

Tłumacz zmechanizowany

MARCIN MIŁKOWSKI

Aby przetłumaczyć tekst, nie wystarczy podmienić kolejno wszystkich słów z języka A na język B. Potrzebne jest zrozumienie gramatyki i zwyczajów językowych, a od pewnego momentu – również pojmowanie świata.

Redakcja mogłaby mnie podpisać jako filozofa i kognitywistę, ale jestem też tłumaczem. Przekładałem różne teksty: instrukcje obsługi, artykuły na temat programowania, pomoc ekranową, komunikaty na ekranach telefonów. Zebrało się też kilkanaście książek. Dobre dziesięć lat temu napisałem nawet słownik terminologii informatycznej i telekomunikacyjnej, wydany nakładem C.H. Beck.

Kiedy zaczynałem pracę w tym zawodzie, tłumaczenie maszynowe było pośmiewiskiem. Nikt nie używał go na poważnie. W branży technicznej panują dosyć wyśrubowane standardy, jeśli chodzi o spójność stylistyczną i terminologiczną. Dlatego od lat stosuje się specjalne oprogramowanie wspomagające, tzw. pamięć tłumaczeń, bez którego dochodzi do pomieszania z poplątaniem. Kiedy np. zespół tłumaczy – może być ich nawet setka – przygotowuje polską wersję systemu Windows, wszyscy muszą ściśle przestrzegać zaleceń stylistycznych i stosować te same terminy. Inaczej użytkownik będzie zdezorientowany. Przykład: kiedyś poproszono mnie o uzupełnienie tłumaczenia paru stron ↦

instrukcji nowej wersji pewnej drukarki. Okazało się, że komunikaty sterownika drukarki dla systemu Windows, a więc wyświetlające się użytkownikowi na ekranie komputera, tłumaczyła jedna firma, a komunikaty ukazujące się na wyświetlaczu drukarki – inna. Z inną terminologią. A potem trudno się zorientować, czy „taca na papier" jest tym samym, co „pojemnik dolny".

Jeszcze na początku XXI w. myśleliśmy, że daleka droga do tego, by tłumaczenie maszynowe zastąpiło tłumacza. Lecz już kilka lat później, zamiast przekładać rzeczywiście dosyć nudnawe i powtarzalne frazy od zera, zaczęliśmy korzystać z tłumaczenia maszynowego, a nie tylko komputerowego wspomagania. Zadaniem tłumacza-człowieka jest wówczas tzw. postedycja, czyli redagowanie wyniku pracy maszyny. Korzystając ze wstępnie podtłumaczonego tekstu, mogłem znacznie szybciej, a chyba i lepiej przetłumaczyć książkę Davida Chalmersa „Świadomy umysł", co pokazuje, że te systemy nie ograniczają się do instrukcji obsługi, ale mogą też poradzić sobie z filozofią. Dziś praktycznie nie wyobrażam sobie pracy tłumacza bez pomocy automatów.

Jak do tego doszło? I czy tłumaczy zupełnie zastąpią maszyny?

Marzenie o regułach

Idea, żeby zmechanizować tłumaczenie za pomocą komputerów cyfrowych, zrodziła się bardzo szybko, praktycznie jednocześnie z ideą sztucznej inteligencji. Nic dziwnego. W czasach zimnej wojny oba mocarstwa chciały jak najszybciej wiedzieć, co zawierają dokumenty przeciwnika. W takim przypadku nie jest ważna idealna jakość literacka, lecz zgrubne odtworzenie sensu przejętej depeszy.

Pierwsze próby stworzenia takich systemów pojawiły się w czasie, kiedy Noam Chomsky rozpoczynał rewolucję w językoznawstwie. Pomysł był prosty: należy odpowiednio ujawnić strukturę zdania oryginału, przeprowadzając analizę składniową i znaczeniową, a następnie, za pomocą odpowiednich reguł, wygenerować odpowiednie struktury w języku docelowym. Realizacja tego pomysłu jest jednak niesłychanie pracochłonna, gdyż wymaga nie tylko ogromnych słowników dwujęzycznych, ale także żmudnej pracy lingwistów nad opracowywaniem takich reguł.

Postępy były na tyle powolne, że opracowany w 1966 r. raport ALPAC dotyczący dotychczasowego rozwoju tłumaczenia automatycznego w USA doprowadził do wstrzymania dużych i kosztownych projektów, nieprzynoszących większych efektów. Ten i podobne krytyczne raporty, które ukazały się na przełomie lat 60. i 70., na długie lata spowolniły rozwój sztucznej inteligencji jako takiej – do tego stopnia, że drugą połowę lat 70. określa się czasem jako „zimę AI" (*AI winter*). Prace trwały jednak w obozie „demokracji ludowej" oraz w Niemczech i Francji. Wyjątkiem był system Systran, opracowywany w USA od kilkudziesięciu lat.

Znacznie już później, po zakończeniu zimnej wojny, powstał w Polsce system oparty na podobnych zasadach: Poleng, później nazwany Translaticą. Został opracowany przez specjalistów z Poznania, związanych z Uniwersytetem Adama Mickiewicza, pod kierownictwem prof. Krzysztofa Jassema. Stale rozwijana Translatica, korzystająca z dużego i bardzo dobrego słownika oraz reguł przetwarzania angielszczyzny, jest dziś w stanie analizować stosunkowo skomplikowane zdania.

Problem z tym podejściem polega na tym, że dla każdej pary języków, pomiędzy którymi mielibyśmy przekładać, trzeba by przygotowywać osobny system. Lingwiści zaproponowali więc, aby opracowywać reguły tłumaczenia na język pośredni, zwany „interlinguą". W ten sposób można byłoby mieć pewien zasób reguł wspólnych, a tłumaczenie pomiędzy dowolnymi dwoma wybranymi językami dokonywałoby się za pośrednictwem interlinguy.

To jednak nie takie podejście doprowadziło do rewolucji w tłumaczeniu. Powód był bardzo prosty: zbudowanie takiego systemu jest kosztowniejsze niż zatrudnienie tłumaczy, zwłaszcza korzystających ze wsparcia pamięci tłumaczeń. Istnieją jednak cały czas rozwijane systemy regułowe, także wolnodostępne, jak Apertium, obsługujące 49 par języków. Z ciekawostek: Apertium tłumaczy między polszczyzną a gwarą śląską.

Statystyka na odsiecz

Już Warren Weaver, jeden z twórców teorii informacji, w 1949 r. proponował, aby tłumaczenie oprzeć na statystycznej analizie języka. Pomysł jest prosty: wystarczy wyznaczyć odpowiednie rozkłady prawdopodobieństw, że dla pewnego ciągu znaków oryginału jego przekładem jest inny ciąg znaków, a potem z tych rozkładów korzystać. Łatwiej jednak powiedzieć niż zrobić, kiedy pamięć komputerów mierzy się w kilku bajtach – i dopiero z pojawieniem się internetu można było tanio zdobyć duże zasoby tekstowe potrzebne do tej analizy.

Początkowo analizowano współwystępowanie pojedynczych wyrazów oryginału i tłumaczenia, ale każdy, kto próbował tłumaczyć słowo po słowie, wie, dlaczego nie tędy droga. Słowa są wieloznaczne. A najczęstsze słowa są najbardziej wieloznaczne (to głosi tzw. prawo Zipfa). Znany przykład obrazujący trudność stworzył logik Jehoszua Bar-Hillel. W 1960 r. dowodził, że nie ma szans na zbudowanie systemu tłumaczącego proste angielskie zdanie „The box was in the pen", gdyż składa się ono z samych wieloznacznych wyrazów. Nawet dzisiaj niektóre systemy tłumaczące, np. Tłumacz Google, dają wynik dosyć nonsensowny („Pudełko było w piórze", zamiast poprawnego „Pudełko było w kojcu" – jest to fragment opowieści o Jasiu szukającym pudełka z zabawkami).

Twórcy systemów statystycznych zaczęli na początku XXI w. radzić sobie z tym problemem w inny sposób. Budowali modele języka docelowego wskazujące, z jakim prawdopodobieństwem pewne wyrazy będą występować obok siebie. Można więc zbudować model złożony z pojedynczych wyrazów (co w sumie nie będzie odbiegać od ich częstości), ich par, trójek, czwórek itd. Im dłuższe te ciągi, tym kosztowniejsze obliczeniowo, ale także trafniejsze będzie tłumaczenie. Metoda opracowana w 1993 r. przez specjalistów z IBM zdominowała przekład automatyczny na dobre 20 lat.

Jak takie modele budować? Okazuje się to bardzo łatwe, kiedy istnieje internet. W sieci znajduje się coraz więcej tekstu, a że w bazie danych nie przechowujemy całego tekstu, lecz tylko grupy słów i pewne parametry statystyczne, nie ma problemu z prawami autorskimi. Nic dziwnego, że po-

tentatami okazali się producenci wyszukiwarek internetowych. W końcu to oni mieli dostęp do ogromnych zasobów tekstowych.

Stworzenie systemu tłumaczenia okazało się tanie i szybkie, ograniczone tylko szybkością komputerów, a wyniki były wystarczająco dobre, aby przyspieszały pracę tłumaczy. Choćby nawet pozostawały błędy, to poprawienie kilku końcówek wyrazów czy paru błędnych słów zabiera mniej czasu niż napisanie zdania od zera. Pojawiły się wkrótce narzędzia pozwalające stworzyć własne statystyczne systemy tłumaczenia, korzystające zwykle z będącego w wolnym dostępie systemu Moses. Wystarczy tylko mieć duże powiązane ze sobą zbiory oryginałów i tłumaczeń, zwane „korpusami równoległymi". Skąd jednak je wziąć?

Przez długie lata wydawało się, że aby dobrze przetłumaczyć słowo „pen" – które znaczy zarówno „pióro", jak i „kojec" – trzeba rozumieć, że mały chłopiec nie może siedzieć w piórze. **A przecież komputer nic nie rozumie.**

Okazuje się, że nic prostszego. Europejskie instytucje tłumaczą ulotki produktów medycznych, można więc stworzyć wielojęzyczne korpusy medyczne. Tłumacze unijni tłumaczą wszystkie dokumenty na wszystkie języki oficjalne. Instytucje religijne tłumaczą i udostępniają swoje teksty, zwłaszcza Biblię i Koran. Wreszcie amatorzy tłumaczą podpisy do filmów, a biura tłumaczeń czy wielkie firmy gromadzą własne zasoby z poprzednich projektów.

Od typu tekstu i jego problematyki zależy, czy wybrany korpus równoległy pozwoli stworzyć system dający rozsądne wyniki. Kiedy wytrenowałem Mosesa na ulotkach medycznych i poprosiłem go o przetłumaczenie tytułu piosenki Elvisa „Are You Lonesome Tonight", program zaproponował tłumaczenie: „Są pacjentki odludny wieczór". Gdybym użył korpusu biblijnego do tłumaczenia ulotek medycznych, efekt byłby zapewne jeszcze bardziej zaskakujący.

Statystyczne tłumaczenie maszynowe znalazło zastosowania praktyczne, jednak trudno było nie dostrzec niedoskonałości jego rezultatów. Ze względu na to, że propozycja przekładu powstaje na podstawie sposobu użycia danych słów w zadanych tekstach „wzorcowych", system taki nie jest w stanie poradzić sobie choćby z twórczym charakterem języka.

Kłopoty z produktywnością

To właśnie twórczość czy też produktywność języka sprawia, że statystyczne uczenie maszynowe musi być niedoskonałe. Każdy z nas jest w stanie zrozumieć i wytworzyć potencjalnie nieskończoną liczbę zdań. Co więcej, prawie żadne pisane przez nas zdanie, które nie jest po prostu cytatem lub formułą grzecznościową, nie było napisane przez nikogo wcześniej. A niektóre kombinacje wyrazów, chociaż całkowicie poprawne, po prostu nigdy wcześniej się nie pojawiły.

Przypuśćmy, że w tego typu nowej kombinacji pojawiło się słowo „nie". System tłumaczący może nie mieć w swoich zbiorach danych podobnego tekstu z negacją, uzna więc, że niskie jest prawdopodobieństwo wystąpienia w tym miejscu „nie". Dostaniemy w ten sposób zdanie będące logicznym zaprzeczeniem oryginału. Podobne osobliwości znają użytkownicy tłumaczenia statystycznego: niekiedy tłumaczy ono symbole miar czy walut, nie przeliczając wartości, a 36,6 stopni Celsjusza to nie to samo, co 36,6 stopni Fahrenheita, 15 złotych zaś to nie to samo, co 15 euro. Co więcej, w naszym języku bardzo łatwo tworzyć neologizmy, np. „mechanotłumacz". Czegoś takiego tradycyjne statystyczne metody nie potrafią zanalizować.

W systemie Moses rozpoczęto więc próby wzbogacenia metod statystycznych przez analizę gramatyczną. I nic. Większość wyników była jeszcze gorsza. Wydawało się, że pozostaje jedynie połączyć jakieś elementarne reguły (np. sprawdzające, czy nie nastąpiło przekłamanie przy tłumaczeniu oznaczeń miar i walut) z tłumaczeniem statystycznym. Tymczasem w firmie Google trwały eksperymenty nad zastosowaniem uczenia głębokiego w tłumaczeniu.

Głębiej i głębiej

Od lat 80. XX w. trwa renesans innego podejścia do sztucznej inteligencji: sztucznych sieci neuronowych. Początki sięgają pierwszego obliczeniowego modelu mózgu Warrena McCullocha i Waltera Pittsa z 1943 r., którzy założyli, że neurony odpowiadają operacjom logicznym: negacji, alternatywie czy koniunkcji. Są to zatem bramki logiczne. McCulloch i Pitts dowiedli przy tym, że z takich bramek można stworzyć maszynę realizującą wszelkie obliczalne funkcje matematyczne. Jednak ich neurony były cyfrowe i niezmienne, a dopiero kolejny model – perceptron – opracowany przez Franka Rosenblatta w 1957 r. można było uczyć. W dodatku nie był on cyfrowy, lecz analogowy – było to urządzenie mechaniczno-elektroniczne, które zaopatrzono w potencjometr z gałką, którą w sposób ciągły przesuwał mały silniczek. Od ustawienia tego potencjometru zależała wartość wyjściowa przy danych wartościach na wejściu. Początkowo sądzono, że to klucz do sztucznej inteligencji, ale, czego dowiódł w 1969 r. Marvin Minsky (szkolny kolega Rosenblatta) wraz z Seymourem Papertem (późniejszym twórcą dydaktycznego języka programowania Logo), perceptrony nie były tak uniwersalne jak model McCullocha i Pittsa. Przeciwnie, nie mogły nawet nauczyć się wszelkich funkcji logicznych.

Na wiele lat zapanował wspomniany już wyżej zastój w badaniach nad sztucznymi sieciami neuronowymi, który przełamał u zarania lat 80. Geoffrey Hinton, pracujący obecnie dla Google. To on stworzył podwaliny koneksjonizmu: modelowania procesów uczenia przez sztuczne sieci neuronowe. W ostatnich latach zaś nowe metody uczenia takich sieci pozwoliły znacznie poprawić wyniki w zakresie rozpoznawania wzorców, w tym obrazów, tekstu drukowanego, mowy, ale także generowania sztucznej mowy czy tworzenia zdjęć fikcyjnych ludzkich twarzy, a nawet filmów z twarzami znanych osób [zob. artykuł Wojciecha Brzezińskiego na str. 119 – red.]. Musiało więc pojawić się pytanie, czy nie dałoby się tych metod zastosować do tłumaczenia maszynowego.

Sieci neuronowe, chociaż inspirowane do pewnego stopnia biologicznie, były jeszcze na początku XXI w. traktowane ↦

↦ przez praktyków od przetwarzania języka jako stosunkowo nieinteresująca, a ponadto wolniejsza forma uczenia maszynowego. Uczenie maszynowe polega wszak właśnie na wydobywaniu wzorców z danych. Nowsze algorytmy tworzenia takich sieci i większa dostępność danych do uczenia pozwoliły jednak uzyskać bezprecedensowe rezultaty.

Chociaż wyuczenie sztucznej sieci potrafi nadal być czasochłonne, to zwykle się opłaca. Sztuczne sieci neuronowe nadają się zwykle bardzo dobrze do wykrywania skomplikowanych wzorców, a więc uczą się rozpoznawać strukturę. Struktura ta może być stosunkowo bogata, dlatego w przypadku współczesnych sieci mówi się o uczeniu głębokim, gdyż głęboko analizują one strukturę wzorców. A język taką strukturę przecież ma.

Poza wykorzystaniem specjalnego sprzętu (tzw. procesorów tensorowych) opracowanych w Google równie istotnym pomysłem była rezygnacja z tradycyjnego podejścia do tekstu. Tekst do tłumaczenia statystycznego jest odpowiednio przygotowywany: cały tekst przerabia się na pisany małymi literami (wielkie litery przywraca się w modelu języka docelowego), dzieli się go na zdania, a następnie na poszczególne wyrazy, zwykle zgodnie z zasadami ortografii danego języka. Rzecz w tym, że granice słów w języku pisanym bywają arbitralne, co mogą potwierdzić na pewno wszyscy ci, którzy zmagali się z pisownią łączną lub rozłączną w języku polskim. Końcówki typu „-bym" potrafią przyczepić się do wielu różnych części mowy, a w dodatku czasem pisze się je łącznie, a czasem osobno. Nigdy jednak nie mają one samodzielnego znaczenia. Tłumacz Google postępuje więc inaczej: słowa nie są dzielone na podstawie znaków interpunkcyjnych i spacji, lecz podlegają dalszym podziałom.

Kilka eksperymentów wystarczy, by się przekonać, że Tłumacz poradzi sobie nawet z niektórymi neologizmami. Zdanie „To jest mechanotłumacz języka polskiego" tłumaczy jako „This is the mechanotranslation of the Polish language". Trudno wyobrazić sobie lepszy wynik, co potwierdzają też dane z ewaluacji nowego systemu. Dzięki niemu wyniki w zakresie tłumaczenia pojedynczych zdań poprawiły się – w ocenie przeprowadzanej przez ludzi – o 60 proc. w stosunku do poprzedniego systemu tłumaczenia, a to wynik wręcz niesłychany, gdyż osiągnięto go wyjątkowo szybko. Dlatego też nowy system został wdrożony niemal błyskawicznie dla większości obsługiwanych przez Google języków.

Co dalej?

Jeszcze 20 lat temu byłem przekonany, że tłumacz techniczny to świetny zawód, bo metody komputerowe to zabawki. Dzisiaj już nie są zabawkowe. Wiele tekstów, wcześniej przekładanych przez człowieka, tłumaczy maszyna. Dotyczy to chociażby rzadziej używanych informacji technicznych – np. Tłumacz Bing służy w firmie Microsoft do tłumaczenia jej Bazy Wiedzy dla użytkowników (jest to oznaczone na stronach internetowych w stopce). Chińskie sklepy tak generują polskie opisy swoich produktów. Nie są one może idealne, ale wystarczająco dobre, aby ktoś na ich podstawie kupił towar – a nie zapominajmy, że funkcją wielu, jeśli nie większości tekstów nie jest wcale wywoływanie zachwytu estetycznego, lecz czysto pragmatyczny przekaz informacji.

Trwają intensywne prace nad dostosowaniem tłumaczenia maszynowego do rozpoznawania mowy. Coś, co niedawno było domeną fantastyki naukowej – automatyczne tłumaczenie zupełnie nieznanego języka na żywo – jest już rzeczywistością i każdy z nas może ściągnąć aplikację na swój telefon, która jest to w stanie zrobić, z jakością zależącą głównie od tego, jaką parę języków wybierzemy. Mowa jest wyjątkowo trudna nie tylko ze względu na wielość akcentów i błędy wymowy, ale również dlatego, że problematyczne jest samo wyodrębnianie rozmowy z tła. My, ludzie, bez trudu rozpoznajemy głos swojego rozmówcy w głośnej kawiarni i skupiamy się tylko na jego słowach, nawet kiedy rozmawiamy w większej grupie. Automatyczne systemy wciąż mają z tym problem. Nadal nie wiadomo też, jak właściwie ten kłopot rozwiązuje nasz mózg. Wiadomo, że w audycji radiowej jest to większy problem też dla naszego mózgu, o czym świadczy dowolna rozmowa z udziałem kilku przekrzykujących się polityków. Ale jak to działa w studiu radiowym?

Czym innym jest tłumaczenie przybliżone przez maszynę, a czym innym przekład idealny. Tłumaczenie ma również twórczy charakter i nie ma jednego jedynego poprawnego rozwiązania dla danego problemu translatorskiego. Nie ma wcale jasności, czy „Hamleta" należy tłumaczyć jak Józef Paszkowski, Stanisław Barańczak, Maciej Słomczyński czy może jak Piotr Kamiński. To dotyczy jednak nie tylko literatury, ale nawet instrukcji montażu zlewu. W pewnym momencie po prostu nie wiadomo, jak tłumaczyć lepiej. Maszyny obecnie nie dochodzą do poziomu takich wyborów, lecz gdy dotrą – nie wiemy, co im podpowiedzieć.

Przede wszystkim jednak dobre tłumaczenie wymaga rozumienia tekstu. Wylano dużo atramentu na dyskusję, czy kiedykolwiek komputery będą w stanie rozumieć tekst. Zamiast omawiać eksperymenty myślowe, które mają przeważać szalę na jedną lub drugą stronę, wróćmy do przykładu Bar-Hillela. Skąd mamy wiedzieć, że kiedy pada wyraz „pen", chodzi o kojec, a nie długopis czy pióro? W oryginalnej historyjce wcześniej pojawia się zdanie mówiące o tym, że Jasio schował zabawki do pudełka. Stąd można by wywnioskować, że po pierwsze Jan jest w wieku, w którym chowa się zabawki, a po drugie, że to jest to samo pudełko, o którym mowa później. Powoli powstają algorytmy, które pozwalają określać tego rodzaju relacje w tekście, lecz systematyczne rozwiązanie tego problemu wymagałoby stworzenia algorytmów budujących modele rzeczywistości na podstawie jej opisów. A to już jest zadanie stworzenia pełnej sztucznej inteligencji, gdyż wymaga skomplikowanych procesów wnioskowania oraz posiadania ogromnej wiedzy dodatkowej (np. wiążącej zdrobnienie imienia z wiekiem).

Jest w dodatku wątpliwe, czy da się w ogóle wyposażyć automat w taką wiedzę, jeśli sam automat nie będzie w stanie reprezentować rzeczywistości – a zatem mieć informacji, które będzie mógł sam wykorzystywać, a przede wszystkim oceniać pod kątem prawdziwości. Z tym zadaniem muszą mierzyć się również twórcy autonomicznych robotów podejmujących coraz bardziej skomplikowane decyzje. Systemy uczenia maszynowego nawet nie ocierają się o próby wykorzystania takiej autentycznej sztucznej inteligencji – lecz gdy się zbliżą, to następny artystyczny przekład „Odysei" heksametrem po polsku będzie tylko kwestią czasu. © MARCIN MIŁKOWSKI

Niesztuczna inteligencja

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Zaczęło się od inteligencji naturalnej, występującej w całym świecie przyrody, od ameb po ludzi. Dzisiaj stworzona przez tych ostatnich inteligencja sztuczna wraca do swych biologicznych korzeni.

Elowan miała wszelkie powody do irytacji. Nie chciała od życia wiele – tylko odrobiny słońca. Ale za każdym razem, kiedy podjeżdżała swoim samochodzikiem na miejsce, w którym mogłaby się spokojnie powygrzewać, światło gasło, i zapalało się gdzieś indziej. Kolejna wycieczka i kolejne rozczarowanie. Na szczęście podróże Elowan nie musiały być szczególnie dalekie. Najdalej na długość laboratoryjnego stołu. Jak na skrzydłokwiat to i tak zdumiewająca odległość.

Elowan to cyborg skonstruowany w MIT Media Lab przez prof. Harpreeta Sareena. Naukowiec wszczepił doniczkowej roślinie srebrne elektrody, które wychwytywały niezwykle słabe bioelektrochemiczne sygnały przebiegające między jej tkankami. Sygnały, które są dla innych części rośliny informacją, że następuje zmiana w środowisku – np. temperatury czy poziomu światła – albo uszkodzenie liści, korzeni czy pączków. W przypadku niektórych roślin reakcję wywołuje nawet delikatne dotknięcie przez człowieka.

Kiedy więc uzbrojony w elektrody skrzydłokwiat wykrywał pojawienie się źródła światła, reagował właśnie takimi sygnałami. Podpięty do elektrod komputer wzmacniał sygnały, a niewielkie, czterokołowe autko, na którym stała doniczka, toczyło się w stronę światła, wykonując polecenia rośliny – co widać na sekwencji zdjęć obok.

HARPREET SAREEN / MIT / CC-BY 4.0

To nie zabawa. Elowan miała być demonstracją tego, jak żywe stworzenia mogą wchodzić w dialog z komputerami i jak możemy wykorzystać istniejące już w naturze inteligentne mechanizmy do tego, żeby nasz sztuczny świat stał się bardziej inteligentny.

Zalety biologiczności

Są trzy zasadnicze powody zainteresowania naukowców takimi biotechnologicznymi systemami. Pierwszy to sprawność. Dzisiejsze komputery, przy całej swojej potężnej mocy obliczeniowej, marnują ogromne ilości energii.

Ludzki mózg do działania potrzebuje około 20 watów. Tymczasem, według szacunków prof. Kwabeny Boahena, bioinżyniera z Uniwersytetu Stanforda, porównywalnej mocy komputer zużywałby aż 10 megawatów, czyli tyle, ile produkuje największa na świecie, 200-metrowa turbina wiatrowa. A zasoby energetyczne ludzkości nie są nieskończone. Branża komputerowa i telekomunikacyjna zużywa dziś rocznie około 200-300 TWh energii elektrycznej. A już w 2025 r. ma jej zużywać nawet 10 razy więcej, głównie przez masowe instalowanie podpiętych do sieci 5G urządzeń tzw. internetu rzeczy. Według szacunków Stowarzyszenia Przemysłu Półprzewodnikowego SIA około roku 2040 łączne zapotrzebowanie energetyczne wszystkich komputerów świata przekroczy całą dzisiejszą globalną produkcję elektryczności.

Po drugie, żywe, samonaprawiające się komputery czy bioroboty mogłyby funkcjonować w miejscach, gdzie nawet najtwardsze obwody scalone nie dają rady, np. w głębinach oceanów, ekstremalnie wrogich elektronice warunkach środowiskowych, takich jak te panujące na Wenus czy we wnętrzach naszych własnych ciał. O ile rośliny doniczkowe pokroju skrzydłokwiata mają dość wąski zakres warunków środowiskowych, które tolerują, jednokomórkowce, zwłaszcza bakterie, które też można zaprząc do układów bioelektronicznych (o czym za chwilę), potrafią żyć w temperaturach czy zakwaszeniu, których nie byłby w stanie wytrzymać żaden układ elektroniczny.

Ale poza pogonią za efektywnością jest jeszcze trzeci powód, silniejszy. Ciekawość. Natura miała setki milionów lat na opracowanie sztuczek, których my próbujemy nauczyć komputery zaledwie od paru dekad, takich jak rozpoznawanie wzorów, optymalizacja tras czy komunikacja z otoczeniem. Jeśli nie możemy skopiować czy ulepszyć naturalnych rozwiązań, może moglibyśmy je po prostu pożyczyć?

Krabowa logika

Czasami eksperymenty z biokomputerami przybierają niecodzienne kształty. ↦

↦ W 2012 r. prof. Yukio-Pegio Gunji z Uniwersytetu Kyoto zbudował w laboratorium bramkę logiczną. To jeden z najprostszych układów pozwalających na przetwarzanie danych: przyjmuje kilka sygnałów przychodzących *(input)* i przetwarza je w sygnał wychodzący (*output*), który przybiera jedną z dwóch wartości. Prawda lub fałsz. 1 lub 0. Bramka prof. Gunjiego od klasycznych różniła się tylko jednym detalem. Zamiast impulsów elektrycznych, zarówno inputem, jak i outputem były stada krabów.

Kraby z zamieszkującego płytkie laguny gatunku *Mictyris guinotae* (na zdjęciu obok) mają w zwyczaju poruszać się dużymi, zwartymi grupami. Naukowcy wpuścili dwie takie grupy do labiryntu zbudowanego tak, by do spotkania obu grup dochodziło na skrzyżowaniu przypominającym budową elektroniczną bramkę logiczną. Po „zderzeniu" obie grupy zwierząt łączyły się w jedną i wspólnie szły w kierunku, który był sumą wektorów ich wcześniejszego ruchu. Korytarz, który wybrały, otrzymywał wartość „1". Powstała prosta, napędzana stawonogami maszyna do przetwarzania danych, zdolna do realizowania dwóch fundamentalnych operacji logicznych: koniunkcji i negacji.

Jest oczywiście mało prawdopodobne, żeby ktokolwiek stworzył kiedykolwiek laptopa bazującego na wodnych bezkręgowcach. Jeden z naukowców współtworzących krabowy komputer wziął jednak na cel inne, o wiele prostsze stworzenie, które może wkrótce stać się bezcennym narzędziem dla inżynierów.

WEB.NCHU.EDU.TW // HSI-TE SHIH

Prof. Andy Adamatzky z Centrum Niekonwencjonalnych Obliczeń Uniwersytetu Zachodniej Anglii zajął się śluzem. Konkretniej, śluzowcem z gatunku *Physarum polycephalum*, zwykle mieszkającym na butwiejących drzewach i wilgotnych kamieniach. Jest to stworzenie chorobliwie żółte, oślizgłe i dla przeciętnego człowieka prawdopodobnie nieco odpychające. Ale dla sporej grupy naukowców z Adamatzkym na czele to jedno z najbardziej zdumiewających stworzeń świata. I kto wie, czy nie stanowi przyszłości komputerów.

Śluzowiec to dziwna, starożytna forma życia niezaliczana ani do zwierząt, ani do roślin, ani do grzybów, spokrewniona za to z jednokomórkowymi amebami. Zaczyna życie jako mikroskopijny „pełzak", który wygląda jak klasyczna ameba. Gdy dwa takie pełzaki zleją się ze sobą, tworzą strukturę nazywaną śluźnią lub plazmodium. I to właśnie śluźnia jest przedmiotem fascynacji naukowców. To jedna ogromna komórka, zawierająca setki albo tysiące jąder. Szybko rosnące plazmodium niektórych gatunków może osiągnąć nawet kilka metrów rozpiętości i jest tworem bardzo dynamicznym. Wysuwa wypełnione cytoplazmą wypustki, za pomocą których szuka pożywienia, odsuwa się od światła i drażniących substancji. Zmienia swoją strukturę, pompując więcej cytoplazmy w najbardziej obiecujące odnogi, pozwalając zanikać tym już niepotrzebnym. Pulsuje w takt przechodzących stale przez jego wnętrze sygnałów chemicznych, prowadząc skomplikowany optymalizacyjny taniec. Zawsze dąży do tego, by tworzyć najbardziej efektywne, najkrótsze połączenia między źródłami pożywienia.

I to właśnie talent do optymalizacji zwrócił uwagę naukowców. Okazało się, że śluzowce są zadziwiająco dobrymi planistami. Gdy umieszczono je na mapie, na której w miejscu dużych metropolii położono kupki płatków owsianych, śluzowce łącząc je, tworzyły strukturę łudząco przypominającą układ głównych szlaków transportowych danego terytorium: Kanady, Niemiec, Japonii czy całej Afryki. Podobne eksperymenty pozwoliły już m.in. odtworzyć sieć transportową starożytnego Rzymu, przewidzieć trasy wędrówek migrantów z Meksyku do USA czy zaplanować najefektywniejsze trasy ewakuacji pracowników biurowców. Ale *Physarum* ma o wiele więcej talentów.

„Moja praca ze śluzowcami pokazała, że możemy zaprojektować w pełni funkcjonalne komputery ogólnego zastosowania – opowiadał Adamatzky w rozmowie z portalem Phys.org. – Do prowadzenia obliczeń nie potrzeba jakiejkolwiek inteligencji, lecz jedynie prostych reakcji na stymulację chemiczną, optyczną, dotykową i, być może, grawitacyjną".

Śluzowiec-komiwojażer

W grudniu japońsko-koreański zespół naukowców z Uniwersytetu Keio pokazał, jak mogłyby w praktyce wyglądać takie urządzenia. Naukowcy nauczyli plazmodialną amebę rozwiązywać problem matematyczny, który stanowi spore wyzwanie nawet dla najnowocześniejszych komputerów. To tzw. problem komiwojażera.

Zadanie jest pozornie proste. Sprzedawca musi odwiedzić miasta znajdujące się w różnej odległości od siebie, planując trasę tak, by zaczynała się i kończyła w tym samym mieście, a każde miasto, poza pierwszym, zostało odwiedzone tylko raz. Celem jest znalezienie optymalnej trasy. Drobnostka? Okazuje się, że złożoność problemu rośnie wykładniczo razem ze zwiększaniem liczby zbioru miast. Przy czterech punktach docelowych są tylko trzy możliwe trasy do przeanalizowania. Przy sześciu – 360. Przy ośmiu – już 2520 tras. Nie ma prostej, matematycznej formuły pozwalającej znaleźć najbardziej efektywną trasę. Trzeba przeliczyć je jedna po drugiej lub, gdy nie jest to możliwe, stosować różnego rodzaju zaawansowane algorytmy, opracowywane gorliwie przez matematyków. Tak przynajmniej do problemu podchodzą tradycyjne komputery. Ale nie ameby.

Uczeni umieścili śluzowca w naczynku otoczonym kanalikami, a na końcu każdego z kanalików pożywkę. Łącznie stworzyli 64 kanaliki, po osiem na każde „miasto". Każdy z kanalików oznaczono literą od A do H, oznaczającą miasto, oraz cyfrą od 1 do 8 oznaczającą to, w której kolejności „komiwojażer" powinien to miasto odwiedzić w rozwiązaniu. Jeśli np. ameba dotarła do końca kanalików A3, B2, C4 i D1, oznaczało to, że rozwiązaniem problemu jest kolejność D, B, A, C, D.

DIMITRISVETSIKAS1969 / PIXABAY

Śluzowiec naturalnie nie myśli w kategoriach matematycznych. Stworzenie próbowało jedynie dosięgnąć jedzenia swoimi wypustkami. Jego działania monitorował jednak algorytm kontrolujący również oświetlenie kanalików. Światłowstrętny śluzowiec wycofuje się z miejsc, w których jest zbyt jasno, co pozwala sterować jego zachowaniem. Za każdym razem, gdy dotknął którejś z pożywek, monitorujący sytuację algorytm włączał światełka w innych kanalikach, zamykając mu dostęp do dróg niespełniających wymogów rozwiązania. Jeśli np. plazmodium dotarło do pożywienia na końcu kanalika C3, program zamykał wszystkie pozostałe kanaliki C, bo to miasto zostało już odwiedzone, i wszystkie kanaliki z cyfrą 3, bo tylko jedno miasto mogło być trzecie w kolejności. Oświetlenie kanalików symulowało też odległości między miastami: im większa odległość, tym bardziej prawdopodobne, że w którymś momencie algorytm włączy w nim światło, żeby skierować amebę na krótszą trasę.

Komputer nie sterował więc śluzowcem w tym sensie, w którym narzucałby mu rozwiązanie problemu. On tylko pilnował, żeby rozwiązanie spełniało wymogi zadania i dodawał dodatkowe warunki, takie jak różnice odległości poszczególnych miast. Rozwiązanie, zwykle bardzo zbliżone do optimum wyliczonego przez klasyczny komputer, wynikało wyłącznie z dążenia śluzowca do osiągnięcia optymalnego ze względów energetycznych rozkładu przestrzennego plazmodium.

Wydawałoby się, że posługiwanie się śluzowcem do rozwiązywania problemów matematycznych to bardzo okrężna metoda. Ma ona jednak kolosalną zaletę. Ameba, w przeciwieństwie do komputera, nie musi mozolnie liczyć wszystkich możliwych tras. Ona „liczy" wszystkie rozwiązania jednocześnie. Dla komputera dodawanie kolejnych miast sprawia, że czas potrzebny na rozwiązanie problemu rośnie wykładniczo, tak jak liczba możliwych rozwiązań. Dla ameby – liniowo.

„Mechanizm, dzięki któremu ameba utrzymuje stałą jakość przybliżonego rozwiązania, czyli minimalną długość trasy, pozostaje zagadką" – pisze kierujący badaniem prof. Masashi Aono. Badacze mówią, że ograniczyli eksperyment do ośmiu „miast" wyłącznie z powodów technicznych: nie byli w stanie stworzyć wystarczająco dużego naczynia, aby pomieścić na nim setki czy tysiące kanalików. Ich zdaniem nie ma jednak żadnego powodu sądzić, że ameba nie byłaby w stanie obliczyć rozwiązania dla setek punktów. Żywy komputer nie jest co prawda tak szybki jak cyfrowy – kolonia przemieszcza się z prędkością zaledwie ok. 1 mm na sekundę. Jest jednak na pewno o wiele bardziej efektywny i przy odpowiednio dużej skali problemu nawet powolna ameba wyprzedziłaby wszystkie superkomputery świata.

Biotechnologia

Adamatzky przyszłość komputerów widzi w połączeniu tego, co najlepsze w świecie krzemu i w świecie białek. Maszyny inspirowane rozwiązaniami ze świata żywych istot – albo wręcz włączającymi żywe elementy w elektroniczne obwody. Twierdzi, że taka hybrydowa technologia przetwarzałaby informacje bardziej jak mózg niż jak komputer, ucząc się i nabywając doświadczeń drogą prób i błędów. „Uważamy, że badania nad komputerami opartymi na *Physarum* mogą doprowadzić do rewolucji w przemyśle komputerowym i bioelektronicznym" – mówi w rozmowie z Phys.org.

Stworzył już na ich podstawie detektory światła i kolorów, bramki logiczne przetwarzające informacje i przedstawiające wyniki za pomocą kolorów, czujniki chemiczne, a nawet tranzystory. Śluzowce sterowały ruchami robotów i generowały muzykę. Teraz laboratorium Adamatzky'ego, korzystając z unijnych funduszy, buduje prototyp procesora opartego na amebach.

Biokomputery są jeszcze w powijakach, ale naukowcy widzą przed nimi ogromne perspektywy. Zwłaszcza kiedy w grę wchodzą interakcje naszych własnych ciał z technologią. Szwajcarscy inżynierowie z ETH Zurich pracują już nad opartymi na ludzkich komórkach kalkulatorami, które mogą stać się częścią „inteligentnych implantów komórkowych". Żywych komputerów, które będą stale monitorowały stan naszych organizmów i likwidowały zagrożenia, np. reagując na wykrycie markerów nowotworowych produkcją białek zabijających komórki rakowe. Być może więc komputer przyszłości trzeba będzie nie tyle podpiąć do prądu, co po prostu nakarmić.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

TEKST ŁUKASZ LAMŻA | INFOGRAFIKA LECH MAZURCZYK

SZTUCZNA LUDZKA INTELIGENCJA

Pierwsi twórcy sztucznej inteligencji (AI) próbowali odtworzyć w komputerze sposób myślenia człowieka, pracowicie tłumacząc na język komputerowy to, co znaleźli w swoich umysłach. Oto niektórzy bohaterowie tej epoki, której symbolicznym końcem był artykuł Rodneya Brooksa z 1990 r.

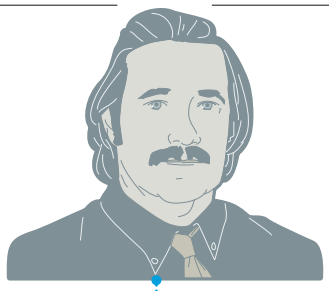

1938
Alan Turing
w swojej pracy doktorskiej, której promotorem był Alonzo Church, stwierdza, że każdą funkcję „efektywnie obliczalną” – tj. taką, którą da się obliczyć przy pomocy „procesu czysto mechanicznego” – będzie w stanie rozwiązać „komputer” (wtedy jeszcze: „uniwersalna maszyna obliczająca”, *universal computing machine*). Później proponuje się różne wersje tzw. tezy Churcha-Turinga, która w najbardziej obrazowej postaci brzmi: „Każdy problem, który można intuicyjnie uznać za obliczalny, może też zostać rozwiązany przez komputer”.

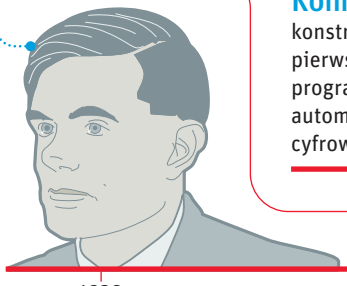

1941
Konrad Zuse
konstruuje Z3 – pierwszy programowalny, automatyczny, cyfrowy komputer.

1951
Marvin Minsky
pisze SNARC, pierwszą sieć neuronową, czyli algorytm naśladujący strukturą ludzki mózg, którego skuteczność wykuwa się w ogniu nauki, a nie wynika ze ślepego podążania za wymyślonym przez człowieka sposobem rozwiązania danego problemu.

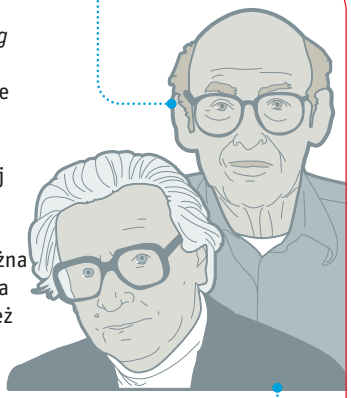

1951
Alan Turing
opisuje pierwszy **algorytm szachowy**, który rzeczywiście rozegrał partię z człowiekiem (przegrywając ją). Zasadnicza logika projektu Turinga nie uległa zmianie aż do początku XXI w. Komputer ocenia każdy możliwy ruch (oraz następne ruchy, zależnie od możliwości obliczeniowych), przypisując wagę liczbową różnego rodzaju czynnikom: ujemne punkty za stratę figury, dodatnie za zbicie figury przeciwnika; dodatkowe punkty za uzyskanie kontroli nad kolejnymi polami, za umieszczenie wież na otwartych kolumnach... itd. Komputer Deep Blue, który w 1996 r. pokonał ówczesnego mistrza świata, Garriego Kasparowa, oceniał już każdy ruch pod kątem 8000 tego typu aspektów.

1955
Christopher Strachey
napisał pierwszy program komputerowy grający w warcaby. Co ciekawe, zupełnie jak w przypadku szachów, dopiero w 1996 r. program warcabowy (Chinook) oficjalnie pokonał ludzkich arcymistrzów.

1955
Allen Newell i Herbert Simon
tworzą „Teoretyka logicznego” (*Logic Theorist*) – program komputerowy sprawdzający dowody matematyczne. Program ten dowiódł 38 z 52 początkowych twierdzeń ze słynnych „Principia Mathematica”, wykładających podstawy matematyki. Simon stwierdził niedługo później, że ich algorytm „rozwiązał odwieczny problem ciało/umysł, tłumacząc, w jaki sposób układ zbudowany z materii może wykazywać cechy umysłu”.

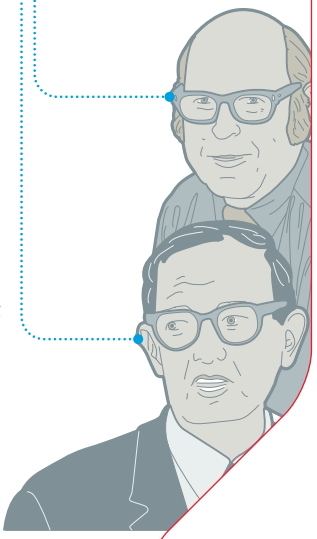

1956
Konferencja w Dartmouth
Byli na niej wszyscy najważniejsi wówczas teoretycy programowania, algorytmiki i sztucznej inteligencji, w tym Marvin Minsky, **Claude Shannon**, **John McCarthy**, **Ray Solomonoff**, Allen Newell i Herbert Simon. Konferencji przyświecała wizja, że „każdy aspekt uczenia lub dowolny inny przejaw inteligencji, który da się precyzyjnie opisać, może też zostać zasymulowany przez komputer”.

1930 1940 1950 1960

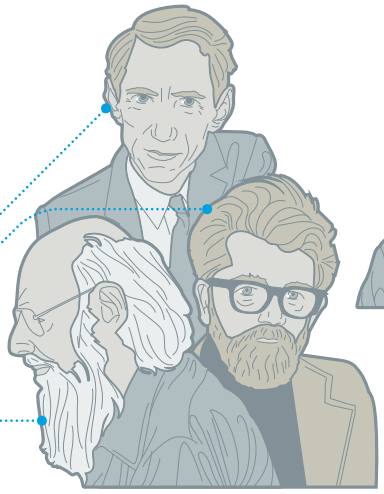

1964
Daniel Bobrow

tworzy program STUDENT, który potrafi rozwiązywać niektóre proste problemy matematyczne wyrażone w języku naturalnym, np. (to przykład z jego pracy doktorskiej, przetłumaczony na język polski): „Jeżeli liczba klientów, jaką ma Tom, to dwukrotność kwadratu z 20% liczby ogłoszeń, które opublikował, a liczba tych ogłoszeń to 45, to ilu klientów ma Tom?”. Przetworzenie tego typu zdania do postaci konkretnych operacji matematycznych do dziś sprawia komputerom problem. Ludziom zresztą też.

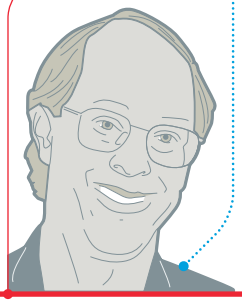

1970
Terry Winograd

publikuje SHRDLU – program pozwalający na komunikację z komputerem przy użyciu języka naturalnego na temat wirtualnego świata wypełnionego figurami geometrycznymi. Do dziś nie powstał algorytm komputerowy, z którym można normalnie porozmawiać, choć corocznie wydaje się miliony dolary na nagrody w konkursach na taki program. Oto przykładowa rozmowa **człowieka** z **programem SHRDLU:**

Podnieś czerwony klocek.
OK. [robi to]
Co jest w pudełku?
Niebieska piramida i niebieski klocek.
Czy piramida może stać na klocku?
Tak.
Czy piramida może stać na piramidzie?
Nie wiem.
Połóż piramidę na piramidzie.
Nie da się.

1970
Marvin Minsky

w wywiadzie dla czasopisma „Life” przewiduje, że „w ciągu 3-8 lat będziemy mieli maszynę o inteligencji ogólnej przeciętnego dorosłego człowieka”.

1977
Will Crowther

publikuje „Colossal Cave Adventure”, grę komputerową inspirowaną SHRDLU Winograda (zob. obok). Użytkownik porozumiewa się z komputerem przy pomocy prostych komend i otrzymuje w odpowiedzi opis miejsc i wydarzeń. Na przykład:

Stoisz na końcu drogi, przy niewielkim ceglanym budynku. Wokół ciebie znajduje się las.
> idź na południe.
Jesteś w leśnym wąwozie. Po skalistym podłożu płynie górski strumyk.
człowiek komputer
> podnieś kamień
Masz w kieszeni: kamień.
> idź na zachód
Wpadłeś do dołu i połamałeś sobie wszystkie kości! Czy chcesz zacząć od początku?

1984
Douglas Lenat

tworzy Cyc (wym. *sajk*) – „maszynę do rozumowania” karmioną tysiącami faktoidów na temat świata, takimi jak „Ptaki latają”, „Paryż jest stolicą Francji” albo „Woda jest mokra”. Po dekadach tytanicznych wysiłków do pracy dołączyła społeczność internetu. W 2004 r. OpenCyc 4.0 miał już w swojej bazie danych 239 tysięcy pojęć i ponad 2 miliony faktów, w tym również nieformalne, nieostre twierdzenia na temat życia codziennego, np. „Ludzie często nie lubią, kiedy ich się budzi”. Cyc wciąż nie rozumuje jak człowiek.

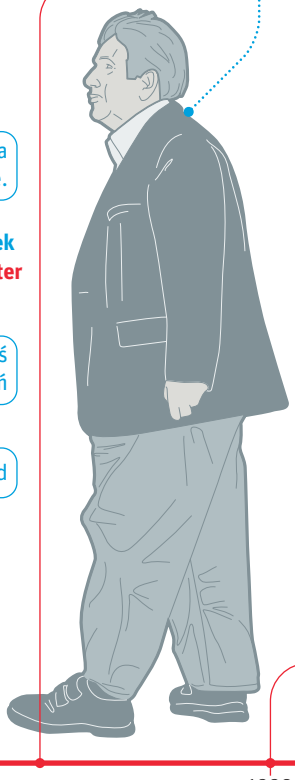

1990
Rodney Brooks

publikuje artykuł pt. „Elephants Don’t Play Chess” („Słonie nie grają w szachy”). Atakuje w nim model konstruowania AI oparty na ustalonych symbolach i sztywnych regułach operowania nimi. Tekst ten jest często cytowany w kontekście tzw. poznania ucieleśnionego (zgodnie z którym do myślenia potrzebne jest ciało, zwłaszcza zmysły), ale też powszechnego dziś sposobu tworzenia AI poprzez samodzielne („nienadzorowane”) uczenie maszynowe oparte na dużych zbiorach danych. Programy takie nie mają już bazy danych typu Cyc (zob. obok), w której jakiś człowiek umieścił zdanie „Krzesła mają nogi i płaską powierzchnię”, tylko same docierają do własnej „definicji” krzesła na podstawie dziesiątków tysięcy zdjęć rzeczywistych krzeseł. Dziś tak właśnie powstają najbardziej inteligentne algorytmy: do rozpoznawania obrazu, tłumaczenia tekstów, gry w szachy.

1970 1980 1990

Dowody z obwodów

TOMASZ MILLER

Komputery – zgodnie ze swoją nazwą – zostały stworzone do komputacji, czyli obliczeń. Czemu więc już dawno nie wyparły matematyków z krwi i kości?

To oczywiste! – ktoś odpowie. – W matematyce nie chodzi przecież jedynie o liczby i rachunki. Czy w muzyce chodzi wyłącznie o nuty? Czy ma sens mówienie, że architekci zajmują się cegłami? Matematyka to nauka o abstrakcyjnych, formalnych strukturach, a systemy liczbowe to li tylko przykłady takich struktur". Wszystko prawda. Sednem pracy matematyka nie są równania, które trzeba rozwiązać, lecz twierdzenia, które trzeba udowodnić.

Czymże jednak jest dowód twierdzenia? To sposób przejścia od wyjściowych założeń do końcowej tezy w pewnej skończonej liczbie kroków, polegających na stosowaniu przyjętych aksjomatów, praw logiki oraz innych, wcześniej udowodnionych twierdzeń. Wychodząc od tego spostrzeżenia, wybitny niemiecki matematyk David Hilbert stwierdził na początku XX w., że matematyka jest swego rodzaju grą, w której pionkami są symbole, a regułami – logika i aksjomaty. Choć dziś wiemy, że wizja Hilberta nie jest prawdziwa w odniesieniu do całej matematyki (więcej na ten temat za chwilę), to wciąż można zasadnie pytać, czy da się wyszkolić sztuczną inteligencję, by odkrywała nowe prawdy matematyczne, tak jak potrafi odkrywać nowe strategie w szachach albo w go. Pełnej odpowiedzi jak dotąd nie znamy. Ale nawet to, co już wiemy, jest fascynujące.

Obliczenia wspomagane

Zastosowanie komputerów w dowodzeniu twierdzeń matematycznych dzieli się na kilka typów. Istnieją tzw. dowody wspomagane komputerowo (*computer-assisted proofs*), polegające na tym, że specjalnie zaprojektowany algorytm wykonuje obliczeniową czarną robotę, której nie podołałaby nawet armia rachmistrzów. Najbardziej znanym reprezentantem tej grupy jest dowód tzw. twierdzenia o czterech barwach z roku 1976, które w uproszczeniu głosi, że każdą mapę polityczną da się pokolorować przy użyciu zaledwie czterech kolorów tak, by sąsiadujące państwa były różnokolorowe. Innym przykładem jest dowód tzw. hipotezy Keplera dotyczącej optymalnego upakowania kul w przestrzeni, przeprowadzony w 1998 r., niemal 400 lat po jej postawieniu przez słynnego astronoma.

Innym zastosowaniem jest zautomatyzowane sprawdzanie dowodów (*automated proof checking*). Wymaga ono zapisania badanego dowodu w specjalnym, sformalizowanym języku, którym posługuje się komputerowy „kontroler jakości", tzw. *proof checker*. Ten ostatni zajmuje się już całą resztą, wynajdując ewentualne luki lub logiczne potknięcia. Choć zdawanie się na werdykt automatów w kwestii poprawności rozumowania nie jest obecnie powszechną praktyką, było ono kluczowe w ostatecznym zaakceptowaniu dwóch wspomnianych wyżej dowodów wspomaganych komputerowo.

Ale dlaczego właściwie zautomatyzowana weryfikacja dowodów nie jest powszechną praktyką w pracy matematyków. Przecież oszczędziłoby to mnóstwo

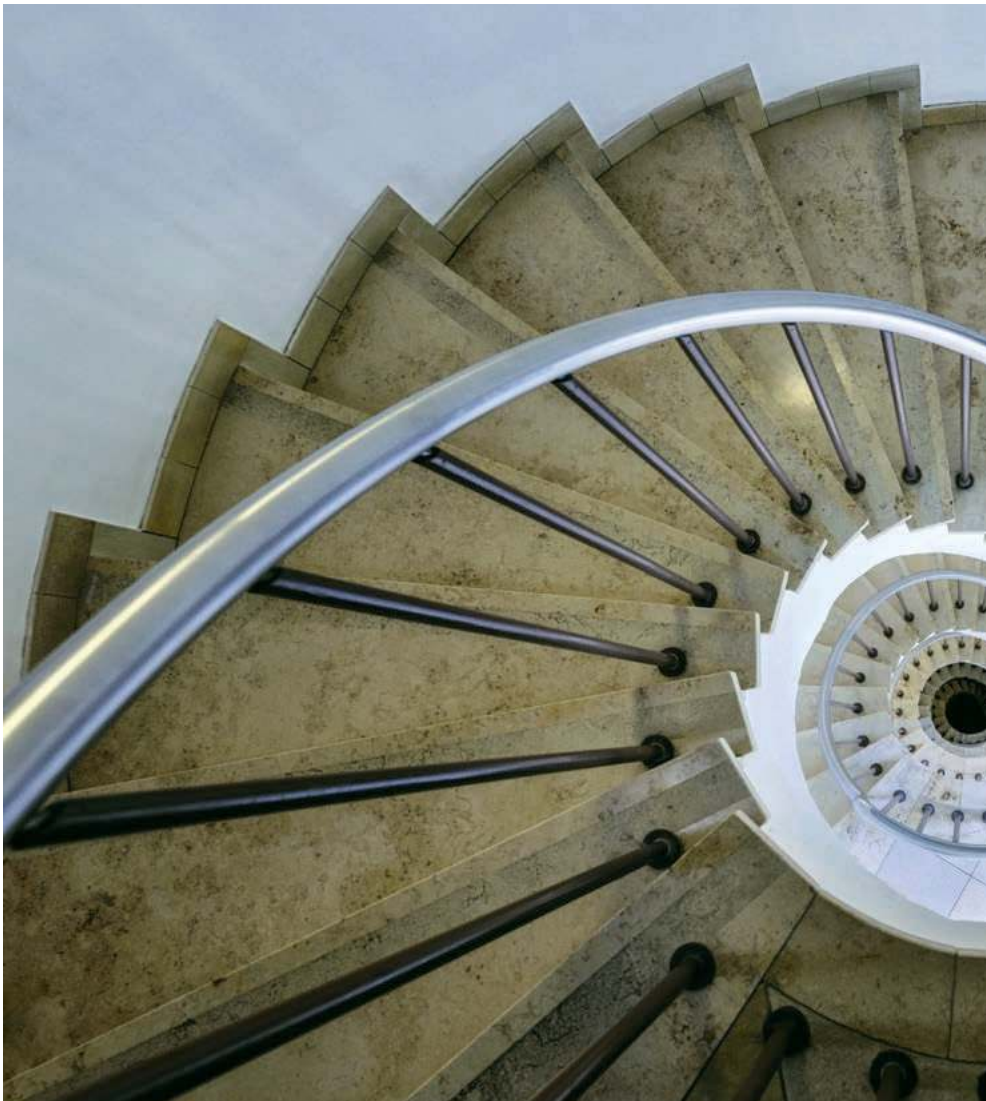

czasu (nie wspominając o nerwach) autorom i recenzentom artykułów naukowych! Problemem okazuje się niestety przekład ludzkiej matematycznej prozy na zapis zrozumiały dla proof checkera, który bardziej przypomina gęsty, programistyczny kod niż język naturalny.

Najdalej w dziedzinie tłumaczenia żargonu matematyków na język maszyn dotarł projekt Mizar, zapoczątkowany ponad 40 lat temu przez nieżyjącego już dr. Andrzeja Trybulca i wciąż rozwijany na Uniwersytecie w Białymstoku (we współpracy z ośrodkami kanadyjskim i japońskim), który może pochwalić się korpusem niemal 60 tys. sformalizowanych i automatycznie sprawdzonych dowodów twierdzeń.

Biblioteka Matematyczna Mizara (Mizar Mathematical Library, MML), choć imponująca, pokrywa jednak stosunkowo niewielką część matematyki i to głównie na poziomie studiów licencjackich. Przy obecnym tempie prac dotarcie w pobliże frontu matematycznych badań wymagać będzie wielu dekad wytężonej transkrypcji.

MAX ALEXANDER / EAST NEWS

SIR ROGER PENROSE: umysł matematyka zasadniczo nie daje się zastąpić algorytmem – ten ostatni, choćby nawet taśmowo produkował nowe twierdzenia wraz z dowodami, będzie bezradny w obliczu zdań typu gödlowskiego.
Na zdjęciu: Sir Roger Penrose, 2010 r.

Twierdzenia na żądanie

Rozwiązaniem – istnym *deus ex machina* – byłoby włączenie do Mizara algorytmów, które nie tylko sprawdzają, ale przede wszystkim wynajdują dowody znanych, a najlepiej również nieznanych twierdzeń. Zajmuje się tym dziedzina badań nad sztuczną inteligencją znana jako zautomatyzowane dowodzenie twierdzeń (*automated theorem proving*, ATP), która odniosła już pierwsze sukcesy. Przykładowo, obecnie ok. 59 proc. rezultatów figurujących w MML udało się niezależnie udowodnić za pomocą różnych technik AI (od niedawna zajmuje się tym m.in. firma DeepMind, której program AlphaGo trzy lata temu osiągnął poziom mistrzowski w go). Z kolei już w 1996 r. metodami ATP udowodniono tzw. hipotezę Robbinsa – dość ezoteryczny problem z teorii tzw. algebr Boole'a, z którym od 60 lat bezskutecznie zmagało się wielu znakomitych matematyków i logików, w tym sam Alfred Tarski.

Co ciekawe, algorytmy ATP wykroczyły poza czystą matematykę – z ich usług korzysta się przy projektowaniu procesorów oraz testowaniu i optymalizacji oprogramowania. Jednak na chyba najbardziej nietypowy pomysł wpadł szkocki start-up TheoryMine, założony przez pracowników Uniwersytetu Edynburskiego. Ich algorytm generuje na żądanie nowe twierdzenie z algebry abstrakcyjnej, które klient może nazwać wybranym przez siebie imieniem, otrzymując gustowny elektroniczny certyfikat – to wszystko w cenie 15 funtów. W odróżnieniu od podobnych ofert nadawania imion gwiazdom lub kupna działki na Marsie, TheoryMine załącza rygorystyczny dowód, że nowe twierdzenie jest prawdziwe.

Ale żarty na bok. Czy postępy sztucznej inteligencji na polu ATP oraz w dziedzinie przetwarzania języka naturalnego (który pozwoliłby algorytmom uczyć się bezpośrednio z podręczników i artykułów, z pominięciem MML i podobnych baz) doprowadzą w przyszłości do zastąpienia białkowych matematyków krzemowymi? Zdania na ten temat są podzielone.

Jednymi z czołowych wątpiących w nadejście cyfrowych Gaussów i Banachów są filozof John Lucas oraz fizyk matematyczny Roger Penrose. Uczeni ci zwracają uwagę na pewne fundamentalne ograniczenia wszelkich systemów formalnych i bazujących na nich algorytmów, odkryte w 1930 r. przez logika Kurta Gödla. Udowodnił on (*sic*!), iż w każdym takim systemie albo tkwią sprzeczności, albo zawiera on zdania prawdziwe, ale niedające się w jego ramach udowodnić. Więcej nawet, Gödlowi udało się skonstruować takie zawiłe, samoodnoszące się zdanie, którego nie da się logicznie wywieść z aksjomatów systemu, ale którego prawdziwość można dostrzec, pojmując jego znaczenie. To właśnie w ten sposób upadła Hilbertowska wizja matematyki jako czysto syntaktycznej gry symboli pozbawionych treści. I to właśnie dlatego, zgodnie z argumentem Lucasa-Penrose'a, umysł matematyka zasadniczo nie daje się zastąpić algorytmem – ten ostatni, choćby nawet taśmowo produkował nowe twierdzenia wraz z dowodami, będzie bezradny w obliczu zdań typu gödlowskiego.

Z drugiej strony, zdania tego typu niezmiernie rzadko pojawiają się w praktyce badawczej. Nawet jeśli leżą poza zasięgiem przyszłej AI, pracy dla niej nie zabraknie. Co do tego, że taka AI powstanie, nie ma wątpliwości Timothy Gowers, matematyk i zdobywca Medalu Fieldsa, który obecnie pracuje nad nauczeniem algorytmów ATP języka naturalnego, w którym prezentowałyby swoje wyniki. Zapytany w 2013 r., kiedy spodziewa się nadejścia „sztucznych matematyków" dorównujących ludziom, oszacował, że na 50 proc. nastąpi to w ciągu 40 lat, a na 90 proc. do końca wieku. Gowers dodaje przy tym, że „sztuczni uczeni" reprezentujący inne nauki ścisłe i inżynieryjne nadejdą wkrótce potem.

Czy jako matematyk obawiam się takiej przyszłości? Raczej nie, choć niewątpliwie sposób uprawiania nauki uległby wówczas głębokim przeobrażeniom. Przeciwnie, byłbym podekscytowany mogąc, niczym w „Golemie XIV" Lema, słuchać wykładów sztucznej superinteligencji na temat jej nowych, głębokich wyników matematycznych.

Zakładając oczywiście, że w odróżnieniu od Lemowskiego superkomputera taka AI widziałaby we mnie godnego słuchacza.

© TOMASZ MILLER

W dżungli wariantów

MICHAŁ KRASENKOW, ARCYMISTRZ:

Niektórzy mówią, że komputery odarły szachy ze sztuki. Ale dzięki nim odkrywamy prawdziwe bogactwo pozornie prostych pozycji.

BARTEK KUCHARZYK, ŁUKASZ KWIATEK: Czym właściwie są szachy? Sportem, dziedziną nauki, sztuką?

GM MICHAŁ KRASENKOW: Wszystkim tym po trochu. Nauką są w tym sensie, że dobra gra w szachy wymaga znajomości różnych strategii i reguł myślenia, podejmowania decyzji. Sztuką są wtedy, gdy na szachownicy dzieje się coś niespodziewanego, ktoś wykonuje ruch, którego w innych warunkach w ogóle by nie rozważał – np. poświęca figurę, dzięki czemu niespodziewanie zdobywa lepszą pozycję.

Niektórzy twierdzą, że komputery odarły szachy ze sztuki, bo one analizują wszystkie ruchy, niezależnie od tego, jak dziwaczne mogłyby się wydawać na pierwszy rzut oka. Nie dzielą ruchów na „zwyczajne" i „artystyczne" – dla nich każdy ruch należy do tej samej kategorii. Naszą „ludzką" naukę też trochę zdyskredytowały, bo możemy przestudiować całą literaturę szachową, wszystkie opisane pozycje, a z komputerem dzisiaj i tak żaden człowiek nie wygra. Dlatego zmienia się podejście do szachów – coraz bardziej są traktowane jako sport, choć były nim oczywiście zawsze.

Skoncentrujmy się na początku na umyśle szachisty. Jak on działa?

W myśleniu szachisty można wyróżnić dwa elementy. Pierwszy: planowanie, czyli określenie, do czego chcemy dążyć w danej pozycji, i znalezienie sposobu na osiągnięcie celu. To rodzaj myślenia strategicznego. Drugim elementem jest liczenie wariantów – znalezienie konkretnych ruchów i przewidywanie najbliższej przyszłości.

W każdej pozycji szachista widzi określone posunięcia, które on i jego przeciwnik mogą wykonać – tzw. ruchy kandydaty. Koncentrujemy się na tych, które prowadzą do realizacji naszego planu, ale nie od razu da się je wszystkie dostrzec. Na pomoc przychodzą wyobraźnia i doświadczenie. Niektóre możliwości w danej pozycji znamy, bo już widzieliśmy podobne sytuacje na szachownicy.

PRZEMYSŁAW JAHR / WIKIMEDIA COMMONS

GM MICHAŁ KRASENKOW jest arcymistrzem szachowym (ang. *Grandmaster* – stąd tradycyjny skrót GM), wieloletnim reprezentantem Polski i trenerem, z pochodzenia Rosjaninem. Autor kilku książek poświęconych szachom. W 2007 r. osiągnął najwyższą w karierze pozycję w rankingu FIDE – był wówczas dziesiątym graczem na świecie.

Z ruchów kandydatów budujemy coś, co nazywamy drzewem wariantów. Zaczyna się od aktualnej pozycji na szachownicy, a potem rozważamy kolejne pozycje po wykonaniu określonych posunięć. Oczywiście z każdym kolejnym krokiem w analizie nasze drzewo rozgałęzia się coraz bardziej. Na końcu każdego wariantu jest pozycja, którą trzeba ocenić.

Jak duże mogą być drzewa wariantów?

Takie analizy mogą mieć trojaką postać. „Goły pień" albo wariant forsowny – gdy każdy następny ruch obu zawodników jest właściwie wymuszony, a ewentualne alternatywne posunięcia prowadzą do oczywistych konsekwencji. Doświadczony szachista może przeliczyć taki wariant na kilkanaście posunięć do przodu.

Drugi przypadek to „krzaki". W wyjściowej pozycji jest dużo możliwych kontynuacji i już po pierwszym czy drugim ruchu pojawiają się kolejne możliwości. Nie da się wtedy zbyt daleko przeliczyć wariantów, ich liczba robi się zbyt duża.

Najbardziej skomplikowany przypadek to „dżungla". Warianty są dość długie – nie sposób ich przeanalizować zbyt głęboko – i jest ich bardzo dużo. W takiej sytuacji trzeba jak najszybciej oceniać powstające pozycje i eliminować najmniej obiecujące warianty. Tutaj właśnie pomaga doszukiwanie się analogii do innych, przeliczonych już pozycji albo znanych rozwiązań podobnych sytuacji.

Czyli w odnajdywaniu się w dżungli wariantów dużą rolę odgrywają czynniki związane z doświadczeniem – wiedza szachowa, pamięć, rozpoznawanie wzorców. A gdzie jest miejsce na intuicję, talent czy nawet geniusz?

Często nie jesteśmy świadomi, w jaki sposób dochodzimy do najlepszego rozwiązania. Nie wiemy do końca, co się dzieje w naszej głowie.

Intuicja pomaga ocenić, nawet bez dalekiego liczenia wariantów, który ruch będzie najlepszy. Czasami mówi się, że pierwszy ruch, który zawodnik widzi w danej pozycji, jest tym właściwym. Niestety nie zawsze – intuicja czasem zawodzi i nie sposób obejść się bez liczenia wariantów.

Doświadczenie pomaga rozwinąć intuicję. Pozycje na szachownicy, nie licząc samego początku partii, są niepowtarzalne. Ale pewne schematy, związki między figurami, to rzeczy, które w jakiejś części się powtarzają pomiędzy poszczególnymi partiami. Istnieją standardowe kombinacje, podobne w różnych pozycjach. Ale czasami takie analogie nie są oczywiste.

Istnieją uniwersalne zasady oceny pozycji?

Bierzemy pod uwagę wiele czynników. Położenie figur, różne słabości – np. pionki

oderwane od innych pionków, pola kontrolowane przez przeciwnika i ograniczające ruchy naszych figur. Nie mówiąc już o przewadze materialnej, czyli większej liczbie lub sile bierek (pionków i figur).

Najważniejsze jest określenie, które z tych czynników są decydujące. Oczywiście wszyscy się mylą, nawet wybitni szachiści błędnie określają, które z czynników pozycji są ważne. Ale im większe doświadczenie i intuicja, tym skuteczniejsza ocena pozycji. Od tej oceny zależy plan gry. Jeśli mamy przewagę, musimy atakować, realizować plan aktywny. Jeśli przeciwnik ma przewagę, to musimy przeciwdziałać jego planom.

Oczywiście oceniać musimy nie tylko pozycję, która stoi na szachownicy, ale też wszystkie pozycje, które powstają w trakcie liczenia wariantów. Tutaj pojawia się duża przestrzeń dla umiejętności szachisty – i jeszcze większa do błędów.

O tym, jak plastyczna jest wyobraźnia szachowych arcymistrzów, możemy się przekonać, oglądając ich partie rozgrywane na ślepo, bez szachownicy. Najlepszym zdarza się grać w ten sposób symultanicznie z kilkoma przeciwnikami naraz. Jakim cudem?

W każdej partii szachista gra w pewnym sensie na ślepo – wtedy, gdy liczy warianty. Figury przestawia nie na szachownicy, lecz w wyobraźni. Aktualnie oficjalny rekord takiej gry – zaliczony po spełnieniu pewnych ustalonych warunków – należy do amerykańskiego szachisty pochodzącego z Uzbekistanu, Timura Gariejewa, który grał z 48 przeciwnikami jednocześnie. Doświadczony szachista nie ma zwykle problemu, żeby grać kilka partii jednocześnie, ale kilkadziesiąt – to jest wielki wyczyn.

Taka gra wymaga świetnej pamięci, ale nie chodzi tylko o jej „pojemność", lecz sprawność działania. Szachista nie zapamiętuje pozycji „mechanicznie". W każdej pozycji pojawiają się pewne relacje między figurami, określone związki figur. Nie zapamiętujemy tablicy ze współrzędnymi figur, tylko raczej cały krajobraz pojawiający się na szachownicy.

Aktualny mistrz świata Magnus Carlsen stwierdził po jednym z takich pokazowych występów, że kluczem do sukcesu jest „trzymanie w głowie jednej partii naraz". Ciekawe, gdzie trzyma wtedy pozostałe.

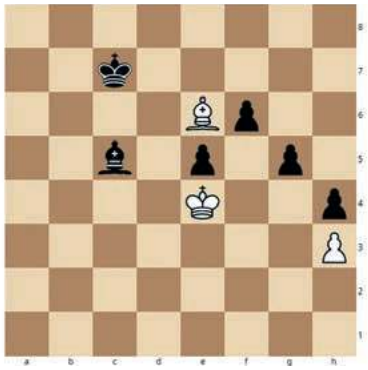

TWIERDZA 1. Ruch czarnych. Mimo przewagi aż trzech pionków, czarne nigdy nie będą w stanie sforsować blokady białych.

TWIERDZA 2. Pozycja osiągnięta po 47. ruchu w partii Walerij Sałow – Wiktor Korcznoj z 1997 r. Szachowany biały król nie jest zagrożony matem, a biała wieża uniemożliwia czarnemu królowi przekroczenie 5 linii. Po kilkunastu dalszych ruchach zawodnicy zgodzili się na remis.

GENIUSZ ALPHAZERO. Zamiast uciec atakowanym przez czarnego króla i czarnego hetmana skoczkiem z H6 na G4, białe przesuwają wieżę na E1. Stockfish (czarne) zbija skoczka królem, osiągając znaczną przewagę materialną, ale AlphaZero kontynuuje atak i po kilkudziesięciu ruchach wygrywa.

Pewnie gdzieś w podświadomości. Ale zapamiętywanie wielu partii to nie jest w szachach nic niezwykłego.

Pan jak wiele swoich pamięta?

Teraz już niewielki odsetek. Z wiekiem te umiejętności zanikają. Czasami z zaskoczeniem odkrywam, że kiedyś grałem taką czy inną partię i miałem daną pozycję na szachownicy. Młodzież na pewno pamięta dużo więcej.

Na ważnych turniejach zaczął Pan grać w latach 70. Jaką rolę wówczas odgrywały komputery i jak to się zmieniało w kolejnych latach?

Wtedy to była ciekawostka. Zasady działania programów komputerowych grających w szachy opracował Claude Shannon, twórca informatyki, w połowie XX w. Zdawał sobie sprawę, że żaden komputer nie będzie w stanie przeanalizować wszystkich możliwych ruchów we wszystkich możliwych pozycjach. Tego jest chyba aż 10 do potęgi 120. Shannon opracował więc dwa podejścia do programowania. Pierwsze to brutalna siła (*brute force*). Trzeba rozpatrzyć wszystkie możliwe warianty na określoną głębokość i ocenić powstające pozycje, według jakichś zasad. Na końcu wybrać ten, który prowadzi do najkorzystniejszej pozycji.

Druga możliwość to selekcja wariantów, które poddajemy analizie. Michaił Botwinnik, były mistrz świata, próbował stworzyć program oparty na tej zasadzie. Przekonał władze Związku Radzieckiego, żeby sfinansowały jego projekt, ale nic z tego nie wyszło. Program nie zagrał żadnej partii praktycznej. Podstawowym sposobem aż do współczesnych czasów była więc brutalna siła.

Rozwój informatyki i elektroniki, zwłaszcza w latach 90., przyczynił się do tego, że komputery zaczęły grać coraz lepiej. No i w 1997 r. komputer pokonał w całym meczu Garriego Kasparowa, panującego mistrza świata. Jeszcze przez kilka lat czołowi arcymistrzowie mogli rywalizować z komputerami, ale w połowie ubiegłej dekady komputery ostatecznie zwyciężyły. Teraz mecze komputerów przeciwko ludziom nie mają sensu. Komputery, dzięki brutalnej sile, mogą rozpatrzyć niesamowitą liczbę wariantów i znaleźć najlepszy.

Oczywiście pojawiają się pewne modyfikacje tej metody działania. Dzisiaj głębokość analizy nie jest jednakowa we wszystkich kierunkach. Komputery określają ↦

↦ kluczowe, najbardziej perspektywiczne kierunki analizy, a pozostałe, które nie wydają się dobre, rozpatrują bardziej pobieżnie. To jest jakiś krok ku idei selekcji wariantów. Ale główną zasadą pozostaje ciągle brutalna siła.

Zagrał Pan kiedyś oficjalny mecz z komputerem?

Raz, w 1991 r. Wtedy jeszcze programy były słabe. Udało mi się dość łatwo wygrać. Istniała tzw. strategia antykomputerowa. Polegała na stworzeniu zamkniętej pozycji, w której większe znaczenie ma myślenie strategiczne niż liczenie wariantów. I tamte komputery sobie z tym nie radziły. Nie mogły przeliczyć wariantów wystarczająco daleko, żeby to była namiastka myślenia strategicznego. Ale wkrótce się to zmieniło. Komputery nie znały zasad myślenia strategicznego, ale mogły na tyle daleko przeliczać warianty, że właściwie to się do tego sprowadzało.

Czy jeszcze zostało coś w szachach, z czym klasyczne komputery sobie nie radzą?

Zdarzają się pozycje, tzw. twierdze, w których nawet duża przewaga materialna nie wystarczy do wygrania – i komputery mogą ją wtedy błędnie oceniać jako przewagę jednej strony, podczas gdy w praktyce jest to remis. Kibiców, którzy oglądają partię i śledzą oceny komputerów, często wprowadza to w błąd.

Jest jeszcze inny rodzaj programów szachowych – takie, które analizują pozycje z małą liczbą figur i mówią, czy to wygrana, czy remis. Działają przez tzw. analizę wsteczną. Zaczynają od pozycji końcowych – matowych albo remisowych – i rozważają ruchy wstecz, do realnych pozycji. W tej chwili przeanalizowane zostały wszystkie pozycje z siedmioma albo mniej bierkami na szachownicy. Dla nich znane są dokładne oceny, która pozycja jest wygrana, a która remisowa. To pomaga m.in. w ocenianiu niektórych rodzajów „twierdz".

Zwiększenie liczby bierek powoduje znaczny przyrost potrzebnego czasu na analizowanie wszystkich pozycji. Przy sześciu bierkach poszło sprawnie, ale już analiza przy siedmiu wymagała kilkunastu lat nieprzerwanej pracy mocnych komputerów.

Tradycyjne programy oceniają pozycje na tych samych zasadach jak ludzie?

AlphaZero gra bardziej po ludzku. Jest bardziej skłonna do poświęcania figur niż tradycyjne programy szachowe.

Różne programy oceniają trochę inaczej. Przykładają większą wagę do różnych czynników pozycji. Jednak te zasady oceny opracowali ludzie, zwykle bardzo dobrzy szachiści. Autorem jednego z najbardziej znanych programów szachowych był mistrz międzynarodowy Vasik Rajlich, mąż naszej szachistki Iwety Radziewicz. Stworzył najlepszy program poprzedniej dekady – Rybkę. Niestety, ten program został zdyskwalifikowany z turniejów, ponieważ powielał pewne rozwiązania z innych programów. Nie do końca wiem, na czym polegał plagiat, skoro Rybka była znacznie lepsza i wniosła wkład w rozwój dziedziny.

Ostatnio postęp w technice komputerowej trochę zwolnił. Nie ma możliwości znacznego podwyższenia poziomu klasycznych programów. Można trochę ulepszać algorytmy liczenia wariantów i oceny pozycji, ale taka klasyczna metoda doszła do ściany. Wydawało się, że o ile nie nastąpi jakaś rewolucja w informatyce – nie pojawi się jakaś nowa generacja komputerów, np. kwantowych – to nic nowego nas nie czeka.

Aż nagle na scenę wchodzi AlphaZero.

To już przykład sztucznej inteligencji. Program, który nauczył się gry samodzielnie, na podstawie dużej liczby partii rozegranych z samym sobą. Ta metoda nie odzwierciedla dokładnie tego, jak uczy się człowiek, ale jest już do tego zbliżona.

Komentatorzy, którzy obserwowali mecz AlphaZero ze Stockfishem, czyli topowym tradycyjnym programem szachowym, mówili, że AlphaZero gra bardziej „po ludzku". Jest zdolna do poświęcania materiału, czyli musi oceniać pozycje inaczej niż klasyczne programy.

I doszła do tego sama – zasady oceny pozycji nie zostały jej wgrane przez programistów.

Mało tego. Klasyczne programy dysponują biblioteką debiutów. Nie analizują pierwszych posunięć, tylko korzystają z zapamiętanych najlepszych rozwiązań. AlphaZero zaczęła rzeczywiście od zera – bez żadnej wiedzy szachowej. Co ciekawe, wypracowała takie same debiuty jak te, które rozgrywają ludzie. W najsłynniejszej partii ze Stockfishem AlphaZero rozegrała białymi bardzo popularny dzisiaj wariant obrony hetmańsko-indyjskiej. W 19. posunięciu poświęciła figurę, podczas gdy żaden klasyczny program nie zalecał takiego ruchu. Okazało się jednak, że osiągnięta pozycja jest dla białych korzystna i AlphaZero spokojnie wygrała partię. Tak mógłby zagrać człowiek, a nie klasyczny program komputerowy.

Nie wiemy jednak, w jakim kierunku szachy komputerowe się rozwiną. Niektórzy zarzucali twórcom AlphaZero, że jej mecz ze Stockfishem był ustawiony, bo Stockfish korzystał z mniej wydajnego sprzętu. Niedawno LeelaChessZero – inna sztuczna inteligencja, oparta na zasadach działania AlphaZero, ale już przystosowana do domowych zastosowań – przegrała mecz ze Stockfishem.

Nie wyobraża Pan sobie, żeby narodził się taki geniusz, który pokona jeszcze kiedyś sztuczną inteligencję?

Mamy zbyt ograniczone możliwości. Nie możemy podnosić takich ciężarów jak dźwigi ani pobiec szybciej od samochodu. W szachach komputery też nam już uciekły na dobre.

Jak Pan, arcymistrz, się z tym czuje?

Żeby oszczędzić sobie złych emocji, nie grywam z komputerami. A mówiąc poważnie – nie mam z tym problemów. Program szachowy gra na innych zasadach. Zwycięża dzięki brutalnej sile i mocy obliczeniowej. Odbieram to spokojnie. A nawet z entuzjazmem. Gdy zacząłem używać komputerów do przygotowania, m.in. analizy wariantów debiutowych, byłem zafascynowany tym, jakie fantastyczne możliwości znajduje komputer w niby prostych pozycjach. Dzięki komputerom odkrywamy prawdziwe bogactwo różnych wariantów.

AlphaZero nauczyła nas czegoś konkretnego? Wielki Bobby Fischer twierdził, że najlepszym otwarciem jest ruch pionkiem na E4. AlphaZero gra tak rzadko.

Możemy dzięki niej uzyskać wiedzę o konkretnych wariantach. Ale tego, jak

ma szachista myśleć, sztuczna inteligencja nam nie podpowie. Komputery myślą w inny sposób. W grze między ludźmi znaczenie ma psychologia. Zmuszanie do błędów, zastawianie pułapek. To zupełnie inna gra od tego, co prezentują komputery. One nie mają uczuć. Jeśli popełniają błędy, to zupełnie innego rodzaju niż ludzie.

A jak pod wpływem komputerów zmieniła się rola teoretyka szachowego i trenera? Pisanie książek, analizowanie konkretnych debiutów ma jeszcze sens?

Rola teoretyka się zmienia. Komputery dostarczają nam olbrzymiej ilości informacji, której nie jesteśmy w stanie ogarnąć. Trzeba je uporządkować. Czasami komputer podpowiada kilka równorzędnych ruchów, ale ludzie inaczej ocenią powstałe pozycje. Czasem bardziej perspektywiczny nie jest optymalny wariant w ocenie komputera, ale taki, który może zmusić przeciwnika do błędu. Ludzki czynnik w teorii szachów w dalszym ciągu istnieje.

W pracy trenerskiej jest bardzo podobnie. Po pierwsze, trzeba pamiętać, że wszyscy zawodnicy dysponują komputerami i najlepsze rozwiązania mogą znać. Trzeba więc starać się znaleźć taki wariant, który zaskoczy przeciwnika, zmusi go do samodzielnej gry jak najszybciej.

Zawodników trzeba uczyć powściągliwości do ocen komputerów. One nie są jedyną wyrocznią w szachach. Dzisiaj młodzież jest uzależniona od komputerów i szachiści nie stanowią tutaj wyjątku.

Pamiętam sytuację z pewnego turnieju drużynowego. Młody szachista – ale już arcymistrz – na zebraniu zespołu po zakończonym meczu analizował swoją przegraną partię z kapitanem. I powiedział coś takiego: powinienem wykonać ten ruch. Kapitan, arcymistrz starej szkoły, pyta go więc: a dlaczego właściwie ten? Ten młody chłopak nawet nie zrozumiał pytania. Jak to dlaczego? Przecież komputer tak podpowiadał.

Mimo dostępności komputerów – i ze względu na nią – ciągle musimy uczyć zawodników myśleć po ludzku.

©℗ Rozmawiali BARTEK KUCHARZYK I ŁUKASZ KWIATEK

ZAPPA.COM

To nie jest prawdziwe nagranie z 1984 r. Na stronie zappa.com wirtualna podobizna Franka Zappy mówi dziś to, co powiedział wówczas: „Jestem tym, który lubi robić to, co robi...". 19 kwietnia br. w Nowym Jorku nastąpi premiera serii koncertów „Dziwaczny świat Franka Zappy" z udziałem hologramu Zappy, stworzonego na podstawie nakręconych przez niego filmów.

Prawdziwe kłamstwa

AGATA KAŹMIERSKA

Sztuczna inteligencja zaczyna generować obrazy, nagrania i teksty łudząco podobne do tego, co tworzą ludzie. Po epoce postprawdy stanęliśmy na progu postrzeczywistości.

Przełomowy pomysł narodził się w barze w Montrealu, dokąd Ian Goodfellow poszedł na piwo ze znajomymi z uczelni. Rozmawiali o programach, które mogłyby samodzielnie tworzyć zdjęcia. Wprawdzie część badaczy używała już wtedy sieci neuronowych jako modeli generatywnych, ale wyniki nie były zachęcające. Twarze były nieostre albo brakowało im uszu. Znajomi Goodfellowa planowali wykorzystanie złożonej analizy statystycznej elementów składających się na zdjęcie. On twierdził, że to nie zadziała, choćby dlatego, że wymaga ogromnej ilości danych. Nad kolejnym kuflem piwa Ian wpadł na pomysł: a co, jeśli przeciwstawić sobie dwie sieci neuronowe? Jedna generowałaby obraz, a druga oceniała jego jakość. Tym razem to znajomi byli sceptyczni. On jednak po powrocie do domu, zamiast iść spać, zabrał się za kodowanie. Nad ranem testował oprogramowanie. Zadziałało za pierwszym razem. Tak przynajmniej opisuje to „MIT Technology Review".

Pięć lat później spopularyzowana przez Goodfellowa koncepcja GAN (*generative adversarial network*, generatywna sieć kontradyktoryjna) uważana jest za przełom w badaniach nad głębokim uczeniem maszynowym. Dlaczego? Mówiąc najprościej, dała maszynie coś, ↦

↦ co można porównać do wyobraźni. Dotąd programiści, szkoląc sztuczną inteligencję, musieli szczegółowo opisywać dane, którymi ją karmią, np. na zdjęciach dla systemu samochodów autonomicznych musiała się znaleźć dokładna informacja, który pieszy przechodzi przez ulicę, a który nie. To pracochłonne, kosztowne i nie gwarantuje, że system poradzi sobie z choćby niewielkim odstępstwem od reguł. GAN dla twórców autonomicznych maszyn oznacza, że samochód bez wyjeżdżania z garażu może się „nauczyć", jak wygląda ulica w czasie różnej pogody i przy różnym natężeniu ruchu, a robot nie musi objechać wielokrotnie całego magazynu, by umieć omijać pojawiające się przeszkody.

Sieci GAN znalazły już zastosowanie w fizyce, gdzie do symulacji interakcji cząstek subatomowych potrzeba było dotąd ogromnych mocy obliczeniowych, czy w badaniach medycznych, bo program generuje fikcyjne dane medyczne niemal tak dobre, jak prawdziwe, co chroni prywatność pacjentów. Szybko okazało się też, że nowa technologia umożliwia modyfikację lubianych, choć starych już gier komputerowych, przenosząc proste, składające się z niewielu pikseli grafiki sprzed 30 lat w świat wysokiej rozdzielczości. I można by było tak wymieniać same korzyści na kolejnych polach, gdyby nie jedna rzecz. Porno.

Zaczęło się od porno

Słowo „*deepfake*" zawrotną karierę zrobiło pod koniec 2017 r., gdy użytkownik serwisu Reddit, posługujący się właśnie takim pseudonimem, opublikował linki do pornograficznych nagrań, na których twarze występujących tam kobiet zastąpiono twarzami celebrytek. Nie trzeba było wiele wysiłku, by stwierdzić, że to fałszywki, podobnie jak klipy, gdzie twarz Nicholasa Cage'a wklejano do filmów, w których nie wystąpił (dla ścisłości: do produkcji takich nagrań użyto odpowiednio wyszkolonych i nadzorowanych sieci neuronowych, ale nie były to jeszcze GAN).

Gwiazdy żaliły się na nadużycie ich wizerunku, ale do dziś w prawie amerykańskim nie powstał przepis, który jednoznacznie zakazywałby tworzenia tego typu fałszywek. W grudniu 2018 r. Scarlett Johansson, której twarz wykorzystano w wielu takich klipach, wypowiedziała się na ten temat na łamach „The Washington Post". Stwierdziła, że aktorki są, wbrew pozorom, chronione przez swoją sławę – ich reputację nie tak łatwo zepsuje jeden niesmaczny incydent w morzu otaczającego je szumu medialnego. Zapowiedziała też, że nie będzie czyniła żadnych starań, aby z internetu usunięte zostały filmy pornograficzne z jej twarzą – jest to zresztą niemożliwe. To użytkownicy, którzy znajdują w sieci takie nieprawdziwe nagrania, powinni być zaniepokojeni.

Szuka się sposobów na automatyczne **rozpoznawanie sfałszowanych nagrań**. Amerykańska agencja DARPA wydała na ten cel 68 mln dolarów.

GAN na dobre rozbudziły zbiorową wyobraźnię dopiero w drugiej połowie 2018 r., gdy wyniki badań z nową technologią zaczęli prezentować naukowcy. Badacze z Carnegie Mellon University pokazali, jak ich Recycle-GAN pozwala użyć nagrania twarzy jednej osoby jak pacynki, tak by naśladowała ruchy i mimikę kogoś innego. Istnieją też podobne projekty, tyle że dotyczące symulacji ruchu całego ciała. Jeden z najnowszych pokazów możliwości GAN znajduje się na stronie ThisPersonDoesNotExist.com stworzonej przez Phillipa Wanga dzięki narzędziom producenta procesorów graficznych Nvidia. Każde kliknięcie generuje realistyczny wizerunek osoby, która nigdy nie istniała. W sieci bez trudu można też znaleźć podobne generatory anime, kotów czy fałszywe wnętrza mieszkań.

Na nieistniejącym wiecu

Na razie nie doszło do poważnego skandalu politycznego związanego z użyciem deepfake'ów. Zmanipulowane nagrania z wizerunkiem Baracka Obamy czy Władimira Putina, które można znaleźć w internecie i bez większego trudu rozpoznać w nich fałszywki, to prezentacja możliwości sieci GAN, zwykle tworzona przez naukowców dla ostrzeżenia opinii publicznej, a nie próba wprowadzenia kogokolwiek w błąd. W połowie ubiegłego roku belgijska Partia Socjalistyczna zamówiła deepfake'a z Donaldem Trumpem, w którym – w typowym dla siebie stylu – namawiał Belgów do wycofania się z porozumienia klimatycznego ONZ, podobnie jak wcześniej zrobiły to USA. Kiedy jednak okazało się, że wielu ludzi dało się nabrać, przedstawiciele partii długo przepraszali, wyjaśniając, że chodziło jej o satyrę i zwrócenie uwagi na problem, a nie o oszukanie kogokolwiek.

Skoro jednak można manipulować nagraniami, a GAN wciąż są udoskonalane, nietrudno sobie wyobrazić, że w przyszłości pojawią się rzeczywiście wyglądające na wiarygodne nagrania przywódców państw planujących zabójstwa, prezesów spółek współpracujących z konkurencyjnymi koncernami czy znanych filantropów wykorzystujących seksualnie dzieci. To jednak może być tylko część możliwości deepfake'ów, i to prymitywna, bo znane postacie – jak zauważyła Johansson – chroni ich reputacja. Tymczasem najskuteczniejsze fałszywki to te, które nawet nie wzbudzą podejrzeń.

Gdy technologia ta zostanie dostatecznie dopracowana, jednym z jej zastosowań w życiu publicznym może być automatyczne tworzenie tłumu. Potrzeby polityków doskonale spełniałby np. program zapełniający puste miejsca podczas wieców. Tłum taki idealnie pasowałby do oczekiwań grupy demograficznej, o poparcie której na danym etapie zabiega kandydat. Wiece mogłyby być pełne ludzi aż po horyzont, a widoczne na nagraniach osoby trzymałyby transparenty albo skandowały pożądane hasła.

Można by oczywiście odpowiedzieć, że adwersarze polityczni i dziennikarze przedstawią na to własne nagrania, wykazujące, że tłumu takiego w rzeczywistości nie było. Rzecz w tym, że fałszywki wcale nie muszą być prezentowane publicznie – przynajmniej nie w zwykłym rozumieniu tego słowa. Kluczem jest mikrotargetowanie, czyli możliwość pokazywania spersonalizowanych treści ściśle określonej grupie odbiorców (od kilku lat tę metodę skutecznie stosuje branża reklamowa oraz politycy, m.in. Donald Trump podczas kampanii w 2016 r.). Tylko ci, do których przekaz skierowano, wiedzą o nim, ponadto istnieją liczne wariacje przekazu – dwie osoby oglądające nawet „ten sam" film mogą w rzeczywistości otrzymywać różne jego wersje. W takiej sytuacji przedstawiciele mediów mogą w ogóle nie natrafić na sfałszowany prze-

kaz, który nie ukaże się nigdy w głównym wydaniu wiadomości, lecz tylko wyświetli indywidualnie na ekranach wybranych wyborców.

Dotąd żaden sztab w pełni nie wykorzystał możliwości, jakie pod tym względem dają media społecznościowe, bo spersonalizowane reklamy musieli tworzyć ludzie. Gdy sieci GAN dodadzą algorytmom kreatywności, to się może zmienić. Niewykluczone, że za jakiś czas aplikacje do deepfake'ów będą wypluwać z siebie miliony mikrotargetowanych reklam.

Inne, niezwiązane z polityką, a technicznie możliwe zastosowanie deepfake'ów to łamanie systemów bezpieczeństwa opierających się na obrazie (takich jak monitoring czy zabezpieczenia biometryczne). Specjaliści od cyberbezpieczeństwa nie mają wątpliwości, że użycie sfałszowanych nagrań przez przestępców to kwestia czasu. Niektórzy twierdzą, że zaczęły się już one pojawiać choćby na giełdzie kryptowalut, gdzie formą uwierzytelnienia jest wideo z widocznym dokumentem tożsamości lub kartką papieru z aktualną datą. Od lutego 2019 r. jedna z firm z San Francisco udostępnia oprogramowanie wykorzystujące GAN do kopiowania, modelowania i manipulowania głosu w czasie rzeczywistym. Możliwości daleko wykraczają poza dostępne dotąd filtry. Można przyjąć dowolny wiek, płeć, ton głosu. Im więcej system dostanie próbek głosu osoby, którą ma imitować, tym zrobi to lepiej.

Subtelne sygnatury sztuczności

Na razie jeszcze deepfake'i nie są powszechne, choćby dlatego, że można je rozpoznać. GAN wciąż nie najlepiej radzą sobie z tłem zdjęć, konturami postaci czy włosami (w szczególności prostymi i długimi). Głos sprawia wrażenie niepewnego, a obraz momentami się rozjeżdża. Badacze, jeśli sami nie stworzą sobie próbek do testowania, nie mają jednak problemu ze znalezieniem ich, bo naprzeciw potrzebom wychodzi branża porno. Okazuje się, że deepfake'i nie odeszły zbyt daleko od swoich korzeni i najwięcej jest ich wciąż na stronach z filmami pornograficznymi. Działający w Amsterdamie start-up Deeptrace wychwycił w ubiegłym roku ponad 8 tys. takich nagrań (nie licząc tych na wyspecjalizowanych serwisach, gdzie zamieszczane są wyłącznie takie klipy), co stanowi potężną bazę danych dla algorytmów próbujących wykryć sygnatury sfałszowanych filmów.

Istnieje oprogramowanie do manipulowania głosem w czasie rzeczywistym. **Można przyjąć dowolny wiek, płeć, ton głosu.**

Coraz rzadziej do rozpoznania podróbki wystarcza zwykłe przyjrzenie się. Początkowo „cyfrowe byty" nie mrugały naturalnie, a grupa naukowców z Uniwersytetu Stanowego w Nowym Jorku (SUNY) opracowała program pozwalający na wykrycie fałszywki na podstawie statystycznej analizy czasów mrugnięć. Algorytmy generujące deepfake'i wyuczyły się jednak i tego, a badacze z SUNY pracują obecnie nad metodą (także opartą na GAN), która skupia się na analizie oddechu i tętna.

Nikt nie ma jednak większych złudzeń, że i ten sposób za jakiś czas się zdezaktualizuje, a jednego sposobu identyfikacji deepfake'ów nie ma i zapewne nigdy nie będzie. Wyścig już się zaczął i przypomina ten, który toczy się między twórcami wirusów komputerowych i antywirusów czy fake newsów i prawdziwych informacji. Część ośrodków badawczych, agencji rządowych i firm już szuka sposobów na automatyczne rozpoznawanie sfałszowanych nagrań. Amerykańska Agencja Zaawansowanych Projektów Badawczych w Obszarze Obronności (DARPA) miała wydać na ten cel 68 mln dolarów.

Coraz lepsza fikcja

W połowie lutego 2019 r. wściekły spór w środowiskach związanych z uczeniem maszynowym wywołała organizacja *non-profit* OpenAI. Jej przedstawiciele deklarowali, że chcą budować sztuczną inteligencję dla dobra ludzkości i dzielić się swoimi osiągnięciami. 14 lutego OpenAI oświadczyła jednak, że choć dokonała przełomu, wstrzyma się z publikacją pełnej wersji modelu, zbiorów danych i kodów treningowych opracowanego właśnie generatora tekstu GPT-2.

Ów program po podaniu kilku linijek tekstu, czy nawet słów, jest w stanie samodzielnie go przedłużać przy zachowaniu spójności językowej i stylistycznej, w zasadzie na poziomie, na jakim mógłby to zrobić człowiek. Dotąd takie programy „gubiły wątek" albo tworzyły nienaturalnie brzmiące zdania wielokrotnie złożone. Dwie rywalizujące ze sobą sieci neuronowe OpenAI, które „nakarmiono" bazą 8 mln artykułów, nie mają z tym problemu. I tak np., po dostarczeniu fragmentu artykułu na temat brexitu, GPT-2 dopisuje dalszą część, cytując m.in. wypowiedzi lidera brytyjskiej opozycji Jeremy'ego Corbyna i rzecznika rządu oraz wspominając o problemie granicy z Irlandią. Zaprezentowano także m.in. stworzoną przez GPT-2 relację z odkrycia jednorożców w malowniczej dolinie w Andach, orędzie do narodu odrodzonego pod postacią cyborga Johna F. Kennedy'ego oraz opis bitwy z „Władcy pierścieni", którego zapewne nie powstydziłby się Tolkien.

Przedstawiciele OpenAI stwierdzili, że nie opublikują pełnego kodu swojego programu, ponieważ GPT-2 może zostać wykorzystane do generowania fake newsów, automatycznego nagabywania, spamowania czy nawet siana nienawiści w sieci. W odpowiedzi część naukowców oskarżyła organizację o wyolbrzymianie ryzyka i cenzurę prewencyjną. Inni zwracali uwagę, że jednostka z wystarczającym kapitałem i wiedzą, wykorzystując dostępne już wyniki wcześniejszych badań i „próbki" opublikowane przez OpenAI, może sama zbudować generator porównywalny z GPT-2.

Cytowany przez „Slate" John Bowers, pracownik naukowy Berkman Klein Center, uważa, że OpenAI powinna opublikować pełne wyniki badań, bo mogą one wnieść wkład w badania nad przetwarzaniem języka naturalnego. „Jedna organizacja wstrzymująca konkretny projekt nie zmieni niczego w perspektywie długoterminowej" – uważa David Bau z Laboratorium Informatyki i Sztucznej Inteligencji MIT. Jego zdaniem decyzja OpenAI to jednak ważny gest, który powinien rozpocząć poważną debatę na temat etyki w rozwoju sztucznej inteligencji, bo „zagrożenia to nie tylko niesubordynowane działania zabójczych robotów". Ian Goodfellow, pytany o zagrożenia związane z GAN, mówi: „Oczywiście, że bardzo dużo osiągnęliśmy, ale miejmy nadzieję, że poczynimy znaczne postępy w dziedzinie bezpieczeństwa, zanim posuniemy się za daleko".

© AGATA KAŹMIERSKA

QUAY BROTHERS / YOUTUBE

„Maska" – animacja lalkowa braci Quay, z muzyką Krzysztofa Pendereckiego, 2010 r. Scenariusz filmu jest adaptacją opowiadania Stanisława Lema.

Siostra

TOMASZ FIAŁKOWSKI

„Maska" to jedno z arcydzieł Stanisława Lema. I jak to z arcydziełami bywa – utwór wielowarstwowy, podatny na rozmaite odczytania.

Na początku była ciemność i zimne płomienie, i huk przeciągły, a w długich sznurach iskier czarno osmalone haki wieloczłonowe, które podawały mnie dalej, i pełzające metalowe węże, co dotykały mię ryjkowato spłaszczonymi łbami, a każde takie dotknięcie budziło dreszcz błyskawiczny, ostry i rozkoszny prawie".

Tak właśnie, czytelnym nawiązaniem do Księgi Rodzaju, zaczyna się porywający i wirtuozerski stylistycznie monolog, który ciągnąć się będzie przez kolejnych pięćdziesiąt stron i w którym napięcie ani przez chwilę nie spada. Kto jednak do nas mówi? Kim jest istota, która rodzi się na tej dziwnej taśmie produkcyjnej? Zrazu nie wie tego i ona sama, bo proces samopoznania dopiero się u niej zaczyna. Nie zna jeszcze nawet własnej płci, więc rozpoznając granice oddzielające ją od reszty świata używa rodzaju nijakiego: „nie potrafię wyjawić, kiedym mogło już dokładnie ogarnąć własny kształt".

Potem jest przebudzenie w nieznanym miejscu: „Silne blaski spływały z góry na barwny zamęt pionowych kadłubów, widziałom ich kule, obracające ku mnie lśniące wodą guziki, powszechny gwar zamarł i w powstałej ciszy uczyniłom jeszcze jeden mały krok". I wreszcie oświecenie: miejsce to sala balowa, pionowe kadłuby – ludzie, kule – ich głowy, a wodniste guziki – oczy. Oczy, które obracają się ku narratorce – pięknej młodej kobiecie w błękitnej sukni z krynoliną, z oprawnym w złoto topazem między kształtnymi piersiami.

„Maska" Stanisława Lema, bo o niej oczywiście piszę, opowiadanie opublikowane po raz pierwszy w 1976 r. w tomie pod tym samym tytułem, to w moim przekonaniu jedno z arcydzieł pisarza. I jak to z arcydziełami bywa – utwór wielowarstwowy, podatny na rozmaite odczytania. Widziano w nim tekst polityczny, przypowieść filozoficzną, doczekał się też interpretacji feministycznej. A może najważniejszy jest w nim wątek wolnej woli, tego progu, za którym umysł – obojętne, czy zaprogramowany przez opatrzność, czy też przez ziemskiego konstruktora – osiąga ten stopień komplikacji i samoświadomości, że uwalnia się z oków przeznaczenia.

O czym jednak traktuje ta mroczna baśń osadzona w niewiadomej, feudalnej jakby epoce i w państwie rządzonym przez ty-

rana? Stylizacją językową przypomina trochę „Cyberiadę” i „Bajki robotów”, brak w niej jednak wszechobecnego w tamtych książkach groteskowego humoru. Niesamowity klimat nawiązuje raczej, jak zauważyli rosyjski krytyk Dmitrij Buck i autor monografii „O poznaniu w twórczości Stanisława Lema” Maciej Płaza, do romantycznych opowieści o kobiecie-automacie E.T.A. Hoffmanna („Piaskun”) czy Villiersa de l’Isle-Adama („Ewa jutra”) i o sobowtórach (Edgar Allan Poe, Robert Stevenson).

Duch skalany i prawy

Bohaterka Lema, czyli Maska, skonstruowana została na polecenie króla-tyrana w określonym celu: ma rozkochać w sobie, a potem zabić buntownika, mędrca Arrhodesa. Poznaje go już na wspomnianym dworskim balu i uczucie między nimi szybko się rozwija, bohaterka jednak od początku ma wątpliwości co do charakteru uczucia własnego. Równocześnie owa „hrabianka Tlenix, Duenna Zoroennay, młoda Wirginia, osierocona w zamorskim kraju Langodotów przez ród walandzki” zaczyna zdawać sobie sprawę, że nie umie odróżnić zmyślenia od rzeczywistości, nie umie „odnaleźć siebie we własnej prawdziwej pamięci”. W postępującym wciąż procesie rozpoznawania własnej tożsamości i analizowania wspomnień (autentycznych? przez kogoś wdrukowanych?) dochodzi do punktu krytycznego.

Nie mogąc rozwikłać zagadki swojego ducha, zarazem „skalanego i prawego”, ani podzielić się wątpliwościami z Arrhodesem („kołczał mi język od samego zachcenia”), zwraca się ku własnemu ciału, choć i tu natrafia najpierw na nieprzekraczalną granicę. W końcu jednak pod powłoką brzucha sklepionego jak u niewiast z gotyckich obrazów wyczuwa twardy, obły kształt. Cięcie lancetem od łuku żebrowego do łona uwalnia srebrzystego, metalowego owada. „Ujrzałam jego przytulone płodowo odnóża, cienkie jak szczypce, wchodziły w moje ciało i pojęłam nagle, że to nie było ono, obce, inne, to byłam dalej ja sama”. Do motywu automatu i motywu sobowtóra dochodzi więc trzeci – motyw modliszki, przez autora zresztą wprost podsunięty.

„Najgrubszymi członami moich czułków oparłam się o brzegi otwartego na oścież ciała, aby się wypoczwarczyć, i wydobyłam się na wolność zwinnie, a wtedy Tlenix, Duenna, Mignonne osunęła się pierwej na kolana, potem runęła twarzą w bok i wypełzłam z niej, rozprostowując wszystkie odnóża, powoli idąc wstecz niby rak. Świece, których płomienie jeszcze chwiały się w przeciągu wznieconym ucieczką Arrhodesa w otwarte drzwi, jaśniały w lustrze, naga, z rozrzuconymi nieprzystojnie nogami, spoczywała bezwładnie, nie chcąc dotknąć jej, mego kokonu, fałszywej skóry mojej, ominęłam ją i wznosząc się jak modliszka wpółprzegiętym korpusem, spojrzałam na siebie w zwierciadle. To ja, powiedziałam sobie bez słów, to ja. To wciąż jeszcze ja”. Cytat długi, ale daje pojęcie o zawrotnym tempie tej prozy, a zarazem zaprzecza wspomnianym wcześniej analogiom z romantycznymi historiami o sobowtórach. Rozwinięty już i wciąż się rozwijający intelekt okazuje się tym, co spaja kolejne wcielenia bohaterki (a doktor Jekyll nie był przecież świadom czynów pana Hyde’a).

Czy zaś modliszka okaże się porównaniem właściwszym i uwolniona od ludzkiej powłoki bohaterka wypełni swoje zadanie? Owszem, metalicznie lśniący owad ze śmiercionośnym żądłem rusza ↦

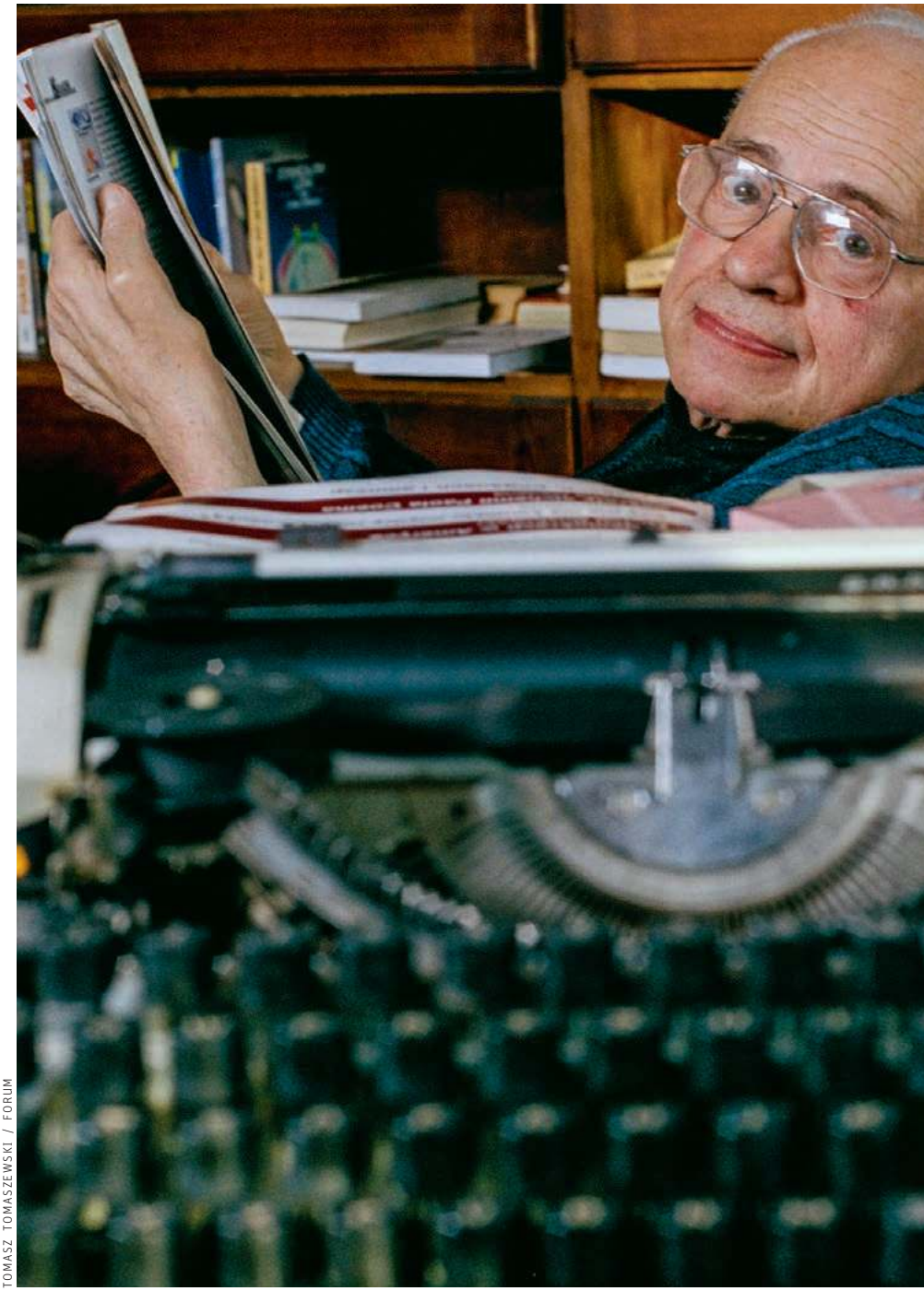

TOMASZ TOMASZEWSKI / FORUM

Stanisław Lem w swoim mieszkaniu w Krakowie

↦ w pogoń za Arrhodesem, który uciekł, stawszy się mimowolnym świadkiem przerażającej przemiany. Owszem, miłość Maski (czymkolwiek ta miłość była) gaśnie, a „skorpion ze srebra" podlega w pewnej mierze nowemu ciału i bez trudu podejmuje wpisane w jego strukturę ruchy, bez trudu też umie odnaleźć trop potencjalnej ofiary, a w pogoni pokonać wszelkie przeszkody. Zdolny jest jednak nadal myśleć z wcześniejszą biegłością i uświadamia sobie, że autodestrukcyjny gest także stanowił część napisanego przez kogoś scenariusza. „Zaczynałam (...) rozumieć, że ten akt autoewentracji nie ze wszystkim był moim powstaniem, że stanowił przewidzianą cząstkę planów, zamyśloną na taką właśnie okoliczność rebelii, żeby się okazała wkroczeniem w doskonałe nareszcie poddaństwo".

Bez wytchnienia

Śledzimy więc teraz z zapartym tchem pościg, który trwać będzie tygodnie i miesiące, i w którego opisie mistrz przechodzi sam siebie („Biegłam przez deszcze i skwary, rozłogi, wądoły i chaszcze, suche trzciny oślizgiwały mi się po tułowiu, a woda na przełaj przebywanych kałuż czy rozlewisk opryskiwała mnie i ściekała grubymi kroplami po obłym grzbiecie i po głowie, w tym miejscu naśladując łzy, co nie miało jednak żadnego znaczenia" – jakąż świetną pisarką mogłaby się stać Maska!). Właściwie to już sami biegniemy „przez wsie, osady, miasteczka, przez targowiska pełne garów glinianych i suszących się na sznurach owoców". Dzieci pierzchają przed nami w boczne uliczki, wszelkie stworzenia uciekają albo poczynają gorączkowo worywać się w spieczony grunt, bo to, które nie ustąpi z drogi – zginie „w trzasku wapienia i bełkocie czerwonych strug", pokonujemy „rzeki i odnogi limanów, katarakty, mułowate zbiorniki wysychających jezior", przekradamy się nawet przez wojenne fronty. Prowadzona bez wytchnienia pogoń staje się celem – zdanie „jego zapach wypełniał mnie całą jak obietnica" jest jednak na tyle dwuznaczne, że wcale nie jesteśmy pewni jej finału.

No i finał też okaże się niejednoznaczny. W ostatniej fazie swojego biegu Maska ściga już nie tylko mędrca-opozycjonistę – porywacze uprowadzili go bowiem z klasztoru, gdzie się ukrywał. Osiągnąwszy cel, bohaterka, „oblubienica i morderczyni", znajdzie martwego porywacza i umierającego Arrhodesa. „Przechylona w tył, ze zgiętym odwłokiem, wpatrywałam się z góry w jego odwróconą twarz, nie śmiąc ani dotknąć go, ani się cofnąć, bo póki był żyw, nie byłam pewna siebie". Będzie tak czuwała i nie użyje śmiercionośnego żądła, a po śmierci Arrhodesa ułoży się obok niego i weźmie go w objęcia. Przez dwa dni śnieżyca okrywa ich „nie tającą pościelą", trzeciego dnia wschodzi słońce...

Równi przed Prowidencją

Więc? No właśnie – i co? Może znajdziemy klucz (czy tylko pozór klucza?) cofając się o kilka stron, do sceny, w której Maska-owad w furcie klasztornej (tego właśnie klasztoru, który wcześniej dał schronienie Arrhodesowi) spotka zakonnika i „srebrna modliszka" oraz „biały ksiądz" odbywają długą rozmowę. Bohaterka opowiada swoją historię, a na powtórzone pytanie, co uczyni, znalazłszy Arrhodesa, odpowiada: „Nie wiem, jakkolwiek bowiem nie chcę mu złego, to, co we mnie wpisane, może okazać się potężniejsze od mojej chęci". W odpowiedzi słyszy: „Jesteś moją siostrą". Gdy zaś, zdumiona, prosi o wyjaśnienie, zakonnik tłumaczy jej: „Ani się nie wywyższam nad ciebie, ani poniżam przed tobą, jakkolwiek byśmy się bowiem różnili, niewiedza twoja, którą mi wyznałaś, a w którą ja wierzę, czyni nas równymi przed Prowidencją". I sam prowadzi ją do opuszczonej przez Arrhodesa kryjówki, wiedząc przecież, że w ten sposób naprowadza ją na zgubiony wcześniej trop.

„Nozdrzami wszedł mi w płuca zapach bezustannie tropiony, tak mocny tutaj, że poczułam, jak żądło samo wzwodzi mi się i wysuwa z łonowej tulei". Cóż, nie zapowiada to niczego dobrego. Gdy jednak srebrna modliszka ruszy dalej, zapamiętawszy wcześniej także zapach porywaczy, stara się przekonać samą siebie, że idzie Arrhodesowi na odsiecz. Koniec już znamy. Może więc konstruktor Maski rzeczywiście stworzył inteligencję na tyle skomplikowaną, że zdołała się uwolnić od narzuconego jej zadania? Pozostańmy z tą nadzieją.

©℗ TOMASZ FIAŁKOWSKI

Imitacja doskonała

ŁUKASZ LAMŻA

Sztuczna inteligencja w grach komputerowych to głównie proste, szybkie sztuczki, które tylko symulują, że kryje się za nimi coś głębszego. To całkiem jak u człowieka.

Programista Ian Millington we wpływowej książce „Artificial Intelligence for Games" pisze o trzech poziomach inteligencji w grach komputerowych. Są to kolejno: ruch, decyzja i strategia. Pierwsze dwa dotyczą pojedynczych „podmiotów" w grze, tzw. agentów. Decyzja to etap rozumowania, od którego zależy, co będzie robił w najbliższym czasie dany agent. Może być to po prostu stanie w miejscu lub patrolowanie po ustalonej ścieżce (co często robią strażnicy w grach przygodowych), zbieranie surowców (co stanowi fundament gier strategiczno-ekonomicznych typu „Settlers" [1993]* albo „Warcraft" [1994]), ale też sen, odpoczynek czy praca (w grach typu „The Sims" (2000), w których kontroluje się życie zwykłych ludzi). Jeśli decyzja brzmi: „Idź do punktu B", realizowany jest etap „ruch", polegający na opracowaniu skutecznego sposobu dotarcia do celu. Poziom „strategia" odnosi się zaś nie do pojedynczych agentów, lecz ich grup. To od wyborów strategicznych zależy, czy – w grach typu „Civilization" (1991) albo „Age of Empires" (1997) – wroga cywilizacja już cię zaatakuje, czy też będzie jeszcze gromadzić zasoby i rozwijać kolejne technologie.

Choć dopiero ostatnia z tych kategorii pozwala maszynom nieco rozwinąć skrzydła, większość gier opiera się na dwóch pierwszych.

Zasady gry

Tworzenie gier ma w sobie tyleż ze sztuki, co z rzemiosła. Nawet najwspanialsza idea może skończyć się fiaskiem, gdy samochód prowadzi się jakoś dziwnie, a sku-

Gra Settlers 2, Blue Byte, 1996 r.

teczne kliknięcie w skrzynię ze skarbami zakrawa na cud. Do niemal mitologicznej rangi zakrawa zaś niedająca się w żaden sposób precyzyjnie zdefiniować cecha dobrych gier: grywalność (*playability*). Istnieje jednak na nią prosty test: jeśli po zapoznaniu się z nowym tytułem z każdą chwilą chce się grać coraz bardziej – grywalność jest duża. Granie jest wszak przede wszystkim formą rozrywki i ma sprawiać przyjemność. Ta fundamentalna prawda wpływa również na kwestię sztucznej inteligencji.

Prosty przykład. Jedną z najsłynniejszych gier komputerowych wszech czasów jest „Pac-Man" (1980). Inteligencja czterech „duszków", gdy gonią tytułowego bohatera, ma bardzo prostą postać. Duszek porusza się przed siebie, dopóki nie natrafi na skrzyżowanie dróg. Wtedy może podjąć jedną z dwóch decyzji: albo skręcić w losowo wybranym kierunku, albo wybrać ten kierunek, który bardziej przybliży go do gracza. Zmienna, mogąca przyjmować wartości od 0 do 1, decyduje o tym, jak często będzie wybierana jedna z tych dwóch opcji. I tyle.

To na tyle prosty algorytm, że niektórzy mogliby powątpiewać, czy w ogóle można go określić jako przejaw sztucznej inteligencji. Spójrzmy jednak z punktu widzenia gracza, który równie silnie nienawidzi „za łatwo" i „za trudno". Gdyby duszki poruszały się całkowicie losowo, gra byłaby względnie łatwa do opanowania. Gdyby zaś zawsze szły w kierunku gracza, prawdopodobnie byłaby za trudna – i niezbyt grywalna. Problem ten znamy zresztą z życia codziennego – wystarczy spędzić godzinę przy jakiejkolwiek grze z prawdziwym ekspertem. Czy to bilard, czy poker, czy „Monopoly": gra idealna, nastawiona na zwycięstwo, jest po prostu nudna i szybko staje się irytująca. Często nie chodzi przecież tak naprawdę o to, by wygrać, ale o to, by grać! Twórców „game AI" nie interesuje więc zwykle najlepsze, najbardziej inteligentne zachowanie, ale raczej takie, które można płynnie „podkręcać", za każdym razem uzyskując realistycznego przeciwnika, który nie jest ani zbyt kiepski, ani zbyt dobry.

Wprowadzenie do „Pac-Mana" warunku „lub" sprawiło, że sterując wartością jednej zmiennej, można było w prosty sposób regulować trudność gry. Jednym z najtrudniejszych zadań przy tworzeniu gier komputerowych jest zaś odpowiednie wyregulowanie „krzywej uczenia się" – gracz musi przez cały czas odczuwać przyjemność z pokonywania kolejnych zadań oraz mieć przed sobą jakieś wyzwanie. Jego umiejętności tymczasem stale rosną. Rozwiązanie zastosowane przez twórców „Pac-Mana" ilustruje fundamentalną zasadę „game AI": prostota!

Ma dodatkową zaletę praktyczną. Gdyby w „„mózgu" każdego duszka siedziała zaawansowana, samoucząca się sieć neuronowa, być może zachowywałyby się one w sposób mogący zachwycić amatorów AI, ale w „Pac-Mana" można by grać wyłącznie na paru superkomputerach świata. To zaś dopiero czterech przeciwników, podczas gdy w grach strategicznych komputer musi często jednocześnie symulować zachowanie kilkuset jednostek.

Co więcej, interakcja gracza z inteligentnym agentem może trwać bardzo krótko. W grach RPG zawierających elementy otwartego świata – jak „Fallout" (1997), „Baldur's Gate" (1998), „Assassin's Creed" (2007) czy „Wiedźmin" (2007) – gracz porusza się swobodnie po wirtualnym świecie, napotykając jego mieszkańców. Większość z nich ujrzy tylko na kilka sekund, co Millington określa jako „okno percepcyjne". Ich inteligencja musi być akurat na tyle dobra, aby gracz miał przez ten krótki czas wrażenie, że ma do czynienia z prawdziwym człowiekiem.

Millington podaje następujący przykład: wyobraźmy sobie, że obserwujemy z przyczajenia strażnika, gdy zza rogu dobiega jakiś odgłos. Jeśli strażnik pobiegnie natychmiast w przeciwnym kierunku, uznamy to za błąd AI – powinien przecież zbadać, co jest źródłem hałasu. Rzeczywisty człowiek może mieć oczywiście mnóstwo powodów, aby biec w drugą stronę: być może boi się albo właśnie na drugim końcu pokoju znajduje się włącznik światła. A może stuknięcie było ustalonym wcześniej sygnałem, że jego kolega-strażnik wsunie za chwilę pod drzwiami paczkę papierosów? Wszystkie te zaawansowane zachowania można oczywiście zasymulować, jednak doceniliby je tylko ci gracze (a są tacy!), którzy śledziliby strażników godzinami. Cała reszta uznałaby, że są oni po prostu kiepsko zaprogramowani.

Z punktu A do punktu B

Biegnący w twoją stronę ork, czołg przekraczający rzekę w symulatorze wojskowym i samochód wyścigowy ścinający zakręt na Nürburgring – to wszystko wymaga znalezienia trasy pomiędzy punktami A i B (gdzie wyznaczenie punktu B należy już do poziomu decyzji i/lub strategii). Tu wkracza *pathfinding* – odnajdywanie ścieżki.

Zadanie może wydawać się trywialne, ale tylko wtedy, gdy zapomnimy o wszystkich ↦

↦ tych przypadkach, gdy sami wjechaliśmy w ślepą uliczkę albo po dojechaniu na miejsce zorientowaliśmy się, że trasa mogła być o połowę krótsza. W rzeczywistości problem znalezienia optymalnej trasy stanowi trudne zagadnienie matematyczne.

Wyznaczenie linii prostej między dwoma punktami jest względnie łatwe. Mogłoby się wydawać, że gdy gra toczy się na otwartym terenie, jak w wielu symulacjach militarnych, załatwia to sprawę. Tego typu lenistwo lubi jednak owocować błędami, czasem spektakularnymi. W grze wojennej „Armed Assault" (2007) niekontrolowani bezpośrednio przez gracza żołnierze idą do celu zawsze po najkrótszej ścieżce, co skutkuje np. tym, że gdy mają przejść na drugą stronę nawet bardzo łagodnej zatoki, zawsze płyną po cięciwie, podczas gdy kilkukrotnie szybciej byłoby biec plażą.

Gdy na mapie występuje wiele przeszkód, jak budynki, gęsty las czy wąwozy, wyznaczenie najlepszej trasy przestaje być zadaniem trywialnym. Istnieje algorytm zawsze znajdujący najkrótszą (lub najszybszą) ścieżkę, tzw. algorytm Dijkstry opracowany w 1956 r. przez holenderskiego programistę Edsgera Dijkstrę, jednak jest on zbyt wolny dla większości zwykłych zastosowań. Polega on na równoległym badaniu wszystkich ścieżek wychodzących z punktu A, krok po kroku, na podobieństwo rozrastającego się krzewiaście drzewa możliwości. Gałązki nie mogą się jednak pokrywać, tak że do każdego punktu prowadzi tylko jedna trasa – a pierwsza gałązka w danym miejscu to zawsze ta, która dotarła tam w najmniejszej liczbie kroków. Rozrastanie trwa, dopóki cała mapa nie zostanie pokryta tego typu trajektoriami. Potem po prostu wraca się „po strzałkach" z pożądanego punktu B do punktu wyjścia A. Tego typu algorytm stosuje się jednak wyłącznie wtedy, gdy jest dużo czasu na podjęcie ważnej decyzji, np. w turowych symulacjach strategicznych, gdy komputer może sobie w spokoju obliczać przez parę sekund, a człowiekowi pozostaje cierpliwie patrzeć na przekręcającą się na ekranie klepsydrę. We wszystkich pozostałych przypadkach konieczne są metody przybliżone, które nie zawsze dają dobry rezultat. Ot, we wspomnianej strategii „Age of Empires" nie dość dokładny *pathfinding* prowadził do dość zabawnych konsekwencji. Szczególnie kłopotliwe były duże zbiorniki wodne, których okrążenie wymagałoby przyjęcia bardzo zawiłej trasy. Oddziały potrafiły godzinami stać w bezruchu nad brzegiem morza, morderczo wpatrując się w stojącego na drugim brzegu wroga.

Trudne wybory

Najprostszym modelem decyzyjnym jest maszyna stanowa, technicznie nazywana też „automatem skończonym". Automat taki znajduje się zawsze w jednym z kilku określonych z góry stanów. Dla omawianego wyżej przypadku strażnika mogą być to np.: „patrol", „walka" i „ucieczka". Przejście pomiędzy nimi następuje po spełnieniu określonego warunku. Przykładowo, strażnik przechodzi od stanu „patrol" do stanu „walka", gdy ujrzy przeciwnika, a od stanu „walka" do stanu „ucieczka", gdy zazna poważnych obrażeń (np. gdy jego punkty życia spadną do poziomu 10 proc.). Każdy ze stanów wiąże się ponadto z określonym sposobem ruchu: wędrowanie po ustalonej trajektorii (lub stanie w miejscu) w czasie patrolu, bieg w kierunku przeciwnika w trakcie walki, i bieg w przeciwną stronę podczas ucieczki.

Nawet przy pomocy tak prostego modelu można z powodzeniem symulować względnie złożone zachowania. Stan „walka" może uwzględniać więcej niż tylko bezmyślny pęd w kierunku wroga, np. utrzymywanie określonego dystansu, który pozwala na wyprowadzanie ciosów. Już w tak prymitywnej grze, jaką był „Doom" (1993), jedna z pierwszych w historii „strzelanek" 3D, wrogowie walczyli na jeden z kilku sposobów, co wymagało od gracza odpowiedniego dopasowania swojego zachowania. Jest to więc przy okazji pierwszy, zalążkowy przypadek *emergent gameplay*, tj. wyłaniania się złożonych zjawisk wskutek nakładania się na siebie prostych mechanizmów gry i złożonego zachowania graczy.

Pobawmy się jednak dalej naszą prostą maszyną stanową. Stan „ucieczka" może zostać aktywowany od razu, jeśli strażnik widzi zbyt silnego jak dla siebie przeciwnika. Sztuczka ta była z powodzeniem stosowana przez twórców gier typu *dungeon crawler* (czyli „pełzający po podziemiach"), np. „NetHack" (1987), „Angband" (1990) czy „Diablo" (1996) – zachowanie się potworów zależało tu również od poziomu rozwinięcia postaci gracza. Jedna i ta sama banda rzuci się więc żarłocznie na gracza początkującego, ale rozpierzchnie się na widok zaawansowanego.

Te same gry, rozwijane zresztą do dzisiaj, zawierają często niezliczone warianty podstawowej maszyny stanowej, których skutkiem są odrębne „osobowości" i „style walki" przeciwników. Przykładowo, mało groźne w pojedynkę, ale atakujące gromadnie potwory realizują często strategię polegającą na wciąganiu w zasadzkę. Po otrzymaniu pierwszego ciosu, jakkolwiek mizernego, zawsze przechodzą na parę sekund w tryb „ucieczka" – gdy więc gracz natrafia na najbardziej wysuniętego, pojedynczego osobnika, ten po pierwszym ciosie umknie w kierunku swoich towa-

Gra Doom, Id Software, 1993 r.

rzyszy. Jeśli nieostrożny gracz pobiegnie za nim, licząc na łatwe zwycięstwo, po chwili znajdzie się pośrodku chmary przeciwników. To klasyczny przykład strategii emergentnej – zasadzka sama „wyłania się" z zachowania się prostej maszyny stanowej w połączeniu z meandrami psychologii ludzkiej.

Kolejnym typowym sposobem na szybkie „ożywienie" automatu skończonego jest dodanie stanu czwartego – „zaniepokojony". Przechodzi do niego agent ze stanu „patrol" po usłyszeniu czegoś niepokojącego lub ujrzeniu gracza na krótką chwilę. Strażnik zaniepokojony zmienia sposób poruszania się – zastygając w bezruchu albo przyspieszając – na ustalony okres. Jeśli nic się w tym czasie nie wydarzy, wraca do stanu „patrol". Niby drobna korekta, a jednak dodająca do gry sporo realizmu.

Oszustwo idealne

Dodajmy na koniec, że znaczna część odpowiedzialności za postrzegany „poziom inteligencji" agentów w grze spada na twórców grafiki i dźwięku. Strażnik w stanie „patrol" mógłby z punktu widzenia programisty stać jak słup przez 8 godzin dniówki, tymczasem rzeczywisty człowiek zacząłby niechybnie szukać sobie jakiegoś zajęcia. Jedną z wielkich przyjemności wędrowania po otwartych światach współczesnych gier RPG jest przysłuchiwanie się rozmowom i zachowaniom przechodniów. W „Wiedźminie 3" (2015) można by godzinami patrzeć na goniące się dzieci, podśpiewujące: „Cisza na morzu, cisza w komnacie, cesarz Emhyr narobił w gacie", zmęczonego mieszczanina wzdychającego „Jak żyć, wiedźminie?..." albo wieśniaków z nudów oddających się bijatyce za pieniądze. Twórcy tego typu gier prześcigają się w wymyślaniu coraz bardziej realistycznych „mikrozachowań", jak odwracanie wzroku od rażącego światła czy chowanie się pod daszkiem w czasie deszczu. Nie wymaga to stosowania AI w zwykłym sensie, stanowi jednak efektywną symulację inteligencji.

Paradoksalnie próby stosowania rzeczywistej, zaawansowanej sztucznej inteligencji są, poza grami typowo logicznymi, nieliczne i zasadniczo mało udane. Millington pisze, że z dużym zawodem przyjął grę „Creatures" (1994), polegającą na hodowaniu autonomicznych, rozwijających się na oczach gracza stworzonek. Ich „mózgi" były prawdziwymi sieciami neuronowymi, rozwijającymi się pod wpływem algorytmów ewolucyjnych, a więc metodą prób i błędów. Stworzonka zachowywały się dziwnie, nieciekawie, „szczerze mówiąc – głupio", wspomina Millington. Co więcej, w algorytmach ewolucyjnych nie do wyeliminowania jest element nieudanego eksperymentu. Choć my sami wyłoniliśmy się wskutek miliardów nieudanych eksperymentów, a każde inteligentne zachowanie okupione jest dziesiątkami zachowań idiotycznych, niekoniecznie chcemy oglądać te wszystkie niezbędne potknięcia na ekranie swojego komputera. Niemożliwość przewidzenia, jak zachowa się dany agent, może cieszyć teoretyków AI, ale nie twórców gier, które mają oferować graczom przyjemne doznanie. Prawdziwa, żywa, rozwijająca się na naszych oczach inteligencja prędzej czy później doprowadzi do wyłonienia się jakiegoś irytującego błędu, a potencjalny zysk – ze względu na ograniczony rozmiar „okna percepcyjnego" – jest niewielki.

W ten sposób wracamy do tego, od czego zaczęliśmy – do wymiaru pragmatycznego „game AI". Jest ona narzędziem, które ma służyć osiągnięciu określonego celu przy jak najmniejszych poniesionych nakładach. Przestrzelenie – stosowanie zawsze najbardziej zaawansowanych technik analizy i przeprowadzanie każdego procesu decyzyjnego „do dna" – jest nie tylko niepotrzebne, ale bywa wręcz irytujące i prowadzi do rezultatów przeciwnych: czasem najlepsze jest zachowanie proste i przewidywalne. Brzmi znajomo, prawda?

©℗ ŁUKASZ LAMŻA

Gra The Sims, Maxis Software, Electronic Arts, 2000 r.

PSYCHIKA SIMÓW. Analizę procesu decyzyjnego można dowolnie komplikować, tworząc coraz lepsze imitacje ludzkiej psychiki. W grze „The Sims" agenci („Simowie") zamieszkujący kontrolowany przez gracza świat są już wyposażeni w szereg typowo ludzkich potrzeb, które zaspokajają poprzez jedzenie, spanie, pracę albo ćwiczenia fizyczne. Decyzja o podjęciu którejś z tych aktywności sprowadza się do spełnienia pewnego warunku matematycznego, jednak stanowiącego odzwierciedlenie prawideł ludzkiej psychiki. Przykładowo, zjedzenie szybkiej przekąski obniża poziom głodu o 2 punkty w ciągu 15 minut, podczas gdy przygotowanie pełnego posiłku odejmuje aż 4 „punkty głodu", jednak dopiero za 2 godziny. Podobne reguły opisują np. różne formy odpoczynku (szybka drzemka, długi sen). Ponieważ Simowie zachowują się zasadniczo na sposób minimalizujący poziom niezadowolenia (będący sumą „punktów głodu", „punktów zmęczenia" i innych), ich postępowanie w skali kolejnych dni jest niebanalną mieszaniną impulsywnych decyzji i rozsądnego, długofalowego zarządzania czasem.

* Rok wydania odnosi się zawsze do pierwszej gry w serii.

REKLAMA

COPERNICUS
FESTIVAL

COPERNICUS FESTIVAL 2019: JĘZYK

JĘZYK

ELŻBIETA TABAKOWSKA

PAUL DAVIES

JERZY BRALCZYK

CHARLES TAYLOR

DANIEL EVERETT

WWW.COPERNICUSFESTIVAL.COM

21–26.05.2019

Kraków
PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA

UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI W KRAKOWIE

Copernicus Center

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

TYGODNIK POWSZECHNY

REKLAMA
POLIN
Muzeum Historii Żydów Polskich
19 IV 1943
POWSTANIE W GETCIE WARSZAWSKIM
ŁĄCZY NAS PAMIĘĆ
polin.pl
Partnerzy:
Patronat Narodowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy w Stulecie Odzyskania niepodległości
PREZYDENT MIASTA STOŁECZNEGO WARSZAWY
Współorganizator:
STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE
Wsparcie:
Sills Family Foundation
Partnerzy medialni:
zwierciadło
sens
ams
wyborcza
wyborcza.pl WARSZAWA
cojestgrane24
naszemiasto
VIVA!
onet

REKLAMA

Kraków kbf fmf

RMF Classic

1000 biletów

na Festiwal Muzyki Filmowej do zdobycia już teraz w RMF Classic

Szczegóły na **www.rmfclassic.pl**

Słuchaj nas on-line:
www.rmfon.pl

Słuchaj nas w telefonie.
Pobierz aplikację w App Store, Google Play, Microsoft Store.

Białystok 90,0 FM
Bydgoszcz 95,1 FM
Częstochowa 89,9 FM
Elbląg 91,2 FM
Gdańsk 88,4 FM
Gdynia 107,1 FM
Katowice 94,1 FM
Kielce 99,0 FM
Kraków 87,8 FM
Lublin 107,6 FM
Łódź 105,0 FM
Olsztyn 100,9 FM
Opole 97,5 FM
Poznań 103,9 FM
Płock 93,1 FM
Szczecin 98,0 FM
Toruń 105,5 FM
Warszawa 98,3 FM
Włocławek 91,2 FM
Wrocław 99,2 FM
Zielona Góra 89,0 FM